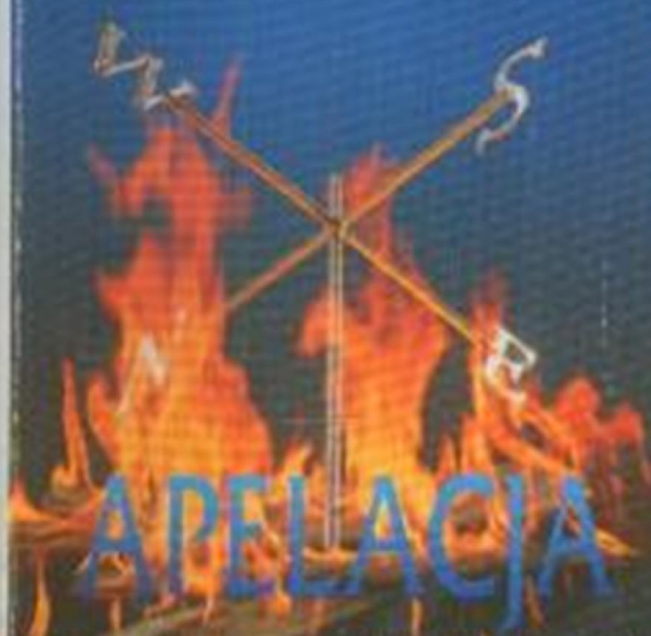


Clifford IRVING



APELACJA


SPECTRA
SERIA


SPECTRA
SERIA

Clifford
IRVING
APELACJA

Przełożył
**WŁADYSŁAW
MASIULANIS**


**SREBRNA
SERIA**

Tytuł oryginału
FINAL ARGUMENT

Ilustracja na okładce
COLIN THOMAS

Redakcja merytoryczna
WANDA MA.J.EWSKA

Redakcja techniczna
ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1993 by East Miguel, Inc.

For the Polish edition
Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp. z o. o.

ISBN 83-7082-667-9

Wydawnictwo Amber Sp. z o. o.
Warszawa 1994. Wydanie I
Druk: Łódzka Drukarnia Dzielowa

Z wyrazami wdzięczności i miłości
książkę tę dedykuję moim ciotkom i wujom:
Beabe Hamilton, Bess i Johnowi Normanom,
Ruth i Albertowi Prago
oraz pamięci
Mabel Rosenthal i Flo Schwartz

a także, z tymi samymi uczuciami,
mojemu lojalnemu przyjacielowi i agentowi,
wspaniałemu Frankowi Cooperowi

Dlatego najpierw stworzony został jeden tylko człowiek:
Adam. Abyście rozumieli, że jeśli ktoś niszczy jedno ludzkie
życie, to tak jakby niszczył cały świat... a kto ocala jedno
życie, jakby ocalał cały świat.

MISZNA, SANHERDRIN 4,5

PODZIĘKOWANIA

Eric Sweeting jest postacią fikcyjną; w więzieniu stanowym na Florydzie nie stracono nigdy człowieka o tym nazwisku. Opis jego śmierci na krześle elektrycznym dość wiernie jednak obrazuje przebieg egzekucji Jesse Tafero z 4 maja 1990 roku.

Wielu ludzi pomagało mi w zbieraniu materiałów do tej książki. W szczególności dziękuję: mecenasowi Williamowi Sheppardowi z Jacksonville; Hope Tieman Bristol, zastępcy prokuratora stanowego z Fort Lauderdale; Maurice'owi Nessenowi, który towarzyszył mi w drodze do Raiford; Cyrze O'Daniel i Patowi McGuinnessowi ze stanowego biura pomocy prawnej; George'owi Katsikasowi i Rentie'emu Westonowi jr. z Wydziału Zdrowia i Rehabilitacji Społecznej, Brianowi Davisowi i Henry'emu Lee z biura prokuratora stanowego; sędziemu Arthurowi Franzie, profesorowi Michaelowi Radeletowi z Uniwersytetu Stanu Floryda; Pam Daniel, wydawcy dziennika *Sarasota*; Kathy Blum, wydawcy *Jacksonville*; Ernestowi Downsonowi; Pat i Stephenowi Weinbaumom; Robertowi Johnsonowi za uprzejme wyrażenie zgody na wykorzystanie informacji zawartych w jego niezwykłych książkach: *Death Work* i *Condemned to Die*; Jackowi Slaterowi; Holly Nadler i Maureen Earl.

A także Jeannie Repetti z kancelarii adwokackiej Kramer, Levin na Manhattanie, za jej wspinałomyślność i przyjaźń, którą darzy mnie od tylu lat.

Pozwoliłem sobie na kilka dowolności w przedstawieniu geografii

hrabstw Duval, St. Johns i Sarasota. Będę wdzięczny, jeśli ich mieszkańcy mi wybaczą.

C. I.

San Miguel de Allende

1

Nadeszła chwila, kiedy moja żona oraz moi wspólnicy uznali, że zwa-riowałem, a ja co najwyżej mogłem im odpowiedzieć: „mam nadzieję, że nie”. Było to rok temu. Ukończyłem właśnie czterdzieści osiem lat; harowałem jak wół, miałem prawie wszystko, czego chciałem i wystarczyło tylko poczekać na poprawę koniunktury, aby osiągnąć resztę. Tak przynajmniej sądziłem.

Pewnego wspaniałego zimowego popołudnia patrzyłem przez okno swego gabinetu na ciepłe wody zatoki Sarasota i dalej – w przestwór Zatoki Meksykańskiej. Sarasota Bay rozciągała się przede mną niczym ogromna, fałdzista spódnica... spódnica, pod którą z rozkoszą dałbym nura, gdyby nie stos papierów na moim biurku.

Zmierzchało. Zapaliłem lampę i właśnie sięgałem po *Regulamin czynności sądów stanu Floryda*, kiedy rozległ się brzęczyk interkomu, zapowiadając rozmowę, która miała odmienić moje życie.

– Ted – posłyszałem nosowy głos swojej sekretarki, Ruby – pyta o ciebie jakiś facet. Nazywa się Elroy Lee, dzwoni z więzienia, na nasz koszt. Aresztowany pod zarzutem posiadania narkotyków. Twierdzi, że poznał cię w Jacksonville wiele lat temu, ale, sądząc po tym, jak mówi, nie brzmi to zbyt prawdopodobnie. Czy mam go przekazać któremuś z praktykantów?

Jeszcze raz spojrzałem na zatokę, na żaglówki, które ze słabnącą bryzą, pod spinakerami, wracały do portu. Mój punkt obserwacyjny znajdował się na piątym piętrze, w biurze śródmiejskiej firmy prawniczej Royal, Kelly, Wellmet, Jaffe & Miller. (Jaffe to ja.) Podłoga mojego gabinetu wyłożona

była miękkim hiszpańskim korkiem, ściany obite tkaniną jutową o barwie owsianki; biurko z tekowego drewna miało kształt bumerangu. Przez szyby z pancernego szkła do chłodnego wnętrza sączył się błękit nieba. Dwanaście lat temu, kiedy podjąłem pracę w firmie, osobiście zaprojektowałem całe to pomieszczenie, łącznie z robioną na zamówienie aparaturą nagłaśniającą, florenckimi, krytymi skórą krzesłami z wmontowanym w drewno stalowym szkieletem, a nawet z włoskim ekspresem do kawy stojącym w kącie pod ścianą, na której powiesiłem swoje świadectwa i dyplomy, oraz z kupionymi w Paryżu obrazami Fridy Kanio. Tak wyglądał gabinet moich – ziszczonych – marzeń.

Byłem jednym z filarów spółki Royal, Kelly należącej do najlepszych i najdroższych kancelarii adwokackich na zachodnim wybrzeżu Florydy. Jednakże dwa lata temu sporo zainwestowaliśmy w osiedle luksusowych domów jednorodzinnych, budowanych wówczas przez jednego z naszych klientów na Longboat Key, nie opodal posiadłości, którą za grube pieniądze wynajmowałem dla swojej rodziny. Przedłużająca się recesja sprawiła, że dochody z czynszów kurczyły się katastrofalnie. Na ostatnim cotygodniowym spotkaniu kierownictwa firmy, zwołanym w celu podziału zysków za rok budżetowy 1990-91, Harvey Royal obwieścił, że po odliczeniu podstawowych płac naszej piątki, ustalonych na dwieście tysięcy dolarów rocznie, nie zostało nic do dzielenia.

– Ponosimy straty – powiedział Harvey – i dlatego bardziej niż kiedykolwiek powinno zależeć nam na klientach. Miejcie to państwo na uwadze, kiedy przyjdzie wam do głowy urwać się wcześniej z biura dla partyjki golfa.

Tak więc kiedy sekretarka zawiadomiła mnie, że z więzienia hrabstwa Sarasota dzwoni jakiś Elroy Lee, odrzekłem:

– Porozmawiam z nim. Ale zaczekaj chwilę. Powiedz mi, dlaczego uważasz za mało prawdopodobne, żeby mnie znał?

– To dziad – odparła zwięźle Ruby.

Przez dziesięć lat, kiedy byłem prokuratorem stanowym na północnej Florydzie, poznałem wielu „dziadów”. I – przyznaję po zastanowieniu – nadal ich znam, tyle że niektórzy z nich są teraz dyrektorami korporacji.

Niemniej „dziadowie” także potrzebują prawników. Może bardziej niż większość ludzi.

– Połącz go, Ruby...

Chwilę później usłyszałem wypowiedziane z wyraźnym południowym akcentem:

– Pan Ted Jaffe?

– Tak. Czym mogę służyć, panie Lee?

– Na początek mógłby mnie pan wyciągnąć z więzienia.

– Wygląda na to, że nie ma pan wygórowanych żądań. O co jest pan oskarżony?

– O posiadanie narkotyków. Znaleźli kokainę w moim autku. Przewinienie trzeciego stopnia. Byłem już karany; raz czy dwa razy.

– A dlaczego zadzwonił pan właśnie do mnie, panie Lee?

– Jestem z hrabstwa Duval, nie? Pamiętam pana z czasów, kiedy był pan pierwszym łapsem w stanie. Jak mi się przytrafił ten niefart, zajrzałem do książki telefonicznej i tam w rubryce „adwokaci” znalazłem pańskie nazwisko. Zaraz sobie pana przypomniałem.

– Jest pan pewien, że nie chce pan obrońcy z urzędu?

– Jak tego, że w piekle nie dają coli z lodu. Pan się nie martwi, panie Jaffe. Mam z czego zapłacić.

Spojrzałem na zegarek.

– Spotkam się z panem jutro, między dziewiątą a dziesiątą rano.

– Nie dałoby się tego załatwić dzisiaj?

– Przykro mi, ale to naprawdę niemożliwe.

– Co ma pan tak cholernie ważnego do roboty, że nie może pomóc ciężko przestraszonemu człowiekowi, który cierpi na koszmarną astmę, ma kłopoty z pęcherzem i musi siedzieć w celi pełnej złych ludzi?

– Nic, poza tym, że jesteśmy z żoną zaproszeni na pieczenie homarów. Impreza zaczyna się dokładnie za godzinę. Czy może mi pan zaproponować coś lepszego?

Lee zachichotał. Widać moja szczerowość zrobiła na nim wrażenie.

– Jak rany, nie znajdzie pan pół godzinki? Jakieś cholerne homary mają być ważniejsze niż zdrowie i interes pańskiego klienta? Co z pana za praw-

nik?

– Realista. Do tego przepadający za homarami. Nie chodzi o jakieś byle langusty, panie Lee, ale o prawdziwe homary z Maine. Wytrzyma pan do jutra. Dla pana to nie pierwszozna.

Tak powiedziałem, ale potem spojrzałem na ścianę, gdzie nad półką mieszczącą *Federalne przepisy karno-procesowe* Moore'a i Westa *Prawo karne i przepisy postępowania karnego stanu Floryda* – stanowiące razem naszą Biblię – wisiał oprawiony w ramki rysunek, który wyciąłem kiedyś z pewnego pisma prawniczego. Przedstawiał on rekina szykującego się do zjedzenia okonia, który zamierzał właśnie schrupać małego ciernika w chwili, gdy ten zabierał się do spożycia robaka. „Światem rządzi sprawiedliwość” – mówił rekin. „Jest jeszcze trochę sprawiedliwości” – twierdził okoń. „Nie ma sprawiedliwości na tym świecie” – żalił się ciernik. „Ratunku!” – wrzeszczał robak.

Nie mogłem nie współczuć najslabszemu w tej bezlitosnej rywalizacji gatunków.

– Powiem panu, co zrobię – odezwałem się więc do robaka nazwiskiem Lee. – Pamięta pan, jak mawialiśmy w hrabstwie Duval?

– Pan mi przypomni.

– Kiedy siedzisz po szyję w gównie, kolego, nie otwieraj ust. Tak więc przez najbliższe dwadzieścia minut będzie pan trzymał gębę na kłódkę, a ja przyjadę i zobaczę, czy uda się zdjąć pana z haczyka.

Elroy Lee zarechotał cichutko.

– Jak pan sobie życzy, mecenasie.

Spotkaliśmy się w pokoju widzeń więzienia hrabstwa Sarasota. Lee był chudym białym mężczyzną około czterdziestki, o rzadkich włosach barwy piasku i zimnych zielonych oczach. Przedzielone szparą, wystające jak u wiewiórki przednie zęby i szybkie, jakby ukradkowe ruchy nadawały mu wygląd czujnego gryzonia.

Oskarżono go o posiadanie narkotyków i zamiar przekazania ich innej osobie, a więc popełnienie przestępstwa drugiego stopnia – zarzut nieco poważniejszy niż to, co powiedział mi przez telefon. Za kratami prawda jest

czymś równie rzadkim, jak śnieg nad Zatoką Meksykańską.

– To jakieś popaprane miasto – oświadczył na wstępie Elroy. – Przyjechałem tu ponad tydzień temu. Chce pan usłyszeć, co mnie spotkało?

– Owszem, jeśli ma to związek z twoją sprawą. Stygną mi homary.

Zignorował moją prośbę.

– No więc przyjechałem i zajeżdżam na stację benzynową Exxon, żeby zatankować. Stacja jest samoobsługowa; przy sąsiedniej pompie widzę jakiegoś starszego gościa. Pewnie próbuje zaoszczędzić kilka centów, myślę. Tylko że za kierownicą mercedesa siedzi jego żona i nagle daje do tyłu. Może chce zjechać w cień? Kto to, kurczę, wie. Nie widzi go i wlecze po jezdni dobre pięć metrów. Facet jest trup. To była, w mordę, pierwsza rzecz, jaką zobaczyłem po przyjeździe do Sarasota!

– Elroy – powiedziałem ostrym tonem – może porozmawialibyśmy o posiadaniu narkotyków?

– Potem widzę w telewizji, jak na lotnisku jakiś osiemdziesięcioletni facet ładuje się swoim cadillakiem w tłum ludzi z walizkami; zabija kobietę, trzy inne lądują w szpitalu. Co to za miejsce? Jakiś poligon dla staruchów?

Wyjaśniłem mu, że w niektórych rejonach Florydy, gdzie odsetek obywateli w podeszłym wieku jest szczególnie wysoki, nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż zatrzymywanie samochodu przed czerwonym światłem albo przechodzenie przez ulicę na świetle zielonym.

Elroy śmiał się do rozpuku.

– Opowiedz, co ci się przytrafiło – rzekłem, czując, że moja cierpliwość bliska jest wyczerpania.

Kilka dni temu, oznajmił, jechał sobie drogą numer 41 swoim starym oldsem cutlass, kiedy zatrzymali go dwaj gliniarze. Przeszukali wóz i w bagażniku znaleźli kokainę. Nie crack, tylko zwykły proszek.

– Czy jechałeś z nadmierną prędkością?

Twierdził, że nie.

– Czy poprosili cię o zgodę na przeszukanie wozu?

– Nie, ni cholery.

– Ile było tej kokainy?

– Dwadzieścia osiem plastikowych torebek; w każdej gram proszku. A więc razem dwadzieścia osiem gramów.

– Masz szczęście. Jeszcze gram i byłbyś oskarżony o handel narkotykami, a to jest zbrodnia pierwszego stopnia. Wyznaczono by kaucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, a zważywszy twoją wcześniejszą karalność, mógłbyś zostać uznany za recydywistę. I byłbyś ugotowany, Elroy. Zresztą posiadanie w celu rozprowadzania to też nie byle co.

Z milczenia, jakim mój klient przyjął te rewelacje, wywnioskowałem, że był weteranem w narkotykowym fachu i wiedział wszystko, o czym mu powiedziałem, a pewnie i dużo więcej. Raczej nieprzypadkowo miał przy sobie dokładnie o gram narkotyku mniej, niż trzeba do oskarżenia o handel.

Zaczynałem żałować, że odpowiedziałem na jego wezwanie. Należał do tego typu ludzi, których jako prokurator oskarżałem z pewną przyjemnością.

– Posłuchaj, Elroy. Chcę wiedzieć, co działo się z twoim samochodem przez ostatnie trzy doby przed aresztowaniem. Czy były takie chwile, kiedy pozostawał bez nadzoru. Muszę też wiedzieć, czy twoją wersję potwierdzi jakiś świadek. Wiarygodny świadek, w rodzaju księdza albo nauczycielki. Moje honorarium wynosi siedem tysięcy pięćset dolarów, a polityka mojej firmy w sprawach pieniężnych jest prosta: całość płatna z góry. Tak żebyśmy potem nie musieli zawracać sobie głowy drobiazgami.

Lee zrobił zmartwioną minę.

– Panie Jaffe, nie mam takich pieniędzy.

Czułem zapach jego potu i potu setki mężczyzn, którzy przed nim siedzieli na tym samym krześle. Elroy wygrzebał z kieszeni więziennej kurtki inhalator i zaaplikował sobie dwa hausty leku przeciw astmie. Nie miałem wątpliwości, że chodziło mu o wzbudzenie współczucia dla swojej osoby. Przestępca nigdy nie rozumie, dlaczego jego adwokat mu nie ufa.

Elroy zmarszczył brwi i utkwiał we mnie spojrzenie swoich bladych oczu.

– Dłużej tu nie wytrzymam. Mówiłem panu, że mam chory pęcherz. Zrobiło mi się coś w rodzaju cysty, która uciska tętnicę prowadzącą do jajek i bez przerwy boli. Bardzo boli. To efekt tych wszystkich kopniaków, które zebrałem od gliniarzy, a także trynia, opryszczyki i innej cholery.

Niewykluczone, że w tym momencie nieco się od niego odsunąłem.

– Myśli pan, że to zaraźliwe, mecenasie? Że jak chuchnę na pana, to może pan dostać opryszczki?

– Znam lepsze sposoby łapania opryszczki niż przez twój chuch – mruknąłem. Ale nie przysunąłem się. Nigdy nie wiadomo, o jakim strasliwym odkryciu przeczyta człowiek w rubryce medycznej kolejnego *Time'a* czy *Newsweeka*.

– Co ze mną będzie, panie Jaffe? Pójdę siedzieć?

Czy on myślał, że jestem Nostradamusem? System egzekwowania prawa jest tak dziurawy, że każdy potrafi się przezeń prześliznąć. Dobry adwokat może zdziałać bardzo wiele, a w prostych sprawach kryminalnych, kiedy już zdecydowałem się pójść na ugodę z biurem prokuratora stanowego, korzystałem z „rabatu” należnego byłemu oskarżycielowi.

– Mógłbym wytargować piąta – powiedziałem. – Zważywszy na przepelnienie w więzieniu stanowym, byłbyś z powrotem na ulicy za miesiąc, dwaście miesięcy. Taka jest, przyjacielu, cena posiadania dwudziestu ośmiu gramów białej pani.

– A co, jeśli stanę na głowie, zdobędę forszę na honorarium, a pański plan nie wypali?

– Wrócisz do studiowania książki telefonicznej, Elroy.

Wstałem i podszedłem do zakratowanego okna. Żadne prawo ani norma etyczna nie każe adwokatowi lubić swoich klientów. Moim obowiązkiem było mówić im prawdę i zrobić wszystko co w mojej mocy, aby zminimalizować dolegliwość kary.

– Nie moglibyśmy jakoś się dogadać? Jak kiedyś? – posłyszałem za sobą głos Elroya.

Tym razem ja musiałem zmarszczyć brwi. Jak kiedyś?

– Jak wtedy w Jacksonville – z chytrą miną podsunął Elroy.

Prawie widziałem, jak na moich stygnących homarach krzepnie masło.

– Nie bardzo rozumiem.

– Mówiłem panu, że byłem już karany... trzy czy cztery razy. Dwukrotnie pod moim prawdziwym nazwiskiem, to znaczy Jerry Lee Elroy, nie Elroy Lee. Teraz przypomina mnie pan sobie?

– Nie – odparłem, ale już z mniejszą pewnością. Faktycznie, znałem

tego faceta. Nie mogłem go tylko umiejscowić we właściwym kontekście.

– Jacksonville.

– No dobrze – przyznałem – nazwisko wydaje mi się znajome. Spróbuj odświeżyć moją pamięć.

– Hrabstwo Duval; dziesięć lat temu. Był pan wtedy po przeciwnej stronie prawa, mecenasie.

– Niezupełnie – odrzekłem. Istotnie, byłem pierwszym zastępcą prokuratora stanowego w Jacksonville i hrabstwie Duval, ale przecież prawnik, nieważne, po której znalazł się stronie, jest zawsze funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości, związanym normami etyki zawodowej. Za swoje działanie odpowiada przed własnym sumieniem, jakiegokolwiek by ono było. Pod tym względem nie miałem sobie nic do zarzucenia. Nigdy nie zrobiłem niczego, za co musiałbym się wstydzić. Przynajmniej jako prawnik.

Coś nagle zaczęło mi świtać w głowie. Przypomniałem sobie, skąd znam twarz Elroya z tą jego szparą między zębami. To było dwanaście, nie dziesięć lat temu.

– Sprawa Morgana?

– Tak jest! – Wyglądał na uszczęśliwionego.

– Byłeś świadkiem. O to chodzi?

– Oskarżenia. Pańskim świadkiem. Zakapowałem tego Morgana. – Wyszczerył zęby w niepewnym półuśmiechu. – Załapał pan? Pamięta pan naszą umowę? Więc jak? Pasuje?

Nadal nie miałem zielonego pojęcia, do czego pije.

– Co ma pasować?

– Taki układ jak wtedy.

– Posłuchaj mnie, Elroy – powiedziałem. – Nie umiem czytać w myślach. Co to był za układ?

Westchnął i podniósł wzrok ku sufitowi, jak ktoś mający do czynienia z nierozgarniętym dzieckiem.

– Pomyślałem sobie... pomogę tutejszemu szeryfowi, tak jak pomogłem w Jacksonville. Mogliby wtedy darować sobie oskarżenie o posiadanie kokainy. W ten sposób moja sprawa nie zajmie panu tyle czasu i może spuści pan trochę cenę.

Wróciłem do stołu i ponownie zająłem miejsce na krześle.

– O czym ty, do cholery, mówisz, Elroy? – rzekłem, akcentując słowa uderzeniami pióra o notes. – Co takiego zrobiłeś w Jacksonville w 1979 roku, o czym, twoim zdaniem, powinienem pamiętać? Opowiedz mi wszystko po kolei i bez pośpiechu.

Elroy skupił się; zastanawiał się przez chwilę.

– Pewien czarnuch zabił bogatego Żyda. To pan chyba pamięta?

Oto przybył kolejny powód, by żałować, iż siedzę tutaj, zamiast u boku żony opychać się homarami. Zacisnąłem pod stołem pięści. Tak żeby Elroy nie mógł tego zauważyć.

– Pamiętam doskonale – powiedziałem chłodno. – Czarny mężczyzna, niejaki Darryl Morgan zastrzelił białego nazwiskiem Zide; Solomon Zide.

– Na plaży, zgadza się?

– Tak. Na terenie posiadłości Zide'a. Po hucznym przyjęciu.

– No właśnie. Tak się złożyło, że siedziałem w tej samej celi co czarnuch, który załatwił Zide'a. Kawał chłopca, ale kompletny jełop. Któregoś dnia jeden gliniarz zaprowadził mnie na dach więzienia hrabstwa. Pytał, czy ten czarnuch rozmawia ze mną. „Gdzie tam”, mówię. Gliniarz na to: „A co z telefonem? Słyszałeś, żeby do kogoś dzwonił?” „Jasne. Czemu nie?”. Wtedy powiada: „Ano, nie ma wątpliwości, że on to zrobił. Sam mi o tym powiedział. A jeśli tak, mógł powiedzieć także komuś innemu, na przykład przez telefon. Mam rację?” „Co ja bym z tego miał?”, pytam. Gliniarz mówi, że może mi pomóc w mojej sprawie. Załatwić zwolnienie warunkowe. Cholera, myślę, jeśli ten czarnuch się przyznał, to i tak jest już ugotowany, nie? Więc zasuwam: „W porządku, teraz sobie przypominam. Słyszałem, jak mówił, że to zrobił”.

Pamiętam spór, jaki przed dwunastu laty rozgorzał wokół oświadczenia Elroya. Sprawę prowadził wtedy sędzia Eglin. Jak we wszystkich procesach kryminalnych na Florydzie, w czasie postępowania przedprocesowego obowiązywała pełna jawność intencji stron i Gary Oliver, obrońca Darryla Morgana, robił co mógł, aby nie dopuścić zeznań Jerry'ego Elroya. Twierdził, że nawet jeśli Darryl Morgan naprawdę powiedział to, co zamierza ujawnić mój świadek, treść prywatnej rozmowy telefonicznej, nie przegna-

czonej dla uszu osób postronnych, winna zostać uznana za poufną.

– Nieprawda – dowodziłem. – Jak tu mówić o prywatności, skoro telefon znajduje się w celi? Dzwoniący musi zdawać sobie sprawę z obecności trzech osób za plecami. To się nie trzyma kupy, Wysoki Sądzie.

Sędzia skinął głową na znak, że mogę kontynuować przesłuchanie świadka.

– Co więc powiedział Morgan, panie Elroy?

– Powiedział: „Siedzę po uszy w gównie, bo próbowałem zrobić jeden dom i zastrzeliłem pewnego Żyda... potem przyleciała jego żona i musieliśmy się zająć jeszcze i tą dziwką”.

Sędzia Eglin zdecydował, że świadek może zostać przedstawiony ławie przysięgłych.

I oto teraz, dwanaście lat później, dowiedziałem się, że ten wsiowy łachudra, ta gnida, mój świadek w sprawie o morderstwo karane śmiercią – w mojej ostatniej sprawie przed otwarciem prywatnej praktyki i przeprowadzką do Sarasota, na słoneczne wybrzeże Zatoki Meksykańskiej – dopuścił się krzywoprzysięstwa za namową funkcjonariusza policji. Zełgał na początek mnie, następnie sędziemu i, na koniec, ławie przysięgłych. Złożył kłamliwe zeznanie dotyczące człowieka zagrożonego karą śmierci. Nie wiedziałem o tym, ale to nie zmieniało faktów. I nie osłabiało wstrętu, jaki do siebie czułem, ani świadomości winy.

– O co byłeś oskarżony w Jacksonville, Elroy?

– O czynną napaść. Stłukłem jedną babę; nic poważnego.

Mógłbym go udusić.

– Pamiętasz nazwisko gliniarza, który namówił cię do przypomnienia sobie czegoś, czego wcale nie słyszałeś?

– Hola! Wolnego! Może właśnie słyszałem?

– Nie, gnoju! Nie słyszałeś ani jednego pieprzonego słowa! – Walnąłem pięścią w metalowy blat stołu. Nie mniej niż Elroy zaskoczony byłem gwałtownością swojej reakcji.

– Spokojnie, mecenasie...

– Nie próbuj grać ze mną w gumki – warknąłem. – Chyba że najbliższe dwanaście lat chcesz spędzić w Raiford. Jak wyglądał ten gliniarz?

Elroy, nieco pobladły, zastanawiał się przez dobrą minutę.

– Grubawy. Nosił wąsy. Kawał sukinsyna.

Próbowałem przypomnieć sobie, który z sierżantów Wydziału Zabójstw policji Jacksonville pasował do tego opisu. Niestety było ich wielu.

– Lew Harmon? – próbowałem zgadywać. – Marty Girard?

– Chyba któryś z tych dwóch. To było dawno temu. Co ze mną, panie Jaffe? Ma pan dobre układy z miejscowym szeryfem? Może pan załatwić tę sprawę?

Ściszyłem głos, jakbym obawiał się, że ktoś może mnie usłyszeć.

– Jesteś pewien, że zdobędziesz pieniądze na kaucję?

– Jutro po południu przyjedzie z Miami mój kumpel. Będzie miał pieniądze. Ale nie znam żadnego zawodowego poręczyciela w Sarasota.

Zdecydowałem się. Coś trzeba było zrobić i dlatego, bez względu na koszty, musiałem zachować kontrolę nad tym człowiekiem.

– Znajdę ci poręczyciela – powiedziałem. – Przyjdziemy tu jutro o trzeciej po południu. Wyciągnę cię stąd.

Elroy był chyba zaskoczony.

– Weźmie pan moją sprawę?

– Tak. Wezmę twoją sprawę.

– A co z honorarium? – zapytał chytrze.

– Zobaczymy. Nie martw się o to. Muszę się trochę zastanowić.

Kiedy wychodziłem z więzienia, słońce niczym krwawa, niekształtna bryła drżało na linii horyzontu. Zerwał się chłodny wiatr, marszcząc powierzchnię zatoki. Przyspieszyłem kroku, prawie biegnąc w kierunku samochodu, ale przed tym wiatrem nie było ucieczki. I gdy mnie dopadł, odniosłem dziwne wrażenie, że nadleciał z przeszłości.

2

Na początku grudnia ponad dwanaście lat temu Solomon Zide i jego żona zorganizowali koncert Dętej Orkiestry Symfonicznej Stanu Floryda, z którego dochód przeznaczony był na cele dobroczynne. Odbył się on w posiadłości Zide'ów w Jacksonville Beach, wieczorem tego dnia, który upamiętnił się jako dzień śmierci Solly'ego Zide'a. Ze względu na rangę imprezy – jej współorganizatorem było Towarzystwo Zdrowia Psychicznego w Jacksonville – obowiązywały stroje wieczorowe. Serwowano przekąski w cenie dwustu pięćdziesięciu dolarów za talerz.

Jedno z drukowanych zaproszeń na koncert dotarło wraz z codzienną pocztą do mojego gabinetu na piątym piętrze budynku administracji hrabstwa Duval. Kopertę zaadresowano niebieskim atramentem, wyrobionym, kobiecym charakterem pisma: Pan Edward M. Jaffe, Pierwszy Zastępca Prokuratora Stanowego; Okręg Czwarty, Floryda.

Byłem urzędnikiem państwowym, prokuratorem, nie adwokatem, który może sobie pozwolić na kolację za dwieście pięćdziesiąt dolarów. Nie miałem wtedy obrazów Fridy Kahlo, a porządną kawę z ekspresu piłem ostatni – i jedyny – raz podczas wakacji spędzonych na włączędze auto-stopem po Włoszech. Było to latem, jeszcze przed podjęciem studiów prawniczych na Uniwersytecie Stanu Floryda.

Na zaproszeniu był jednak dopisek wykonany ręką Connie Zide; dopisek następującej treści: „Proszę przyjść z panią Jaffe. Będzie pan naszym honorowym gościem”.

Wieczorem w domu pokazałem to mojej żonie. Powiedziałem, że

dzwoniłem do sekretarki Connie Zide i przyjąłem zaproszenie.

– Dlaczego? – spytała. – Powinieneś najpierw zadzwonić do mnie. Skąd wiedziałeś, że będę chciała tam iść?

Rozmawialiśmy w kuchni, gdzie otwierałem właśnie butelkę krajowego burgunda. Toba – szczupła, czarnowłosa, o wdzięcznie wygiętej długiej szyi, jak dziewczyna z obrazu Modiglianiego, stała przy kuchennym stole siekając cebulę do cielejącej wątróbki. Miała na sobie batikową sukienkę plażową, która wyglądała jakby obrzucono ją sadzonymi jajkami i ochlapano brązową farbą. Z salonu dobiegały głosy Cathy i Alana, kłócących się o to, czy telewizor ma grać głośno czy cicho. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak kobiety znoszą bezustanny jazgot swoich pociech.

– Od kiedy to jesteś wrogiem przyjęć? – zapytałem.

Toba podniosła na mnie spojrzenie załzawionych od cebuli oczu.

– Ted, interesujesz się Connie Zide?

To się nazywa wewnętrzny radar. Kobiety się z tym rodzą. Przywołałem na twarz uśmiech zdziwienia i łagodnej urazy.

– Connie jest atrakcyjną kobietą – odrzekłem nad wyraz ostrożnie. – Ale nie, nie interesuję się nią. Nie w taki sposób, o jakim myślisz. Podziwiam ją. Nielatwo żyć pod jednym dachem z Sollym Zide'em.

Miałem wówczas trzydzieści sześć lat. Connie Zide – czterdzieści siedem. Poznaliśmy się w sądzie, przy okazji procesu Kubańczyka, który próbował okraść ją na ulicy. Później oboje zasiadaliśmy w zarządach dwóch żydowskich instytucji dobroczynnych działających na obszarze północnej Florydy. Nie kłamałem mojej żonie; Connie była dla mnie równie pociągająca jak skorpion, który ukąsił mnie pewnej ciemnej, parnej nocy, kiedy nieostrożnie wszedłem do łazienki.

Nie byłem jednak całkiem szczery. Connie i mnie łączył do niedawna romans, dzięki któremu dowiedziałem się o sobie rzeczy, które nawet teraz, kiedy dobiegam pięćdziesiątki, trudno mi przyjąć do wiadomości. Jesteśmy, jacy jesteśmy, mawiali starożytni i brzmi to, przyznając, sensownie. Nie wiem jednak, czy wolno uznać to za prawdę.

Moja młoda żona – Toba była o pięć lat młodsza ode mnie – wydawała się przekonana tymi wykrętnymi zapewnieniami.

- Ted, przecież nie znosisz hałaśliwych przyjęć.
- W zasadzie nie. Ale tym razem będzie okazja wysłuchać koncertu Mozarta na róg. Tego nie mogę sobie odmówić.
- Kiedy ostatni raz byliśmy na koncercie? Latem? Zasnąłeś w połowie symfonii Wagnera.

Faktycznie. Dałem wtedy plamę. Chrapałem i o mało nie spadłem z krzesła.

– Cały tydzień spędziłem wówczas w sądzie. Byłem zmęczony, a zresztą Wagner nie jest moim faworytem. Poza tym dzisiaj chodzi także o biznes.

Uniosła brwi.

– Biznes? Jaki znów biznes?

W tym momencie poczuła się wreszcie zmuszona wrzasnąć na dzieci, żeby przestały się kłócić i ściszyły telewizor.

– Chodź ze mną na to przyjęcie – powiedziałem – a zobaczysz. Mam dla ciebie niespodziankę.

Owego fatalnego wieczoru wybrałem się z żoną na przechadzkę po posiadłości Zide'ów. Nasi gospodarze mieszkali w różowym pałacu o powierzchni tysiąca pięciuset metrów kwadratowych, zwróconym frontem ku Atlantykwowi. Dominującym elementem wysokiego na dwa piętra wejściowego holu były kręte schody z ferraryjskiego marmuru. Wokół ich podestu znajdowały się wejścia do pomieszczeń recepcyjnych – salonów i jadalni – zastawionych meblami w stylu Ludwika XIV. Na ścianach obitych czerwonym chińskim jedwabiem wisiały obrazy: dwa błękitne Chagalle, olej Dufy'ego przedstawiający paddock w Longchamps, seria szkiców Picassa poświęconych corridzie i kilka okropnych malunków ze scenami z dworu francuskiego, wykonanych ręką Forcelli. Łazienki wykończone były fioletowym onyksem i, oczywiście, wyposażone w armaturę z litego złota. Skrzeczenie papug dobiegające z poutykanych po kątach klatek napełniało dom muzyką tropikalnej dżungli.

Cała ta niesamowita budowla wznosiła się pośrodku trawnika wielkości mniej więcej boiska na stadionie Gator Bowl, gdzie co roku w listopadzie

oglądaliśmy z Tobą zmagania drużyny naszej Alma Mater, Aligatorów z Uniwersytetu Stanu Floryda, z Buldogami z Uniwersytetu Stanu Georgia. Zide'owie mieli tu także dwa ziemne korty i dwa baseny – jeden odkryty, drugi pod dachem, w sypialnym skrzydle domu. Garaż na sześć samochodów mieścił ferrari mondial, perłowego mercedesa 500SL kabriolet, stutza blackhawk i czekoladowego cadillaca z przedłużonym tylnym przedziałem. Pod płotem na rozległych kwietnikach ocienionych krzewami mirtu i palmami rosła niezliczona ilość kwiatów. Dalej rozciągała się dżungla otaczająca całą posiadłość.

– Byłeś tu kiedyś? – zapytała Toba.

– Nie – skłamałem. Zbliżaliśmy się właśnie do stołów z przekąskami. –
Może coś wtrząchniemy?

Obok zwykłych w takich razach zimnych mięs i miejscowych skorupiaków w bufecie znalazły się smakołyki przysłane drogą lotniczą z restauracji „Zabar's” w Nowym Jorku. Do picia – szampan Moët et Chandon. Z oddali dobiegał szum oceanu; powietrze przesycone było zapachem mimozy. Liście palm chrzęściły w ciemności.

Czarne włosy Toby lśniły w świetle reflektorów umieszczonych wokół basenu. Szczęściarz ze mnie, pomyślałem. Życie jest piękne. A jak dobrze pójdzie, wkrótce stanie się jeszcze piękniejsze.

Otoczona wianuszkami mężczyźni podeszła Connie Zide, aby podziękować Tobie i mnie za przybycie. W towarzystwie przyciągająca siłą Connie zdawała się potęgować, obejmując swoim działaniem wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu. Wręcz słyszało się wydawany przez nią wibrujący dźwięk, niby atomowego reaktora. Tam gdzie była ona, znajdowało się centrum przyjęcia. Kiedy przeprosiła i na chwilę odeszła do łazienki, ludzie odetchnęli z ulgą, rozluźnili się. Inne kobiety zrobiły się jakby powabniejsze; śmiech mężczyźni zabrzmiał bardziej naturalnie. Tego wieczora Connie miała na sobie naszyjnik z pereł i szmaragdów, a na dłoni pierścionek z diamentami i perłą tak olbrzymią, że wyglądała jak mała, opalizująca kulka lodów. Wiedziałem, że ta biżuteria jest fałszywa.

Nie dawniej niż dwa miesiące temu ta kobieta miała nade mną całkowitą władzę. Na skraju tego właśnie trawnika, skryci w mroku pewnej wrze-

śniowej nocy, kopulowaliśmy niczym parzące się psy, dopóki nie zsunąłem się z niej z podrapanymi kolanami i bolącym krzyżem, przerażony, że postradałem zmysły. Byłem jej więźniem. Teraz jednak zostałem uwolniony. Przynajmniej warunkowo.

Poczułem na ramieniu uścisk dłoni Toby.

– Dobrze się bawisz?

– Tylko dlatego, że jestem z tobą. – I naprawdę tak myślałem.

W całym swoim życiu nie spotkałem nikogo, przy kim byłoby mi tak dobrze jak przy Tobie.

– A więc co to za sekret, Ted? Dlaczego tu jesteśmy?

Uśmiechnąłem się, jakbym zamierzał opowiedzieć swoim dzieciakom wyjątkowo pasjonującą bajkę na dobranoc.

– Pewien kumpel Solly'ego Zide'a z Sarasota zaproponował mi pracę w swojej firmie prawniczej. Szukają współnika, do pracy w charakterze pełnomocnika procesowego. Jak by się kto uparł, mógłby powiedzieć, że przyjmując zaproszenie na ten jubel włożę w tyłek Solly'emu. Czy to początek końca mojej niezależności?

– Powiedziałeś: Sarasota? Chcę to usłyszeć jeszcze raz!

Dla nas Sarasota – miasto w środkowej części zachodniego wybrzeża Florydy, nad Zatoką Meksykańską – była miejscem, dokąd ludzie przeprowadzają się, aby wieść życie dostatnie i pozbawione trosk. Bez strachu przed zbrodnią i zanieczyszczeniem środowiska, bez kłopotów i zbytniego pośpiechu. I zwykle bez pracy. Oboje pochodziliśmy z północnej Florydy. Toba urodziła się w Dytona Beach; poznaliśmy się w Gainesville, kiedy byłem na drugim roku szkoły prawniczej. Nie byliśmy potomkami żadnej z tych starych sefardyjskich rodzin, które w początkach dziewiętnastego wieku wędrowały z Karolin na południe. Ale też nie chowaliśmy się w otoczeniu arywistów w czerwonych golfowych portkach czy tlenionych blondynek w błazeńskich przeciwsłonecznych okularach o wymyślnych oprawkach. Nasi przodkowie byli ludźmi interesu. Żyli statecznie, pracowali, zakładali rodziny.

Objąłem Tobę w pasie i powiedziałem:

– Myślałaś, że zawsze będziesz żoną prokuratora? Że nigdy nie polecisz

Concorde? – Ponieważ wyraz zaskoczenia nadal nie opuszczał jej twarzy, dodałem tonem wyjaśnienia: – Chodzi o to, co przydarzyło mi się na plaży w ostatnią niedzielę.

Jak co rano wyszedłem pobiegać – opowiadałem – ubrany w koszulkę z drukowanym złotymi literami napisem: Towarzystwo Sportowe przy Prokuraturze Stanowej – Hrabstwo Duval. Dziewiątka prokuratury, w której występowałem na pozycji łącznika, uczestniczyła w rozgrywkach Merchants Softball League. „Dobry w obronie, ale żaden napastnik” – taką opinią cieszyłem się jako zawodnik. Ale w ostatnim dorocznym meczu z drużyną adwokatury zdobyłem punkt w ataku i *Times-Union* zamieścił moje zdjęcie z podpisem „Ted Jaffe tym razem górą”. Nie byłem typem sportowca, ale w tym momencie poczułem się pasowany na atleteę. Żadna pochwała nie mogła być mi słodsza. Oprawiłem zdjęcie i powiesiłem na ścianie obok swojego dyplomu prawniczego.

Otóż tej niedzieli biegając na plaży natknąłem się na dwójkę chudych murzyńskich wyrostków. Jeden z nich obrzucił niechętnym wzrokiem znak na mojej spoconej piersi i mruknął:

– Złamas!

Pobiegłem dalej.

O co mu chodziło? Czy oskarżałem jego brata? Ojca? Może jego samego? Przelotnie widziane twarze zamazywały się w pamięci, nakładały na siebie; zwłaszcza twarze ludzi innej rasy. Zdawałem sobie sprawę, że czarny szesnastolatek mógł nienawidzić białego zastępcę prokuratora stanowego równie silnie jak białego gliniarza. Obaj zasługiwali na nienawiść, ponieważ obaj posiadali władzę, prawo stosowania przemocy, z którego prędzej czy później zrobią użytek.

Toba wysłuchała mojej opowieści i pokiwała głową ze zrozumieniem.

– To jeszcze nie powód, żeby się poddawać, Ted. Twoja praca polega na oczyszczaniu społeczeństwa z szumowin. Nie masz sobie nic do zarzucenia.

O siatkę przykrywającą basen tłukły nocne owady. W powietrzu unosił się zapach jaśminu; mijali nas roześmiani, rozgadani goście. Dopilem drugi kieliszek szampana.

– Chyba jestem trochę zmęczony wsadzaniem ludzi do więzienia – powiedziałem. – Nawet szumowin.

– A co, chcesz ich zostawić na wolności?

Kiedyś chciałem, owszem. Podczas studiów na Uniwersytecie Stanu Floryda pasjonowałem się historią. Organizowałem marsze protestacyjne w obronie praw obywatelskich. Pewnej nocy, będąc na ostatnim roku prawa, pomagałem wydawcom *Law Review* uporać się z skrzynką zimnego piwa Chihuahua. Kenny Buckram, mój przyjaciel z Jacksonville, rzucił wtedy pytanie:

– Co jest twoją najgłębszą ambicją?

Jakież to były wspaniałe czasy! Człowiek miał prostą odpowiedź na każde pytanie.

– Wygrać sprawę przed Sądem Najwyższym – odrzekłem. – I ocalić życie niewinnego człowieka. Najlepiej jedno i drugie razem.

Większość moich ówczesnych przyjaciół skończyła jako cywiliści; tylko ta specjalność gwarantowała godziwe zarobki. Kilku, jak Kenny, podjęło pracę w biurze pomocy prawnej. On jednak miał wsparcie w postaci hojnej babki. Ja sam, dla zdobycia praktyki sądowej, wziąłem udział w programie instruktażowym zorganizowanym przez prokuraturę stanową. Oskarżałem w czterech sprawach o drobne wykroczenia przed sześciuosobową ławą przysięgłych w Gainesville i czterokrotnie wygrałem. Uwielbiałem wygrywać. Sukces działał na mnie niczym potężny afrodyzjak.

Wkrótce potem Beldon Ruth, pierwszy zastępca prokuratora stanowego w czwartym okręgu zaprosił mnie do siebie, do Jacksonville, na lunch. Beldon dobiegał wtedy czterdziestki. Elegancki, w granatowym blezerze, krawacie w żółte kropki i butach ze słoniowej skóry, „nie był gruby” – jak mi wyjaśnił, kiedy poznaliśmy się lepiej – ale „nieco za niski jak na swoją wagę”. Murzyn dysponujący władzą – dość niezwykle w końcu lat siedemdziesiątych; i chyba nawet rzadsze niż w poprzedniej dekadzie. Służył w policji hrabstwa Dade; dochrapał się stopnia sierżanta, ukończył zaoczne studia prawnicze. Pewien biały „chłopak z Południa”, którego oskarżał w procesie o zabójstwo pierwszego stopnia, miał się podobno wyrazić:

– Ten czarnuch umiałby człowiekowi wyciągnąć portfel samą swoją

gadką.

Beldon Ruth i ja spotkaliśmy się przy naleśnikach z małżami i smażonym zębaczem w „The Jury Room”, prywatnym klubie mieszczącym się naprzeciwko ratusza w Jacksonville. Powiedziałem mu, że zawsze widziałem siebie w roli obrońcy.

– Chcesz pomagać winnym przestępstwa?

– Nie wiem dlaczego – odparłem ironicznie – ale zawsze zdawało mi się, że prawo amerykańskie każe uważać ich za niewinnych, dopóki przestępstwo nie zostanie udowodnione.

– A uważaj ich sobie, za co tylko chcesz – odparł polewając rybę gorącym sosem *jalapeño* – ale możesz założyć się o swój tyłek, że jeśli faceta stawiamy w stan oskarżenia, jest winny. W moim okręgu prokurator nie przystępuje do procesu, jeśli nie dysponuje faktami na poparcie swojego oskarżenia. Co innego adwokat. Dla niego to po prostu interes. Żeby jeść, musi nianczyć bydłaków, którzy gwałcą nasze siostry i sprzedają truciznę dwunastoletnim dzieciom. Celem prokuratora jest umieszczenie tych ludzi tam, gdzie nie będą mogli szkodzić. I on to robi.

Obaj pochodziliśmy z Południa, mówiliśmy tym samym językiem. Ruth nie był jakimś profesorkiem, akademickim prawoznawcą, ale bojownikiem o sprawiedliwość. I nagle poczułem, że chciałem znaleźć się u jego boku, na pierwszej linii ognia. Ucisnąłem mu dłoń i przyjąłem pracę, którą mi zaproponował. Zdałem egzamin adwokacki, ożeniłem się z Tobą i przeprowadziliśmy się do Jacksonville, do mieszkania na Neptune Beach, czterdzieści minut jazdy od siedziby władz hrabstwa.

Pięć lat później Beldon otrzymał wezwanie do Tallahassee. Ówczesny gubernator, gorączkowo zabiegający o głosy czarnych wyborców, zaproponował mu stanowisko prokuratora stanowego dla hrabstwa Duval i okręgu czwartego, czyli Jacksonville. Dotychczasowy prokurator został wybrany do senatu stanowego.

Plotka głosiła, że na propozycję gubernatora Beldon odrzekł:

– Myśli pan, panie gubernatorze, że z takiej dwukolorowej świni będzie więcej boczku?

Uważał mnie za najbystrzejszego ze swoich młodych oskarżycieli i po-

wierzył mi własne dotychczasowe stanowisko pierwszego zastępcy. Tak wyglądał mój zawodowy status owego wieczora, gdy przechadzałem się z żoną po oblanych księżycowym blaskiem trawnikach posiadłości Zide'ów, opowiadając o ofercie pracy w Sarasota.

– Chodzi o firmę – mówiłem – która reprezentuje własnościową spółdzielnię mieszkaniową Solly'ego Zide'a, posiadającą szereg luksusowych domów mieszkalnych nad zatoką. Ich poprzedni radca prawny otrzymał stanowisko sędziego. Potrzebują doświadczonego adwokata. Kogoś naprawdę dobrego.

O swoich zawodowych umiejętnościach mówiłem bez fałszywej skromności. Jako oskarżyciel osiągnąłem wskaźnik skazań dziewięćdziesiąt osiem procent. Dzięki tym sukcesom zostałem Prokuratorem Roku 1970, a potem przez dwa lata byłem przewodniczącym stanowego stowarzyszenia prawników.

– Sarasota to cudowne miejsce – powiedziała Toba. – Ale zważ, drogi chłopcze, że życie tam nie jest tanie.

– Proponują mi osiemdziesiąt pięć tysięcy rocznie plus piętnaście procent zysku.

Toba zrobiła oczy – jak ja, kiedy zapoznawałem się z ofertą spółki z Sarasota. Było to dwa razy więcej niż moje aktualne zarobki. Ale moja żona była kobietą rozważną.

– Zastanawiałeś się, czy to będzie dobre dla dzieci?

Alan miał osiem lat. Był nieco ospały, roztargniony, w szkole nie wypadł nadzwyczajnie. Dziesięcioletnia Cathy była w swojej klasie prymuską. Chwilami zdawało się, że w bibliotekach publicznych i księgarniach Jacksonville nie wystarczy książek, by zaspokoić jej pasję czytania.

Toba sięgnęła po kolejny kieliszek szampana. Sama odpowiedziała na swoje pytanie.

– Chyba tak. Nie da się ukryć, że w całym Jacksonville nie ma ani jednej przyzwoitej, bezpiecznej szkoły średniej. Nawet w Jacksonville Beach. Wiesz, o co mi chodzi.

– Za czarno. Oto, o co ci chodzi.

– Nie cierpię mówić takich rzeczy. Ani nawet myśleć w ten sposób. Ale

masz rację, o to mi właśnie chodzi. Czarni oznaczają więcej przemocy, więcej narkotyków.

– W Sarasota będzie zdecydowanie bielej i bezpieczniej.

Słyszeliśmy, jak muzycy zgromadzeni pod wielkim pasiastym namiotem rozgrzewają się przed występem: dobiegł nas dźwięk waltorni, a następnie głęboki jęk oboju, niczym zawodzenie ranionej mitycznej bestii.

– Ted, a co ty chciałbyś robić?

Nie wyzbyłem się całego młodzieńczego idealizmu. Nadal odczuwałem potrzebę zaangażowania, chciałem być dumny ze swojej pracy. Ale przede wszystkim miałem już dość krajowych win. Chciałem kupić sobie chociaż niewielką łódź, a żonie samochód, który nie psuje się cztery razy do roku. I chciałem, żeby stać mnie było na posłanie dzieci do przyzwoitego college'u, na wycieczkę do Rosji i na safari we wschodniej Afryce, o czym rozmawialiśmy z Tobą od lat.

Jakkolwiek przyziemne wydawałyby się moje marzenia, zmęczyło mnie życie pełne drobnych wyrzeczeń. Tęskniłem do wygody; może zresztą chodziło mi o coś więcej niż wygodę.

Kiedy wyznałem to wszystko Tobie – uśmiechnęła się. Jej ciemne oczy błyszczały od wypitego wina i chyba także podniecenia perspektywą lżejszego życia.

– Tak o tym opowiadasz, jakbyś się wstydził. To nie zbrodnia. Wszyscy marzą o tym samym.

– Przyzwyczytałem się uważać siebie za kogoś innego niż wszyscy – odparłem. – Co, jak się wydaje, okazało się złudzeniem.

– Kocham cię, Ted – powiedziała Toba.

Musnąłem palcami jej gęste czarne włosy.

– A więc zastanówmy się nad tą propozycją. Ale musimy się pośpieszyć. Przed Bożym Narodzeniem muszę dać odpowiedź.

Kątem oka widziałem Connie Zide tańczącą na trawie do rytmu orkiestrowego kotła. Myślałem o tym, jak wygląda naga, jak tamtej wrześniowej nocy jej pięty darły murawę, gdy szczytowała pode mną, tu, na tym wymuskany trawniku, tuż obok basenu. Zsunąłem dłoń na biodro mojej żony i mruknąłem:

– Chcę iść z tobą w krzaki.

Toba podniosła na mnie rozogniony wzrok. Zaczerwieniła się odrobinę.

– Co w ciebie wstąpiło?

Gdybyś ty wiedziała! – pomyślałem.

Gdyby wiedziała, gdyby kiedykolwiek się dowiedziała, czy mogłaby z tym żyć? Nie daj Boże, żebym poznał odpowiedź na to pytanie!

– Wszystko przez twoje cycuszki, kochanie – powiedziałem poważnie.

– Uwielbiam patrzeć, jak przesuwają się pod jedwabiem. Baraszkują pod bluzką jak kociaki. Chodźmy.

– Mówisz poważnie?

– Komu może zależeć na naszej obecności? – A ja znałem pewne miejsce, nie dalej niż dwadzieścia metrów od basenu, między palmami, gdzie nikt nas nie zauważy.

Zarumieniła się jeszcze mocniej.

– Gdyby w mieście wiedzieli co z ciebie za ziółko, pewnie pozbawiliby cię prawa wykonywania zawodu. Nawet w Sarasota.

Toba i ja opuściliśmy przyjęcie nieco po dziesiątej.

Co się stało później, dowiedziałem się bez większych trudności. Byłem wyszkolony w zadawaniu pytań i wyławianiu z odpowiedzi znaczących szczegółów. Potrafię węszyć. I mam dobrą pamięć, jeśli jest mi to na rękę.

Według ustaleń Biura Szeryfa Jacksonville, ostatni goście opuścili posiadłość Zide'ów około jedenastej dwadzieścia. O pierwszej zakończyła sprzątanie obsługa przyjęcia. Niedopałki papierosów, głowy krewetek, zużyte serwetki i potłuczone kieliszki od szampana zostały zmiecione, zapakowane w worki i wywiezione ciężarówką na śmietnisko.

W posiadłości zapanowała cisza, którą mącił jedynie odległy szum oceanu. Niebo na horyzoncie przecięła biały zygzak błyskawicy. Przeleciał nocny ptak, a jego ochryply, zawodzący okrzyk zabrzmiał jak sygnał na trwogę.

Kilka dni później, 10 sierpnia 1978 roku, w pokoju numer 208 Baptist Medical Center, Connie Zide złożyła zeznanie utrwalone na taśmie magnetofonowej. Oprócz niej w pokoju obecni byli detektywi Floyd J. Nickerson i

Carmen M. Tanagra z Wydziału Zabójstw policji Jacksonville.

„...położyliśmy się spać, jak tylko odjechała obsługa przyjęcia, bo wieczór był męczący. Nie mogłam jednak zasnąć, a Solomon, mój mąż, jest... był prawdziwym nocnym Markiem. Nieraz pół nocy przesiedział w łóżku, czytając książkę. Tak więc około pierwszej trzydzieści wstałam, żeby zaparzyć mu rumianek. Po chwili zszedł do mnie, do kuchni. Zaczęliśmy grać w trik-traka... to było w żółtym salonie. Później wrócił z przyjęcia Neil, nasz syn, i przyłączył się do nas. Była mniej więcej druga, może nieco później. Zaraz potem usłyszeliśmy jakiś dźwięk od strony patio, jakby trzask spadającej doniczki. Mamy w domu najwyższej klasy elektroniczny system alarmowy. Przy bramie pełni służbę nocną uzbrojony wartownik... Terence nie jest młody, ale kiedyś służył w policji w Orlando. Na plaży, w pobliżu kabin kąpielowych, powinien się także kręcić Paco, nasz doberman. Biedaczek... Nic więc dziwnego, że nikt z nas nie przejął się specjalnie tym hałasem. Nie przyszło nam do głowy, że to mogą być włamywacze. Było późno, czuliśmy się zmęczeni... Mąż powiedział tylko: »Pójdę zobaczyć, co się stało« i wstał od stolika. Poszłam za nim, ot tak, właściwie bez powodu; jeszcze odwracałam się, żeby powiedzieć coś do Neila. A potem usłyszałam strzały. Trzy, cztery, pięć, jeden po drugim, nie wiem ile... nie pamiętam. Wiem, że zgłupiałam. Wybiegłam na zewnątrz. Solomon leżał na tarasie w kałuży krwi. Na trawniku stali dwaj mężczyźni. Jeden z nich miał pistolet... Murzyn, młody, robił wrażenie bardzo przestraszonego. Poznałam w nim jednego z naszych pracowników, ale w tej chwili nie potrafię skojarzyć z jego twarzą żadnego nazwiska. Nie byłam w stanie myśleć. Wtedy ten drugi mężczyzna, który musiał stać bliżej mnie, krzyknął coś, podniósł rękę i uderzył mnie czymś ostrym. Myślę, że to był nóż, ale nie widziałam go. Chyba upadłam... i właściwie nic więcej nie pamiętam. Obudziłam się w szpitalu. Przypuszczam, że doznałam szoku...”

Solomon Zide dostał w pierś dwie kule z rewolweru kaliber 38. Trzecią kulę znaleziono w pniu dębu rosnącego obok tarasu. Connie Zide zadano dwie rany cięte: w ramię i w twarz. Broni nie znaleziono; przypuszczalnie wyłą-

dowała w oceanie albo w pobliskim kanale. W kilka minut po opisanych przez panią Zide wydarzeniach Neil Zide, zdrowy i cały, ale bliski hysterii, zadzwonił na policję, a następnie do człowieka nazwiskiem Gambrel, szefa ochrony Zide Industries. Zanim Gambrel w towarzystwie adwokata rodziny i sanitariusza dotarli do domu, Neil pozbierał się nieco i był w stanie opisać zabójcę ojca. „Młody, czarny, w tenisówkach, džinsach i, jeśli dobrze pamiętam, w czarnej trykotowej koszulce. Było ich dwóch. Nie przyjrzałem się dokładnie temu drugiemu, temu, który zranił moją matkę. Byli wyraźnie zdezorientowani, nie spodziewali się, że ktoś będzie na nogach o tej porze... Ojciec ich zaskoczył; wpadli w panikę. Nie, nie wiem, jak dostali się na teren posiadłości. Uciekli w tym kierunku?”. I wskazał w stronę plaży.

Kiedy na miejscu zbrodni pojawiła się ekipa Wydziału Zabójstw, w posiadłości paliły się wszystkie światła. Silny żółty blask reflektorów skutecznie rozjaśniał mrok. Detektyw Tanagra znalazła martwego dobermana – podano mu truciznę w kawałku mięsa. Na mokrym piasku w pobliżu kabin kąpielowych znalazła także odciski tenisówek.

Doszła do wniosku, że przebiegło tamtędy dwóch mężczyzn. Wskazywały na to głębokość i rozmieszczenie śladów. Jeden z biegnących nosił buty numer czternaście lub piętnaście.

– Trzeba by się pokręcić po okolicy – powiedział Floyd Nickerson. – Gdzie mogła podziać się ta para szczurów? Facetowi z takimi stopami niełatwo będzie się ukryć.

Detektywi odjechali nie oznakowanym plymouthem, zostawiając ekipę techniczną zajętą swoimi sprawami. Prowadziła detektyw Tanagra. Jechała początkowo na południe, drogą AIA, następnie skręciła w Marsh Landing, by bulwarem Roscoe podążyć wzdłuż kanału, stanowiącego odcinek Intra-coastal Waterway*. Tymczasem Nickerson nadał przez radio komunikat dla wszystkich patroli na terenie hrabstwa. Wóz detektywów zatrzymywał się przy napotkanych barach i lodziarniach. Policjanci rozmawiali z barmanami i kelnerkami; czarni, popijający piwo i żytnią whisky, spoglądali na nich ze stoickim spokojem, czasem z obawą. Nickerson był blisko czterdziestoletnim, tęgim mężczyzną. Jego dziobata, ozdobiona wąsem twarz lśniła od potu. Z daleka rozpoznawano w nim policjanta. Carmen Tanagra, szczupła,

o niemal płaskiej piersi choć niebrzydka – często była brana za narkomankę.

* Intracoastal Waterway – śródlądowy szlak żeglugowy, łączący Boston w Massachusetts z Brownsville w Teksasie. Prowadzi wzdłuż wschodniego i południowego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, a tworzy go szereg naturalnych i sztucznych dróg wodnych. Wyjątkiem jest odcinek biegnący wzdłuż zachodniego wybrzeża Florydy odkrytymi wodami Zatoki Meksykańskiej, (przyp. tłum)

Po pewnym czasie detektywi skierowali się na wschód, jadąc Atlantic Boulevard z powrotem w kierunku plaży i bazy lotniczej marynarki. Mijali stacje benzynowe, parkingi zastawione przeznaczonymi na sprzedaż używanymi samochodami, pizzerie, puste, porośnięte zielskiem parcele, supermarkety i sklepy całodobowe sieci Lil'Champ. Wielki plakat na ścianie opuszczonego składu zagrzewał do boju miejscową drużynę: NAPRZÓD, ALIGATORY. Minęła piąta. Powietrze było chłodne, ale wciąż wilgotne.

Nickerson miał nosa do znajdowania ludzi.

– Skręć tutaj... – powiedział, wskazując sklep spożywczy Lil'Champ po przeciwnej stronie ulicy, oznaczony firmowym znakiem w postaci figurki chłopca ze wzniesioną do góry, okrytą bokseorską rękawicą dłonią.

Plymouth zwolnił.

– Chcesz coś kupić? – zapytała Tanagra.

– Fajki.

Oboje palili czerwone marlboro.

– Mam zapasową paczkę – mruknęła policjantka.

Nickerson ponownie wycelował gruby paluch w stronę sklepu.

– Mówię, skręć, Carmen.

Na parkingu przed sklepem stał samotny niebieski ford rocznik 68 pikap – porzewiały, z rozbitym tyłem i wgnieceniem za lewymi drzwiami. Przedni zderzak miał pęknięty. Pluszowa Różowa Pantera zwisiała z wstecznego lusterka. Wyciekający z silnika olej utworzył niewielką kałużę połyskującą w świetle ulicznych latarni.

– Murzyńska bryczka – mruknął Floyd Nickerson.

Ze sklepu wyłonił się dwaj młodzi mężczyźni. Nieśli karton mleka, sześć puszek piwa miller high life i kilka toreb ziemniaczanych chipsów. Jeden z nich był wysoki i szczupły. Nazywał się William Smith. Miał na sobie szarą

bluzę od dresu i nosił wyszukaną fryzurę w stylu „afro”. Drugi młodzieniec, Darryl Morgan, ubrany był w sprane džinsy i czarną koszulkę firmy Nike. Bardzo wysoki, ponad dwa metry wzrostu, mógłby uchodzić za koszykarza z drużyny Uniwersytetu Północnej Florydy, gdyby nie jego niezgrabne ruchy. Żaden sportowiec nie ruszałby się w ten sposób. Nickerson spuścił wzrok na tenisówki Morgana. Stopy jak łódzie.

Zanim detektywi wysiedli z samochodu i zbliżyli się do podejrzanych, William Smith zdążył usadowić się za kierownicą pikapa i zatrzasnąć drzwi. Darryl Morgan nie był taki szybki.

– Policja! Zostać na miejscach! – Nickerson odsłonił złotą odznakę z napisem JACKSONVILLE SHERIFF'S OFFICE. Upewnił się, że jest dobrze widoczna w migającym świetle padającym od sklepu.

– Zobaczmy wasze dokumenty, chłopaki.

Nikt się nie ruszył. O neon na dachu sklepu tłukły się ćmy.

– On już ma dwadzieścia jeden lat – odezwał się Morgan, wskazując siedzącego w wozie kolegę; to Smith niósł piwo. – A ja tylko miałem się z nim przejechać.

– Gdybym chciał posłuchać dupy, tobym pierdnął – odrzekł Nickerson.

Smith przekręcił kluczyk, uruchamiając silnik pikapa. Zagrzecgotały luźne blachy.

Nickerson wyszarpnął rewolwer z kabury u pasa.

– Stać! Nie ruszać się! – wrzasnęła Tanagra, również dobywając broni.
– Słyszysz?! Nie próbuj uciekać!

Morgan cofnął się. Rozpłaszczył się na ścianie budynku, wytrzeszczając okrągłe ze zdumienia oczy.

Nickerson przyklęknął i oddał – jak to później określił w raporcie służbowym – „dwa strzały ostrzegawcze celem zapobieżenia ucieczce podejrzanego”. Pierwsza kula trafiła w kołpak przedniego lewego koła pikapa, wzniecając snop iskier, które trysnęły w mrok niczym stado rozgniewanych świetlików. Druga przebiła cienką blachę drzwi i utkwiała w lewym udzie Williama Smitha. Zaskowyczał z bólu i zsunął się pod kierownicę. Skurcz lewej nogi spowodował zwolnienie sprzęgła; ciężar ciała przeniósł się na prawą, opartą o pedał gazu.

Pikap skoczył do tyłu, piszcząc oponami w gwałtownym skręcie. Zanim Smith zdążył cofnąć prawą nogę, tylny zderzak wozu trzasnął w parę betonowych słupków wyznaczających skraj jezdni. Samochód przewrócił się jak pchnięty dłonią olbrzyma i wylądował na boku z grzechotem tysiąca gwoździ rzuconych na blaszaną ladę. Tak znieruchomiał. Ucichło wycie silnika. O asfalt zadzwonił deszcz szklanych odłamków.

Na parking przed sklepem Lil'Champ powoli wracała cisza; jeszcze przez chwilę chrzęściły blachy, a potem rozległ się głos Darryla Morgana, który nadal stał wsparty plecami o ścianę budynku:

- Święty Jezu...
- Zobacz, co z tamtym, Carmen – polecił Nickerson partnerce.

Po kilku minutach Carmen Tanagra wróciła, dokonawszy oględzin wraku. Sposób, w jaki chodziła, kołyszając biodrami w obcisłych spodniach, i wyraźny prześwit między udami tuż poniżej kroku sprawiały, że mężczyźni często gapili się na nią, jakby ważąc w myślach swe szanse. Nie była nieświadoma wrażenia, jakie na nich wywierała.

- Zdaje się, że chłopak zarobił kulę w nogę. Na pewno ma odłamek szyby w gardle, bo widać, jak wystaje mu z tyłu szyi. Wygląda nieciekawie.
- Będziesz tak stać i głądzić, Carmen? Czy możesz wezwać pogotowie?
- Nie ma pośpiechu, Nick.
- Co ty mówisz?
- Zimny trup, ot, co mówię.

Nickerson ze zboląłą miną wzniosł oczy ku niebu. Następnie zwrócił się w stronę Darryla Morgana, którego potężna sylwetka majaczyła w mroku obok niego. Chłopak robił wrażenie przerażonego jak królik w gnieździe aligatorów.

Nickerson ze złością cedził słowa:

- Ty i twój martwy koleś wybraliście się dzisiaj na plażę, zgadza się? Chcieliście zwinąć parę telewizorów albo co lepszego. Przyłapano was na gorącym uczynku, straciliście głowę i zastrzeliliście człowieka. Tylko nie zaprzeczaj, wielkoludzie, jeśli nie chcesz, żebym się wkurzył! Opowiesz mi, jak to było. A potem ja ci powiem, że masz prawo zachować milczenie i całą tę zasraną resztę.

3

Dziesięć dni po śmierci Solly'ego Zide'a przyjąłem propozycję pracy w firmie prawniczej w Sarasota. Wtedy nazywała się ona Royal, Kelly, Green & Wellmet. Green jednak odchodził i jego nazwisko w nazwie firmy miało zastąpić „Jaffe”. Złożenie trzymiesięcznego wypowiedzenia w biurze prokuratora stanowego uczciłem kupując skrzynkę prawdziwego burgunda.

Picie wina nie było jednak moim głównym zajęciem; nadal musiałem pracować. Jednym z miejsc, gdzie się to odbywało, był „Klub Prawnika” na czwartym piętrze budynku stanowiącego siedzibę władz hrabstwa Duval. To gwarne pomieszczenie, gdzie powietrze było niebieskie od dymu tytoniowego, na pierwszy rzut oka nie różniło się od przeciętnego baru dla samotnych, ale rozmowy tu prowadzone dotyczyły wysokości wyroków, propozycji umów między stronami, jednym słowem – zawilóści prawa karnego.

Pewnego ranka siedziałem tam z młodą adwokatką z biura pomocy prawnej, której klientka, oskarżona o handel narkotykami, gotowa była przyznać się do winy. Dyskutowaliśmy warunki ugody.

– Pańska ostatnia oferta, panie Jaffe, to osiemnaście lat. – Moja rozmówczyni nie wyglądała na zachwyconą. – Czy nie zadowoliliby pana, powiedzmy, dwanaście lat plus pokaźna grzywna?

Pociągnąłem łyk kawy; zapowiadał się ciężki dzień.

– Osiemnaście to moje ostatnie słowo – rzekłem. – I jeśli pani klientka ma choć trochę oleju w głowie, zgodzi się. Oczywiście najlepiej by zrobiła wracając czym prędzej do Kolumbii...

– Przecież tego nie mogę jej zaproponować.

Istotnie. Byłoby to złamanie norm etycznych. Niemniej jednak bardzo uprościłoby sytuację. Czasami żałowałem, że adwokat nie może kierować się po prostu rozsądkiem. W tym akurat przypadku każdy rozsądny człowiek radziłby oskarżonej wsiąść do najbliższego samolotu na południe i wracać do domu.

– Tak – powiedziałem. – Sama musi wpaść na ten pomysł. Jaką wyznaczono kaucję?

– Piętnaście tysięcy dolarów.

– Ta kobieta jest matką, prawda? Tam, w Medellin ma dwójkę dzieci.

– Czy chce pan powiedzieć...

– Broń Boże. Ani mi to w głowie. Niech pani robi, co pani dyktuje sumienie. Ale proszę pamiętać, jak biedny jest stan Floryda, i że, w razie czego, kaucja zostanie w kasie sądu.

Większość prokuratorów to ludzie, którzy gdyby nie zostali prawnikami, byłiby policjantami albo duchownymi. Ja nie należałem do tej większości.

Zadzwonił telefon stojący obok dzbanka z kawą. Odebrał któryś z adwokatów.

– Twój pan i władca – powiedział, machając słuchawką w moją stronę.

Chwilę później posłyszałem bas Beldona Rutha:

– Rusz tyłek i pofatyguj się na górę, Ted, jeśli nie jesteś zbyt zajęty i pracujesz jeszcze w moim biurze.

Skacząc po dwa stopnie, pognałem na piąte piętro i niebawem siedziałem wciśnięty między dwie purpurowe azalie na parapecie pod oknem w gabinecie prokuratora stanowego. Było to jedyne miejsce w całym pomieszczeniu, gdzie mogłem usiąść. Na podłodze przed biurkiem Beldona, na kanapie i wszystkich krzesłach leżały akta bieżących spraw.

– Skąd tu taki bajzel? – zapytałem. – Jak ty sobie poradzisz, kiedy mnie zabraknie?

– Poradzę sobie. Martwię się raczej o ciebie. – Beldon bujał się na skrzypiącym obrotowym krześle. – Znam Sarasota, byłem tam kiedyś na urlopie z Laurette. Zgubiłem na plaży zegarek; pamiętam, że strasznie się wkurzyłem. Było dużo ciupciania, dużo whisky z Tennessee, łażenia po galeriach i oglądania zachodów słońca. Odetchnąłem, kiedy mogłem wrócić

do domu i wziąć się do pracy. Ale teraz myślę, że nieźle tam się żyło.

– Zakładam, że nadal można tam nieźle pożyć – wyjaśniłem.

Beldon roześmiał się; dudniącym, gromkim śmiechem kogoś dwa razy większego niż on.

– Czym zajmie się Toba, kiedy ty będziesz się przechadzał po perskim dywanie w swoim gabinecie i zastanawiał, czy zamienić waszą starą hondę na porsche czy na mercedesa?

Cholernie dobrze udało mu się mnie poznać. Zastanawiałem się, co o mnie teraz sądzi.

– Zajmie się handlem nieruchomościami. Kto wie, czy to nie ona pierwsza będzie jeździć mercedesem. Powiedz, Beldon, zamierzasz tu spędzić resztę życia?

Westchnął z teatralną przesadą.

– Zostałem stworzony do ciężkiej pracy za nędzne grosze.

– Będę miał do czynienia nie tylko z prawem cywilnym – powiedziałem, czując potrzebę usprawiedliwienia się. – Royal, Kelly prowadzą także sprawy karne.

– O, jasne! Będziesz zabiegał o łagodny wymiar kary dla synków bogaczy, przyłapanych na jeździe po pijanemu albo kupnie trawki. Sarasota zaroi się od twoich klientów wykonujących społecznie pożyteczne prace. Na razie jednak nadal pracujesz dla stanu Floryda. Posłuchaj więc, co mam ci do powiedzenia.

Wyciągnął najgrubszą teczkę ze stosu akt leżących na biurku.

– Sprawa Zide'a – oznajmił. Do jej prowadzenia wyznaczyłem Dale'a Settelsa, gorliwego młodego prokuratora, który w ubiegłym roku przeprowadził się do Jacksonville z Bostonu.

– Dla nas to pewniak – powiedziałem Beldonowi.

– To pewniak dla prasy i telewizji – warknął. – Mogą rozdmuchać tę sprawę na cały kraj, a już na pewno zrobią z niej aferę polityczną: sprawcy czarni, jeden zastrzelony przez palanta z Wydziału Zabójstw. Podobno podczas próby ucieczki.

– Tak przynajmniej twierdzi ten palant – wyjaśniłem.

– Mam już na karku ACLU* i władze federalne. Czeka nas wielki

proces o morderstwo, a o czym może nie słyszałeś, obrońcą Morgana jest Murzyn.

* ACLU – American Civil Liberties Union – Amerykański Związek (Obrony) Swobód Obywatelskich, (przyp. tłum.)

Istotnie, o tym nie słyszałem.

- Kto to taki?
- Facet nazwiskiem Oliver. Gary Oliver.
- Nie znam go.
- Wiesz jednak, do czego zmierzam. Constance Zide zna ciebie, lubi i chyba ci ufa. Pytała, czy to będziesz oskarżał.

Powstrzymałem się od komentarza. Czulem, że wkraczamy na grząski grunt.

- Ta sprawa wymaga starego wygi – rzekł Beldon. – Nie jesteś stary i właśnie szykujesz się do drogi na zieleńsze pastwiska. Ale to robota dla ciebie. Podejmiesz się jej, Ted?

Mój romans z Connie należał już do przeszłości; Beldon nie wiedział o nim, nikt nie wiedział; stanowił jednak okoliczność, którą musiałem brać pod uwagę. Bardziej wszakże martwiło mnie co innego. Siedem lat wcześniej, orzekając w sprawie *Furman versus Georgia* Sąd Najwyższy uznał karę śmierci za niezgodną z duchem konstytucji. Władze ustawodawcze Florydy jako pierwsze dokonały zmiany prawa stanowego mającej na celu obejście owego orzeczenia. W rezultacie za morderstwo pierwszego stopnia można było zostać skazanym na stracenie na krześle elektrycznym, które to widowisko cieszyło się wśród mieszkańców Florydy popularnością równą chyba zamiłowaniu dawnych Anglików do oglądania skazańców podrygujących na końcu stryczka. W szkołach naszego stanu dziatwa budowała modele krzeseł elektrycznych. A gubernator zdążył już sobie zasłużyć na przezwisko „Barbecue Bob”.

Proces zabójcy Solomona Zide'a to nie była sprawa dla mnie. Z wielu powodów.

- Powiedz mi coś o Garym Oliverze – poprosiłem.
- Zaczynał jako prywatny detektyw; podobno niezły. Czuł się niedowartościowany, więc poszedł do szkoły prawniczej, jak zresztą wielu

znanych nam prywatnych śledzi. Nie jest jednak tak zupełnie typowy. Zimą w St. Augustine zatrzymano go za jazdę po pijanemu. Był tak ubzdryngolony, że wylegitymował się gliniarzowi kartą wędkarską. Ulubionym drinkiem tego faceta jest następny.

– Dlaczego Darryl Morgan nie zażądał obrońcy z urzędu?

– Zażądał, a Kenny przydzielił mu białą adwokatkę. Nie udało jej się zdobyć zaufania Morgana; pogonił ją. Nie protestowała specjalnie; słyszałem, że nie podobał jej się ani Morgan, ani ta sprawa. Jego matce udało się jakoś zaangażować Gary'ego Olivera. Prawdę mówiąc, podobno zgodził się bronić za darmo; zażądał tylko zwrotu kosztów.

Nie, żeby to wszystko miało jakieś znaczenie, tłumaczył Beldon. Czterdzieści osiem godzin po tym, jak odczytano mu jego prawa, Darryl Morgan przyznał się do popełnienia morderstwa sierżantowi Floydowi Nickersonowi z Wydziału Zabójstw. Kilka dni później powtórzył swoje wyznanie w obecności towarzysza z celi więzienia hrabstwa Duval. Connie Zide zidentyfikowała go jako mężczyznę, który zastrzelił jej męża podczas próby włamania. Neil Zide potwierdził tę identyfikację.

– Ten Morgan ma dwa metry pięć wzrostu – powiedział Beldon. – Pieprzony wielkolud. Trudno go z kimś pomylić.

– A więc ława przysięgłych uzna go za winnego.

– Możesz na to postawić rodzinną biżuterię. Trudniej natomiast przewidzieć, czym zakończy się część druga procesu.

Na Florydzie proces o zabójstwo składa się z dwóch części. W pierwszej ława przysięgłych zapoznaje się z dowodami i w wyniku głosowania ustala werdykt: winny lub niewinny. W przypadku orzeczenia winy dochodzi do części drugiej i po zakończeniu postępowania ta sama ława przysięgłych wydaje zalecenie odnośnie do wysokości kary. Ostateczna decyzja należy do sędziego.

– Pozwól, że ci powiem, co o tym wszystkim myślę – rzekłem. – Od siedemdziesiątego drugiego roku wszystkie sprawy zakończone wyrokami śmierci prowadziłeś ty sam. I taki układ najzupełniej mi odpowiadał. W żadnej ze swoich spraw nie uzyskałem wyroku śmierci i nie sądzę, aby zależało mi na tym teraz.

– A więc chciałbyś, żeby obrońcą Morgana był ktoś, kto potrafi stawić ci czoło, kiedy przyjdzie do ustalania wyroku.

– Gdybym wziął tę sprawę, to tak.

– Pytasz mnie, czy Oliver jest w stanie tego dokonać. Odpowiedź brzmi: ni cholery.

O nic go przecież nie pytałem.

– A więc to jest także moja odpowiedź.

– Wcale nie musi dojść do drugiej części, Ted. Weź tę sprawę. Posłuż się opinią środków masowego przekazu. Zawrzyj umowę z Oliverem.

– Dlaczego Settels nie może tego zrobić?

Beldon zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

– Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie chcesz oskarżać w tej sprawie?

– Nie – odparłem pośpiesznie, udając, że bawię się zamkiem swojej teczki. Podniosłem wzrok. – Jeśli doprowadzę do ugody, zgodzisz się?

– Hola, biały chłopcze! Myślisz, że jestem żądny krwi? Krwi duznego czarnego smarkacza? Mamy tu białego gliniarza, który przepada za strzeleniem do ludzi, a w kraju i stanie jest od groma ciężko doświadczonych przez los czarnych. Nie chcę, żeby ta historia stała się przyczyną zamieszek na tle rasowym. Nie chcę nawet procesu. Zależy mi na wyciszeniu tej sprawy. Jesteś w tym najlepszy, Ted. Potraktuj to jako osobistą przysługę dla starego wuja Beldona.

Tu mnie miał. Teraz nie mogłem mu odmówić. Skinąłem głową.

– Robię to tylko dla ciebie – powiedziałem, zaciskając usta.

– Niech ci Bozia w dzieciach wynagrodzi – odrzekł. Posłał mi buziaka i wręczył teczkę z aktami.

Staroświecki zegar z kukułką wiszący na ścianie mojego gabinetu wydzwonił godzinę siódmą rano. Siedziałem przy metalowym biurku, w które zaopatrzyły mnie władze stanu, czytając akta Darryla Morgana. Dowiedziałem się, że miesiąc poprzedzający zabójstwo przepracował w posiadłości Zide'ów jako pomocnik ogrodnika. Darryl był trzecim z piątki nieślubnych dzieci Marguerite Little, sprzątaczką z Jacksonville Beach. Nie

wiadomo, kto był jego biologicznym ojcem Marguerite żyła z niejakim A.J. Morganem, dozorcą z Palmetto Country Club, w wolnym czasie kaznodzieją kościoła baptystów, który swego czasu miał się podobno wyrazić: „Jestem tu, aby kontynuować dzieło boże, cokolwiek by to, kurde, miało oznaczać”.

Spośród dzieci Marguerite żyli jeszcze: Dwight, narkoman uzależniony od heroiny, który opuścił dom w wieku lat siedemnastu, a obecnie odsiadywał w Illinois wyrok za napad z bronią w rękę, i Gull, dwudziestoczteroletnia analfabeta, dewotka, cierpiąca na narkolepsję, matka czworga dzieci, każde z innego ojca. Po dwóch aborcjach miejscowa akuszerka poddała ją sterylizacji. Gull utrzymywała się z prostytutki – jej cena wynosiła dziesięć dolarów – śpiewała hymny w kościele i co pewien czas zasypiała przy pracy. Rodzina Morganów mieszkała w czteroizbowej drewnianej chacie, stojącej na skraju opanowanego przez szczury gaju palmowego na zachód od San Pablo Road, około dziesięciu kilometrów od plaży. Nie docierały tam rześkie podmuchy bryzy znad Atlantyku.

Od chwili ukończenia czternastu lat Darryl Morgan nigdy nie spędził dwóch kolejnych lat na wolności. Za wybijanie szyb w szkole i kradzież samochodowego magnetofonu posłano go do zakładu poprawczego. Następnie trafił na farmę więzienną, gdzie odsiedział wyrok za okradanie pijaków, i do więzienia hrabstwa Clay, za kradzież pieniędzy z kasy rejestrującej w barze Burger King. Na koniec wylądował w więzieniu stanowym, skazany za włamanie do sklepu z częściami samochodowymi. Miał wtedy osiemnaście lat.

Z siedmioletniego wyroku odsiedział dziewiętnaście miesięcy. Zwolniono go, ponieważ w przepelnionych więzieniach stanu Floryda nie odbywało się zwykle więcej niż jedną piątą kary.

Gary Oliver, rycerz Morgana w zbliżającym się turnieju sądowym, przybył do mego gabinetu o ósmej.

Nalałem kawy z dzbanka do dwóch wyszczerbionych kubków. Obaj piiliśmy czarną bez cukru, na co Oliver nie omieszkął zwrócić uwagi. Uśmiechnął się, jakby uradowany tym faktem, i poczęstował mnie papierosem z wyjętej z kieszeni paczki winstonów light. Odmówiłem ruchem głowy.

- Nie pali pan, panie Jaffe?
- Odzwyczajam się.

Nie wspomniałem o tym, że nadal od czasu do czasu popalam kubańskie cygara przemywane przez znajomych wracających z Londynu czy Mexico City.

Oliver cmoknął z uznaniem.

- Wnoszę z tego, że jest pan człowiekiem z charakterem.
- Czasami. Owszem.

A co! Toż to szczerą prawdą. Byłem z siebie dumny. Mógłbym przyjąć komplement Olivera bez zmrużenia oka i prawdopodobnie wcale nie byłoby mi głupio.

Mój gość przeszedł do rzeczy.

– Pochodzę z Georgii, panie Jaffe – oznajmił. – Dlaczego wy tutaj na Florydzie tak kochacie zabijać czarnych?

Może i był moim przeciwnikiem, zasługiwał jednak na szczerą odpowiedź.

Powiedziałem mu, że obywatele tego kraju dość mają zwalniania przestępców z więzień na długo przed końcem kary. Przestępcy ci wracają między ludzi, zażywają narkotyki i od nowa popełniają te same zbrodnie. A większość z nich to Murzyni. Emerycy mieszkający dotąd na Florydzie wynoszą się nie dlatego, że nie odpowiada im pogoda, ale z powodu inwazji prymitywnych, opętanych nałogiem Afro-Amerykanów. Normalni ludzie chcą czuć się bezpiecznie. Chcą pozbyć się szumowin ze swojego sąsiedztwa... zwłaszcza czarnych szumowin.

Choćby drogą egzekucji.

Oliver wydawał się wstrząśnięty brutalnością mojego wywodu. Pomyślałem, że czułby się lepiej jako wiejski adwokat w jakiejś dziurze w Georgii.

– Wierzy pan w skuteczność kary śmierci, panie Jaffe? – W jego słowach nie doszukałem się wyzwania; był znacznie powściągliwszy, niż to sugerował Beldon.

– Nie jest najważniejsze – odparłem – w co ja wierzę. A wierzę w sens przysięgi, jaką składałem podejmując się funkcji prokuratora stanowego. I

uważam, że nakłada ona na mnie obowiązek przestrzegania prawa. Niemniej jednak – spuściłem nieco z tonu – widzę możliwość kompromisu. Jeśli przekona pan swego klienta, aby przyznał się do morderstwa pierwszego stopnia, stan Floryda zadowolony się wyrokiem dożywotniego więzienia.

– Bez możliwości warunkowego zwolnienia przed upływem dwudziestu pięciu lat?

– Takie jest prawo. Wie pan o tym.

Ale czy wiedział? Nieraz dziwiłem się, jak wielu rzeczy adwokaci nie wiedzą. Z konsternacją stwierdzałem, że przystępują do procesu zupełnie nie przygotowani. Jak nazywa się człowieka, który ukończył szkołę medyczną z ostatnią lokatą? Lekarzem. Podobnie jest z prawnikami.

Oliver zmrużył wielkie, jakby lekko załzawione oczy.

– Przekażę pańskie słowa mojemu klientowi – oznajmił.

Tydzień później, w pewien ciepły lutowy poranek ponownie zjawił się w moim biurze. Usadowił się w krześle i otarł czoło wilgotną chustką.

– Ten Morgan jest głupi jak dziki osioł. Chce stanąć przed ławą przysięgłych. Twierdzi, że jest niewinny.

– Oczywiście, że tak twierdzi. Ale widział pan dowody.

– Człowiek ma w nosie dowody, kiedy jest młody, zdrowy i pełen ikry.

– Zdaje pan sobie sprawę, panie Oliver, że ława przysięgłych uzna go za winnego. Mamy dwóch naocznych świadków i dwukrotne przyznanie się do winy. Oskarżony ma za sobą przeszłość kryminalną, w tym popełnienie przestępstw z użyciem przemocy. Morgan jest czarny, a jego ofiara biała. Już to samo mogłoby go zabić. Proponuję mu korzystną ugodę. Daję mu szansę uratowania głowy.

Oliver westchnął.

– On twierdzi, że czarni przysięgli od razu zorientują się, że jest niewinny.

– Nie – zaprotestowałem gwałtownie. – Czarni czy biali, to bez znaczenia. Nie przekona pan ławy przysięgłych, że pański klient czytuje co dzień rozdział Pisma Świętego. Kiedy czarna ławniczka modłąc się co niedzielę w kaplicy baptystów zobaczy, co Morgan i Smith zrobili z twarzą

pani Zide, zapomni o wielkoduszności. W sprawie takiej jak ta, gdy istnieją niepodważalne dowody winy, pańskim pierwszym obowiązkiem, panie mecenasie, jest ratować życie klienta.

– Nie sądzę, aby ten akurat klient zastanawiał się, co jest dla niego najlepsze – odparł Oliver.

Odwróciłem się, przenosząc wzrok na rzekę. Wolałbym znajdować się teraz tam, na łodzi, żeglując w stronę ujścia; trudno kogoś zabić stojąc przy kole sterowym.

– Niech pan mu powie coś takiego – zwróciłem się w stronę Olivera. – Jeśli zdecyduje się na proces i zostanie uznany za winnego, zrobię wszystko, żeby wylądował na krześle. Wtedy u Zide'ów działał pod wpływem paniki; mogę to zrozumieć. Miał jednak przy sobie broń. Gotów był jej użyć i użył. Ława przysięgłych odgryzie mu za to jego czarnego kutasa. Niech pan mu powie, że to boli.

Oliver spojrział na mnie ponuro.

– Pan chyba wyobraża go sobie jako cichego, skruszonego chłopca – powiedział. – Muszę pana rozczarować. To rozrabiaka. Bez przerwy kłóci się ze strażnikami. Jakby nie widział różnicy między „bierz go” i „do nogi”. Mnie powiedział: „Pierdołę pana i tego Teda Jaffe. Chętnie skopałbym mu jego żydowską dupę”.

Oliver nie targował się; to, co mówił, oznaczało odrzucenie mojej oferty. Nie będzie żadnej ugody.

Nadal nie mogłem jednak w to uwierzyć. Czekałem jeszcze tydzień. Byłem pewien, że Morgan w końcu zmięknie, że skorzysta z szansy ratowania życia.

Zadzwoiłem do Olivera, do jego nędznego biura na Poinciana Boulevard.

- Czy Morgan zmienił już zdanie?
- Nie, chce procesu.
- To zupełnie bez sensu.
- A jednak.

I tak zostałem złapany w pułapkę procesu o zabójstwo pierwszego stopnia. Miała to być moja ostatnia sprawa w Jacksonville. Zastanawiałem się,

czy Beldon od początku wiedział, że to się tak skończy, ale dopiero dwanaście lat później narosło we mnie tyle gniewu, że mogłem go o to zapytać.

4

Ruby! – zawołałem, mijając w drodze do wyjścia biurko mojej sekretarki.

– Idę na plażę!

– Nie może być!

Wiedziała, oczywiście, że żartuję. W czasie gdy Jerry Lee Elroy zadzwonił do mnie z więzienia w Sarasota, pracowałem nad czterema sprawami. Zanosiło się na to, że wszystkie znajdą swój koniec w sądzie – chyba że uda się doprowadzić do porozumienia między stronami.

W pierwszej pewien właściciel nieruchomości w Longboat Key skarżył firmę budowlaną o odszkodowanie z tytułu niedotrzymania terminu budowy. Kwestionował także jakość wykonanych przez nią prac. Druga sprawa: zawodowy piłkarz drużyny z Tampa Bay usiłował poderwać miejscowego transwestytę trudniącego się prostytutką – „Człowieku, nosiła bikini, miała cucky jak trzeba, a w kroku nie widać było żadnej wypukłości!” – a przekonawszy się o swojej pomyłce, tak go pokaleczył, że nieszczęśnikowi trzeba było założyć czterdzieści pięć szwów. W trzeciej sprawie były dyrektor miejscowego towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego został pozwany o zwrot pięćdziesięciu milionów dolarów przez grupę klientów swojej firmy. Ostatnia sprawa dotyczyła oskarżenia dystrybutorów mleka w hrabstwie Monatee o nielegalne manipulowanie cenami.

Pojechałem nadbrzeżną autostradą do Colony Beach Tennis Club na lunch z Harveyem Royalem, starszym wspólnikiem naszej firmy, i z klientem, owym właścicielem nieruchomości skarżącym spółkę budowlaną. Siedzieliśmy nad wodą, chłodny wiaterek od oceanu wicherzył czuby palm, a

my omawialiśmy strategię procesu i układali listę naszych ewentualnych świadków. Jedzenie było wysmienite, powietrze nie zatrute spalinami. Do domu miałem pięć minut drogi.

Życie było piękne i tego faktu nie mogła zmienić nawet najgłębsza recesja.

Po odejściu klienta jeszcze pół godziny przesiadeliśmy z Harveyem przy kawie, próbując ustalić linię obrony w sprawie towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego. Kredyty handlowe, transakcje kompensacyjne, metody działania FDIC*... – oto w jakim duchu utrzymana była nasza rozmowa.

* FDIC – Federal Deposit Insurance Corporation – Federalna Kompania Asekuracji Wkładów Bankowych, (przyp. tłum.)

Na koniec Harvey poprosił o rachunek.

- Wziąłeś coś nowego? – zapytał.
- Jedną groszową sprawę.
- Nie możemy sobie teraz pozwalać na branie groszowych spraw, Ted.
- Przynajmniej mam co robić. Kto pracuje – nie grzeszy.

Harvey uśmiechnął się bez przekonania.

Wracałem tą samą autostradą z widokiem na spokojne, błękitne wody Sarasota Bay i rozmyślałem o Jerry Lee Elroyu.

Świadek oskarżenia dopuszcza się kłamstwa. Normalka. My, prawnicy, żyjemy w dżungli kłamstw. Nie było wręcz sprawy, żeby podczas procesu nie wyszła na jaw jakaś niespodzianka, za którą kryło się przeoczenie klienta, jego rzekomy brak pamięci czy zwykłe kłamstwo. Tu jednak było inaczej. Elroy, mój świadek, skłamał, ponieważ zawarł umowę z policjantem, Floydem Nickersonem.

Nareszcie przypomniałem sobie to nazwisko...

Darryl Morgan przyznał się Nickersonowi, a ten dla wzmocnienia swojej pozycji podparł się fałszywym zeznaniem więziennego kapusia. Gdyby wyszło to na jaw podczas rozprawy, Nickerson wyleciałby z policji, a Elroy odpowiadałby za krzywoprzysięstwo; proces zostałby ponowiony.

Dziwne, bo oskarżenie i tak było mocne. Właściwie nie do odparcia. Dlaczego więc Nickerson zdecydował się na taki krok?

Nie umiałem znaleźć zadowolającej odpowiedzi na to pytanie.

W ciągu minionych dwunastu lat udało mi się wyprzeć ze świadomości historię zabójstwa Solomona Zide'a i wspomnienie Darryla Morgana. Gorzej było z podświadomością. Miewałem koszmarne sny, w których pojawiał się człowiek z głową płonąłą jak pochodnia. Nie nawiedzały mnie jednak częściej niż dwa razy do roku i w końcu nauczyłem się z nimi żyć.

O trzeciej ponownie zameldowałem się w więzieniu hrabstwa Sarasota. Z Jerrym Lee Elroyem stanąłem przed sędzią, który orzekł uwolnienie go za kaucją. Elroy wręczył mi potwierdzony czek wystawiony na bank w Miami, a ja przekazałem go poręczycielowi.

O czwartej mój klient był znów wolnym człowiekiem. Czekałem przy kracie, podczas gdy odbierał z depozytu czerwoną ortalionową wiatrówkę, złotą obrączkę ślubną, inhalator, pieniądze i klucze z breloczkiem – pamiątkę z oceanarium w Miami. Na głowę włożył baseballową czapkę z napisem: PRZEKŁĘTE FLORYDZKIE MEWY, upstrzoną plamami imitującymi ptasie odchody.

– Patrz pan – wymachiwał grubym portfelem ze skóry aligatora. – Nigdy nie oddadzą forsy w tym samych banknotach. Miałem trzy setki i trzy dwudziestki, a dostałem tyle piątek i dolarówek, że mógłbym nimi wypchać indyka. A skąd ja mogę wiedzieć, czy jakiś facet chory na AIDS nie przemycił tego wszystkiego w dupie? Jakby pan zaczekał, to spróbowałbym odebrać swoje stowy.

– Nie. Wypieprzamy stąd – powiedziałem i złapałem go za ramię. Może nieco mocniej, niż zamierzałem, ale nie protestował. Oto był język, który najlepiej rozumiał...

Znalazłszy się w moim gabinecie, na florenckim, obitym miękką skórą krzesło i spoglądając na zatokę widoczną za przyciemnionymi szybami, Elroy spokorniał. Przepych otoczenia zrobił na nim wrażenie. (I o to chodziło; urządzenie gabinetu kosztowało mnie tyle, ile większość ludzi zarabia w ciągu roku.) Atmosfera bogactwa i władzy jest bardziej pociągająca niż obietnica sprawiedliwości. Tym bardziej nie na miejscu wydawała mi się mucha, która jakimś sposobem dostała się do pokoju i teraz krążyła nie

wokół mego gościa, który był źródłem interesującego ją smrodu, lecz wokół mnie.

Oparłem dłonie na lśniącym blacie biurka, pochylając się ku Elroyowi, i rzekłem:

– Chodzi o to, co twoim zdaniem wydarzyło się w Jacksonville. Jestem w stanie to rozgryźć, ale nie mogę tego przełknąć. Nadażasz, Elroy?

Ta cholerna mucha wylądowała na moim nosie. Odpędziłem ją ruchem ręki.

– Przecież to było tak dawno – odparł Elroy. – Dziewięć, może dziesięć lat temu.

– Prawie dwanaście. Przede wszystkim chciałbym, żebyś mi powiedział, czy wtedy uważałeś, że wiem o wszystkim?

Elroy tylko wzruszył ramionami.

Mucha wróciła i teraz próbowała wpakować się do mojego lewego ucha. Nie dodawało mi to dostojństwa.

– Posłuchaj, co ci powiem – oznajmiłem. – Nigdy nie pozwoliłbym ci zeznawać w sprawie Zide'a, gdybym wiedział, że skłamiesz.

– Pewnie. Znaczy... jak ja miałem się zorientować, co kto wie? Wiedziałem tylko tyle, ile powiedzieli mi ten gliniarz i ta druga prokurator. – Elroy wodził wzrokiem za muchą. – Mam na myśli tę gówniarę, która chciała wsadzić mnie za pobicie.

– To ona i Floyd Nickerson złożyli ci propozycję współpracy?

– Kto? A tak, ten gliniarz. Mówiłem panu. Rozmawiał ze mną na dachu i prosił o przysługę. Potem przyszła ta gówniara i mówi: „Dobra, zrezygnujemy z kaucji, wystarczy twoje”... jak to się mówi?

– Pisemne zobowiązanie.

– Właśnie. „Musisz tylko pokazać się na tamtej drugiej rozprawie i powtórzyć to, co powiedziałeś panu detektywowi. Jeśli nie, zawieszysz za jaja”.

– Czy w ogóle rozmawiałeś z Morganem o zabójstwie?

– A co to za kutas, ten Morgan?

Nie bez trudu udało mi się odpowiedzieć spokojnym tonem:

– Darryl Morgan był więźniem z twojej celi, tym właśnie, który – jak

zeznałeś pod przysięgą – przyznał się w twojej obecności do zamordowania Solomona Zide'a.

Elroy uśmiechnął się przebiegle.

– Tak. Rozmawiałem z nim. Siedzieliśmy we czwórkę, trudno żebyśmy ze sobą nie rozmawiali. Pozostali dwaj to były prawdziwe szczury skądś z hrabstwa Columbia. Morgan nic, tylko biadolił. Wie pan, jak to czarnuchy: „Ja tu siedzę bez powodu – powiada. – Nikogo nie zabiłem, a oni twierdzą, że tak. Wpakowałem się w straszne gówno”. A ja wtedy: „Hej, chłopie, to ciekawe, co opowiadasz”. No więc opowiadał. Jakby myślał, że ja naprawdę chcę słuchać jego gadki. Wszystko mi opowiedział.

– Co konkretnie?

– Jak razem z tym swoim durnym kolesiem próbowali obrobić jedną elegancką chałupę, ale gówno im z tego wyszło. Napatoczyli się na kogoś i dali dyla. Powiedziałem mu: „Słuchaj, facet, jesteś oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia, ta twoja historia jest tyle warta co skopek pod bykiem. Musisz gadać inaczej: wyciągnąłem spluwę, bo oni pierwsi zaczęli do mnie strzelać. Rozumiesz, że niby to była samoobrona”. A ona na to: „Nieprawda. Ja w ogóle nie miałem broni”.

Elroy urwał. Podniósł się i zdjętą z regału tekturową teczką na akta palnął muchę, rozgniatając ją na pachnącym cytryną tekowym blacie mojego biurka. Następnie pstryknięciem brudnego kciuka posłał ją na dywan. Uśmiechnął się nieznacznie i usiadł.

– My tu gadu-gadu, panie mecenasie, a czas leci. Kiedy zaczniemy rozmawiać o mojej sprawie?

Nie miałem wyjścia; trzeba było zabrać się do pracy. Był to jedyny sposób, aby dotrzeć do celu.

– Powiedz mi dokładnie, co się stało.

Zaczął się od tego, że przejechał na czerwonym świetle skrzyżowanie szosy numer 41 z Beach Avenue. Miał już wezwanie do sądu za niepłacenie mandatów drogowych, więc kiedy zauważył jadący za nim radiowóz, skręcił na przydrożny parking i próbował zgubić gliniarzy na bocznych drogach, żeby potem wskoczyć na autostradę międzystanową. Kiedy jednak wjechał w kolejną polną dróżkę, okazało się, że kończy się ona stalową siatką. I tak

znalazł się w pułapce.

Gliniarze zauważyli leżącą na tylnym siedzeniu jego wozu szalkę wagi laboratoryjnej. Prawdopodobnie całkiem przypadkowo. Kazali mu zjechać na pobocze i wezwali przez radio ekipę z psem do szukania narkotyków. Przywieziony cocker spaniel od razu podbiegł do bagażnika cutlassa Elroya i zaczął wariować.

– Będą się chcieli dowiedzieć, od kogo dostałeś tę kokainę – powiedziałem. – Jeśli będziesz zgrywać twardziela i milczeć, możesz zapomnieć o tych pięciu latach, o których ci wczoraj mówiłem. Spodziewaj się raczej dziesięciu do piętnastu.

– Znaczą, jeśli zostaną uznany za winnego.

– Posłuchaj, Elroy. Jeśli dojdzie do procesu i zostaniesz uznany za winnego, sędzia potraktuje cię jak recydywistę i skaże z trzech różnych artykułów nie orzekając kary łącznej. Żeby odsiedzieć te trzy wyroki po kolei, spędzisz w więzieniu pół życia. Jeśli zgodzisz się na ugodę, mogę z tego zrobić dziesięć do piętnastu lat.

– I to ma być uгода? Gdzie my jesteśmy? W czerwonych Chinach?

– Na nic więcej nie możesz liczyć, jeśli nie zdecydujesz się na współpracę.

Elroy nie należał do ludzi, którym do namysłu potrzeba więcej niż kilka sekund.

– A na co mogę liczyć, jeśli będę kapował?

– Powiedzmy: pięć lat. Gdyby udało ci się przekonać kogo trzeba, że masz szczerą chęć współpracy, mógłbyś nawet całkowicie wykręcić się od kary.

– Ja tam mogę być szczerzy jak cholera. Ale coś panu powiem, mecenasie. Ci faceci, o których gliny chcą się czegoś dowiedzieć, to nie są jacyś frajerzy. To ludzie z Miami. Zakupujesz ich, a oni pokroją cię na plasterki. Wie pan, co to znaczy?

– Tak.

Elroy rozejrzał się po gabinecie, po półkach zastawionych płytami kompaktowymi z muzyką klasyczną i oprawionymi rocznikami *National Geographic*.

– Jest pan pewien?

Rozparłem się w obitym skórą o barwie nefrytu fotelu i wycodziłem:

– Najpierw obcinają palce. Potem dłonie i stopy. Na koniec fiuta. Plasterek po plasterku. Maczetą. Zgadza się?

Elroy z poważną miną skinął głową.

– To nie jest bajka na dobranoc, *amigo*.

– Słyszałeś kiedyś o programie ochrony świadków?

– Widziałem o tym reportaż w telewizji. Był tam taki facet; chłopak jego byłej żony kapował i objęli go tym programem. Ona z dziećmi wyjechała z nim do innego stanu i tam żyli pod przybranym nazwiskiem. A ten biedak, to znaczy jej były mąż, nie mógł zobaczyć się z maluchami, chociaż nic nie zrobił.

– Ale ty, Elroy, nie masz dzieci i eks-żony, prawda?

Zaśmiał się gorzko.

– Mam, ale nawet nie wiem, gdzie oni się, kurwa, podziewają.

– A więc zastanów się. Porozmawiam z prokuratorem prowadzącym twoją sprawę. Dowiem się, czy mają na ciebie coś, o czym mi nie powie-
działeś. A na razie nie opuszczaj miasta.

Kiedy dziesięć po piątej wynurzyłem się z gabinetu, Ruby kończyła pracę: na laserowej drukarce drukowała przeznaczone do wysłania listy, kopiowała pisma urzędowe, dokonując przy okazji ostatnich poprawek w składzie. Za chwilę miała wyruszyć na swój codzienny obchód barów dla samotnych serc na nabrzeżu.

– Jeszcze kilka drobiazków, Ruby; jeśli pozwolisz. I jeśli nie śpieszysz się na ważną randkę...

Ruby była rozwódką pod czterdziestkę. Regularnie odpowiadała na ogłoszenia matrymonialne zamieszczane w miejscowych magazynach, ale nadal potrafiła się rumienić.

– O co chodzi, Ted?

– Zarezerwuj mi bilet na popołudniowy lot do Jacksonville; pojutrze. Potem skontaktuj się z tamtejszym biurem szeryfa. Dowiedz się, czy w ich Wydziale Zabójstw nadal pracuje detektyw Floyd Nickerson. Spytaj, którą

ma zmianę i kiedy wypadają mu dni wolne od służby. Jeśli będą ci robić trudności, zadzwoń do Kenny'ego Buckrama z biura pomocy prawnej, on to załatwi. Następnie zadzwoń do prokuratury stanowej na okręg czwarty. W siedemdziesiątym dziewiątym odstąpili od ścigania pewnego faceta, podejrzanego o pobicie. Tym podejrzanym był nasz klient, Jerry Lee Elroy. Chcę znać nazwisko kobiety, która miała oskarżać w tej sprawie. Dowiedz się, czy nadal jest w prokuraturze.

Ruby podniosła wzrok znad notesu do stenografowania.

– Zarezerwować pokój w hotelu?

– Tak. W mieście, nie na wybrzeżu. Jeszcze nie skończyłem. Zadzwoniłem do więzienia stanowego w Raiford. Siedział tam niejaki Darryl Morgan, skazany na śmierć w kwietniu 1979 roku. – Wziętem głęboki oddech. – Chcę wiedzieć, co się z nim stało.

– Jak to, co się z nim stało? – zdziwiła się Ruby.

– Czy został stracony, czy nie. I kto w jego imieniu występował o apelację.

Nawet jeśli Morgan nie żył, moim obowiązkiem było uporządkować tę sprawę.

– Powiedziałeś w siedemdziesiątym dziewiątym czy osiemdziesiątym dziewiątym?

– W siedemdziesiątym dziewiątym, Ruby.

– To dwanaście lat temu. Dlaczego mieliby go nie stracić?

– Po prostu sprawdź, o co cię prosiłem – powiedziałem i zawróciłem do gabinetu.

O szóstej siedziałem nadal nad aktami. Ruby wmaszerowała do pokoju z notatnikiem pod pachą i żółtą kartką w dłoni.

– Masz rezerwację na dwa loty w środę: USAir 456 o trzeciej czterdzieści pięć i Delta 1088 o piątej. Potwierdzenie nie później niż dwie godziny przed lotem. Wystarczy podać numer karty kredytowej. Nocleg w hotelu „Marina”: królewskie łóżko i śniadanie za jedyne osiemdziesiąt dziewięć dolarów. Czy będziesz chciał wynająć samochód?

– Tak. O ile w ogóle polecę.

– Zaklepałam ci coś niedużego w firmie National. Jako stały klient masz u nich zniżkę. – Ruby wyglądała na zadowoloną z własnej operatywności. Zajrzała teraz do notesu.

– Oskarżycielem w sprawie Elroya była Muriel M. Suarez. Nadal pracuje w prokuraturze stanowej. Floyd J. Nickerson odszedł z policji w 1980 roku. Nie chcieli mi powiedzieć, gdzie jest teraz; może zresztą nie wiedzieli. W biurze pomocy prawnej dowiedziałam się, że pan Buckram jest dziś w Tallahassee. Zostawiłam mu wiadomość, żeby zadzwonił do ciebie do domu przed jedenastą wieczorem. Może być?

– Jasne – odparłem. Czułem, że serce bije mi coraz szybciej.

Najgorsze zostawiła na koniec. Znęcała się nade mną, bo kazałem jej tak długo siedzieć w biurze.

Zaczęła szybko czytać ze swojego notesu:

– Darryl Arthur Morgan. Przyjęty do więzienia stanowego 24 kwietnia 1979 roku. Wniosek o apelację do Sądu Najwyższego Stanu Floryda – odrzucono. Kolejny, do stanowego Sądu Apelacyjnego, uzasadniony niekompetencją obrony – również odrzucony. To było w 1983. Sprawą zajmował się obrońca z urzędu przysłany przez biuro pomocy prawnej. Odwołanie do Sądu Federalnego w Tampa, odrzucone w 1985. Atlanta, Federalny Sąd Apelacyjny – wniosek odrzucony. Dochodzimy do roku 1988. Prośba o rozpatrzenie sprawy przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych – naturalnie odrzucona. Gubernator podpisał wyrok śmierci 2 października 1990. Termin egzekucji, w wypadku nieskorzystania z prawa do złagodzenia kary przez sąd pierwszej instancji, wyznaczono na 11 kwietnia bieżącego roku. Jeszcze jedna prośba do sądu karnego w Jacksonville właśnie o złagodzenie kary. Poprzedni sędzia odszedł tymczasem na emeryturę i prośba trafiła do kogoś innego. Sprawa w toku.

– Czy to znaczy, że Morgan jeszcze żyje? – spytałem cicho.

– Mam nadzieję, bo jeśli okaże się, że te wszystkie odwołania wnosił nieboszczyk, niektórzy mogą się poważnie wkurzyć.

5

Przed drugą wojną światową mój ojciec pracował jako agent ubezpieczeniowy. Mieszkał w Bronxie. Podczas wojny był urzędnikiem w jednej z baz marynarki wojennej. W 1945 roku jego spółka ubezpieczeniowa zleciła mu otwarcie filii przedsiębiorstwa w Jacksonville.

Sylvia Jaffe, moja matka, skomentowała ten fakt, jak następuje:

– Miami byłoby jeszcze do przyjęcia, Leonardzie. Ale Jacksonville? Kto słyszał o takiej miejscowości? Gdzie ona się w ogóle znajduje?

– To przemysłowe miasto na północy Florydy – tłumaczył ojciec. – Nad morzem. Zresztą całkiem niedaleko od Nowego Jorku.

– Czy wiecie – zapytał, kiedy już znaleźliśmy się w pociągu na południe – że dawno, dawno temu na Florydzie żyli Indianie, tacy jak na filmach z Tomem Mixem?

Ani ja, ani moja młodsza siostra Rhoda nie wiedzieliśmy o tym.

– Kiedyś było tam trzydzieści wytwórni filmowych. Ale ojcowie miasta szybko mieli dość tych pościgów samochodowych i scen przemocy i w 1920 roku wykopali filmowców. Wyobraźcie sobie! Zrezygnować z czegoś takiego!

Spytałem ojca, czy nadal są tam Indianie.

– Gdzie?

– No, tam, dokąd jedziemy – zniecierpliwilem się. Oto prowadziłem pierwsze w swoim życiu przesłuchanie.

– Może – odparł Leonard.

Plemię Timukuan została starte z powierzchni ziemi przez przybyłych z

Francji hugenotów. Resztki Seminolów i Mikasuki żyły na bagnach Everglades. Jako chłopiec nie przyjmowałem tego do wiadomości. Byłem przekonany, że Indianie muszą być gdzieś w pobliżu; wierzyłem autorytetowi ojca. Odkąd ukończyłem siedem lat, przemierzałem brzegi St. Johns River w poszukiwaniu tubylców – żydowski Tomek Sawyer. Rhoda nieraz chciała mi towarzyszyć, ale zostawiałem ją w domu, Dziewczyny nie nadają się do takich rzeczy, głosiłem z pewnością siebie ośmiolatka, za którą stało zrozumienie ducha tych surowych czasów.

Okolice Jacksonville, które zjeździłem wzdłuż i wszerz na swoim rowerze marki Schwinn, zamieszkiwała (zamiast czerwonoskórych) biała biedota. Ludzie ci łowili opopy i żywili się smażonymi w oleju żółwiami i błotnym ptactwem. W cyprysowych zaroślach natknąłem się kiedyś na starego człowieka, który zabierał mnie później na połów morleszy i lucjanów i nauczył, że oczy różnych zwierząt błyszczą rozmaicie: szopa zielono, aligatora czerwono, a oczy jelenia ciemnym złotem, jak węgle w dogasającym ognisku. Zacząłem mówić „kupa”, kiedy chciałem powiedzieć „dużo”, i „żdziebko” zamiast „mało”.

W szkole, a także w domu na te plebejskie zwroty reagowano zdziwionym wzniesieniem brwi. A Rhoda, która nigdy nie przepuszczała okazji do zemsty, śmiała się ze mnie. Nienawidziłem jej za to.

W moich stosunkach z Rhodą była pewna tajemnica. Kiedy byliśmy mali i podróżowaliśmy na tylnym siedzeniu rodzinnego chryslera, Rhoda nieraz skarżyła się: „On mnie dotyka!” Rodzice nigdy nie złapali mnie na gorącym uczynku, ale było to prawdą. Nie sądzę, aby moje zachowanie miało podtekst seksualny; chciałem jej po prostu dokuczyć. Nie byłem niewinnym, dobrym dzieckiem. Nie całkiem dobrym. Wiedziałem, że muszę się starać, pracować nad sobą, ale wydawało mi się to nazbyt kłopotliwe. Kiedy oglądaliśmy razem telewizję, Rhoda wstawiała i mówiła: „On mi przeszkadza. Sapie mi nad uchem?”. Nie wypląkiwała swoich skarg, choć to przydałoby im wiarygodności; tylko ja wiedziałem, o co jej chodzi. Kierowały mną siły, nad którymi łatwo mogłem utracić panowanie.

Kończyło się zwykle tak, że prześladowana przeze mnie Rhoda szła na górę do swojego pokoju i siadała do czytania. W rezultacie była lepiej

wykształcona niż ja i kiedy z pierwszą lokatą ukończyła psychologię na Uniwersytecie Stanu Floryda, otrzymała kilka propozycji stypendiów naukowych. Przeprowadziła się do La Jolla w Kalifornii, została psychoterapeutką i wyszła za mąż za żydowskiego biznesmena.

Po latach jej stosunek do mnie był przyjacielski, ale nacechowany rezerwą. Rhoda, bardziej niż ktokolwiek inny, podejrzewała, że nie jestem człowiekiem prawdziwie dobrym. Nie byłaby zdziwiona dowiedziawszy się, co zaszło między mną a Connie Zide.

Po raz pierwszy spotkałem Connie Zide na rok przed opisywanym wieczorem muzycznym i śmiercią jej męża. Pewnego popołudnia, wracając z pracy, postanowiłem wstąpić do centrum handlowego Regency Plaza, aby kupić krawat. Kilka dni wcześniej poplamiałem sosem z indyka swój ulubiony, ciemnoczerwony krawat kupiony przed dwoma laty u Dillarda. Plamy nie dało się już usunąć.

Skierowałem hondę w kierunku wolnego miejsca na parkingu i w tym momencie w drzwiach sklepu Dillarda pojawiła się wysoka kobieta o kasztanowych włosach; wynurzyła się z chłodnego, cieniściego wnętrza, stając w jaskrawym blasku słońca. Miała na sobie obcisły szary kostium. Nie była młoda. Ta kobieta, pomyślałem, nie może być tak piękna i elegancka, jak mi się wydaje. Nikogo takiego nie ma w Jacksonville. Takich kobiet nie ma też pewnie w całej północnej Florydzie. W Palm Beach, w Nowym Jorku, na okładkach *Vogue* – może. Zresztą nietrudno omamić zmysły przepracowanego mężczyzny.

Zza stojącego na parkingu datsuna wyłonił się młodzieniec w niebieskich dżinsach i białej koszulce bez rękawów. Złote łańcuszki pobrzękiwały na jego szyi, migotały w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. Szybkim, skradającym się krokiem zbliżał się do eleganckiej nieznanym. Weisnąłem hamulec. Wóz znieruchomiał w pisku opon. „Uważaj!” – chciałem zawołać. Byłem jednak zbyt daleko.

Alejandro Ortega, urodzony przed dziewiętnastu laty w Santiago de Cuba, syn *marielitos*, uchodźców z ogarniętej rewolucją wyspy, specjalizował się w kradzieżach biżuterii w biały dzień. I oto teraz, stojąc twarzą w

twarz z Doñą Constancją, wyciągnął rękę i chwycił ciężki złoty naszyjnik zwisający z jej białej szyi. Szarpnął mocno. Jak przewidywał – naszyjnik pękł.

Z ust Connie Zide wyrwał się drżący krzyk. Ze skaleczenia na karku spłynęła kropla krwi. Ściskając naszyjnik w dłoni, Alejandro odwrócił się, aby pobiec przez parking ku ukrytemu w cieniu palm transamowi z podrasowanym silnikiem, czekającemu na chodzie, z uchylonymi lewymi drzwiami.

Connie Zide posiadała mnóstwo biżuterii. W większości kosztownej. Nie tak dawno występowała o odszkodowanie za dwuścierókaratowy biały diament, który źle osadzony w pierścionku wypadł i zaginął. Korowody z firmą ubezpieczeniową trwały bity rok, a i tak nie udało jej się odzyskać równowartości kamienia. Po tym wypadku zamówiła kopie najcenniejszych okazów swojej biżuterii, które wkładała na co dzień, przy okazji zakupów czy lunchu ze znajomymi w miejscach, gdzie nie była całkowicie bezpieczna. Tak więc naszyjnik, który Alejandro Ortega zdarł z jej pysznej, białej szyi, był fałszywy.

Tego dnia miała na nogach czarne pantofle na płaskim obcasie. Zrobiła szybki krok do przodu i kiedy Alejandro szykował się do sprintu przez parking, ręką z pomalowanymi na czerwono paznokciami zerwała mu z karku jeden ze złotych łańcuszków.

Później powiedziała mi:

– Dlaczego to zrobiłam? Bo czułam się zgwałcona, Ted. Ludzie myślą, że z samotną kobietą mogą zrobić, co zechcą. I z reguły mają rację. Ale ja nienawidzę tego uczucia; kiedy człowiek staje się bezbronną ofiarą takiego gnoja.

- Nie bałaś się?
- Nie było na to czasu.
- Ale dlaczego postanowiłaś akurat zabrać mu łańcuszek?
- Ja niczego nie postanowiłam, na miłość boską! To był odruch.
- I nie obawiałaś się jego reakcji? Tacy jak on bywają mściwi.
- Miałam pistolet w torebce. I pozwolenie na noszenie broni.
- Użyłabyś go?

– Gdybym musiała... *quien sabé?*

Łańcuszek, o którym mowa, Alejandro dostał w prezencie od Luizy, swojej dziewczyny. W Coral Gables miała ona stolik do gry w trzy karty i Alejandro mieszkał u niej w przerwach między objazdami co lepszych centrów handlowych na południu Stanów. Dopiero po przebiegnięciu kilku kroków zorientował się, że to szarpnięcie, które poczuł na karku, nie było złudzeniem; że oznaczało zniknięcie łańcuszka z czystego złota, który kochana Luiza z takim wzruszeniem włożyła mu na szyję. Co więcej, opatrzonego napisem o czulej treści. Obrócił się w powietrzu niczym koszykarz z przyjętą w locie piłką. Ta dziwka gwizdnęła mu łańcuszek!

Ruszył ku niej, z ustami wykrzywionymi uśmiechem wyrażającym uznanie matadora dla wyjątkowo walecznego byka. Zatrzymał się i wyciągnął rękę w niemym, rozkazującym geście. W tym momencie uświadomił sobie obecność kogoś trzeciego; za późno jednak na jakąkolwiek reakcję. Tym kimś byłam ja.

Uznałem, że jeśli piękną nieznajomą stać na taką odwagę, to ja, było nie było mężczyzna, powinienem wkroczyć do akcji i pomóc jej. Z rozbiegu, całym ciężarem swoich osiemdziesięciu trzech kilogramów walnąłem faceta barkiem w bok. Poleciał do tyłu i wyrznął w chłodnicę datsuna z taką siłą, że na moment odjęło mu dech. Po chwili zaczął gramolić się na kolana, wyraźnie zdziwiony i wściekły. Wykręciłem mu prawą rękę na plecach, podniosłem wzrok na kobietę w szarym kostiumie i powiedziałem:

– Czy nie zechciałaby pani wrócić do sklepu i poprosić kogoś, żeby zadzwonił pod 911? Szybko, w miarę możliwości.

Do Alejandra zaś rzekłem:

– Nawet nie próbuj się stawiać. Złamię ci rękę jak patyk. A potem skręcę ci kark. Mam czarny pas w karate. *Cinturon negro, comprendes?*

Oczywiście nie było w tym ani słowa prawdy.

– Jaki pan dzielny – wyszeptała blada z emocji Connie Zide. I wcale nie zabrzmiało to ironicznie.

Jestem prawie pewien, że wyraz powagi nie opuścił mojej twarzy. Natomiast zaszła we mnie inna zmiana: jakieś zaćmienie umysłu, nie pozwalające dojrzeć śmieszności mojej fanfaronady. Latynosi mają na to dobre

określenie, które tłumaczy się „grom z jasnego nieba”. Nie można uniknąć jego skutków.

Policjanci zapisali dane personalne, adres i numer telefonu pani Solomono-
nowej Zide i odjechali, zabierając Ortegę do więzienia hrabstwa. Connie
oparła się ciężko o bok swojego samochodu.

– Mój Boże – westchnęła – co za przygoda! Mam ochotę na drinka. Czy
jeszcze przez chwilę zniesie pan moje towarzystwo?

Weszliśmy do pierwszego napotkanego baru na Atlantic Boulevard –
zaczynającego lokalu o nazwie „Ruffino's Kitchen”, serwującego zapiekana
pizzę. Connie zamówiła podwójnego czarnego johnnie walkera z lodem i
skórką cytryny.

Rozmawialiśmy, ale w głowie miałem taki mętlik, że nie mogłem skupić
się na tym, co do mnie mówiła. Znałem kilka pięknych kobiet. Toba w
młodości mogła uchodzić za piękną, a przynajmniej za bardzo ładną. Pewna
młoda kuratorka z biura pomocy prawnej, była Miss Florydy i magister
resocjalizacji, kręciła się wokół mnie przez całą zimę, ale ja tylko poklepa-
łem ją po policzku i rzekłem:

– Jesteś milutka, Angie, i założę się, że świetnie byśmy się bawili, ale
nie chcę komplikować sobie życia.

Błękitnozielone oczy Connie Zide, osadzone w doskonale owalnej twa-
rzy, były duże, świetliste, jej usta czerwone i pełne, zęby równe i białe. Ciało
miała dobrze umięśnione, o smukłej szyi i krągłych piersiach, a nogi długie.
Masa jedwabistych jasnokasztanowych włosów splotła jej na plecach,
choć na co dzień spinała je na czubku głowy. Dopiero kiedy trochę
ochłonąłem z pierwszego wrażenia, zorientowałem się, że ma grubo ponad
czterdziestkę; wyglądała jednak o dziesięć lat młodziej. Częściowo z po-
wodu wystających kości policzkowych, częściowo dzięki regularnym
wizytom u światowej sławy chirurga kosmetycznego z Atlanty, który
pracował nad skórą i umięśnieniem jej twarzy. Te oczy barwy morskiej
wody bywały chwilami zamglone melancholią, a w jej uśmiechu krył się
nieraz smutek. Tym większym, tym bardziej radosnym zaskoczeniem był jej
śmiech, gardłowy, nieco ochryply; chwilami wydawało mi się, że zaskakuje

nawet ją samą.

– A więc, panie Jaffe, co teraz?

Jakże dwuznacznie zabrzmiało to pytanie. Nie odważyłem się zbyt długo patrzeć jej w oczy. To niemożliwe, pomyślałem, abym zrobił na niej takie wrażenie jak ona na mnie. Takie rzeczy się nie zdarzają.

W każdym razie nie mnie.

– Jutro rano musi się pani udać do siedziby władz hrabstwa – powiedziałem. – Wnieść skargę i złożyć zeznanie. Inaczej nie będą mogli zatrzymać tego faceta.

– Wypuszczą go?

– Ogląda pani filmy policyjne?

Zaśmiała się złośliwie.

– Ależ panie prokuratorze, wszyscy wiedzą, że zwykle ich się wypuszcza.

– Powiem pani, jak to się odbywa, pani Zide. W większości stanów ten chłopak stanąłby przed wielką ławą przysięgłych. Na Florydzie, aby przyspieszyć całą sprawę, postępujemy inaczej. Jeden z pracowników mojego biura pojedzie do więzienia i odbierze od policji doniesienie o popełnieniu przestępstwa ze wskazaniem domniemanego sprawcy. Następnie zastępca prokuratora stanowego sformułuje akt oskarżenia. Jeżeli podejrzany nie zechce wynająć sobie adwokata, będzie tam obecny ktoś z biura pomocy prawnej, kto będzie go reprezentował. Rzecz w tym, że sprawa nie może posunąć się dalej, jeśli pani nie złoży zeznania pod przysięgą. Ja też będę musiał to zrobić. Byłem świadkiem.

Westchnęła. Nie pierwszy raz słyszałem westchnienie tego rodzaju.

– Rozumiem panią – powiedziałem. – Ale jeśli pozwolimy mu odejść, za kilka dni będzie czatował przed następnym sklepem. Napadnie na kolejną kobietę. Policjanci znaleźli przy nim nóż sprężynowy. Skąd pani wie, co by zrobił, gdyby nie było mnie w pobliżu?

Zastanawiała się przez chwilę, wreszcie zapytała:

– Przed kim będę zeznawać?

– Przed prokuratorem wyznaczonym do prowadzenia tej sprawy.

– Może to być pan?

– Raczej któryś z moich podwładnych. Jestem pierwszym zastępcą prokuratora stanowego. – Wzruszyłem ramionami, co miało znaczyć: wiem, że to dużo tylko w moim świecie.

– Czy pan sam mógłby się tym zająć?

– Dlaczego?

– Czy muszę to panu mówić?

Przyglądała mi się chłodnym wzrokiem. Mogła powiedzieć: „Bo przy panu czuję się pewniej”; albo nawet: „Ponieważ pan był tutaj”. Ale ona powiedziała: „Czy muszę to panu mówić?” Co chciała dać mi do zrozumienia? Już czułem się winny, a przecież nic się jeszcze nie stało.

– Jestem świadkiem – powiedziałem – i w pewnym momencie będę się musiał wycofać, ale dobrze, na razie zajmę się tą sprawą.

Trudno będzie uzasadnić tę decyzję, pomyślałem. Będę musiał kręcić. Ale zabiję każdego, kto spróbuje mnie powstrzymać.

– Czy jest pan żonaty?

Serce waliło mi jak oszalałe; jej nonszalancja przerażała mnie i zarazem zniewalała.

– Szczęśliwie żonaty. Mam dwójkę dzieci.

– Jeszcze jedno głupie pytanie. Czy jest pan Żydem?

– Tak.

– Wiedziała. Jest w pańskim głosie coś, co kojarzy się ze Starym Światem... ciepło, serdeczność. Mój Boże, pan się rumieni. Nieśmiały Żyd – prokurator. To raczej rzadkość, prawda?

Nie miała południowego akcentu, toteż zapytałem, skąd pochodzi. Ze Scranton w Pensylwanii. Wypytywałem dalej, bo uznałem to za bezpieczniejsze niż odpowiadanie na jej pytania. Po maturze, opowiadała, próbowała swych sił jako modelka, a potem wyjechała do Los Angeles, aby zostać aktorką. Okazało się jednak, że w Hollywood jest mnóstwo młodych aktorek, i że niektóre z nich naprawdę potrafią grać; tym odkryciem była najbardziej wstrząśnięta. Kilka małych ról – to wszystko, co udało jej się osiągnąć w ciągu pięciu lat.

Wyszła więc za mąż i przyjechała z mężem do Jacksonville.

– Pod jakim nazwiskiem występowała pani w Hollywood?

- Constance Clark. To moje prawdziwe nazwisko.
- A więc nie jest pani Żydówką?
- Przyjęłam judaizm.
- Dlaczego?
- Przez szacunek dla mojego męża.

Spodobała mi się ta odpowiedź. Przydawała jej powagi i głębi, której tak naprawdę w niej nie było. Sugerowała także, że uczestniczy w życiu męża, liczy się z nim i nie zrobi nic, co mogłoby mu zaszkodzić. Nie znałem Solomona Zide'a, ale nie można było mieszkać w Jacksonville nie wiedząc, co to jest Zide Industries. Bo pomijając korporację, obejmującą zasięgiem cały stan, było to potężne lokalne przedsiębiorstwo ZiDevco, którego działalność miała rewolucyjny wpływ na oblicze hrabstwa. ZiDevco wykupywało bagna, przybrzeżne mokradła i przekształcało je w pola golfowe, przystanie dla jachtów i osiedla mieszkaniowe. „Z lat osiemdziesiątych – w dwudziesty pierwszy wiek” – taka była dewiza ZiDevco. Postęp – jak to na Florydzie – za wszelką cenę; cała naprzód i niech diabli wezmą ekologów.

- Czy mogę do pana mówić: Edwardzie?
- Wystarczy Ted.
- Wiem już, że jest pan prokuratorem i człowiekiem szczęśliwie znanym, co – jedno i drugie – wydaje mi się interesujące. A poza tym?
- Co chciałaby pani wiedzieć?

Jej oczy zdawały się emanować jakimś dziwnym światłem. Dużo później, przeglądając w sklepie próbki tapet, zidentyfikowałem ich kolor jako „błękit kopenhaski”. Przez pewien czas był to kolor moich snów.

- Jeśli powiem „wszystko”, czy uzna to pan za natarczywość?

Poczułem dziwne mrowienie w krzyżu i w koniuszkach palców; znów to naiwne uniesienie. Nie mogłem jednak wyjść ze zdumienia: dlaczego ja? Jest bogata, piękna, inteligentna i odważna. A ja?

Byłem świadom swojej wartości, ale nigdy – poza salą sądową być może – nie uważałem siebie za gwiazdę. Dobry kochanek, niegłupi, dobry ojciec – to wszystko. Na pewno nikt wyjątkowy. Nie aspirowałem do doskonałości. To zbyt wąska i wyboista droga. Ja szukałem harmonii, spokoju sumienia, poczucia bezpieczeństwa dla siebie i swoich bliskich.

I oto uświadomiłem sobie, że wszystko to mogę stracić. Przepaść, która rozwarła się nagle na mojej drodze – a którą niebawem miałem nazywać Wielkim Kanionem mojego życia – wydawała się nie do pokonania; wielka, wspaniała i kusząca. A ja staczałem się w jej otchłań.

Nie odpowiedziałem na pytanie Connie Zide. Po prostu przysunąłem dłoń ku jej dłoni; ujęła ją i ścisnęła z całej siły. Jej palce były szczupłe i chłodne. A jej oczy wiedziały.

Nic więcej nie zdarzyło się tego wieczora. Cofnąłem rękę. Życzyłem jej dobrej nocy i przypomniałem, żeby zadzwoniła do mojego/biura.

– Musi pani wnieść skargę – powiedziałem.

Dałem jej swoją służbową wizytówkę.

Następnego dnia miała na sobie beżowy kostium i granatową bluzkę, do tego, oczywiście, pantofle na wysokim obcasie, perły i pierścionek z szafiirem. W ciągu dnia – jak się wkrótce przekonałem – zawsze ubierała się na szaro, beżowo lub popielato, ale te dyskretne barwy jedynie podkreślały jej zmysłowość. Czyżby było w niej coś tak pierwotnego, że należało to zamaskować surowością ubioru? Zastanawiałem się nad tym wtedy i zastanawiam się dzisiaj.

Oprowadziłem ją po zatłoczonych pokoikach prokuratury, przedstawiłem kilku współpracowników. Następnie przyjąłem od niej oświadczenie i kazałem zaprotokołować skargę. Okna prokuratury wychodziły na rzekę, dalej widać było parkingi, jakieś dźwigi, wreszcie Prudential Building. Zawsze byłem zadowolony z mego gabinetu; aż do czasu odwiedzin Connie Zide. Wtedy wydał mi się obskurny i byle jaki. Na ścianie, obok moich dyplomów i rysunku wielkiej pieczęci stanu Floryda, wisiał schemat organizacyjny prokuratury, na biurku stał kubek z napisem BOSS, kilka oprawionych w skórę fotografii żony i dzieciaków na plaży oraz masywny zegar z wahadłem. Wystrój tego pomieszczenia był mało oryginalny; czułem, że w oczach Connie Zide jestem człowiekiem zdecydowanie pospolitym.

Kiedy dzwoniła do mnie, zapowiadając swoją wizytę, powiedziała:

– Jak już załatwimy sprawy formalne, może byśmy powtórzyli po-

przedni numer? To znaczy – zachichotała – może postawiłby mi pan jeszcze jednego drinka?

– To niewyklucone, pani Zide, jeżeli zjawi się pani dokładnie o czwartej trzydzieści – odrzekłem. Odbywałem właśnie naradę z dwójką swoich podwładnych.

Poszliśmy do „Mariotta”. Przy stoliku pod palmami na tarasie przeprowadziliśmy ową rozmowę, w której powiedziała mi, że „to był odruch”. Gawędziliśmy prawie godzinę, a potem uśmiechnąłem się w ujmujący – miałem nadzieję – sposób i powiedziałem:

– Obawiam się, że muszę już iść.

Zrozumiałem, że popełniłem błąd. Była urocza i pociągająca jak poprzednio, ale wydała mi się zdenerwowana, jakby nie bardzo wiedziała, w jaki sposób wycofać się z sytuacji, którą ja mogłem uznać za zobowiązującą. Czuję się jak głupiec.

Na hotelowym parkingu zaprowadziła mnie do swojego perłowszarego mercedesa. Zakręciło mi się w głowie, kiedy przecisnęła się obok mnie w wąskim przejściu między samochodami. Wpatrywałem się w jej twarz majaczącą w półmroku i chciałem się już tylko pożegnać zachowując odrobinę klasy.

Zwolniła zamki wozu, a alarm odezwał się głębokim dźwiękiem wielkiego gongu z czołówek starych filmów Rank Organisation. Z jakąś obłąkańczą determinacją obszedłem samochód i otworzywszy drzwiczki wsiadłem do środka – zanurzyłem się w aromacie importowanej skóry i perfum. (Nazywały się „Opium”, powiedziała mi później; nie wątpię w stosowność tej nazwy.)

– Connie...

– Ted...

– Posłuchaj, wiem, że to wariactwo...

– Nie, to wcale nie wariactwo.

Pochyliła się w moją stronę, a ja pocałowałem ją. Nasz pocałunek nie trwał nawet dziesięciu sekund, kiedy Connie Zide zaczęła jęczeć. Nigdy nie słyszałem kobiety – czy, gdy byłem młodszy, dziewczyny – jęczącej w taki sposób, kiedy była tylko całowana. Obejmowałem ją, z całej siły przyci-

skając do piersi, gryzłem jej wargi. Było coś szalonego w tym, co robiliśmy, coś więcej niż zwykle podniecenie; jej piersi zdawały się rosnać, twarz płonęła, ja sam miałem wrażenie przyływu cielesnej mocy, jakiego nie doznawałem od lat. Connie jęknęła gwałtownie, zadrżała... i nagle rozluźniła się.

Odsunęliśmy się od siebie, dysząc nierówno.

– O Boże – powiedziała.

– Co się stało?

– Nie wiesz, co się stało?

Chyba wiedziałem, ale uznałem tę myśl za produkt męskiej fantazji.

– Jeśli myślisz, że to mi się zdarza często czy nawet od czasu do czasu – powiedziała Connie – to jesteś w błędzie. Kompletnie zwariowałam.

– Nigdy nie byłem w takiej sytuacji.

– Nie wątpię.

– I nie wiem, co teraz zrobić.

– Ja wiem – odparła.

Powiedziałem mojej żonie, że muszę pojechać do Savannah, aby spotkać się z informatorami i odebrać od nich zeznania na piśmie na użytek pewnego międzystanowego śledztwa dotyczącego handlu narkotykami. Wyruszę w niedzielę i przenocuję na miejscu; wcześniej rano muszę być w prokuraturze hrabstwa Effingham. Mogę tam zabawić kilka dni.

– Uwielbiam Savannah – ucieszyła się Toba. – Może poprosiłabym twoją mamę, żeby zajęła się dziećmi?

– Prawdopodobnie będę też musiał polecieć do Chattanooga, a to wcale nie będzie zabawne. Do Savannah wybierzemy się innym razem.

To był najgorszy moment. Przez dzień czy dwa czułem się moralnie zbrukany i zastanawiałem, czy się nie wycofać.

Ale nie zrobiłem tego.

Tym razem złamię swoje zasady, myślałem. Potem będzie mi wstyd i to wystarczy, bym nigdy więcej tego nie powtórzył.

Któryś z przyjaciół zatrudnionego przez Connie dekoratora wnętrz miał domek na Cumberland Island, tuż za granicą stanu Georgia, na południe od

St. Simons Island i Brunswicku. W niedzielne popołudnie zostawiłem samochód na podziemnym parkingu niedaleko budynku administracji hrabstwa. Stamtąd zabrała mnie Connie i ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża jej szarym mercedesem. Ja prowadziłem; wręczyła mi klucze w portfeliku z cielejącej skóry.

- Co powiedziałaś mężowi?
- Że potrzebuję kilku dni samotności.
- I to wystarczyło?
- Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu dwóch lat.

Najwyraźniej uważała, że udzieliła mi wyczerpującej odpowiedzi. A ja nie naciskałem. Nie musiałem wiedzieć wszystkiego.

Czułem się jak chłopek, prostak z bagien. Miałem wówczas trzydzieści sześć lat. Czy naprawdę, zapytywałem sam siebie, myślałeś, że przez resztę życia będziesz tylko z żoną? Że nie dotkniesz innej kobiety?

Po prostu nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Kiedy prom z St. Marys docierał do Cumberland Island, słońce, jak kropla krwi na liściu, leżało na zielonej płaszczyźnie mokradeł. Zerwał się przelotny deszcz i uciął. Nocne owady skupiały się w brzęczące chmury. Connie wciągnęła mnie do domku i szybko zamknęła okiennice. Wnętrze drewnianej chaty z kamiennym kominkiem zdobiły barwne reprodukcje obrazów Miro. Zaprowadziła mnie do pachnącej sosnowym drewnem sypialni, gdzie królowało olbrzymie łóżko przykryte narzutą zszytą z wielobarwnych skrawków materiału. Zapaliła pachnące świece na nocnym stoliku.

To otoczenie – drewniana chata, narzuta ze skrawków – nie bardzo do niej pasowało. Nie nazwałbym jej dzieckiem natury. Przez chwilę trzymałem ją na wyciągnięcie ramion, nie pozwalając podejść bliżej; przypatrywałem się jej twarzy, próbując odczytać wyraz oczu połyskujących w świetle świec.

- Chyba nie nadaję się do roli niewiernego małżonka – powiedziałem.
- Skąd wiesz? Nigdy nie byłeś niewierny – zaśmiała się dobrodusznie; nie rozgniewała się. – Nie możesz znieść oczekiwania. Przeraza cię perspektywa zdrady. Powiem ci, kotku, że kiedy zrobisz pierwszy krok,

wszystko się zmieni.

„Kotku” mogłaby powiedzieć dziwka do swojego klienta. Mnie to jednak podniecało. Zrzuciła ubranie i jej zapach, widok wyprężonych sutek jej białych piersi zmienił mnie w ogarnięte szalem rui zwierzę.

Wziąłem ją od tyłu. Ten pierwszy raz zrobiłem to bez gry wstępnej i bez żadnych finezji. Na finezję będzie jeszcze czas.

Connie krzyczała z rozkoszy.

Dom stał na skraju wyspy, odgradzony niewielką zatoczką. Tylko nocne ptaki i bagienne moskity słyszały jej krzyk.

Nasz romans trwał siedem miesięcy; zakończył się na dwa miesiące przed zabójstwem Solly'ego. Connie była ze mną w Tallahassee, ponownie zabrała mnie na Cumberland Island, wielokrotnie spotykaliśmy się po południu w okolicznych motelach i raz w jej domu, kiedy Solly poleciał do Nowego Jorku. Z weekendami było gorzej, ale kilka udało mi się zorganizować. Pewien przyjaciel Connie z St. Augustine wypożyczył jej swój domek gościnny. Pewnego razu przyszła po południu do prokuratury; zamknąłem drzwi gabinetu i rznąłem ją na swoim metalowym biurku. Akty oskarżenia, zaprzysiężone zeznania świadków i raporty policji fruwały po pokoju jak papierki po cukierkach na wietrze.

Moje współzycie z Tobą nie układało się lepiej od czasów uniwersyteckich, przynajmniej jeśli chodzi o seks. Niezmożony ogier, czułem się w stanie sprostać wszelkim wyzwaniom. Doszedłem do wniosku, że nie kocham Connie. To byłby kres wszystkiego. Ale jak piękna wróżka z wiersza, *la belle dame sans merci* wzięła mnie w jasyr.

Z czasem pewne sprawy dotyczące *la belle dame* stały się dla mnie jasne.

Nie byłem pierwszym. Raczej jednym z wielu. Może tym razem było jej lepiej niż poprzednio – skąd mogłem wiedzieć? – ale i tak byłem pewien, że nie stanowiłem wyjątku. Miała zbyt wiele wprawy w organizowaniu naszych spotkań; łatwość, z jaką wypożyczała domki na weekendy, dawała wiele do myślenia.

Zasiadała w prezydium dwóch żydowskich instytucji dobroczynnych i poprosiła, żebym się do niej przyłączył. Nie miałbym wiele do roboty;

potrzebowali tylko prestiżu mojego nazwiska. Byłem tym szczerze ubawiony. Zgodziłem się, ale na swoich warunkach i nie bez zastrzeżeń. Moje uczestnictwo w posiedzeniach prezydium wyglądało zwykle w ten sposób:

– Connie, mogę przyjść na godzinę, nie więcej. Mam na warsztacie sprawę o zgwałcenie dziecka, a o trzeciej prowadzę wykład na kursie dla obrońców w sprawach karnych.

Na jednym z tych przyjęć dla członków towarzystwa dobroczynnego poznałem Solly'ego Zide'a, pięćdziesięcioletniego mężczyznę średniego wzrostu, o twardym spojrzeniu małych piwnych oczu. Nie okazywał specjalnej zyczliwości ani mnie, ani komukolwiek innemu, ale potrafił zabłysnąć inteligencją i humorem. Connie mówiła o nim:

– Robienie pieniędzy uczynił pasją swojego życia. Uważa się za spadkobiercę Mellona i Flaglera. Co prawda nie gra jeszcze w tej samej lidze co oni, ale jeśli mu to powiedzieć, wpada w szał.

Poślubiła go, jak twierdziła, nie tyle dla pieniędzy, co dla poczucia bezpieczeństwa, które im towarzyszy. A także, by skończyć z kurewstwem, bo tym zajmowała się przez ostatni rok pobytu w Los Angeles.

Nie powiedziała tego wprost, ale domyśliłem się.

– Solly ma dwie córki z poprzedniego małżeństwa. Okropne, zepsute smarkule. Kiedy mnie spotkał, jego marzeniem było mieć syna i dziedzica. Dałam mu go. Uważam, że wypełniłam swoje zobowiązania wobec niego.

W sprawach seksu nic ich już prawie nie łączyło; to, co mąż robi poza domem, uważała za jego sprawę, pod warunkiem, oczywiście, że jest odpowiednio dyskretny.

– Lubi patrzeć na kochające się kobiety. Bawi się w inscenizowane uwiedzenia i podobne bzdury. Tylko to jeszcze go trochę rusza. Nigdy nie paliłam się do udziału w jego rozrywkach. Wiem od swoich szpiegów, że próbował wciągnąć w to Neila, ale bez powodzenia.

Neil miał wtedy dwadzieścia dwa lata. Po ukończeniu Duke University zamieszkał z rodzicami, pracował u ojca, w ZiDevco. Zapytałem, jak ze sobą żyją, ojciec i syn?

– Jak pies z kotem. Neil jest człowiekiem wrażliwym, uduchowionym. Potrafi malować, pisze, ma wrodzony talent muzyczny. Gdyby zechciał,

mógłby zostać światowej klasy fotografikiem. Jest światłem mojego życia – powiedziała Connie.

Nie powiedziała mi, ale i tak się o tym dowiedziałem, że Neil był gejem albo przynajmniej biseksualistą. Jej milczenie na ten temat oznaczało akceptację, bo kobieta tak wyrafinowana nie mogła być nieświadoma tego faktu. Chciała mieć wnuki; geje jednak żenią się – oczywiście na określonych warunkach – i mają dzieci. Co o tym sądził ojciec Neila, to już inna sprawa. Connie nigdy nie poruszała tego tematu, a ja miałem to w nosie. Naprawdę nie chciałem mieć nic wspólnego z jej życiem, jeśli nie dotyczyło to tego, co robiliśmy wspólnie w jej łóżku, na rządowych biurkach i na dywanikach przed różnymi kominkami, przy basenach i na pokładzie wynajętych łodzi i raz na krytej niebieskim sztucznym futrem desce klozetowej w zamkniętej łazience, podczas obiadu wydanego na cześć sławnego rabiego Shimkina z Miami Beach, który organizował pomoc finansową dla Izraela. Wzięty w jasyr, nie buntowałem się. Dla mnie wszak, choć nie dla rycerza z wiersza, śpiewały ptaki. Nie czułem się bezgranicznie szczęśliwy, wiedziałem jednak, że żyję. Poczucie winy nie osiągnęło nigdy natężenia mej żądz, nie pozbawiło zdolności odczuwania rozkoszy. Przygotowany byłem na jakiś piorun z nieba czy zemstę matki ziemi, która rozstąpi się pod moimi nogami, by mnie pochłonąć; albo na jakąś straszną kompromitację, która narazi na szwank moje małżeństwo i moją karierę. Nic takiego wtedy się nie wydarzyło.

6

Podczas przerwy na lunch pierwszego dnia procesu Darryla Morgana w kwietniu 1979 roku spacerowałem z Connie Zide wzdłuż południowego brzegu St. Johns River. Do dziś pamiętam szarą taflę wody niemal nieruchomej w kwietniowym upale. Na wschodzie, nad Atlantykiem, zamigotał zygzak błyskawicy.

– Ted, kochanie, muszę prosić cię o przysługę.

Pozostawiłem bez komentarza ten czuły zwrot – kac po miłości, jeśli istotnie była to miłość.

Do tej grudniowej nocy, kiedy zginął Solly, Connie była piękną kobietą. Teraz jej lewy policzek przecinała blizna, ciemne worki wisały pod przekrwionymi oczyma. Przytyła. Nadal jednak była mi bliska; pozostałem lojalny wobec swych wspomnień.

– Słucham, Connie...

Zbliżało się południe. Byłem w koszuli z podwiniętymi rękawami, marynarkę od garnituru niedbale zarzuciłem na ramię. Czubkami palców lekko dotykała mego nagiego przedramienia. W miejscu, gdzie stykały się nasze ciała, tworzyły się małe jeziora potu. Wciąż była w niej jakaś moc.

– Wiem, że w życiu nigdy nic nie wiadomo. Tym bardziej trudno o jakąś pewność w procesie o morderstwo. Ale ja muszę wiedzieć, co się stanie.

Jej mąż – nieważne, jak mało dla niej znaczył – został zamordowany na jej oczach. Sądziłem, że wiem, o czym myślała: co będzie, jeśli jakimś dziwnym trafem Darryl Morgan wyjdzie z sądu jako wolny człowiek? System sprawiedliwości nie jest doskonały, prokuratorzy i sędziowie tym

bardziej. Swego czasu naopowiadałem jej mrozących krew w żyłach historii sądowych i to było źródłem obecnych wątpliwości.

Przystanęliśmy na brzegu; nad wodą unosiła się fioletowa mgła. Spojrzałem na jej oszpeconą twarz i powiedziałem:

- Ława przysięgłych uzna Morgana za winnego.
- Nie o to mi chodzi. Ted, czy nigdy nie żał ci mordercy?

Zawahałem się.

– Connie, najdroższa – powiedziałem bez zastanowienia i wziąłem ją za rękę – wielu z nich to po prostu źli ludzie. Taki Morgan włożyłby ci do torebki grzechotnika, a potem poprosił o ogień. Ale owszem, żał mi go, bo coś musiało go takim uczynić. A poza tym on i Smith nie przyszli tej nocy do twojego domu z zamiarem zabicia Solly'ego czy zranienia ciebie.

Stała nieco bokiem do mnie, tak bym nie widział blizny na policzku, toteż nie bardzo mogłem wyczytać z twarzy jej reakcję.

- Czy będziesz żądał kary śmierci?

Znów się zawahałem.

- Czy chcesz, żeby Morgan został stracony?
- Nie – odrzekła.

Byłem zaskoczony, zrozumiałwszy wreszcie jej intencje.

– Ja też nie. Musisz jednak zrozumieć, że jeśli uznają go za winnego, będę musiał zażądać kary śmierci. – Ponownie dotknąłem jej ręki i poczułem, jak jest gorąca. – Zrobię to, ale może nie dość zdecydowanie, by wygrać.

Spadł rześisty, wiosenny deszcz. Słońce przeświecało przez strugi wody bębniącej o szyby sali sądowej. Gary Oliver musiał podnieść głos, aby jego słowa dotarły do wszystkich obecnych:

- Obrona wzywa Darryla Morgana!

Nie było to konieczne: każdy obrońca informuje o tym swojego klienta; przed procesem każdy sędzia zwraca na to uwagę ławy przysięgłych. Podstawową zasadą naszego systemu prawnego, panie i panowie, jest domniemanie niewinności. Podsądny jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Tak więc nie wolno wam z faktu odmowy złożenia zeznań

wyciągać niekorzystnych dlań wniosków.

Z doświadczenia wiedziałem, że winni rzadko decydowali się świadczyć we własnej obronie. Bali się przesłuchania oskarżyciela. Dobry prokurator rozniósłby ich na strzępy. Morgan przyznał się do morderstwa; nie miał czego szukać na miejscu dla świadków. Dlaczego Oliver pozwolił mu zeznawać? Czyżby był aż tak nieudolny?

Diabli mnie brali, ale nic już nie mogłem zrobić.

Oskarżony w kilku zaledwie krokach pokonał odległość dzielącą go od krzesła dla świadków. Ubrany był w niebieską drelichową bluzę z długimi rękawami, drelichowe spodnie i więzienne czarne trzewiki. Mimo młodego wieku przewyższał rozmiarami wszystkich mężczyzn na sali, łącznie z roslymi zastępcami szeryfa, których zadaniem było mieć go na oku na wypadek, gdyby wpadł w szal. Jego białe zęby wyraźnie odcinały się na tle brunatnej twarzy, o masywnej wystającej szczęce. Wyglądał jednak bardzo młodo, niemal dziecinnie. Wtedy nie wiedziałem, że na wewnętrznej stronie nadgarstka miał wytatuowane niebieskim tuszem FUCK YOU; na mięśniu naramiennym uwieczniona została PAULINE, a w poprzek jednego z potężnych bicepsów biegły słowa URODZONY, BY NIEŚĆ ZŁO. Tatuaze te były pamiątką po pobycie w więzieniach, gdzie Morgan spędził znaczną część swego krótkiego życia.

– Rób, co chcesz, bracie – powiedział mu Gary Oliver – tylko nie podwijaj w sądzie rękawów, słyszysz?

Morgan niezgrabnie zajął miejsce na drewnianym krześle. Białka oczu obrysowane miał czerwoną obwódką. Ciemne tęczówki cętkowane żółtymi plamkami połyskiwały dziko, gdy nieufnie rozglądał się po wrogim mu otoczeniu. Pocił się, choć sala sądowa była klimatyzowana.

Przez ponad godzinę Oliver naprowadzał Morgana na kolejne argumenty obrony. Pod koniec zapytał:

- Nie zaprzeczasz, że chciałeś okraść dom pana Zide'a?
- Chciałem – dźwięcznym barytonem odparł Morgan.
- Ale nie zastrzeliłeś pana Zide'a?
- Nie.
- Zaklinam cię, powiedz przysięgłym szczerą prawdę i niech piorun z

nieba spali cię na miejscu, jeśli skłamiesz! Czy ty albo William Smith raniliście w twarz panią Constance Zide, a potem zostawili tę biedną kobietę na pastwę śmierci?

– Nie.

Żadne rozstrzygnięcie w postaci białego błysku przenikającego sufit sali sądowej nie nastąpiło. Przysięgli wyglądali na zadowolonych z takiego obrotu rzeczy – siedzieli zaledwie sześć metrów od oskarżonego. W świetle neonówek kości policzkowe Morgana błyszcząły miedzią, jakby pomalował twarz szykując się do jakiejś plemiennej ceremonii. Niedobrze – dziewięciu z dwunastki przysięgłych było białych. Gdybym napotkał Darryla Morgana w ciemnej uliczce, ominąłbym go w możliwie największej odległości.

– Darryl, czy tamtej nocy wyrzuciłeś do oceanu pistolet kalibru trzydzięci osiem?

– Nie.

– A gdzie indziej?

– Nie, nie wyrzuciłem trzydziestkiósemki, bo nigdy nie miałem trzydziestkiósemki. William miał wtedy przy sobie trzydziestkędwójkę. I ją wyrzucił do oceanu, zanim nas aresztowano.

– Świadek do dyspozycji oskarżenia! – zawołał Oliver i tryumfalnie uśmiechnął się w stronę ławy przysięgłych, jakby zeznania jego klienta rozstrzygnęły wszystkie wątpliwości.

Na twarzy Darryla Morgana widniał gniew, nie było na niej tryumfu. Spojrzał na swojego adwokata, potem na mnie, wreszcie w górę, na sędziego Eglina. Z tego spojrzenia mógłbym wyczytać wszystkie jego myśli. Zresztą nie starał się ich ukrywać.

„Cokolwiek by człowiek zrobił, i tak te skurwysyny uznają cię za winnego. Przyjdzie głową zapłacić za swój niefart. Zabiją cię albo zamkną w klatce na resztę życia”.

A potem, z niewytłumaczalnych dla mnie powodów – bo w tym czasie mogłem sobie tylko wyobrażać jego myśli – Morgan uśmiechnął się.

Jego ojczym, A.J. Morgan mówił mu zawsze: „Grunt to się nie przejmować. Zachować spokój. Uśmiechaj się do nich, a za cholere nie pokapują się, co naprawdę myślisz. Potakuj im, a powiedzą: Robię z tym czarnuchem,

co chcę”.

Nie przejmuj się, myślał Darryl, bo życie nie jest tego warte. Siedź, chłopcze, i przyglądaj się. Zobaczymy, co się stanie; ile będziesz mógł znieść.

Ze swojego miejsca przy stole oskarżenia patrzyłem na czarnego chłopaka: dwa metry wzrostu, sto dwadzieścia kilogramów mięśni i lśniącej skóry. Dlaczego nie znajdował się teraz razem z Earlem Monroe na boisku baseballowym? Dlaczego nie został drugim Joe Greenem Ligi NFL? Niektórym z podobnych mu młodych ludzi udało się wyrwać z bagna, w którym wyrosli. Większość jednak tego nie potrafiła, i on był jednym z nich. Prawo zaś stanowiło, że to on sam – nie jego geny, a tym bardziej nie społeczeństwo – odpowiada za swoje czyny.

Deszcz ucichł. Po betonie i szkle ślizgały się promienie słońca, szukając drogi do chłodnego wnętrza sali sądowej. Wstałem, by przystąpić do przesłuchania świadka; po raz pierwszy stanąłem twarzą w twarz z Darrylem Morganem.

– Panie Morgan, nie zaprzecza pan, że o drugiej nad ranem działając wspólnie z Williamem Smithem wtargnął pan na teren posiadłości państwa Zide'ów?

– Już mówiłem, że tak było.

– Przyznaje pan, że na plaży koło domu podał pan psu, dobermanowi imieniem Paco, zatrute mięso.

– Zrobiłem to. Ale nie wiedziałem, że mięso jest zatrute. Myślałem, że go tylko uśpię. William mnie okłamał. – Wydawał się dotknięty tym kłamstwem.

– Mógł pan zbliżyć się do Paco, ponieważ pies znał pana, prawda? Ufał panu i lubił go? Zgadza się?

– Zgadza – przyznał Morgan z kamienną twarzą.

– Zaprzecza pan jednak, jakoby zaskoczyło go pojawienie się Solomona Zide'a?

– Nie widziałem tam nikogo oprócz niej – mruknął Morgan, wskazując Connie Zide.

- I utrzymuje pan, że Willie Smith nie zranił nożem pani Zide?
- William tego nie zrobił.
- I nocą 5 grudnia ubiegłego roku – patrząc prosto w dzikie, żółte oczy, podniosłem nieco głos – nie strzelił pan dwukrotnie w pierś Solomona Zide'a?
- Nie zrobiłem tego.
- A wieczorem 9 grudnia 1978 roku, kilka dni później, przebywając w więzieniu hrabstwa Duval, nie przyznał się pan do popełnienia morderstwa detektywowi Floydowi Nickersonowi?
- Tego też nie zrobiłem.
- I około 3 stycznia bieżącego, 1979 roku, w tym samym więzieniu hrabstwa Duval, nie powiedział pan w obecności towarzysza z celi, Jerry'ego Lee Elroya – zajrzałem do notatek – „siedzę po uszy w gównie, bo próbowałem zrobić jeden dom i zastrzeliłem pewnego Żyda... potem przyleciała jego żona i musiałem walnąć jeszcze i tę dziwkę”?
- Nie powiedziałem czegoś takiego. Nie.
Ten młody wielkolud miał tupet; musiałem mu to przyznać.
- Czy pańskim zdaniem Constance Zide, która zeznała pod przysięgą, że widziała pana nad zwłokami męża z pistoletem w dłoni, pomyliła się, czy skłamała?
- Ja tego nie zrobiłem. Nie wiem, dlaczego ona powiedziała to, co powiedziała. Ona wie, że to nieprawda.
- A zeznania Neila Zide'a, syna ofiary, też są albo pomyłką, albo kłamstwem?
- Ja tego nie zrobiłem.
- Wysoki Sądzie, proszę zwrócić świadkowi uwagę, że powinien odpowiadać na pytania.
Sędzia Bill Eglin spojrział na Morgana z wysokości swojego fotela.
- Darryl, po prostu powiedz nam, czy zeznania Neila Zide'a były błędne czy fałszywe. To wszystko, o co pyta pan Jaffe.
- Jedno albo drugie.
- Policjant Nickerson i Jerry Lee Elroy także albo kłamali, albo się pomylili?

– Nie pomylili się – rzekł Morgan; wznosił głos do tenoru. – Oni kłamią.

Pozwoliłem przysięgłym przetrwać tę rewelację. W czasie kompletowania ławy przysięgłych kandydatom zadano pytanie, czy bez wahania zaakceptowałyby zeznania funkcjonariusza policji. Wybrano tych, którzy odpowiedzieli: „Nie, kierowałbym się własnym osądem”. Prawda była jednak taka, że zawsze wierzyli gliniarzom.

– Panie Morgan, czy skłamałby pan, aby ratować swoje życie?

Czekałem na sprzeciw, ale Gary Oliver milczał, ogryzając koniec ołówka.

– Ja nie kłamię – warknął Morgan.

– Nie o to pytałem. Moje pytanie brzmiało: Czy skłamałby pan, gdyby od tego zależało pańskie życie?

– Nie umiem na to odpowiedzieć.

Oświadczyłem, że nie mam więcej pytań.

– Nie mam pytań – powiedział Gary Oliver. – Obrona zakończyła przedstawianie świadków.

Morgan tymczasem kontynuował zaczętą myśl:

– Człowiek robi różne rzeczy, których nie powinien. To właśnie chciałem powiedzieć. Ale nikogo nie zabiłem! Tu się pan myli, panie prokurator.

– Dość! – Sędzia Eglin rozkaszał się; cierpiał na jakąś niedyspozycję dróg oddechowych i ten kaszel brzmiał jak szczekanie psa. – Odprowadzić świadka na miejsce!

Po krótkiej przerwie Gary Oliver podniósł się z krzesła i zajął pozycję tuż przed ławą przysięgłych. Kiedy tak bezceremonialnie wtargnął na ich terytorium, jeden czy dwóch sędziów cofnęło się odruchowo. Oliver tego nie zauważył. Rozpoczął swoje końcowe przemówienie.

– Spójrzcie państwo: oto zwyczajny kolorowy chłopiec z getta. Nie-wykluczone, że w sobotni wieczór zapali trawkę, że kogoś okradnie. Ale nie ma w nim nic z mordercy! Myślę, że pan Solomon Zide, bogaty biznesmen, miał wielu wrogów. Wielu ludzi miało powody życzyć mu śmierci i prawdopodobnie znalazł się wśród nich ktoś, kto go zabił. Pani Zide mówi: „To

on. To Darryl Morgan jest zabójcą”. Jej syn, Neil, twierdzi to samo. Ale tej strasznej nocy było naprawdę bardzo ciemno, a podsądny, jak państwo wiedzą, jest ciemnoskórym chłopcem. Jak więc mogą być pewni, że to był on? Nie wiadomo, kto jeszcze był tam tej nocy. Wierzę temu chłopcu, kiedy mówi, że jest niewinny. Nie wierzę natomiast Jerry'emu Lee Elroyowi. Nie wierzę ani trochę. Moim zdaniem to zawodowy kapuś, proszę państwa. Śmieć! Co zaś tyczy się detektywa, który twierdzi, że mój klient przyznał mu się do winy... cóż, przyznaję, to trudna sprawa. Ale dlaczego mielibyśmy wierzyć jego słowom...?

Słuchałem, machinalnie gryzmołąc w notatniku eksplodujące rakiety kosmiczne. Mógłbym zerwać się na nogi i zgłosić sprzeciw, zaprotestować przeciwko dzieleniu świadków na mniej i bardziej wiarygodnych, przeciw godzeniu w ich dobre imię. Milczałem jednak.

Kiedy Oliver skończył, wstałem, policzyłem do dziesięciu i rzekłem:

– Jeśli wyląduję kiedyś na miejscu zajmowanym w tej chwili przez oskarżonego i stanę wobec perspektywy śmierci na krześle elektrycznym, to jedno mogę państwu zagwarantować: będę łgał, dopóki nie osiwieję i moje zęby nie wypadną na podłogę sali sądowej.

Kilku przysięgłych uśmiechnęło się. Większość pokiwała głowami.

Oni też by łgali.

– Istnieją materialne dowody obecności oskarżonego na terenie posiadłości Zide'ów w czasie popełnienia przestępstwa. On sam przyznał, że tam był. Pani Zide zidentyfikowała go jako człowieka, który brutalnie zamordował jej męża. Oskarżony pracował u niej jako pomocnik ogrodnika. Nie wskazała na niego podczas konfrontacji. Ona go знаła! Neil Zide, który był naocznym świadkiem zabójstwa ojca, także rozpoznał oskarżonego; tu, na sali sądowej. W tych okolicznościach uzasadnione jest żądanie orzeczenia winy oskarżonego. Tymczasem, oprócz tego wszystkiego, dwaj ludzie, w tym weteran policji Jacksonville, stwierdzili, że podsądny przyznał się do popełnienia morderstwa. W połączeniu z wynikami identyfikacji jest to, panie i panowie, potężny dowód. To dowód rozstrzygający ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość. A jednak pan Morgan powiada: „Ja tego nie zrobiłem”.

Zawiesiłem głos, by przydać wagi następnej kwestii.

– A cóż, do diabła, może on mówić?

Westchnąłem, jakby przygnieciony ciężarem prokuratorskiego obowiązku i nieszczęściem oskarżonego. I nie była to tylko gra.

– Dowody winy oskarżonego są przytłaczające. Proszę, abyście spełnili swoją powinność. Uznali Darryla Morgana za winnego.

Kątem oka zauważyłem, że Morgan uśmiecha się do przysięgłych. W tej sytuacji, pomyślałem, uśmiechać się może tylko człowiek szalony.

Na uzgodnienie werdyktu wystarczyło przysięgłym dwadzieścia minut. Przewodniczący odczytał jego treść, oczywiście, zgodną z powszechnymi oczekiwaniami.

Głos zabrał sędzia Eglin:

– Dziękuję państwu. Jednomyślnie uznaliście oskarżonego za winnego zbrodni morderstwa pierwszego stopnia. Jutro rano przedstawione zostaną dowody i argumenty stron, które pomogą wam zdecydować, który z dwóch rodzajów kary dla oskarżonego chcecie zalecić. Przedstawię wam ze stosownymi wyjaśnieniami listę dziewięciu przewidzianych przez prawo okoliczności obciążających i siedmiu okoliczności łagodzących, które musicie wziąć pod uwagę podejmując decyzję. Zarekomendujecie albo karę śmierci przez stracenie na krześle elektrycznym, albo dożywotnie więzienie bez możliwości zwolnienia przed upływem dwudziestu pięciu lat. Prawo stanu Floryda nie przewiduje innych możliwości. Wasza rekomendacja nie będzie wiążąca dla sądu. Ostateczna decyzja należy do mnie. Odraczam posiedzenie sądu do godziny dziewiątej rano. – Sędzia zakaszał dwukrotnie i sięgnął po młotek.

7

Postanowiłem sobie co wieczór po powrocie do domu przepływać pięćdziesiąt długości basenu. Następnie z poczuciem wypełnionego obowiązku kierowałem się zwykle do baru w bawialni i przyrządzałem martini z wódką.

Nasz dom: klinkier, marmur, szkło; wysoki oszklony hol i tropikalny ogród. Przy pomoście należącej do nas przystani cumował dziewięciometrowy słup. Dalej rozciągała się Sarasota Bay i Zatoka Meksykańska. Przeprowadziliśmy się tu z drewnianego bliźniaka na Siesta Key, w nieporównanie gorszej dzielnicy. Niewątpliwie warto było go zamienić na tę willę, stosowną dla wspólnika znanej firmy adwokackiej.

Nie to jednak było powodem naszej przeprowadzki.

Pewnego ranka blisko dwa lata temu wyciskałem sok z pomarańczy próbując jednocześnie czytać ogólnokrajowe wydanie *New York Timesa*, kiedy zadzwonił telefon. Nasz syn, Alan, miał wtedy osiemnaście lat i uczył się w ostatniej klasie szkoły średniej – poranny telefon był od jego wychowawcy, pana Variano. Prosił, abyśmy z Tobą przyszli się z nim zobaczyć.

Jeszcze tego samego popołudnia karnie stawiliśmy się w szkole.

– Alan to dobry chłopiec – powiedział Variano – wrażliwy, sympatyczny, ciekawie się z nim rozmawia...

Toba zarumieniła się, jakby to jej prawiono komplementy.

– Sądziliśmy, że wzywa nas pan, ponieważ z Alanem są jakieś kłopoty.
– ...o ile nie jest akurat naćpany – Variano dokończył rozpoczęte zdanie – co zdarza się dość często.

Dwukrotnie, oznajmił, Alana przyłapano na paleniu marihuany na terenie

szkoły. Często zasypia na lekcjach. Regularnie opuszcza zajęcia.

- Państwo o tym nie wiedzieli? – zapytał.
- Właściwie nie – bąknąłem.
- Niedawno został aresztowany, prawda?

Przytaknąłem ostrożnie.

– W lipcu, na plaży, razem z Bobbym Woolfordem. Mieli przy sobie odrobinę trawki. Sąd dla nieletnich zwolnił ich od odpowiedzialności karnej. Skończyło się na kazaniu. Pan wybaczy, ale nie sądzę, żeby było to coś poważnego.

Variano zajrzał do swojego notesu.

– Mamy powody sądzić, że Alan i jego przyjaciele, bliźniaki Backer, Woolford i Susan Hoppy, od trzynastego roku życia palą marihuanę. Siedzą w tym po uszy. Od roku czy dwóch lat sprzedają też niewielkie ilości narkotyku innym dzieciom. Czy wiedział pan o tym, panie Jaffe?

– Na pewno nie o sprzedaży. Co do innych spraw, to może, w pewnym sensie... Ale tak jak pan to przedstawia... – Czuję, jak żołądek ściska mi się w twardą kulę. – Panie Variano, czy zna pan naszą córkę, Cathy?

– Owszem, chociaż nie była w mojej klasie. Zdaje się, że jest teraz na pierwszym roku Cornell.

Co próbowałem mu powiedzieć? Że Cathy jest wspaniałym dzieckiem, świetną studentką, pełną zapału, gotową zbawiać cały świat, więc niech nie będzie taki surowy?

– Czy chodzi tylko o marihuanę – głos Toby zionął chłodem – czy także o twarde narkotyki?

– O marihuanę, pani Jaffe, ale założę się o swoją wypłatę, że te dzieciaki próbowały już wszystkiego. LSD, grzybki, haszysz, kokaina, crack, amfetamina – to wszystko jest dla nich osiągalne.

– Marihuana ich nie zabije, czyż nie?

– W dużych ilościach może zabić, pani Jaffe. Mówimy o skrętach wielkości cygar. To może zrobić kaszę z mózgu pani syna.

Ściany pokoju Alana zakrywały plakaty z podobiznami gwiazd rocka, kulturystów, motocykli harley-davidson i filmów z Bogartem. Na podłodze

poniewierały się hantle i pierścienie do sztangi. Alan odziedziczył po matce ciemne włosy, a po mnie wątłą budowę ciała; pracował jednak nad swoimi muskularni, zdecydowany zostać nastoletnim Schwarzeneggerem.

Popłakał się, kiedy rozmawiałem z nim tego wieczora. Przyznał, że chłopcy palą trawkę w magazynku dozorce; podwędzili mu klucz. Sprzedał kolegom kilka uncji towaru, zdarzyło się.

– Nic na tym nie zarobiłem. Chodziło po prostu o przysługę.

– Próbowałaś cracku?

– Nic z tych rzeczy. To daje złą karmę, tato.

– A kokainy?

– Razy czy dwa razy. Nic po niej nie czułem. A poza tym to świństwo kosztuje kupę forsy.

– Pan Variano mówił coś o skrętach wielkości cygar. Czy to prawda?

Alan zagryzł wargi, ale skinął głową.

– Chcesz z tym skończyć?

– Tak. Wiem, że to niszczy moje życie.

Byłem zadowolony. Takie wyznanie powinno mieć dla niego wartość terapeutyczną.

– Jeśli wiesz o tym, Alanie, i jeśli istotnie chcesz zerwać z paleniem, możesz tego dokonać. I dokonasz.

Przypomniałem sobie, co wiele lat temu Toba mówiła na temat opuszczenia Jacksonville w poszukiwaniu „przyzwoitej” szkoły dla naszych dzieci. Westchnąłem.

Wiosną szkoła zawiadomiła nas, że Alan nie otrzyma świadectwa razem ze swoimi kolegami. Oblał egzaminy z historii USA i fizyki.

Wtedy to zdecydowaliśmy się przeprowadzić na Longboat Key. Zabrać syna od palących koleżków, umieścić w nowym otoczeniu, gdzie spokojnie powtórzy zawalony semestr.

– Chcę go też zapisać na terapię odwykową – oświadczyłem. – Zebrałem trochę informacji. W śródmieściu działa niezła grupa terapeutyczna.

Toba protestowała przeciwko traktowaniu naszego syna jak narkomana.

– Ted, w latach sześćdziesiątych w college'ach trawka to był styl życia. Czy to zmieniło w kaszę twój mózg albo mój? Nadal zdarza nam się zapalić

na przyjęciu... przynajmniej tobie. Alan po prostu jest... sama nie wiem, kim on jest.

– A więc przekonajmy się – powiedziałem.

Po przeprowadzce na Longboat Key Alan zaczął dwa razy w tygodniu chodzić na sesje terapeutyczne. Rodzicom zalecano udział w odbywających się równoległe spotkaniach informacyjnych. Toba nie chciała w nich uczestniczyć.

– Niczego nowego się nie dowiem – oświadczyła.

Ja jednak jeździłem z Alanem. Pojechałem także wieczorem tego dnia, gdy w więzieniu hrabstwa Sarasota spotkałem się z Jerrym Lee Elroyem.

Spotkania odbywały się w szkole podstawowej w Newtown, czarnej dzielnicy na północ od centrum. W klasie zebrało się około trzydziestu ojców i matek. Siedzieliśmy w ciasnych ławkach o blatach z powycinanymi inicjałami. Większość obecnych stanowili Murzyni albo Latynosi.

Do krążącego po sali dzbanka wrzuciłem czek na pięćdziesiąt dolarów, wciskając go pod wymięte piątki i dziesiątki.

Staralem się. Dlaczego i mój syn miałby się nie postarać?

Jako ojciec stawałem przed pewnym fundamentalnym dylematem. Rzecz w tym, że jakiegokolwiek rady udzieli się swemu dziecku, jakich dostarczy mu się przykładów, ono – zgodnie z jakimś niepisanym prawem natury – i tak postąpi dokładnie odwrotnie. Albo znienawidzi cię za wtrącanie się w jego sprawy.

– Nie praw mu zbyt wielu kazań – mówiła mi Toba. – Masz skłonność do dogmatyzmu.

Nienawidziłem tego słowa: „dogmatyzm”. Może dlatego, że było tak trafne.

Próbowałem skupić się na tym, co działo się w przegrzanej szkolnej sali. Jedna z matek opowiadała o swoim dwudziestoletnim synu, który przyszedł do domu i poprosił o coś do jedzenia.

– Wiedziałam jednak, że jak tylko znajdzie jakieś pieniądze, to mi je ukradnie. Byłam na niego wściekła. Powiedziałam: „Dopóki bierzesz, nie pokazuj mi się na oczy!” Dwa dni później wezwali mnie do szpitala. Powiedzieli: „Jest tu Elston; niedożywiony, chory, i mówi, że mama wykopała

go z domu”. A ja na to: „Kiedy przestaniesz zabijać się kokainą, przyjmę go z powrotem”.

Grupa biła brawo; kobieta wycierała łzy z twarzy. Co by się stało z Elstonem, gdyby nie matka? Czy ja zrobiłbym to samo co ona? Twarda miłość – tego podobno trzeba było naszym dzieciom. Jeśli będziemy pobłażać im, przebaczać, dojdą do wniosku, że świat potraktuje je tak samo.

W drodze do domu rozmawiałem z Alanem.

– Jak ci się to podoba, synu?

– W porządku, tato. Siadamy całą grupą i każdy opowiada, jakim był debilem, kiedy się naćpał, jakie robił świństwa, i że nie bierze już od dwudziestu dni czy trzydziestu, a reszta bije brawo. Potem trzymamy się za ręce i powtarzamy modlitwę o spokój ducha.

– Ty też wstajesz i opowiadasz o sobie?

– Już nie. Nie biorę.

– Chcesz z tego zrezygnować?

– Już wiem, jak straszną rzeczą są narkotyki. Mógłbym więcej czasu poświęcić na naukę. Mam straszne sęki z fizyką.

Dojechaliśmy do domu. Alan wcisnął guzik pilota otwierającego bramę.

– Muszę się zastanowić – powiedziałem. – Porozmawiam o tym z mamą.

Nad Sarasota Bay rozbłysły gwiazdy. Pochyliłem się ku Alanowi i uściskałem go, pamiętając, że mój własny ojciec nigdy tego nie robił. Leonard – który kilka lat wcześniej umarł w St. Augustine na zawał serca – uważał, że mężczyźnie podaje się rękę, ale nie ściska go czy całuje. Kiedy wróciłem ze swojej łajdackiej wyprawy do Europy przed wstąpieniem na prawo, przy powitaniu objąłem go i ucałowałem w oba policzki. Zaczerwienił się i cofnął odrobinę, aby przypadkiem nie zetknęły się nasze podbrzusza.

Toba była na górze, przed telewizorem. Z kieliszkiem remy martin do towarzystwa poszedłem na przystań. Pod gromadzącymi się w oddali chmurami wody zatoki lśniły srebrzystą szarością. Z przeciwnej strony Longboat Key dochodził łagodny chłupot fal.

Kilkanaście lat temu, myślałem, życie było prostsze. W Jacksonville

wystarczył mi do szczęścia kawałek kurczaka na zimno i puszka meksykańskiego piwa. Teraz szukaliśmy z Tobą trzygwiazdkowych restauracji i nie tknęlibyśmy chardonnay tańszego niż dwadzieścia dolarów za butelkę. Jeździłem wtedy starą hondą, a Toba przypominającym czołg volvo combi. Dziś mieliśmy cztery samochody: moje porsche, jaguara Toby, ręcznie malowanego pontiaca rocznik 82 Alana, prawdziwego pożeracza benzyny, i toyotę, którą Cathy zabrała ze sobą wyjeżdżając do Ithaca. Rujnowałem się na cztery polisy ubezpieczeniowe i wspierałem gospodarkę czterech państw.

Ponad wodą mignęło smoliście czarne, wygięte w łuk cielsko morświna. Cathy przywiozła mi kiedyś nalepkę na zderzak mojego wozu ze słowami: MOJA CÓRKA I MOJE PIENIĄDZE POSZŁY DO CORNELL; śmiałem się. Ale kiedy potem spojrzałem na ten napis, poczułem się raczej ograbiony niż utwierdzony w swojej hojności. Cathy wspominała już o studiach podyplomowych. Nie zamierzała zostać prawniczką; chciała zdobyć stopień naukowy, który umożliwi jej podjęcie niskopłatnej pracy w Waszyngtonie, polegającej na wydawaniu moich podatków na pomoc dla biednych mieszkańców Etiopii lub Bangladeszu. Ta pieprzona recesja, pomyślałem, przyszła wyjątkowo nie w porę.

Ale czy jest odpowiednia pora na recesję?

Wróciłem do domu, do gabinetu – swojej nory – i przez chwilę próbowałem czytać nową powieść le Carrégo. W kuchni cichutko tykał zegar. Nad domem unosiły się mewy; tak nisko, że słyszałem łopot ich skrzydeł. Ucichła pompa filtru w basenie. Noc wypełniła się niemal namacalną, cudowną ciszą.

Życie ma swój rytm, dumałem. Rutyna jest tym, co puszcza je w bieg i zarazem łagodzi dolegliwość istnienia. Niezliczone chwile nanizane na nitkę czasu tworzą całość, upstrzoną błyskami rozkoszy, bólu, zwątpienia i pożądania. Chcę. Nie mogę. Pragnę. Oto motywy tego wzoru. Miałem czterdzieści osiem lat. Wkrótce będzie po wszystkim i, jeśli u kresu starczy mi odwagi, zadam sobie pytanie: Po co to było? Czego tak naprawdę dokonałeś?

I jaka będzie na nie odpowiedź?

Pomyślałem wtedy o swojej siedemdziesięciodwuletniej matce, bo wie-

działem, co ona odpowiedziałaby na te pytania. Staralem się jak najczęściej odwiedzać ją w jej mieszkaniu w West Palm Beach, należącym do spółdzielni mieszkaniowej Century Village. Przeprowadziła się tam po śmierci taty. Wolna od więzów małżeńskich, została na stare lata obieżyświatem: była w Izraelu, opłynęła morza południowe, latała z przyjacielem do Nowego Jorku na przeglądy teatralne i zwiedziła wszystkie parki narodowe na Zachodzie. Wreszcie osiadła w La Jolla, by opiekować się swoimi kalifornijskimi wnukami. Moja siostra spotkała ją kiedyś w Jerozolimie i razem odbyły wycieczkę do osiedli na zachodnim brzegu Jordanu. Zadzwoiła do mnie po powrocie do La Jolla.

– To była zorganizowana grupa – opowiadała Rhoda – ale od razu zorientowałam się, o co chodzi... Ona była z mężczyzną, który się nazywa Sam Schatz. Emerytowany dealer Cadillaca z Cleveland.

– Mama sama ci o tym powiedziała?

– Teddy, ja nie przesłuchuję ludzi jak ty. Jestem psychologiem. W moim świecie intuicja jest ważniejsza niż dowód. Po prostu wiedziałam.

Matka utyla ostatnio, ale w jej oczach było więcej blasku niż kiedyś. Niczego sobie nie odmawiała. Ufarbowała włosy na jasny brąz, nosiła pistacjowe spodnie, meksykańskie kwieciste bluzki i białe włoskie pantofle. Mówiła „gówno” i „pieprzę”, słowa, których nie słyszałem z jej ust, kiedy mieszkaliśmy w Jacksonville. Oglądała w telewizji *60 minut* i *A i E*.

Moje duszne rozterki i wątpliwości skwitowała kiedyś słowami:

– Teddy, o większości rzeczy decyduje przypadek. Kto wie, co się zdarzy? Więc rób, co do ciebie należy. Bądź miły, ciesz się życiem i staraj się nie przejmować.

Toteż się starałem.

Kiedy o wpół do dwunastej kładłem się do łóżka, Toba nawet nie drgnęła. Kochałem ją; była mi towarzyszką życia. Niestety – chrapała. Jeśli ją zbudzę, będzie obrażona, powie, że to nieprawda i niebawem znów zacznie chrapać. Nie zapalając światła odszukałem na nocnym stoliku woskowe zatyczki do uszu. Po ich włożeniu słyszałem tylko nieszkodliwy, odległy szum, jakby morza.

„Nisze spokoju w burzy...” *

Kiedyś czytywałem Keatsa. Kiedyś marzyłem, że stanę przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych, aby walczyć o życie człowieka.

Rada mojej matki okazała się dobra tylko do pewnego stopnia. W ciszy i ciemności myślałem o Jerrym Lee Elroyu i o Darrylu Morganie, człowieku, którego posłałem do celi śmierci. I nawet nie musiałem zasypiać, aby koszmar senny ożył. Teraz widziałem to i słyszałem na jawie: czarną głowę w uścisku rzemieni, trzask przełącznika, przygasanie światła... wybuch niebieskich płomieni.

* J. Keats – „Oda do słowika”; przeł. S. Barańczak.

8

Kręcisz się, przewracasz się z boku na bok, zrzucasz okrycie, czujesz, że powinieneś uciekać, że musisz uciekać... wciąż jednak tkwisz w spoconym uścisku nocnego koszmaru.

Druga część procesu Morgana sprzed dwunastu lat zakończyła się szybko. W mojej pamięci pozostanie jednak jako nie kończący się przerażający sen.

Wstałem tego ranka równo ze świtem i na bosaka pobiegłem piaszczystą gładzią Neptune Beach. Fale biły o wydmy, szeleściła trawa poruszana ostatnimi podmuchami nocnej bryzy. Kiedy wracałem zdyszany, na plaży niedaleko domu już czekała Toba z kubkiem świeżo zaparzonej kawy. Drżała w porannym chłodzie.

Pot z czoła spływał mi na szyję.

– Dzięki, kochanie – wysapałem, chwytając kubek.

Razem poszliśmy w stronę domu. Nasza uliczka o tej porze była jeszcze zupełnie cicha.

– Dobrze spałeś, Ted?

– A jak myślisz?

Jak mogłem spać w ostatnią noc przed końcowym wystąpieniem w sprawie o morderstwo? Toba moje pytanie zrozumiała.

– Całe szczęście – powiedziała – że robisz to po raz ostatni.

– Tak! – I uściśnięm ją.

– Przyjść do sądu? Mam dzisiaj trochę czasu. Chcesz, żebym tam była?

– Tak, przyjdź.

Podniosłem się ze swojego miejsca za stołem oskarżenia. Miałem do spełnienia obowiązek: położyć kres życiu mordercy.

Ale Connie powiedziała, że nie chce jego śmierci. Ja też nie chciałem. Jak mógłbym z czystym sumieniem pragnąć śmierci człowieka, którego nie nienawidziłem? I nie uważałem za niebezpiecznego dla innych?

– Stan Floryda – powiedziałem spokojnie – nie przedstawi nowych świadków. Oskarżenie podtrzymuje żądanie kary śmierci na podstawie dotychczas przedstawionych dowodów.

Sędzia Eglin obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem. Nie był nowicjuszem; sądził już od trzech lat. A jednak wprawiłem go w zakłopotanie.

Gary Oliver ponownie zbliżył się do ławy przysięgłych; niczym wciele nie dobroci, rozwierał ramiona, jakby chciał zamknąć w uścisku cały świat.

Jako swego pierwszego świadka wezwał Marguerite Little. Kręciła się na krześle, jakby to było krzesło elektryczne, ku któremu zmierzał jej syn. Siwa, rozczochrana, w sukni baby-jagi, pani Morgan miała wygląd kobiety wypuszczonej na jednodniową przepustkę z zakładu dla obłąkanych.

„Zawsze był dobrym chłopcem” – do tego sprowadzało się całe jej zeznanie.

Nie skorzystałem z prawa zadawania pytań świadkowi.

Miejsce za barierką zajął A.J. Morgan, ojczym Darryla. Miał na sobie czarny garnitur, którego marynarka wydawała się dla niego o dwa numery za mała.

– Zawsze mu mówiłem, że kiedyś przeciągnie strunę. Nie słuchał mnie. Ten chłopak nie wiedział, czego chce...

– Proszę pana! – Oliver podskoczył do świadka, przerywając mu w pół słowa. – Proszę nam powiedzieć, czy w domu pański pasierb zachowywał się jak człowiek gwałtowny, brutalny?

– Nie pozwoliłbym mu na to.

– A poza domem?

– Za to przecież tu trafił, nie?

Oliver umknął w kierunku stołu obrony, pokonany przez własnych świadków.

Nadeszła pora na końcowe wystąpienie w części drugiej.

– To jeszcze chłopiec. – Gary Oliver w błagalnej pozie stanął przed ławą przysięgłych. – Nie chciał zastrzelić tego człowieka. Wszedł do jego domu z zamiarem kradzieży, ale nie zabójstwa.

– Nikogo nie zastrzeliłem! – od stołu obrony zagrział głos Darryla Morgana.

Oczy wszystkich przysięgłych zwróciły się ku niemu. Cholerny głupiec, pomyślałem. Oskarżał tych ludzi o popełnienie błędu przy podejmowaniu najbardziej ważkiej decyzji w ich życiu.

Sędzia nie sięgnął nawet po młotek. Spokojnie zastukał długopisem o blat dębowego stołu, zza którego sprawował swój urząd.

Oliver wlepił wzrok w swojego klienta, potem na powrót zwrócił się ku ławie przysięgłych.

– Kradzież jest zbrodnią, ale nie taką, za którą płaci się życiem. Popelniono nie zaplanowane morderstwo. Jeden z chłopców, przyjaciel oskarżonego, William Smith, został zastrzelony przez policję. Następny trup... czy nie sądzicie, że dość już zabijania? Pamiętajcie, że tego chłopca nie możecie winić za to, co jego przyjaciel zrobił tej pani. On ma dwadzieścia lat! Zlitujcie się! Pomyślcie: o warunkowe zwolnienie będzie mógł dopiero wystąpić jako czterdziestopięcioletni mężczyzna; jeśli mu na to pozwolicie. Może zostanie zwolniony, może nie. Ale będzie już innym człowiekiem. Dajcie mu szansę zostać tym człowiekiem. Okażcie chrześcijańskie miłosierdzie! Dajcie mu możliwość pokuty!

Oliver usiadł i otarł czoło białą jak zwykle chustką. Sędzia Eglin skinął na mnie. Oskarżenie, jako że na nim spoczywał ciężar dowodu, miało prawo do ostatniego słowa. Była to swego rodzaju coda, ostatni akord, zapowiedź wyroku.

Moim obowiązkiem było reprezentowanie stanu Floryda, bez względu na osobisty pogląd na sprawę. Uświadomiłem sobie, że jeśli nie wystąpię z repliką na wywód obrońcy, jakiś gorliwiec w rodzaju sędziego Eglina mógłby wyskoczyć z wnioskiem o wykluczenie mnie z adwokatury.

Wstałem i zacząłem mówić:

– Pod sądny, przyłapany na włamaniu przez Solomona Zide'a, istotnie mógł w poczuciu zagrożenia zareagować bez zastanowienia. Ale zdrowy

rozsądek podpowiada nam, że w takim razie musiał mieć w ręku naładowaną, gotową do użycia broń. Wiemy też z zeznań świadków, że po tym, jak Morgan zastrzelił Solomona Zide'a, Smith zwrócił się przeciw pani Zide, zaatakował nożem bezbronną kobietę. Ranił ją dwukrotnie – w twarz i w ramię. Nie wygląda to na działanie bez zastanowienia. Przeciwnie, jest w tym brutalność i wyrachowanie. A teraz zapytuję was, sędziowie przysięgli: czy Morgan zrobił cokolwiek, aby powstrzymać Smitha? Czy powiedział: „Daj spokój, Williamie! Chodźmy stąd!”? Wysłuchaliście zeznań pani Zide i wiecie, że tego nie uczynił. W swoim pouczeniu sąd powie wam, że zgodnie z naszym prawem każdy z uczestników aktu przestępczego ponosi odpowiedzialność za działanie swoich współników. Nie może być inaczej. Wyobraźmy sobie bandytę, ujętego podczas napadu na bank, który mówi: „Nie wziąłem żadnych pieniędzy, ja tylko tam stałem z bronią w ręku”. Gdyby William Smith żył, odpowiadałby na równi z Morganem za śmierć Solomona Zide'a. Na tej samej zasadzie Morgan jest winien napaści na osobę Constance Zide. Brutalność tej zbrodni stanowi okoliczność obciążającą jej miarę, że wszelkie okoliczności łagodzące, jak na przykład młody wiek podsądnego, tracą znaczenie. Dlatego też oskarżenie wnioskuję o zastosowanie kary śmierci.

Lunch zjadłem z Tobą w „The Jury Room”; przy stoliku w przeciwnym końcu restauracji siedzieli Connie i Neil Zide'owie. Jedliśmy owoce morza. Kilka minut po szesnastej wróciliśmy na salę rozpraw. Ława przysięgłych zawiadomiła o podjęciu decyzji. Przewodniczący ławy podniósł się z miejsca (był emerytowanym inżynierem – elektrykiem o rudych włosach) i odczytał z trzymanej w dłoni kartki:

– Ława przysięgłych radzi i zaleca sądowi orzeczenie wobec Darryla Morgana kary dożywotniego pozbawienia wolności bez prawa warunkowego zwolnienia przed upływem dwudziestu pięciu lat.

Pochwyciłem spojrzenie Connie Zide; pokiwała głową gestem, który, jak się domyśliłem, oznaczał ulgę. Toba także skinęła ku mnie i uśmiechnęła się. Przeniosłem wzrok na Darryla Morgana.

W jego oczach ujrzałem najczystszą nienawiść. Próbowaleś mnie zabić,

mówiły te oczy, ale ci się nie udało.

Sędzia Bill Eglin zastukał długopisem w blat stołu.

– Chcę państwu przypomnieć – zaczął, a jego głos w jednej chwili uciszył szmer wypełniający salę – że mam prawo zarówno przyjąć, jak i odrzucić rekomendację ławy przysięgłych. Ta klauzula stanowi rodzaj zabezpieczenia wbudowanego w prawo naszego stanu na wypadek, gdyby sędzia uznał, iż przysięgli przywiązują zbyt wiele wagi do okoliczności obciążających albo też łagodzących. Dzięki temu sędzia może zapobiec powstaniu błędu.

Pochylił się nad stołem, dziobatą twarz kierując w stronę ławy przysięgłych:

– Podejrzewam, że na werdykcie państwa zaważył wzgląd na młody wiek podsądnego. Proszę jednak pamiętać, że aktualne prawo naszego stanu uważa go za dość dorosłego, aby dopuścić do głosowania. Ale przede wszystkim jestem poruszony końcowym wywoдем pana Jaffe. Oskarżyciel słusznie zauważył, że podsądny odpowiada za czyn swego współnika, obecnie nieżyjącego: za napaść na panią Zide. A teraz pytam: czy oskarżony okazał skruchę? Czy przeprosił za oszpeccenie pięknej kobiety? Czy wyraził żal z powodu odebrania życia kochanemu mężowi i dobroczyńcy tego miasta? Czy wymówił to słowo, na które wszyscy czekaliśmy, słowo: „przepraszam”? Słyszeliście go. To nie było „przepraszam”!

Sędzia umilkł na chwilę. Ponury grymas zastylł na jego twarzy.

– W moim przekonaniu zbrodnia, której dopuścił się oskarżony, zasługuje na najwyższe potępienie. Odrzucam zalecenie ławy przysięgłych orzeczenia kary dożywotniego pozbawienia wolności. Darrylu Morganie, skazuję cię na śmierć. Nakazuję umieszczenie cię pod nadzorem odpowiedzialnych władz w więzieniu stanu Floryda, gdzie będziesz przebywał w ścisłym odosobnieniu do czasu egzekucji. W wyznaczonym dniu zostaniesz uśmiercony przepływem prądu przez twoje ciało w takiej ilości i o takim natężeniu, by spowodował zgon. I niech Bóg zlituje się nad tobą.

Nie wierzyłem własnym uszom. Connie Zide, przeraźliwie blada, wpatrywała się we mnie nieruchomym wzrokiem. Wtedy nic nie mogłem powiedzieć, nic zrobić. Miało minąć dwanaście lat, zanim ujrzałem ją

ponownie.

Tępy wzrokiem gapilem się na sędziego Eglina, następnie przeniosłem spojrzenie na skazanego. Usta Morgana wykrzywiała dzika furia.

Sędzia zastukał długopisem w stół. Zastępca szeryfa stojący obok Morgana błyskawicznie zatrzęsął kajdanki na jego przegubach.

– Proszę wstać! – zawołał woźny.

Sędzia, powiewając połami czarnej togi, opuścił salę rozpraw.

9

Kenny Buckram był moim przyjacielem z czasów studenckich. Niski, barczysty, o kręconych włosach, miał wygląd sympatycznego pluszowego misia. W 1990 roku trzecia i chwilowo ostatnia żona Kenny'ego przykleiła na tylnym zderzaku jego lincolna town car własnoręcznie wykonaną nalepkę: ZATRĄB, JEŚLI JUŻ BYŁAŚ ŻONĄ KENNY'EGO BUCKRAMA.

Obecnie Kenny odpoczywał po trudach ostatniego małżeństwa i – jak twierdził – miał nawet mniej przygód niż dawniej. Dwa, trzy razy w roku wypuszczał się za to do Rio lub Bangkoku, gdzie wynajmował na kilka dni apartament w hotelu i zamawiał sobie dwie, czy nawet trzy młode prostytutki.

– To upraszcza życie – tłumaczył – a na dłuższą metę pozwala zaoszczędzić sporo grosza. Jak również fluidów energii życiowej.

Fluidy energii życiowej. Określenie jak z *Doktora Strangelove*, naszego ulubionego filmu w czasach, gdy sądziliśmy, że potrafimy zbawić świat, a nawet go zmienić.

Czterdziestosiedmioletni obecnie Kenny Buckram pełnił urząd obieralnego obrońcy publicznego – szefa stanowego biura pomocy prawnej dla okręgu czwartego. Kiedy Ruby powiedziała mi, że Darryl Morgan żyje i nadal przebywa w celi śmierci, poprosiłem ją, aby połączyła mnie z biurem Kenny'ego w Jacksonville.

– Nie ma mowy, żebyś mieszkał w hotelu – oznajmił, gdy powiedziałem mu o zamiarze podróży do Jacksonville. – Nie wygłupiaj się, Ted. Nie widzieliśmy się od lat! Mam dom obok plaży, a w nim mnóstwo pustych

pokoi. Chwilowo jestem kawalerem.

W srodę poleciałem do Jacksonville. Wieczorem, zaopatrzywszy się w kilka butelek zimnego pilznera urquell, poszliśmy z Kennym na plażę. Po całodziennym upale wieczór wydawał się chłodny. Nad wodą niósł się skwir mew. Postanowiłem opowiedzieć Kenny'emu, czego dowiedziałem się od Jerry'ego Lee Elroya.

– Przecież jesteś prokuratorem – odparł. – Nie możesz nie wiedzieć, że większość ludzi gotowa jest sprzedać własną duszę, byle tylko wydostać się z więzienia. Wsadź mnie za kratki, a będę jednym z nich...

Minęliśmy tablicę z napisem: MIASTO ATLANTIC BEACH. *Zabrania się biwakowania, zaśmiecania terenu, spożywania napojów alkoholowych, używania szklanych naczyń, poruszania się pojazdami mechanicznymi, posługiwania się deskami surfingowymi bez linki zabezpieczającej, wyprawadzania psów bez smyczy i tabliczki identyfikacyjnej wydanej przez Atlantic Beach City. Właściciel psa obowiązany jest do usunięcia odchodów. Prosimy o ścisłe przestrzeganie powyższych przepisów. Dziękujemy.*

– Dobrze, że pozwalają człowiekowi oddychać – mruknął Kenny, pociągając łyk piwa prosto z butelki.

– Co wiesz o Floydzie Nickersonie?

– Nic nie wiem. Znasz te typki z Wydziału Zabójstw. To cud, jak ci taki powie, co jadł na drugie śniadanie. Twierdzisz, że Nickerson wycisnął z Morgana przyznanie się do winy. W porządku. Zakładam, że to prawda. Żaden detektyw nie przepuściłby takiej okazji. Miną lata, a ludzie będą mówić: „Nickerson? A tak! Facet, który przyszpilił zabójcę Zide'a”. Tak więc gość myśli: „Dla pewności podeprę się drugim zeznaniem. Takiego łachudrę jak Elroy nietrudno będzie namówić do kłamstwa”. I miał rację, nie?

– Dlaczego ja niczego nie podejrzewałem? – westchnąłem smętnie.

Obok nas przeszedł młody niewidomy muzyk, brzdąkając na gitarze. Za nim jechała na rowerze wysoka, przystojna blondyna w bikini. Kenny i ja obejrzeliliśmy się za nią.

– Dlatego – powiedział Kenny – że nabrałeś zwyczaju chowania głowy w piasek. Wmawiałaś sobie, że masz czystą robotę. Z tego, co słyszałem,

Ted, jeśli coś ci nie pasowało, udawałeś, że tego nie widzisz. I spokój. Wesolutko maszerowałeś sobie dalej, aż w końcu uznałeś, że najbardziej ci się opłaca dać nogę do Sarasota.

– Słyszałeś o mnie takie rzeczy? Chrzaniś!

– Posłuchaj. To nic nowego. Ambicja jest paliwem systemu wymiaru sprawiedliwości, a konformizm jego smarem. Dlaczego ty miałbyś być inny?

– Robisz z tego sprawę osobistą.

– Ty też. Szukasz Nickersona, żeby dobrać mu się do dupy, a tymczasem on nie zrobił niczego, czego setki jego kumpli nie robią co dnia. Powinieneś o tym wiedzieć. A jeśli już mowa o kapusiach, posłuchaj takiej historii. Kilka lat temu prowadziliśmy śledztwo w związku z pewną skargą... Pamiętasz Bongiorno, miejscowego szefa zorganizowanej przestępczości? Otóż pewną policjantkę z Wydziału Zabójstw oskarżono o nakłanianie świadków do krzywoprzysięstwa. Próbowala załatwić Bongiorno oskarżając go o udział w spisku mającym na celu popełnienie morderstwa. Poszła więc do zawodowego kapusia i powiada: „Słyszeliśmy, że taki a taki dostarczył zabójcom broń, której użyto do wykonania wyroku”. A kapuś na to: „Fakt! Ten facet sam mi o tym opowiedział”.

– Co się stało z tą policjantką?

– Bongiorno miał powiązania z politykami z Tallahassee, zrobił się smród. Kapuś zmienił zdanie. Policja potrzebowała kozła ofiarnego, więc wywalili tę babkę z roboty. Złożyła skargę, ale ostatecznie wyszła za mąż i dała sobie spokój.

– Mniejsza z tym, Kenny. Muszę się dowiedzieć, co tu się wtedy wydarzyło. Kto zełgał i dlaczego. Nie wiesz, gdzie podział się Nickerson?

– Wyjechał dawno temu. Ostatnio nie kochają mnie w biurze szeryfa. Musisz spróbować przez Beldona. Nadal jesteście przyjaciółmi?

– Posłałem mu kartkę na Boże Narodzenie, on przysłał mi życzenia na Chanukę, więc chyba jesteście przyjaciółmi; czemu nie?

Ściemniało się. Plaźowicze tłumnie kierowali się w stronę swoich środków lokomocji. Od strony parkingu dobiegały czyjeś wrzaskliwe złożeżenia z powodu piasku w jego nowym hyundai, mokrych kostiumów

kąpielowych na fotelach. Kenny rozglądał się na wszystkie strony, ale bezskutecznie – wysoka blondynka w bikini zniknęła.

– Przez ten syf z AIDS – oznajmił – zastanawiam się, czy nie dać sobie spokoju z wycieczkami do Rio i znów się nie ożenić. Taka wysoka blondyna mogłaby się nadać... jeśli jest bogata. Znam pewną cudownie zamożną wdówkę z St. Augustine, lecz ona ma tylko metr pięćdziesiąt wzrostu.

– Ożeń się z nią – powiedziałem; – Zawsze może stanąć na walizce z pieniędzmi.

Kenny objął mnie z przesadną serdecznością.

– Ted Jaffe, mój praktyczny przyjaciel. A jak tam twoje małżeństwo?

– Świetnie.

– Jestem twoim starym kumplem, Ted. Możesz mi się zwierzyć.

– Myślisz, że kłamię?

– Mam doświadczenie w przesłuchiowaniu ludzi. Ty mi nie wyglądasz na wiarygodnego świadka.

– Tyle mam teraz spraw na głowie... ale dobrze... rzecz w tym, że naprawdę jest świetnie. Owszem, nie jest to już tak podniecające jak kiedyś, ale zawsze człowiek ma się na czym oprzeć. Odpowiedziałem na twoje pytanie?

– Niby tak, ale żeby ci zaczął zazdrościć, to nie. A cóż to za sprawy masz na głowie?

– Tę historię z Darrylem Morganem. Jak Boga kocham, przecież dlatego tu przyjechałem!

– Za bardzo się przejmujesz. Kapuś złożył fałszywe zeznanie – co to za rewelacja?

– Jeśli Nickerson nakłonił do kłamstwa Elroya, możliwe, że sam też kłamał. Nie przyszło ci to do głowy? Bo mnie tak.

– Tylko jak chcesz to sprawdzić? Odszukać go i zapytać? A jeśli ci powie: „Tak, wszystko to zmyśliłem, a bo co?” Co wtedy zrobisz?

Nie miałem gotowej odpowiedzi na to pytanie.

– Pamiętam tę sprawę – powiedział Kenny w zamyśleniu. – Morgan przyznał, że był na miejscu zbrodni. Żona Zide'a i syn zidentyfikowali go. Nawet jeżeli Nickerson łągał, a jest to nieliczne „jeżeli”, nie został popełniony wielki błąd. Brzydki błąd, ale w sensie prawnym nieszkodliwy.

– Jeśli Nickerson łągał, to niezależnie od tego, czy Morgan zawinił czy nie, jego proces nie był uczciwy.

– Daj spokój! Co to, wracamy do czasów studenckich?

– Człowieku, jesteś obrońcą publicznym! – niemal krzyknąłem.

– I jako obrońca publiczny muszę być realistą. Gdybym zastanawiał się, czy każdy proces odbył się z zachowaniem wszelkich reguł, niczego bym nie zdziałał.

– Twoje biuro zajmowało się odwołaniami Morgana, zgadza się?

– Do roku 1986. Władze ustawodawcze stanu Floryda powołały wówczas urząd o nazwie CCR – Capital Collateral Representative. To ciało polityczne z siedzibą w Tallahassee. Teraz oni prowadzą tego rodzaju sprawy na etapie rewizji. Przedtem system był niedrożny, setki skazanych latami przebywały w celach śmierci.

– Chcesz powiedzieć, że nie smażono ich w odpowiednim tempie – mruknąłem.

Kenny energicznie skinął głową.

– Prawdopodobnie połowa prac Sądu Najwyższego Stanu Floryda poświęcona była sprawom, w których orzekano karę śmierci. Koszmarne marnotrawstwo środków prawnych, czasu i energii.

– Czy mógłbym zobaczyć wasze akta?

Kenny ponownie wykonał potakujący ruch głową.

– Zawsze próbujemy coś zdziałać podnosząc kwestię nieskuteczności obrony. I nigdy nam się nie udaje. Przegrywamy, a skazany robi smutną minę i pyta: „I co teraz?” A obrońca z urzędu odpowiada: „Ty wrócisz do więzienia, a ja do swojego biura”.

Po kolacji wybrałem się samotnie na plażę. Fale z szumem rozbijały się o brzeg. Po każdej na piasku zostawało mrowie białych, błyszczących żyłatek. Coś z tego, co powiedział Kenny, nie dawało mi spokoju: „Wmawiasz sobie, że masz czystą robotę...”

Czy istotnie? Jeśli tak długo nie przyjmowałem do wiadomości faktu, że Alan ma pociąg do narkotyków – choć przestawałem z nim na co dzień – nie jest wykluczone, że zamykałem oczy także na inne rzeczy.

Próbowałem myśleć o Darrylu Morganie, nie znanym mi człowieku, zagubionym gdzieś w tej ciemności – w Raiford, w celi śmierci.

„Dlaczego potrzebę zajęcia się tą sprawą odczuwam jako wewnętrzny przymus? Co, w gruncie rzeczy, chcę osiągnąć? Czy to przecucie?”

Popatrzyłem wzdłuż plaży i nagle uświadomiłem sobie, że gdybym poszedł dostatecznie daleko na południe, dotarłbym do domu Connie Zide. Wiedziałem, że nadal tu mieszka. Nigdy o nią nie pytałem, ale przez wszystkie te lata strzępy informacji na jej temat dochodziły do moich uszu. Słyszałem, że pędziła żywot samotnej – i nieco zwariowanej wdowy. Kochanków – zwykle od niej młodszych – zmieniała jak rękawiczki. Obsypywała ich kosztownymi prezentami, ale wystrzegала się podstarzałych łowców posagów; nie myślała powtórnie wychodzić za mąż. Majątek Solly'ego został podzielony na pięć równych części: po jednej dla każdej z jego dwu córek z pierwszego małżeństwa, jedną dla Connie i jedną dla Neila. Ostatnią część rozdzielono między kilka południowych uniwersytetów, z przeznaczeniem na pokrycie kosztów uruchomienia takich czy innych katedr na wydziałach humanistycznych lub na stypendia naukowe. Ludzie byli zadziwieni. Mądra hojność Solly'ego zaskoczyła większość znajomych.

Neil prowadził przedsiębiorstwo budowlane ojca i także zadziwiał otoczenie swoją zaradnością i politycznym sprytem. Skutecznie pomnażał swój milionowy spadek.

Zawróciłem, kierując się w stronę domu Kenny'ego. Zobaczymy, czego jutro uda mi się dowiedzieć, pomyślałem. Obiecałem sobie poświęcić tej sprawie jeden dzień. Może chciałem – choć na jeden dzień – odzyskać poczucie uczestniczenia w czymś ważnym, przekonania o czystości swoich intencji. Zrobię, co będę mógł, zdecydowałem. Nie zamierzałem jednak walczyć z wiatrakami. Masz inne zobowiązania, powtarzałem sobie; wobec rodziny, firmy, jej klientów. Jeden dzień, a potem do domu.

Tego wieczora Toba oglądała telewizję w sypialni na piętrze. Powtarzano właśnie *M.A.S.H.*, jej ulubiony serial. Wykąpała się i włożyła szlafrok oraz stare różowe portki frotte, z którymi nie chciała się rozstać, chociaż były wytarte na siedzeniu i wyglądały nie lepiej niż łachy z Armii Zbawienia.

Jak zwykle po nieudanym dniu Toba była w nastroju do użalania się nad sobą. Nikt nie chciał kupować domów. Nieliczne oferty kupna opiewały na śmiesznie niskie sumy. Właściciele nieruchomości wstrzymywali się ze sprzedażą, twierdzili, że wolą „przeczekać ten zły okres”.

W tej sytuacji Toba skoncentrowała się na pośrednictwie w wynajmie domów. Tego dnia, tuż przed zamknięciem biura, zadzwoniła do niej pewna klientka, której Toba wynajęła dom na Longboat Key.

– Pani Jaffe! Znalazłam pod zlewem mysie bobki!

Cała rodzina przeniosła się do motelu: nie wprowadzą się z powrotem, dopóki myszy nie zostaną zlikwidowane.

– Tylko proszę, żadnej trucizny! Mamy pudelka.

Toba pognęła do sklepu z narzędziami na St. Armands Key i kupiła dwadzieścia pułapek sure-kill. Zastawiła je, jako przynęty używając camemberta z naszej lodówki.

Następnego ranka moja dzielna małżonka zbierała mysie trupki o pyszczkach pokaleczonych sprężyną.

– Nie daj Boże, żeby najemcy zobaczyli coś takiego – opowiadała mi później. – Przyjechali z Manhattanu i nie znoszą niczego, co pełza (z wyjątkiem karaluchów).

Kłopotów natury zoologicznej było więcej. Pewnej grudniowej nocy Tobę obudził telefon rozhisteryzowanej klientki z Siesta Key. Leżała w łóżku, a na jej piersi usadowiło się włochate, ośmionogie czarne monstrum, nie objawiając wobec niej przyjaznych zamiarów.

– Pani Hart – beztrąsko odrzekła Toba – myślę, że to skutki zbyt hucznego przyjęcia albo zły sen.

Pani Hart wezwała policję. W jej łóżku znaleziono rzadkiego jadowitego pająka z rodziny pogońców.

Tuż po moim wyjeździe do Jacksonville pani Hart przez swego adwokata zawiadomiła Tobę, że wnosi przeciw niej sprawę do sądu o zaniedbanie obowiązków, nadużycie zaufania i zniesławienie.

Kiedy ja przechadzałem się z Kennym Buckramem po plaży w Jacksonville, Toba szykowała kolację: kotlety cielęce w sosie jabłkowym i mrożone frytki. Alan nakrył stół czerwonym lnianym obrusem i uroczyście

zapalił świecę swoją starą benzynową zapalniczką.

Toba dopiła szklaneczkę dzinu z tonikiem i otworzyła butelkę cabernet sauvignon.

– Mamo, Beckerowie wybierają się na żagle. Chcą popłynąć na Captiva Island. Jakiś ich wujek ma dwudziestometrową łódź: salon, siedem czy osiem miejsc do spania – coś fantastycznego. Zaproсили mnie na cały weekend. Mogę...?

– Oczywiście, że możesz. Masz dziewiętnaście lat, w takich sprawach nie musisz pytać o pozwolenie.

– Na Captiva Island wyskoczmy pewnie na ląd, zbadać, jak tam wygląda życie nocne. Prawdopodobnie wcale nie wygląda, ale nie chciałbym łączyć z nimi bez grosza jak jakiś cholerny pasożyt. Głupio mi ciebie prosić, ale...

– O pieniądze możesz się nie martwić – mruknęła Toba.

– Jesteś cudowna, mamo.

– Tylko nie opalaj się za długo. Słońce na wodzie jest bardzo silne.

Po kolacji Toba słyszała, jak Alan dzwoni do kogoś i prosi o przekazanie wiadomości, że czeka na telefon. Następnie usadowił się na fotelu i zaczął oglądać film wideo. Toba życzyła mu dobrej nocy i poszła na górę wziąć kąpiel. Za sobą słyszała odgłosy strzelaniny i pisk opon samochodowych; często miewała wrażenie, że Alan w kółko ogląda różne wersje tego samego filmu. Butelkę caberneta zabrała ze sobą. Nim zanurzyła się w wannie pełnej pachnącej cytryną piany, wypiła jeszcze jeden kieliszek wina. Później, w sypialni, owinęła się w płaszcz kąpielowy i ułożyła w łóżku, aby obejrzeć kolejny odcinek *M.A.S.H.* Co pewien czas słyszała cichutkie „dzyń”, kiedy w głębi domu ktoś odkładał słuchawkę.

Tęskniła za Cathy. Myślała o tym, jak ciężko jej znieść rozłąkę z córką.

Tam, w Ithaca, Cathy na pewno ślęczała jeszcze nad książkami. Toba musiała zdecydować: czy czekać do jedenastej, kiedy zaczynała obowiązywać nocna taryfa opłat telefonicznych, czy dzwonić teraz?

Przełała resztę wina do kieliszka i podniosła słuchawkę.

Dobiegł z niej głos Alana:

– ...jest, kurwa, w porządku! Jutro na pewno będę miał forszę. Chociaż

nie poszło tak łatwo. Ale ona mnie wkurwia...!

Toba poczuła, że palą ją policzki. Nie była w stanie odłożyć słuchawki.

Usłyszała chłopięcy głos rozmówcy Alana:

– To będzie zajebisty bal. Napierdolimy się jak smoki.

– Tak jest, kurwa!

W lustrze stojącej naprzeciw łóżka toaletki Toba widziała swoją twarz; półotwarte usta nadawały jej wyraz idiotycznego osłupienia.

– Mam trzystamiligramowe metakwalony... – mówił Alan – Bobby też ma jakieś prochy...

– Dobra, stary. Muszę kończyć.

Toba starannie odłożyła słuchawkę, wstała z łóżka i mocno zawiązała pasek szlafroka. Kolana miała jak z waty. W łazience obmyła twarz zimną wodą, próbując pozbyć się nieznośnego pieczenia policzków. Boso, na trzęsących się nogach, powlokła się do kuchni i stanęła przed szafką z winem koło kuchenki mikrofalowej. Wyjęła następną butelkę caberneta. Z butelką pod pachą i korkociągiem w dłoni wspięła się po schodach i wróciła do łóżka.

10

Ranek następnego dnia spędziłem w archiwum biura pomocy prawnej na trzecim piętrze budynku sądu federalnego, szukając akt sprawy *Florida versus Morgan*. Znalazłem fiszkę informującą, że 22 sierpnia 1986 roku większość dokumentów została przekazana CCR w Tallahassee. W tym czasie sprawą Morgana zajmował się z urzędu niejaki Brian Hoad.

Zapytany o niego młody praktykant podniósł wzrok znad tomu *Orzecznictwa sądów federalnych* Sheparda i mruknął:

- Proszę spróbować w sali numer cztery.

W sali rozpraw numer cztery na drugim piętrze zająłem miejsce w jednej z ławek dla publiczności. Bez trudu udało mi się ustalić, że Brian Hoad to błądy mężczyzna w okularach siedzący obok oskarżonego, chudego Murzyna. Prokurator – ładnie zbudowana trzydziestokilkuletnia kobieta w typie latynoskim – przesłuchiwała właśnie młodego policjanta. Sędzia wyglądał na znudzonego.

Policjant przyznał, że kiedy oskarżony, przyłapany na próbie rabunku, otworzył do niego ogień, nie podjął za nim pościgu.

- Jeśli strzelił raz, mógł w każdej chwili zatrzymać się i strzelić ponownie, a my go nie widzieliśmy.
- Sprzeciw...! – zawołał Hoad.
- Oddalam sprzeciw.
- Wysoki Sądzie...
- Proszę nie dyskutować z sądem – rozkazującym tonem rzucił sędzia.
- Jeszcze nie uzasadniłem...

– Następne pytanie – oznajmił sędzia, powstrzymując ziewnięcie.

Podczas przerwy przedstawiłem się Hoadowi i zapytałem, czy nie moglibyśmy porozmawiać w bufecie. Miałem do czynienia z trzydziestopięcioletnim adwokatem, który zarabiał co najwyżej czterdzieści tysięcy dolarów rocznie. Wielu z jego klientów, korzystających z darmowych usług prawnych na podstawie oświadczenia o złej sytuacji majątkowej, zarabiała więcej od niego. Hoad trwał w tym zawodzie, bo prawdopodobnie lubił rzucać wyzwanie władzy, współczuł swoim klientom, nie ufał glinom i uważał, że rządy winny do minimum ograniczać ingerencję w ludzkie życie, zajmując się głównie redystrybucją dóbr.

Kupiłem kawę oraz faworki i zasiedliśmy w czerwonych plastikowych fotelikach.

– Jak wygląda ta pańska sprawa? – zapytałem.

– Nie mam szans – z ponurą miną odparł Hoad.

– W takim razie dlaczego dopuścił pan do procesu?

– Bronię w trzystu sprawach kryminalnych rocznie. Z wyjątkiem tych, gdzie jestem naprawdę mocny, zawsze staram się dążyć do ugody poprzez przyznanie się oskarżonego do winy. Ta prokurator to straszna piła. Nie chce się dogadać. Dostanę w dupę.

Nie tak mocno jak twój klient, pomyślałem.

– Chciałbym z panem porozmawiać o pewnej starej sprawie – powiedziałem. – Darryl Morgan, morderstwo pierwszego stopnia. Składał pan w jego imieniu odwołanie. Proces odbył się w siedemdziesiątym dziewiątym, więc samej sprawy może pan nie pamiętać.

Hoad kilkakrotnie skinął głową.

– To była głośna sprawa. Zabójstwo Solomona Zide'a.

– Oskarżałem na tym procesie.

– O rany! – Hoad zaśmiał się. – Pan?

Zmarszczyłem brwi i oświadczyłem:

– Obecnie jestem adwokatem; mieszkam i pracuję w Sarasota. – Hoad nadal chichotał, unikając przy tym mojego wzroku. – Co pana tak cholernie śmieszy? – zapytałem.

– Właściwie nie tyle śmieszy, co dziwi. Kiedy mi się pan przedstawił,

nie połąpałem się. Teraz już wiem. W tym sądzie jest pan postacią w pewnym sensie legendarną.

Przypomniałem sobie, co powiedział Kenny Buckram: „Słyszałem, że jeśli coś ci nie pasowało, udawałeś, że tego nie widzisz”. Do tej chwili nie uświadomiłem sobie, jak bardzo uraziły mnie te słowa.

Teraz dosłownie modliłem się w duchu, żeby nie okazało się, iż ten facet myśli o mnie w ten właśnie sposób; nawet jeśli opierał się na opiniach z drugiej ręki.

– Oskarżałem Morgana ulegając osobistej prośbie Beldona Rutha – powiedziałem. – To była moja ostatnia sprawa przed odejściem z prokuratury.

– Coś panu powiem, tylko proszę się nie obrazić.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał.

– Przez długi czas zajmowałem się odwołaniem Morgana. Szukając jakiegoś pańskiego błędu, trzy czy cztery razy przeczytałem od deski do deski protokoły z procesu. W pierwszym etapie wykonał pan doskonałą robotę. Trudno się do czegokolwiek przychylić. Ale w części dotyczącej kary był pan słaby. Ustąpił pan bez walki.

– Nie chciałem śmierci Morgana.

– Cóż, niewiele mi to pomogło. Swój wniosek apelacyjny uzasadniłem głównie niekompetencją obrony w fazie ustalania wyroku, co jeden z sędziów z Tallahassee skomentował, oczywiście nieoficjalnie: „Panie Hoad, mówiąc tak między nami, ta sprawa mogła się zakończyć zupełnie inaczej”. Inny sędzia powiedział mi: „To oczywiste, dlaczego sędzia nie zaakceptował zalecenia ławy przysięgłych i nie orzekł kary dożywotniego pozbawienia wolności. Przedstawiciel oskarżenia uzasadniał swoje żądanie kary śmierci nie odwołując się do listy okoliczności obciążających określonej *Zbiorem Praw Stanu Floryda*”.

Westchnąłem.

– Od początku zajmował się pan tą apelacją?

Hoad potwierdził ruchem głowy.

– Do Tallahassee udało mi się jednak dotrzeć dopiero w 1981. Dostałem pół godziny na przekonanie siedmiu krasnoludków, że Morgan nie zasługuje

na usmażenie na krześle elektrycznym. Beznadziejna sprawa. Później próbowaliśmy w jedenastym obwodzie. W zasadzie nie miałem z czym iść do federalnego, do Atlanty, ale poszedłem. To piękny, stary sąd. Zdawałoby się, że w tych murach drzemie sprawiedliwość. Ale to złudzenie. – Hoad wpatrywał się w fusy na dnie swojej filiżanki. – Jeden z tamtejszych sędziów był nawet sympatyczny. Powiedział mi: „Panie mecenasie, jeśli orzekniemy po pańskiej myśli, czy nie będziemy musieli złagodzić wyroków w setkach innych spraw, w których przytacza się podobne argumenty?”

– Mam nadzieję, że znalazł pan na to odpowiedź.

– Powiedziałem: „Tak, Wysoki Sądzie, niewykluczone, że trzeba będzie to zrobić”. Wykopali mnie stamtąd przed upływem godziny. Ale to był już rok osiemdziesiąty szósty. A o to w końcu chodzi: jak najdłużej utrzymać klienta przy życiu.

– Nie protestował pan przeciw odrzuceniu przez Eglina rekomendacji ławy przysięgłych? Można było podkreślić, że przysięgli podejmując taką decyzję kierowali się racjonalnymi przesłankami, a sędzia nadużył zasady swobodnej oceny dowodów.

– Jasne. Tyle że to nie skutkuje. W 1987 stracono niejakiego Beauforda White'a, choć ława przysięgłych jednomyślnie zaleciła karę dożywotniego więzienia. Inny facet, Dobbert, został skazany na krzesło w 1984 roku; przysięgli głosowali wtedy dziesięć do dwóch za pozbawieniem wolności.

Nie bardzo wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Hoad jednak wiedział.

– Floryda, Indiana i Alabama to jedyne stany, gdzie obowiązuje klauzula umożliwiająca pominięcie zalecenia ławy przysięgłych. Raz korzystano z niej w Indianie, sześć razy w Alabamie i ponad dziewięćdziesiąt na Florydzie. To stan morderców.

Opowiedziałem mu o interesie, jaki Jerry Lee Elroy ubił w siedemdziesiątym dziewiątym: wolność za krzywoprzysięstwo.

– I namówił go do tego ten gliniarz, Nickerson?

– Jeśli Elroy nie kłamie.

Hoad wyglądał na podnieconego.

– Czy pański klient gotów jest zeznać przed sądem to, co powiedział panu?

– Nie za darmo. Musi coś z tego mieć. Pan Elroy nie jest wzorem altruizmu.

– Cholera – mruknął Hoad spoglądając na zegarek – muszę wracać na salę rozpraw i pomóc uspić sędziego.

Odprowadziłem go do windy.

– Dlaczego tak bardzo zaangażował się pan w sprawę Morgana? – zapytałem.

– Był pan kiedyś w Raiford, panie Jaffe?

– Nie.

– Widok egzekucji nie należy do przeżyć, o których szybko się zapomina. A propos: pojutrze odbędzie się kolejna. Pewnego miejscowego chłopaka.

– Kto to taki?

– Sweeting. Pamięta go pan? Osiem lat temu zabił dwie studentki z Jacksonville University. Poćwiartował je i pochował nad rzeką. Potem jedną z nich wykopał, bo miał sen, że dziewczyna żyje i może wskazać swego zabójcę. A więc w sobotę Eric Sweeting umrze. Powinien pan zobaczyć, jak płaci za swoje grzechy. Wtedy zrozumie pan, dlaczego zaangażowałem się w tę sprawę.

Na drugim piętrze przed drzwiami windy czekała na nas prokurator.

– Czy mogę zamienić z panem dwa słowa? – odezwała się do Hoda.

Rozmawiali przez chwilę, potem Hoad wrócił do mnie, a prokurator ruszyła w stronę wejścia do sali rozpraw – kroczyła energicznie, obcasy stukwały o posadzkę. Głowę trzymała wysoko, na jej ustach nie było śladu uśmiechu. Mimo wszystko podobała mi się.

– Robi pan jakieś postępy? – zapytałem Hoda.

– Suarez spuściła z tonu – odparł. – Wygląda na to, że zawrzemy ugodę. Piętnaście lat łącznie za napad z bronią w rękę i usiłowanie morderstwa. To całkiem niezłe. Będę radził swojemu klientowi, żeby przystał na takie warunki.

– To jest Suarez? Ta kobieta, z którą pan rozmawiał?

Tak brzmiało nazwisko zastępczyni prokuratora stanowego, która miała oskarżać Jerry'ego Lee Elroya i puściła go wolno.

- Zgadza się.
- W takim razie jeszcze zaczekam – powiedziałem. – Może uda nam się zjeść lunch we troje.

Około południa proces o napad z bronią w rękę toczący się w sali numer cztery należał już do przeszłości. Oskarżyciel, Muriel Suarez, i obrońca z urzędu, Brian Hoad, uścisnęli sobie dłonie i zgodnie poszli ze mną na lunch. Znałem ten rytuał: dużo śmiechu i żadnych rozmów o procesie; plotki na temat innych spraw, kolegów prawników, sędziów. Na sali sądowej prokurator i obrońca warczą i wrzeszczą na siebie, bo tego wymaga protokół – sprzeczność stanowisk stron jest podstawą systemu i jedyną gwarancją przybliżenia się do sprawiedliwości. Sprawiedliwość to nie matematyka.

Dlatego właśnie nikt nie życzył sobie naprawdę niewinnego podsądnego. Toż to okropne – nie móc swobodnie pożartować na czyjś temat.

W „Worman's Deli”, restauracji koło sądu, dostaliśmy stolik pod ścianą. Muriel Suarez chrupała marynowane ogórki.

– Najnowszy kawał, panowie – zagała. – Dwóch adwokatów, cywili-
stów – wyszczerzyła w uśmiechu mocno połatane, białe zęby – spaceruje po
plaży i spotyka wspaniałą dziewczynę w samych klapkach. „Zaciągnąć by ją
w krzaki...” – mówi jeden. Drugi na to: „A po co? I tak nie ma przy sobie
portfela”.

Pomyślałem, że w naszym kraju adwokaci i Polacy są najczęstszym przedmiotem złośliwych kawałów. Z tą różnicą, że adwokaci prawdopodobnie sobie na to zasłużyli.

Zamówiliśmy kanapki z konserwowaną wołowiną. Hoad pierwszy uporał się ze swoją porcją i wstał od stołu.

– Muszę lecieć – powiedział. – Mam w więzieniu kobietę, która przyznała się do posiadania cracku. Okazało się, że to był воск, ale prokurator uniemożliwia jej odwołanie zeznania. Muszę tam pojechać.

– I mnie zostawić z rachunkiem – uśmiechnąłem się. – Zadzwoń w sprawie tych akt Morgana.

Kiedy odszedł, Muriel Suarez zwróciła się do mnie:

– Morgan? Chyba znam to nazwisko.

Powiedziałem jej, o jakiego Morgana chodzi.

– Pamiętam tę sprawę. Floyd Nickerson mówił mi, że Elroy to gnida, ale że można na nim polegać. Miał szparę między zębami, prawda? Pamiętam go. I tę Carmen Tanagra też.

Ostatnie nazwisko powiedziała w taki sposób, że spodziewałem się dalszego ciągu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Odwróciła wzrok i sięgnęła po kufel z piwem.

– Czy Carmen Tanagra miała coś wspólnego z Elroyem? – zapytałem.

– Była partnerką Nickersona. Znałam ją. Ale to Nickerson przyszedł do mnie z propozycją umowy.

– Tanagra nadal pracuje w tutejszej policji?

Muriel energicznie pokręciła głową.

– Wykopali ją, czy coś w tym rodzaju. Zabrakło jej sprytu. To znaczy: była przyzwoitą kobietą, ale skorumpowała ją praca w policji.

Coś zaskoczyło w mechanizmie mojej pamięci.

– Czy ona przypadkiem nie była zamieszana w sprawę Bongiorno? Jakiś gliనిarz nakłonił kapusia do złożenia fałszywych zeznań. Potem to wyszło na jaw.

– Zgadza się. Mieli Carmen na widelcu. Nie spodobała jej się taka sytuacja, więc złożyła wymówienie.

– I czym się wtedy zajęła?

– Nie mam z nią kontaktu – rzekła Muriel, a w jej głosie pojawiła się pewna oschłość, najzupełniej dla mnie niezrozumiała.

Ale za chwilę uśmiechnęła się i spojrzała na mnie weselszym wzrokiem. Oczy miała czarne, jak zresztą większość jej latynoskich ziomków. Prawdziwie „płonęły” – jak to określało się w starych piosenkach. Powiedziała mi, że jej rodzice byli Kubańczykami; przyjechała do Stanów jako dziecko. Ponownie zdałem sobie sprawę z tego, jak pociągającą była kobieta.

– A więc panie Jaffe, panie cywilisto z Sarasota, co zamierza pan z tym wszystkim zrobić?

– Morgan żyje. Jeszcze żyje. Zamierzają go stracić w kwietniu.

– Myśli pan, że uda się załatwić Morganowi nowy proces?

– Będę próbował uzyskać odroczenie egzekucji. Tyle powiedziałem

Beldonowi.

– I co na to mój pan i władca?

– Nie domyśla się pani?

– Morgan jest winien. Zastrzelił tego człowieka. Niech pan da spokój. – Uśmiechnęła się. – Zależy panu na jego życiu?

– Tak. Zależy jak cholera – odparłem z przekonaniem. Jego siła zaskoczyła nawet mnie samego. – Zależy – powtórzyłem. – I zamierzam zrobić coś w jego sprawie.

– Nie może pan spać? Bo u mnie to reguła. Ale to żaden problem, łyka się pigułkę i odpływa; wszystko gra.

– To pani stała metoda: łyknąć pigułkę i odpłynąć?

– Już nie – odrzekła Muriel.

– A co się stało?

– Jedną z moich pierwszych spraw, którą prowadziłam jako oskarżyciel, był proces Erica Sweetinga. Czy to nazwisko panu coś mówi?

– Brian wspominał o tym człowieku. Mają go upiec w sobotę rano.

– Dokładnie. Jeżeli gubernator nie skorzysta z prawa łaski.

– Dlaczego nie może pani spać? Sweeting był winny.

– Owszem. A ława przysięgłych głosowała dziewięć do trzech za karą śmierci. – Muriel pociągnęła łyk piwa. – Rzecz w tym, że zamierzam być w Raiford, kiedy nacisną guzik. Być świadkiem śmierci Sweetinga!

– Dlaczego chce pani zrobić coś takiego?

– Ponieważ osiem lat temu, rankiem tego dnia, kiedy prosiłam ławę przysięgłych o zalecenie kary śmierci, popatrzyłam w lustro i powiedziałam: „Muriel, tu nie chodzi o anonimowy, statystyczny przypadek. Gra idzie o życie człowieka, który ma rodziców i kochające go siostry. A ty nie tylko próbujesz go zabić, ale i skazać jego bliskich na cierpienie, na ból, kto wie, czy nie do końca życia. Jeśli nie masz dość odwagi, żeby znieść widok egzekucji tego człowieka, i dość charakteru, by spojrzeć w oczy jego rodzinie, nie powinnaś żądać dlań kary śmierci”. Tak więc obiecałam sobie, że jeśli Sweetinga kiedyś stracą, będę przy tym. Tak się złożyło, że wyjątkowo szybko wyczerpał możliwości apelacji i oto mają go stracić. Pojutrze. Raptem godzinę drogi od tej restauracji. A ja, niestety, nie mogę znaleźć

żadnej wymówki.

Milczałem. Czy ja zdobyłbym się na podobny krok? Nie. Dlatego między innymi porzuciłem pracę polegającą na wsadzaniu ludzi za kratki.

– Nie wiem, czy pan pamięta – ciągnęła Muriel Suarez – że to było wyjątkowo ohydne morderstwo. Toteż kiedy po raz pierwszy miałam spotkać się ze Sweetingiem, spodziewałam się potwora. Zacisnęłam zęby i w towarzystwie adwokata z biura pomocy prawnej wkroczyłam do więzienia na spotkanie ze zwyrodnialcem, który poćwiartował zwłoki swych nastoletnich ofiar. Erie miał wtedy dziewiętnaście lat. Przy wzroście dżokeja ważył jakieś pięćdziesiąt pięć kilo; rude włosy, piegi, aparat ortodontyczny na zębach. Grzeczny, głupkowaty chłopak ze wsi; wyglądał jak skrzyżowanie Alfreda E. Neumana z pit bullern.

– Nedorozwinięty?

– Obrona próbowała tego dowieść, ale bez skutku.

– Jak pani tłumaczy fakt, że dopuścił się tak wstrętnego morderstwa?

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. I to było najgorsze w tej sprawie. Ale on to zrobił. Wiedziałam o tym, i to mi wystarczało. Podobnie jak pan wiedział, że Morgan zabił Zide'a, i to panu wystarczało. Szukanie odpowiedzi na pytanie „dlaczego” nie należy do nas.

– Trzeba sporo odwagi, żeby zrobić to, co pani planuje – powiedziałem.

– Wiem – odparła Muriel.

Wieczorem znalazłem się na werandzie domu Beldona Rutha w czarnej dzielnicy, gdzie obecny prokurator stanowy mieszkał od zawsze. Mój gospodarz przyniósł dzbanek mrożonej herbaty i rozsiadł się w fotelu na biegunach.

– Chcę ci opowiedzieć pewną historię – zaczął. – Wiele lat temu oskarżałem w procesie czarnego siedemnastolatka. Ten młody człowiek zadzwonił kiedyś do drzwi domu w Blodgett i kobiecie, która mu otworzyła drzwi, przystawił pistolet do twarzy mówiąc: „Dawaj forszę, bo odstrzelę ci łeb”. Oddała mu pieniądze przeznaczone na zakupy. Kilka tygodni później przyszedł do niej ponownie z tą samą ofertą. Byłem wtedy świeżo upieczonym zastępcą prokuratora stanowego i uznałem szczeniaka za groźnego

przestępcę. Dzień przed ogłoszeniem wyroku jego obrońca z urzędu – twój kumpel Kenny Buckram, także świeżo po szkole prawniczej – namówił tę kobietę, poszkodowaną, do podpisania oświadczenia mniej więcej takiej treści: „Dowiedziałam się, że ojciec chłopca wykorzystywał go seksualnie i bił drewnianą pałką, że jego matka była pijaczką, i że rodzice nie pozwalali mu chodzić do szkoły, chociaż był dobrym uczniem. Uważam, że to, co mi zrobił, było okropne, ale teraz zaczęłam rozumieć, dlaczego to się stało. Chciałabym, żeby dano mu jeszcze jedną szansę”.

Beldon napełnił szklanki herbatą. W domu jego żona Laurette szykowała kolację.

– Buckram przekazał ten list sędziemu Flemingowi. Pamiętasz go? Siwowłosa, kapryśny, o manierach dżentelmena z Południa. Nadal pracuje, chociaż ma już pewnie ze sto lat. Siedział wtedy w pokoju sędziowskim od południa do trzeciej, a my wszyscy czekaliśmy w upale takim, że kury znosiły jajka na twardo. Na koniec Fleming wylał ze swej nory i powiedział, zwracając się do Kenny'ego: „Jeśli nie myli się pan co do tego chłopca, a ja pošlę go na zatracenie do więzienia, jego krew splami moje ręce. Jeśli natomiast jest pan w błędzie, każę go sprowadzić na powrót do mojego sądu, zakuć w kajdany i wsadzić na dziesięć lat, które odsiedzi do ostatniego dnia”.

Orzekł oddanie chłopaka pod nadzór ochronny. Niektórzy byli tym wielce zbulwersowani, najbardziej ja. Zapytałem: „Panie sędzio, jak może pan zrobić coś takiego?” Fleming zachnął się i odparł: „Mogę to zrobić, synu, ponieważ ludzie wybrali mnie sędzią i dali mi do tego prawo. Nikt natomiast nie ma prawa kwestionować moich decyzji i interesować się moim sumieniem”. I wycelował paluch prosto w moją twarz, gestem oznaczającym: „Pierdol się pan, panie Ruth”.

Wszystko to działo się dwadzieścia lat temu. Ten chłopiec ukończył college; sędzia, Kenny i ja dostaliśmy zawiadomienia o jego ślubie. Fleming zdjął z niego nadzór po pięciu latach. Facet interesował się komputerami, przeniósł się z rodziną do Atlanty. Gdyby Fleming posłał go wtedy do więzienia, chłopak żyłby między ulicą a więzieniem, dalej rabował ludzi i tak dalej. Albo już by nie żył. Czy wiesz, że dwadzieścia procent czarnych

mężczyzn w tym kraju siedziało w więzieniu, właśnie siedzi albo przebywa na zwolnieniu warunkowym? W przypadku, o którym mówię, system nie uwzględnił faktu, że przestępstwa mógł się dopuścić człowiek potencjalnie wartościowy. Fleming to zrozumiał i postąpił słusznie.

Beldon siedział rozparty w fotelu na biegunach i pociągał mrożoną herbatę przez wygiętą dziecięcą słomkę.

- A więc jaki jest morał tej historii, Ted?
- Nie wiem, ale pewnie zaraz się dowiem.

Beldon zaśmiał się.

– Pracuję dwadzieścia pięć lat i był to jedyny znany mi przypadek, kiedy nie popełniono pomyłki, dając przestępcy jeszcze jedną szansę. Jedyny! Marna statystyka, nie sądzisz? Dlatego nadal uważam, że za to, co robię, powinienem pójść do nieba. Wy, adwokaci, niby robicie, co do was należy, ale tak naprawdę nikomu nie pomagacie. Obrońcy z urzędu, ci tak, ci prowadzą słuszną politykę: nie wdawać się w szczegóły, zawrzeć ugodę i po sprawie. Wynajęci adwokaci tylko marnują czas, starając się udowodnić swoim klientom, że walczą o ich wolność.

- Jesteś wstrętnym, starym cynikiem.
- Jestem wstrętnym, starym realistą.
- Dlaczego w ogóle zostałeś prawnikiem?
- Czyż ludzka skłonność do aberracji nie jest fascynująca? – powiedział

Beldon i zostawiając mnie z tą wielce dwuznaczną odpowiedzią, wyszedł napęłnić dzbanek.

Kiedy wrócił, zmieniłem temat.

- Powiedz mi coś o Muriel Suarez.
- Za rok, dwa może zostać szefem oddziału, jeżeli nie skuszą jej pieniądze i nie zatrudni się w jakiejś frymuśnej kancelarii adwokackiej, jak niektórzy z naszych wspólnych znajomych.

Nie przyjechałem do Jacksonville słuchać pouczeń, nawet od Beldona. Odczuwałem autentyczną potrzebę działania. Człowiek dogorywający w celi śmierci nie był jakimś tam anonimowym czarnym złoczyńcą. Znałem go, patrzyłem mu kiedyś w oczy. Przez ostatnie dziesięć lat wielu biznesmenom i przedsiębiorcom pomogłem się wzbogacić; z czasem stałem się

jednym z nich. To też jest zadaniem prawnika. Ale innym zadaniem prawnika, zadaniem, którego nie wypełniałem już od bardzo dawna, jest pomagać ludziom zachować życie, wolność i godność. Wiedziony chciwością pozwoliłem obumrzeć jakiejś części samego siebie; nie do końca wszakże. Mogłem ją ożywić; wystarczyło tylko chcieć, okazać nieco odwagi i uporu.

Po kolei jednak. Przyjechałem tu, ponieważ zdobyłem informację, którą zobowiązany byłem przekazać prokuratorowi stanowemu. Zrobiłem to. Uczyniłem więc pierwszy krok.

– Co zamierzasz zrobić w tej sprawie? – zwróciłem się do Beldona.

– Nic a nic – odparł. – Umieszczę ją na długiej liście zdarzeń dowodzących, jak mi się zdaje, że rodzaj ludzki jest z jednej strony zdolny do wszystkiego co najlepsze, z drugiej zaś, to banda pieprzonych oszustów, hipokrytów, oportunistów i ogólnie rzecz biorąc – gnój.

Trudno to było uznać za wyczerpujący opis cech gatunku ludzkiego. Zacisnąłem jednak zęby i nie odpowiedziałem na prowokację.

– Co stało się z Floydem Nickersonem?

– Tak myślałem, że o to zapytasz.

– Czy to znaczy, że coś o nim wiesz?

– Do wczoraj nie wiedziałem, ale po twoim telefonie zebrałem trochę informacji. Odszedł z biura szeryfa dziesięć lat temu i przeniósł się do Gainesville. Został szefem ochrony wielkiej firmy wynajmu i eksploatacji nieruchomości i należącego do niej country clubu. Miejsce to nazywa się Orange Meadow.

– To musi być nad jeziorem Orange – powiedziałem zapisując nazwę w notesie. – W czasach szkolnych chodziliśmy tam w weekendy na narty wodne. Jak brzmi pełna nazwa? Orange Meadow Estates, coś w tym rodzaju.

– Chyba tak. Nie pamiętam.

– Czy Nickerson jest tam nadal?

– Nie wiem. Nie prowadzę z nim korespondencji.

– Wiesz może, jak nazywa się firma, dla której pracuje?

Beldon zawahał się na moment.

– ZiDevco.

11

Wieczorem, kiedy w zasadzie powinienem już szykować się do wyjazdu, podjąłem decyzję. Zadzwoiłem do Muriel Suarez, do jej gabinetu w prokuraturze.

- Chce pan to oglądać? – zdziwiła się.
- Chcę tam być. Na miejscu zdecyduję, co dalej.
- Ma pan jakąś manię na punkcie śmierci, czy co? – burknęła Muriel.

Zadzwoiła jednak do naczelnika więzienia w Raiford i zażądała wpisania mego nazwiska na listę świadków. Następnie oddzwoniła do mnie.

– Załatwione. Dopuszczają dwunastu świadków, nie licząc dziennikarzy, a mieli dopiero siedmiu.

Umówiliśmy się przed jej mieszkaniem na Washington Street. Zadzwoiłem do domu. Alan odebrał po pierwszym sygnale.

- Bobby?
- Nie, to ja. Jak leci, synu?
- W porządku, tato.
- W domu wszystko gra?
- Cisza i spokój. Właśnie czytałem nad basenem.

Ucieszyła mnie ta wiadomość. Brzmiała jakoś krzepiąco. Budziła nadzieję.

– Myślałem o naszej ostatniej rozmowie. Jeśli czujesz się na siłach zrezygnować z tej terapii, ja się zgadzam.

- Jestem pewien, że mógłbym ją sobie darować.
- A więc zrób to. Gdzie mama?

- Poszła na górę zdrzemnąć się.
- Miałem dziś wieczorem wrócić z Jacksonville, ale muszę jeszcze coś załatwić. Powiedz mamie, że będę jutro.

Alan odparł, że zostawi kartkę; za godzinę wyjeżdża na weekend pod żaglami w pobliże Captiva Island. Zadzwoiłem do mojej firmy i wysłuchałem litanii pogrózek ze strony współników, przekazanej mi przez Ruby.

- Nic nie słyszałem – odrzekłem.

Kenny Buckram miał tego wieczora randkę z niską bogatą wdówką z St. Augustine.

- Prawdopodobnie nie wrócę do rana – oznajmił. – Zostajesz więc panem na włościach. Masz jakieś plany?
- Późna randka. O czwartej rano.
- Poważnie?
- Tak.
- Co będziesz robił do tej pory?
- Powałkonię się. Posłucham muzyki, upiję się, popalę trawki. W porządku, tatusiu?

Pański wóz czy mój? – zapytała Muriel Suarez.

- Od tego pytania zaczynało się randkę, kiedy chodziłem do liceum – zauważyłem. Była czwarta rano. Staliśmy w chłodzie przedświtu u wejścia do domu Muriel Suarez na Washington Street. – Mam wynajęty samochód. Lepiej zdzierać opony pana Hertza.

Mostem Fullera Warrena przejechaliśmy na drugą stronę St. Johns River, kierując się ku wylotowi szosy I-10. Miasto jeszcze spało; o tej porze na ulicach nie było ruchu. W innych okolicznościach uznałbym, że wyruszamy w atmosferze przygody.

- Na dwudziestej mili – powiedziała Muriel – skręci pan na południe, w 121.
- Może w Raiford zatrzymamy się na śniadanie?
- To więzienie. Tam nie ma miasta. Jeśli chce pan jeść, to jedźmy 319, do Strake. Nazywają tę dziurę Paryżem hrabstwa Bradford.

Sunęliśmy przez noc, mijając rzędy składanych domków i tonące w

mroku kościółki baptystów. Blask księżycy kładł się na drzemiących przy szosie przyczepach kempingowych i wozach mieszkalnych. Na zboczach piaszczystych wzgórz ciemniały palmowe gaje, w nocnym powietrzu niósł się zapach palonego drewna. To była inna Floryda; nie złote wybrzeże, gdzie przybysze z całego kraju opalali się i bawili na przyjęciach, nie Keys, gdzie łowi się ryby, ani St. Pete, z jego grą w shuffleboard, czy też Disney World, dokąd jechało się z rodziną powyglupiać się za wszystkie czasy. To było głębokie Południe, gdzie jeszcze nie tak dawno temu widziało się Murzynów wiszących na sosnach. Ludzie mieszkali tu w drewnianych domach z podwórzami zagraconymi resztkami ciężarówek i zardzewiałymi pralkami. Kiedy wszędzie słońce, drewniane ławki przed sklepami zaroją się od florydzkich biedaków w spranych kombinezonach, popijających budweisera z butelek o długich szyjkach lub domowe piwo.

Do Starke dotarliśmy kwadrans przed piątą. Śniadanie zjedliśmy w barze na Main Street. Menu zakładu ozdobił napis: „Rzuczymy państwu miłego dnia”. Zamówiłem czarną kawę, jaja na parze i grzanekę. Muriel w zamyśleniu gryzła wykałaczkę. Dzisiaj w jej oczach trudno było doszukać się wesołości.

Ze Starke wyjechaliśmy drogą na zachód, ku Raiford. Na jasnożółtym, porannym niebie rysowały się czuby palm. Między płotami pod napięciem i wieżami strażniczymi widniała druciana siatka.

Rozśpiewały się ptaki. Dniało. Na trawniku przed bramą więzienia zobaczyliśmy kilkanaście furgonetek, przyczep kempingowych i wozów mieszkalnych. Między pojazdami rozstawiono stoliki turystyczne nakryte plastikowymi obrusami. Kobiety parzyły kawę, kroili ciasto – tak jak kiedyś, gdy zbliżała się pora lynchu. Poranne powietrze pachniało syropem klonowym.

– Zwolennicy kary śmierci – odezwała się Muriel. – Zjeżdżają się z całej Florydy, obozują tu przez okrągłą noc. Nie mogą wejść do środka, ale wystarcza im, że widzą, jak przygasa światło, kiedy facet w więzieniu naciska guzik. Wtedy tańczą i wiwatują. Jeszcze jeden zły człowiek przestał zagrażać rozkoszom życia w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Jakiś mężczyzna sprzedawał pączki i okolicznościowe koszulki. Nie

widziałem umieszczonego na nich nadruku, ale mogłem go sobie wyobrazić.

Wnęka w murze wieży strażniczej mieściła telefon. Muriel przedstawiła się do słuchawki i głos z megafonu polecił nam udać się do bramy numer jeden. Ponad nią kłębiły się zwoje drutu kolczastego z nierdzewnej stali. Podniosłem głowę i w górnych oknach bloku więziennego ujrzałem twarze mężczyzn majaczące w świetle poranka. Niczym dzikie koty, mieli oczy, które zdawały się świecić w półmroku.

Minąwszy szereg bram, dotarliśmy do sektora widzeń. Ściany pomalowane tu były na brzoskwiniowy kolor, linoleum na podłodze pachniało świeżą pastą. Powietrze było chłodne jak w piwnicy. Ponieważ musieliśmy poczekać na przewodnika, podszedłem do tablicy ogłoszeń dla personelu. Któryś ze strażników proponował kupno składanego domku: „Syp. 2 łaz. \$ 3500 (do uzg.) plus działka 5 akrów \$ 24 000”. Daleko stąd było do Longboat Key.

Sprawdzono naszą tożsamość, oznaczono ręce fluoryzującym znacznikiem, jak w nocnym klubie. Przeszliśmy przez wykrywacz metali. Musieliśmy zostawić klucze, Muriel także pistolet llama blackhawk kalibru 32, znajdujący się dotąd w jej torebce. Uśmiechnęła się przy tym jakby przepraszająco.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – powiedziała.

Nasz przewodnik okazał się gładko ogolonym młodzieńcem o wąskich wargach, pracownikiem administracji więzienia stanowego. Przedstawił się jako Fred Olsen. Ubrany był w jasnoszary garnitur z jasnoszarym krawatem i lśniące czarne buty.

– Będę państwu towarzyszył w trakcie całego postępowania – oznajmił spokojnie. – Jeśli mają państwo jakieś pytania, proszę się nie krępować. Teraz pójdziemy na śniadanie.

– Dziękujemy, już jedliśmy – odpowiedziała Muriel.

– To należy do procedury – wyjaśnił Olsen.

Poprowadził nas długim korytarzem o wypastowanej podłodze. Weszliśmy do bufetu. Tutaj ściany miały kolor jasnej zieleni, a dominującym elementem wystroju wnętrza były dwie duże flagi: Stanów Zjednoczonych i czerwono-biała flaga stanu Floryda z wypisanym na niej mottem stanowym:

„Bogu ufamy”. Zgromadzili się tu pozostali świadkowie: kilku reporterów, przedstawiciele władz stanowych i wyżsi funkcjonariusze więzienia, adwokat, który zajmował się apelacjami Sweetinga, ojciec jednej z jego ofiar i stryj drugiej. Zaproszono po jednym przedstawicielu rodzin poszkodowanych i jedną osobę z rodziny skazanego. Matka Sweetinga siedziała obok adwokata. Wszyscy, z wyjątkiem pani Sweeting, jedli jajecznicę, bekon, płatki kukurydziane i podsmażane ziemniaki.

– Może przynieść państwu kawy? – zapytał Olsen. – Kawa jest bezpłatna.

Kiedy odszedł, spytałem Muriel, czy zna adwokata Sweetinga.

– Jasne.

– Jak się spisywał w czasie postępowania odwoławczego?

– To bardzo solidny prawnik, ale w tym przypadku nic nie mógł zrobić.

– A czy w ogóle można coś zrobić dla takich jak Sweeting?

– Czasami. Cuda się zdarzają.

– Na przykład ułaskawienie?

– To na pewno byłby cud. Ale jeśli już miałyby się zdarzyć, to właśnie Sweetingowi, ponieważ jest biały.

Wrócił Olsen z kawą dla nas i talerzem jajek na bekonie dla siebie. Zauważyłem, że przy sąsiednim stoliku podobny młody człowiek w szarym garniturze zajmuje się inną grupą świadków.

– Czy życzą sobie państwo, żebym opowiedział, jak wygląda cała procedura? – zapytał Olsen. – Tak zwykle postępujemy. W ten sposób oszczędza się świadkom niespodzianek.

– W porządku – usłyszałem swój głos.

– Mój kolega, pan Crocker udzielił już wyjaśnień pozostałym grupom.

A więc?

Muriel skinęła wreszcie głową. Pod oczyma miała dzisiaj ciemne kręgi.

– Od trzydziestu dni – zaczął Olsen – pan Sweeting podlega rygorowi programu Death Watch. Jest to specjalny tryb postępowania stosowany wobec skazanych na śmierć. Istnieją dwie fazy tego programu. Faza pierwsza zaczyna się z chwilą podpisania wyroku przez gubernatora. Pan Sweeting został przeniesiony do skrzydła Q budynku więziennego – dużo bliżej

miejsca egzekucji – i całkowicie odizolowany od innych więźniów. Wolno mu było czytać dowolnie wybrane książki czy broszury religijne oraz zaprenumerowane wcześniej dzienniki i czasopisma. Nadal też przysługiwały mu trzy posiłki dziennie, przy czym ściśle przestrzegano wszelkich zaleceń medycznych odnośnie do jego diety.

– Chcieliście, żeby był całkiem zdrowy – wtrąciłem.

Olsen skinął głową, zadowolony z mojej domyślności.

– Nadal korzystał z widzeń, zgodnie z wcześniej wydanymi zezwoleniami, ale były to wyłącznie widzenia w rozmównicy, w warunkach wykluczających bezpośredni kontakt ze skazanym. Tak wyglądała faza pierwsza programu Death Watch. Podczas fazy drugiej, która zaczęła się pięć dni temu, panu Sweetingowi przysługiwało jedynie prawo do... – z wewnętrznej kieszeni marynarki Olsen wydobyl kartkę i odczytał: – korzystania z czarno-białego telewizora, umieszczonego na zewnątrz celi, posiadania jednego radia, jednej talii kart, jednego egzemplarza Biblii i jednej książki innego rodzaju, ewentualnie czasopisma lub magazynu. – Olsen schował kartkę i zamilkł. Czekał.

Muriel i ja z aprobatą pokiwaliśmy głowami.

– Podczas fazy drugiej skazany znajduje się pod ciągłym nadzorem wyszkolonego funkcjonariusza, który siedzi na zewnątrz celi i co piętnaście minut zapisuje, co robi więzień. Przed czterema dniami pana Sweetinga poproszono o dokonanie spisu swego majątku oraz wyrażenia woli co do sposobu dysponowania nim po jego śmierci. Poproszono też, aby określił swoje wymagania odnośnie do pogrzebu. Pan Sweeting zażądał standardowego pochówku. Został zmierzony celem przygotowania odpowiedniego ubrania. Dwa dni temu pozwolono mu się spotkać z wybranymi przez siebie dziennikarzami. Odmówił jednak udzielenia wywiadu. Wczoraj, dwadzieścia cztery godziny przed egzekucją, nasz szef kuchni przyjął od pana Sweetinga zamówienie na ostatni posiłek. Chcą państwo wiedzieć, co to było?

Muriel mruknęła coś pod nosem, słowo czy dwa, zupełnie dla mnie niezrozumiałe. Ja sam stwierdziłem, że nie jestem w stanie nic powiedzieć, a nawet pomyśleć.

Olsen odczytał z kolejnej kartki:

– Pan Sweeting zamówił stek z polędwicy wołowej z dodatkami, pół litra lodów czekoladowych z gorącym kajmakiem, coca-colę i dużą porcję smażonej na maśle kukurydzy. Wszystko to byliśmy mu w stanie dostarczyć. Posiłek ten podano skazanemu około czwartej trzydzieści rano, po ostatnim spotkaniu z wybranym przez niego duchownym. W tej chwili pan Sweeting przebywa od godziny w towarzystwie kapelana więziennego... Czy mają państwo jeszcze jakieś pytania?

Pokręciliśmy głowami na znak, że nie mamy pytań.

Obliczyłem, że Sweeting jadł lody z kajmakiem mniej więcej w tym czasie, gdy ja konsumowałem swoje jaja na parze w Starke.

– Teraz co do samej procedury egzekucji, której świadkami wkrótce państwo będziecie. O piątej czterdzieści pięć zostaną państwo zaprowadzeni do pomieszczenia dla świadków obok komory straceń w skrzydle Q. O szóstej pracownik administracji więzienia, konkretnie ja, trzech wyznaczonych elektrycy, dwaj strażnicy, lekarz i jego pomocnik zgromadzą się w komorze straceń. Pan Crocker nawiąże kontakt telefoniczny z biurem gubernatora, na wypadek gdyby ten ostatni zdecydował się ułaskawić skazanego.

– Czy o szóstej rano gubernator nie będzie spał, zamiast przebywać w swoim biurze? – wtrąciłem.

– To dobre pytanie – rzekł Olsen – i prawdę mówiąc, nie potrafię na nie odpowiedzieć. Tymczasem skazanemu zostanie ogolona głowa i prawa łydka, dla ułatwienia przepływu prądu. Pod nadzorem weźmie kąpiel i przebierze się w ubranie, w którym ma być pochowany, z wyjątkiem butów i marynarki. Głowa i ogolona łydka zostaną posmarowane żelazem zwiększającym przewodnictwo elektryczne skóry. Naczelnik więzienia, pan Tate, po raz ostatni odczyta skazanemu wyrok śmierci. Następnie skazany zostanie przypięty pasami do krzesła. Będzie mu wolno wygłosić krótkie oświadczenie. Na głowę zostanie mu nałożona gąbka przewodząca i uchwyt przypominający czapkę. Chciałbym dodać, że wczoraj w nocy ja i mój kolega, Clive Crocker, który, jak powiedziałem, opiekuje się tymi ludźmi przy sąsiednim stoliku, zauważyliśmy, że gąbka, której miano użyć dziś rano, jest – delikatnie mówiąc – brudna. Zakupiliśmy więc na tę okazję

nową, czystą. Nie do wiary, ale wygląda na to, że nie używają za każdym razem nowej gąbki.

Zacisnąłem ukryte pod stołem dłonie, czując jak palce wpijają mi się w mięśnie ud.

– Pan Wright, zastępca kierownika komory straceń, zainstaluje bezpiecznik. Główny elektryk uruchomi blok zasilania. Pan Tate przekaze katowi sygnał do naciśnięcia guzika i rozpocznie się proces wykonania egzekucji. Kiedy dobiegnie końca, lekarz ogłosi śmierć skazanego. Państwo, razem z pozostałymi świadkami, opuszczą pokój obserwacyjny; tylnym wyjściem.

– Kto pełni rolę kata? – cicho spytała Muriel.

– Anonimowy miejscowy obywatel. Występuje ubrany w czarny kaptur i pelerynę – odparł Olsen.

– Jezu! Ochotnik?

– Owszem, chociaż za swoje usługi otrzymuje wynagrodzenie w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów.

– Jakiego używacie napięcia? – spytałem.

– Dwa tysiące czterysta woltów.

– Jak długo?

– Co proszę?

– Ile trzeba czasu, żeby go zabić?

– O, to się odbywa błyskawicznie. Wystarczy kilka sekund. Zdarza się, że ciało skazanego wykonuje jakieś ruchy, ale zapewniam państwa, że jego świadomość ustaje natychmiast.

Olsen przeprosił nas i udał się do łazienki.

Popatrzyłem w oczy Muriel. Ich źrenice były rozszerzone.

– Nie wiem, czy zdołam przez to przebrnąć – powiedziała.

– A więc zmywajmy się stąd.

– Nie, muszę wytrwać. Ślubowałem Najświętszej Pani. *Chinga la madre!* Co mi strzeliło do głowy? Ten Olsen jest ewidentnie nienormalny. Pójdzie pan ze mną? Może pan to dla mnie zrobić?

Pokręciłem głową. Miałem wrażenie, że i tak posunąłem się za daleko.

Chwyciła mnie za rękę. Palce miała szczupłe i silne.

– Proszę. Niech mi pan pomoże.

– Dobrze – odparłem. Moja stanowczość okazała się niczym wobec żarliwości jej prośby.

Do skrzydła Q przewieziono świadków więziennym mikrobusem. Ponad czuby sosen na wschodzie wysunął się rąbek tarczy słonecznej. Podczas przejazdu w samochodzie panowało milczenie. Obrońca rewizyjny Sweetinga przywitał Muriel skinieniem głowy; znał ją, chociaż nigdy nie spotkali się na sali sądowej.

Szepnąłem jej do ucha:

– Widzi pani matkę Sweetinga? Siedzi obok adwokata.

– Tak.

– Potknęła się, wsiadając do autobusu. Zabrała ze sobą kubek od kawy, ale przedtem napełniła go czymś z butelki, którą ma w torebce. Ile ona może mieć lat?

– Sweeting ma dwadzieścia siedem. Ona pewnie koło pięćdziesiątki.

– Wygląda na siedemdziesiąt!

– *Dios mio*. To wszystko jest okropne.

– Zjeżdżajmy stąd, jak tylko autobus się zatrzyma.

– Dam sobie radę, tylko niech pan mnie nie zostawia. Przysięgam, że już nie będę nic mówić.

Weszliśmy do skrzydła Q. Clive Crocker zaprowadził nas do pomieszczenia zastawionego rzędami białych drewnianych krzeseł. Wszystkie zwrócone były w kierunku szyby tworzącej jedną ze ścian. Po jej drugiej stronie, w odległości około pięciu metrów stało ciężkie dębowe krzesło o wysokim oparciu, wyposażone w pasy z czarnej skóry – wielkie niczym tron. Z tyłu widać było otwartą skrzynkę rozdzielczą pełną przewodów i lampek sygnalizacyjnych. Ze stropu zwisały dwa zestawy lamp oświetleniowych.

Poprawiłem się na krześle i ciasniej opatuliłem marynarką; w pomieszczeniu dla świadków panował wilgotny chłód.

Do komory straceń, szurając stopami po posadzce, wszedł skazany. Ręce i nogi w kostkach skute miał kajdankami połączonymi łańcuchem.

Eric Sweeting wyglądał jak piegowaty chłopiec przebrany w wizytowy strój dorosłego mężczyzny. Czerwono-niebieski krawat zwisał mu poniżej pasa. Miał na sobie zapiętą na wszystkie guziki, za dużą dla niego białą koszulę, workowate granatowe spodnie i czarne skarpetki. Niski, chudy, przygarbiony, o odstających, niemal prostopadłych do głowy uszach, wyglądał jak przestraszony kundel. Nasmarowana żelom guzowata, gładko ogolona czaszka lśniła w świetle lamp.

Matka pomachała do niego ręką.

Nasz przewodnik, Fred Olsen znajdował się w komorze, razem z ubranym w biały fartuch lekarzem, sanitariuszem, naczelnikiem więzienia i jego pomocnikiem, trójką elektryków, dwoma potężnie zbudowanymi strażnikami z obsługi Death Watch i niskim mężczyzną w czarnej pelerynie i kapturze z wycięciami na oczy.

Od pewnego czasu słyszałem jakiś rytmiczny odgłos, jakby odległe dudnienie perkusji. Teraz ten dźwięk nasilił się. Spojrzałem w lewo, gdzie siedział kolega Olsena, Clive Crocker, i pytająco uniosłem brwi.

Pochylił się ku mnie i szepnął:

– Skazani przebywający w celach śmierci znają nasz harmonogram. Stukają plastikowymi łyżkami w kraty. Przypuszczam, że można to uznać za formę pożegnania.

Strażnicy rozkuli Sweetinga.

– Tutaj – powiedział jeden z nich. – Proszę siadać.

Jego głos, jakkolwiek nieco przytłumiony, całkiem wyraźnie docierał do nas przez szklaną ścianę.

Podtrzymywany przez strażników Sweeting zajął miejsce na krześle. Stopy w skarpetkach zwisały mu w powietrzu. Strażnicy krzatali się, zapinając rzemienie obejmujące talię, nogi i ręce skazańca.

Słyszeliśmy, jak Olsen zwraca się do niego z pytaniem:

– Czy chce pan teraz powiedzieć kilka słów?

– Tak, proszę – odparł Sweeting i spojrzał w stronę zgromadzonych za szybą gości.

– Proszę mówić głośno, inaczej mogą pana nie usłyszeć – ostrzegł Olsen.

Sweeting skinął głową.

– Do widzenia wszystkim. Do widzenia, mamó.

– Żegnaj, synku! – zawołała pani Sweeting. – Pozdrów ode mnie Pana Jezusa. Powiedz mu, żeby się tobą zaopiekował.

– Boże miłosierny – wymamrotała Muriel.

Ująłem jej dłoń i zatrzymałem w uścisku, jakbyśmy byli mężem i żoną.

– Czy to wszystko? – zapytał Olsen.

– Ano... przykro mi z powodu tego, co się stało – powiedział Sweeting – ale o tym to chyba wiecie. Do nikogo nie mam żalu, chciałbym wszystkim podziękować za to, co dla mnie zrobili. A teraz... jestem gotów wyruszyć w drogę.

Muriel jęknęła, a ja wziąłem ją za drugą rękę.

Naczelnik więzienia przystąpił do ostatniego czytania wyroku śmierci. Z oddali bez chwili przerwy dobiegały odgłosy rytmicznego stukania o kraty. Jeden ze strażników przechylił do tyłu głowę Sweetinga i unieruchomił ją zapiętym na podbródku rzemieniem. Drugi założył mu na twarz czarny gumowy kaptur. W czubek kaptura wepchnięta była nowa gąbka. Od elektrod w kapturze biegły przewody do skrzynki rozdzielczej na ścianie. Pierwszy strażnik naciął prawą nogawkę spodni Sweetinga, następnie rozdarł ją wzdłuż szwu aż do kolana. Na chudej, po ogoleniu białej jak mleko łydce skazańca umocował drugi zestaw elektrod.

Uniesionym kciukiem dał znak zamaskowanemu katowi. Ten wcisnął guzik w skrzynce rozdzielczej.

Rozpoczął się proces wykonania egzekucji. Światła przygasły. Sweeting drgnął i zajączkał cicho, jakby przez sen.

Z jego głowy wystrzeliły żółto-niebieskie płomienie, rozchodząc się w górę i na boki na kształt korony słonecznej podczas pełnego zaćmienia. Sweeting kwiczał teraz jak zarzynana świnia. Ogień trzeszczał, wyraźnie słychać było skwierczenie palącego się mięsa. Nie czuliśmy zapachu, ale słyszeliśmy ten dźwięk.

Siedzący między nami Clive Crocker zerwał się na równe nogi. W komorze straceń elektrycy szarpali za rękaw naczelnika więzienia.

„Wystarczy kilka sekund. Zdarza się, że ciało skazanego wykonuje jakies

ruchy, ale zapewniam państwa, że jego świadomość ustaje natychmiast”.

Sweeting wciąż krzyczał. Płomienie nadal tryskały z jego głowy. Wyprężone palce nóg wybijały wściekły rytm na betonowej posadzce. Wszyscy widzieliśmy, jak skóra jego prawej nogi zaczyna marszczyć się i czernieć. Pani Sweeting zanosła się głośnym płaczem.

Kat zwolnił przycisk.

– Wygląda na to, że mamy jakieś trudności – spokojnym głosem oznajmił Crocker. – Ale na pewno znajdzie się na nie rada.

Elektrycy gorączkowo poprawiali pasy, zmieniali ułożenie elektrod.

Po minucie byli gotowi. Znow wzniesiony kciuk i... kat nie zauważył znaku. Jeden z elektryków podszedł do niego i szeptnął coś do osłoniętego kapturem ucha. Kat skinął głową i po raz drugi wcisnął guzik.

Z łysiny Sweetinga, z całej jego głowy, przenikając gumowy kaptur, buchnęły płomienie. Dzięki zapisowi wideo prowadzonemu podczas egzekucji przez pomocnika lekarza, można było później określić ich długość – od siedmiu do trzydziestu pięciu centymetrów. Kolor miały niebieski, choć miejscami przedzierały je żółte smugi. Kwiczenie Sweetinga przeszło w skowyt katowanego psa. Jego drobne ciało zwijało się w uścisku rzemieni; chwilami wyglądało to tak, jakby tańczył na siedząco. Gęsta ciemnobrązowa ciecz wypływała spod gumowego kaptura, plamiąc gors białej koszuli. Razem z tą cieczą na kolana Sweetinga spływały żółto-białe ziarna prażonej kukurydzy i kawałki przeżutej polędwicy; na podłodze powstała kałuża niestrawionej coca-coli, lodów i brunatnego kajmaku.

Z głębi budynku, od strony cel śmierci dobiegał dźwięk walenia łyżkami o kraty. Pani Sweeting ukryła twarz w dłoniach, piskliwym głosem zanosząc modlitwy do Jezusa.

Jeden z elektryków zawołał coś do kata i ten znowu zdjął palec z guzika.

Sweeting zaskrzeczał:

– Moje oczy się palą! Nie mogę oddychać!

– Przestańcie! – krzyknęła Muriel, zrywając się z krzesła. – Na litość boską, przestańcie!

Podbiegł do niej Crocker.

– Pani Suarez, proszę się nie wtrącać. Proszę się opanować!

Zaczęła obrzucać go wyzwiskami, on zaś próbował siłą posadzić ją z powrotem na krześle. Uniosłem się, czując w udach jakąś dziwną moc, prawą dłoń zwinąłem w pięść i grzmotnąłem nią prosto w nos Crockera.

Trzecia próba, czternaście minut po tym, jak pierwszy strumień prądu przepłynął przez ciało Sweetinga, zakończyła się powodzeniem. Lekarz ogłosił śmierć skazanego.

Do pokoju świadków wszedł Olsen, ocierając pot z karku.

– Wyrok stanu Floryda został wykonany. Proszę wychodzić drzwiami w tyle pomieszczenia i udać się do autobusu.

Przytulona do mojego ramienia Muriel dygotała. Ze zdziwieniem oglądałem skaleczenie na kłykciach prawej dłoni, która zaczynała już puchnąć.

Crocker miał złamany nos. Mijając nas w korytarzu, wycelował we mnie trzęsący się palec:

– Takie zachowanie nie ujdzie panu na sucho. Nawet jeśli jest pan adwokatem. Zaskarżę pana.

– Pierdol się, złamasie – odrzekłem.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz odezwałem się do kogoś w ten sposób i w gniewie uderzyłem człowieka. Chyba nigdy.

Bрудna gąbka, która wytrzymała próbę tyłu egzekucji, była gąbką naturalną. Ta, którą Crocker i Olsen kupili w sklepie Circle K w Starke, zrobiona była z nylonu; pod wpływem prądu o napięciu dwóch tysięcy czterystu woltów – zajęła się. Niebieskim płomieniem.

Mój nocny koszmar.

Kilka dni później, w oficjalnym raporcie władz więzienia stanowego przeznaczonym dla środków masowego przekazu, pojawiło się między innymi oświadczenie:

„Nie doszło do żadnej katastrofy, chociaż pewne wydarzenia mogły budzić zrozumiałe przerażenie. Ale ta zrozumiała, ludzka konsternacja nie przerodziła się w panikę. To, co zostało zamierzone, wykonano. Konieczności stało się zadość. Ze względu na pewne okoliczności, skutki podjętych działań okazały się wysoce nieestetyczne. Stwierdzamy jednak, opierając się na ponad czterdziestoletnim doświadczeniu, że poza rzadkimi przypadkami

wyjątkowo łagodnej śmierci, egzekucja zawsze jest widokiem nieestetycznym. Z takiej czy innej przyczyny.

To wszystko, co mamy w tej sprawie do powiedzenia”.

Oświadczenie podpisał lekarz naczelny więzienia stanu Floryda.

Ale jeszcze zanim je przeczytałem, mój stosunek do sprawy Morgana uległ zasadniczemu przeobrażeniu. Miejsce zainteresowania zajęło poczucie głębokiego zaangażowania. Nie mogłem pogodzić się ze świadomością, że w pewien sposób jestem odpowiedzialny za to, że Darryla Morgana czeka los, jeśli nawet nie tak straszny jak Erica Sweetinga, to w każdym razie podobny. Przysiągłem sobie, że zrobię wszystko, aby ocalić mu życie. Bez względu na to, ile czasu będę musiał na to poświęcić.

12

Toba – nadal w piżamie i szlafroku frotte – leżała oparta o stos poduszek na jednej z sof w salonie. Przez wychodzące na zachód okno wpadały skośne promienie popołudniowego słońca. Do połowy pusta butelka zimnego chablis stała na stoliku do kawy. Wtyczka telefonu, wyciągnięta z gniazdka, leżała na podłodze.

Dwudziestopięcioletni telewizor sony nastawiony był na CNN.

Toba, jak się dowiedziałem, od wczesnego ranka oglądała wiadomości, ale na świecie nie działo się nic ciekawego. O czwartej po południu przekazano właściwie te same informacje co o dziewiątej rano.

– Czy to nie idiotyczne? – powiedziała Toba. – Mogłoby się здаwać, że przez te sześć czy siedem godzin na świecie wydarzyło się coś nowego. Powiedzmy, wybuchła nowa wojna, rewolucja w jakiejś bananowej republice, skandal obyczajowy w Waszyngtonie – cokolwiek. A tu nic. To znaczy, że na pewno coś się wydarzyło, nie uwierzę, że nie, ale nikt nam o tym nie mówi! Pytam więc: dlaczego?

– Zrobię kawę – powiedziałem. – Przez ten czas wypij szklankę wody. Alkohol odwadnia mózg.

– Pewnie wyczytałeś to w jakimś magazynie podczas lotu – zachichotała Toba.

– A wiesz, czym spowodowany jest ten szmerek w głowie, który czujesz po alkoholu?

– Uszkodzeniem komórek mózgowych.

– Skąd wiesz?

– Bo też byłam na przyjęciu, na którym pewien napuszony neurochirurg uraczył nas wykładem o wpływie alkoholu na mózg ludzki. Ale dowiedziałam się też, że w mózgu są miliony komórek, których nigdy nie używamy, więc w czym problem?

– Przyniosę kawę. A potem zrobię ci jajecznicę i grzanekę.

Toba usiadła prosto i odstawiała szklankę.

– Ted, nawet nie zapytałeś, dlaczego się upiłam.

Poklepałem ją po ramieniu.

– Zapytam, ale najpierw muszę cię nakarmić. Kocham cię i staram się być dla ciebie miły. Czy to nie lepsze niż nadmiar pytań?

Toba rozplakała się.

W promieniach tonącego w zatoce słońca[^] siedzieliśmy na skraju basenu. Morzem, obok naszej przystani, przepływała ławica ryb. Krążące nad nią pelikany nurkowały z donośnym pluskiem. Toba piła już trzeci kubek kawy bez kofeiny.

Ja dzierżyłem szklankę wódki z tonikiem.

– Nic z tego nie rozumiem. Podśluchałaś tę rozmowę w czwartek wieczorem i, zamiast porozmawiać z chłopakiem, w piątek wypuściłaś go z domu. Mnie też nic nie powiedziałaś. Wiedziałaś, co się będzie działo i pozwoliłaś mu na to! Co się z tobą dzieje?

– Nie wiedziałam, co zrobić.

– Nie wiedziałaś...?

Moja żona nie była słabą kobietką. Nigdy jej za taką nie uważałem, toteż niełatwo było mi ją teraz zrozumieć. Zamyśliłem się i wtedy przypomniałem sobie pewnego młodego zastępcę prokuratora stanowego z mojego zespołu w Jacksonville. Wyznaczony do prowadzenia sprawy rodziców oskarżonych o fizyczne znęcanie się nad dzieckiem, po powrocie ze szpitala wpadł do mojego gabinetu ze łzami w oczach.

– Kiedy myślę o ojcu i matce, którzy dopuścili się takiego czynu, chciałbym żywcem obdrzeć ich ze skóry. Nie potrafię obiektywnie podejść do tej sprawy. Nie wiem, co robić.

Nie nazwałem go mięczakiem, nie zgañilem go. Miesiąc później odszedł

z prokuratury i otworzył prywatną praktykę.

Nie wiesz, co zrobić, Tobo? W porządku, mogę to zrozumieć. Dobre kobiety, matki, nie powinny mieć do czynienia z takimi sytuacjami; tak samo jak mężczyźni nie powinni mieć do czynienia z dziećmi przypalonymi papierosami i płonącymi głowami – własnymi czy kogoś innego.

Wracały mewy. Leciwały tak nisko nad przystanią i basenem, że słyszałem łopot ich skrzydeł. Kołysały się w powietrzu znoszone wieczorną bryzą; ich czarne oczka bacznie lustrowały powierzchnię wody.

– Mogłabym go zabić z uśmiechem na ustach – powiedziała Toba, używając wyrażenia, które odziedziczyła po matce, właścicielce hotelu. – Gdybyś ich usłyszał...

– Wiem, jak mówią chłopcy w ich wieku.

– Powiedział coś takiego: „Nie mogłem wydusić z niej forsy dziś wieczorem, bo ona mnie strasznie wkurwia!” Czy to jest fair, Ted? Czy to ma być jego wyobrażenie matki? Co drugie ich słowo to było „kurwa”. Chwilami nie mogłam uwierzyć, że to mówi mój syn.

– A kto? Jakiś brzuchomówca? To był on. Musimy się z tym pogodzić, przyjąć to do wiadomości.

Przez chwilę zastanawiała się nad moimi słowami, a potem westchnęła rozdzierająco.

– A więc co powinniśmy teraz zrobić?

– Może znów pomyśleć o leczeniu odwykowym. O jakiejś terapii grupowej, psychoterapii... sam jeszcze nie wiem. Muszę zadać mu kilka pytań i chęć, żeby szczerze na nie odpowiedział. I jeśli znów powie mi: „Tak, tato, wiem, że rujnuję sobie życie”, to, jak Boga kocham, zdejmę pas i skroję mu tyłek, jak mój dziadek w Bronxie mojemu ojcu.

Spuściłem wzrok na opuchnięte kłykcie prawej dłoni. Uderzyłem już dzisiaj jednego człowieka. A teraz groziłem, że zbiję własnego syna. Skąd we mnie tyle złości? W jaki sposób ukrywam ją na co dzień? Może warto sobie przypomnieć, że większość morderców jest zaskoczona swoim czynem?

Nadciągał wieczór; krajobraz po przeciwnej stronie Sarasota Bay wyglądał jak zamazany rysunek atramentem.

– Nie sądzisz, że to mogą być tylko przechwałki? – zapytała Toba. – Wiesz, o co mi chodzi. Może on i ten Becker tylko popisują się swoją męskością, podpuszczają jeden drugiego, a wcale nie mówią prawdy...

– Toba!

Spuściła na chwilę głowę. W gęstniejącym mroku pochyliłem się i ująłem jej dłoń. Po raz drugi tego dnia musiałem pocieszać kobietę trzymając ją za rękę.

W poniedziałek rano wspólnicy firmy Royal, Kelly, Wellmet, Jaffe & Miller zasiedli wokół orzechowego stołu w sali konferencyjnej, aby odbyć cotygodniową naradę. Dan Kelly, nasz genialny ekspert podatkowy (sto czterdzieści kilogramów żywej wagi) prowadził ostatnio negocjacje w sprawie zawarcia układu rozrachunkowego między urzędem podatkowym a grupą miejscowych właścicieli stoczni jachtowych, stałych klientów firmy. Zdaniem Kelly'ego proces sądowy był niewykuczony, ale mało prawdopodobny. Harvey Royal, starszy wspólnik spółki, dystyngowany, chudy jak szczapa i raczej pozbawiony poczucia humoru mężczyzna po sześćdziesiątce, kierował obroną prezesa towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego oskarżonego o defraudację.

Barry Wellmet, pulchny, tryskający dobrym samopoczuciem człowieczek, który z uśmiechem na ustach załatwiał ugodę za ugodą, prowadził interesy miejscowej filii ZiDevco. Firma ta była naszym klientem i skarżyła swojego głównego wykonawcę robót budowlanych. Barry szczegółowo omówił stan negocjacji w tej sprawie. Wspomniał także o kłopotach dystrybutorów mleka z hrabstwa Sarasota i Manatee, oskarżonych przez władze o zawyżanie cen. Szykowała się sprawa z oskarżenia o pogwałcenie prawa przeciwtrustowego.

– Ted, chciałbym, żebyśmy w tym tygodniu wpadli do Bradenton. Musimy się trzymać razem, bo inaczej skończymy w mlecznej łaźni. A ja już od dawna nie pijam mleka.

Harvey zwrócił się do mnie:

– Ted?

Z trudem zbierając rozproszone myśli, omówiłem pokrótce kilka swoich

spraw, na koniec zostawiając przypadek Jerry'ego Lee Elroya i kwestię mojego w nim udziału.

– Czy to dlatego jeździłeś do Jacksonville? – zapytał Harvey. – Byłeś mi w piątek potrzebny.

– Nie tylko dlatego.

Opowiedziałem współnikom o sprawie Morgana sprzed dwunastu lat i o moim odkryciu, że jeden ze świadków oskarżenia został nakłoniony do krzywoprzysięstwa. Powiedziałem, co wydarzyło się w Jacksonville, nie wspominając jednak o mojej wizycie w komorze straceń.

Marian Miller, przystojna kobieta mniej więcej w moim wieku, absolwentka wydziału prawa Harvardu, skwitowała moją opowieść stwierdzeniem:

– Cóż, nie jestem obrońcą w sprawach kryminalnych, ale wydaje mi się, że miałeś obowiązek zawiadomić o tym prokuratora Rutha.

– Niewątpliwie – zgodził się Royal. – Tyle że to na razie domysły.

Barry Wellmet pokiwał głową.

– Oto pułapki prawa. A czy cała ta sprawa, Ted, nie stanie się tylko stroniczką w podręczniku prawa? Oczywiście, kiedy już usmażą tego biedaka?

– Niekoniecznie – odparłem. – Istniała możliwość, że detektyw Floyd Nickerson, który namówił Elroya do złożenia fałszywych zeznań, również kłamał twierdząc, że Morgan przyznał mu się do winy.

Harvey Royal chrząknął i zmarszczył czoło.

– Chwileczkę – rzuciłem pośpiesznie. – Nie bez znaczenia jest chyba fakt, że po opuszczeniu policji Nickerson dostał pracę w Orange Meadow, osiedlu ZiDevco koło Gainesville.

– Przypadek – mruknął Kelly spoglądając na zegarek.

– Może – powiedziałem. – A może nie. Mnie to się nie podoba.

Harvey uniósł siwą brew.

– Ted, mówisz tak, jakby ta sprawa dotyczyła ciebie osobiście.

– Bo dotyczy! To ja posłałem Morgana do Raiford, do celi śmierci i może na krzesło elektryczne.

Harvey Royal zachowałby spokój nawet podczas tajfunu.

– Poniekąd cię rozumiem – rzekł pojednawczym tonem – ale twój udział w tej sprawie skończył się dwanaście lat temu. Zrobiłeś, co do ciebie należało, zgodnie z prawem i zasadami etyki zawodowej.

– Nie byłeś przy tym, Harvey. Nic nie wiesz.

– Istotnie. I bardzo mnie to cieszy. Tak czy inaczej, potrzebujemy cię tutaj, nie w Jacksonville. Niewykluczone, że w przyszłym tygodniu będziemy musieli polecieć do Waszyngtonu, a przedtem powinniśmy solidnie popracować. Do tego, jak słusznie zauważył Barry, powinniście zaproponować współpracę w procesie antytrustowym ludziom z Bradenton. I to już, zanim mleko skwaśnieje, jak by to ujął Barry. Nalegam, Ted, żebyś chwilowo odłożył inne sprawy. Czy mamy coś jeszcze? – Harvey powiódł wzrokiem po zebranych. Nikt się nie odezwał. – A więc to wszystko na dzisiaj. Dziękuję państwu.

O jedenastej zjawiłem się w budynku sądu na umówione spotkanie z Budym Caprą, zastępcą prokuratora stanowego z Sarasota, który prowadził śledztwo przeciwko człowiekowi znanemu mu jako Elroy Lee. Capra powiedział, że policja sprawdziła odciski palców Lee w komputerze krajowego rejestru skazanych znalazła się informacja, że był on karany czterokrotnie – w różnych częściach stanu i za każdym razem pod innym nazwiskiem: Jerry Lee Elroy, Lee Jayson, J.V. Lee i Elroy Lee.

– Facet nie grzeszy nadmiarem wyobraźni – brzmiał komentarz Capry.

– Albo jest z natury lojalny – odparłem. – Buddy, ta sprawa może być dla nas żyłą złota, jeśli pójdziecie na ugodę.

Przez blisko godzinę rozmawialiśmy z Charliem Waldorffem, szefem Capry. Następnie w baraku na Main Street spotkałem się z Elroyem. Zamówiłem gotowane na parze ostrygi i szklaneczkę niemieckiego piwa.

– Hej, właśnie się dowiedziałem, że tutaj urodził się karzeł Herman – powiedział Elroy. – Dobre, co?

– Ciekawe – odrzekłem.

Znałem zasady postępowania z klientami. Wymagały one odbycia pewnego rytuału. Nie można walić prosto z mostu: „Obaj wiemy, że jesteś pan winny. Po co strzępić język po próznicy. Przyznaj się pan, a załatwię panu

pięć lat. Pański wybór”. Klient nie czuje wtedy, że dostał to, za co zapłacił. Przy tym takie postawienie sprawy zwykle wcale nie prowadzi do oczyszczającego przełomu w jego stosunkach z obrońcą. Musiałem więc zacząć tak:

– Znalazłeś jakichś świadków na poparcie swojej historyjki o samochodzie?

– Tak, kilku.

– Co to za ludzie?

– No... jeden chwilowo wyjechał, ale rozmawiałem z nim. Kiedy musi być w mieście, żeby powiedzieć, co trzeba?

– Najpierw musi porozmawiać ze mną – rzekłem – i przekonać mnie, że będzie wiarygodnym świadkiem. Gdzie on teraz jest?

– W Miami. Ma niewielkie kłopoty... na razie nie może się tu pokazać.

– Zapomnij o nim. Kto jeszcze?

– Moja siostra.

– Gdzie ona jest?

– Mieszka w Orlando.

– Czy była w „Sarasota trzy dni przed tym, jak gliniarze zgarnęli cię z kokainą w samochodzie?

– Jeśli powie, że była, kto może jej udowodnić, że to nieprawda?

– Czyś ty, Elroy, zwariował? Nie myśl o takich świadkach.

Podano ostrygi. Pozwoliłem Elroyowi pleść przez chwilę i wymyślać powody, dla których kokaina znalazła się w jego samochodzie, a sam zjadałem maczane w gorącym maśle ostrygi z żytnim chlebem i popijałem zimne piwo.

– To wszystko?

– Noo... to pan jest adwokatem. Niech pan mi powie, co mam robić.

– To zależy, czy lubisz hazard. Co wolisz: proces czy ugodę?

– Mówiłem panu o swoim pęcherzu?

– Owszem, mówiłeś. Pozwól, że możliwie najprościej przedstawię ci twoją sytuację. Nie masz świadków wartych nawet tyle, co pierdnięcie podczas huraganu. Dałeś policjantom pretekst uzasadniający przeszukanie wozu. Co powiesz w razie procesu? Że nie wiedziałeś, co masz w samo-

chodzie? Zanim to zrobisz, policyjny specjalista od daktyloskopii zezna, że na torbie i co najmniej dwóch plastikowych torebkach były twoje odciski palców. A wtedy jesteś ugotowany. Prokurator załatwi cię z palcem w dupie. I razem ze swoim tętniakiem pęcherza pojedziesz na dwadzieścia lat do Raiford.

– Dobra, dobra... niech będzie. – Elroy nerwowo skubał skórę na kciuku. – Jak miałyby wyglądać ta ugoda?

– Rozmawiałem z Charliem Waldorfem, prokuratorem stanowym w tym okręgu. On z kolei skontaktował się z prokuratorem z Miami, Robertem Diazem. Znają cię tam, Elroy. Wiedzą, dla kogo pracujesz. Dla alfonsów Ramosa i Marty'ego Palomino. Zgadza się? Powiem bez owijania w bawełnę, Elroy: dasz im Ramosa – dostaniesz dychę; dasz Ramosa i Palomino – jesteś wolny.

– Nie mogę tego zrobić – cicho odparł Elroy.

– Dlaczego?

– Poćwiartują mnie.

– Mówiłem ci o federalnym programie ochrony świadków. Władze stanowe mogą ci to załatwić.

Elroy zamyślił się.

– Dokąd bym pojechał? – spytał wreszcie.

– Daleko stąd. Do Kalifornii, Oregonu, może do Dakoty Północnej.

– Ale moi kumple i siostra z dziećmi mieszkają tutaj, na Florydzie.

– W porządku. Więc odrzuć ofertę Waldorfa i przyznaj się do winy, a on wsadzi cię na piętnaście lat. Przez ten czas, który spędzisz w Raiford, twoi kumple i siostra zdążą cię parę razy odwiedzić.

– Ja tego nie przeżyję! – jęknął Elroy. – Ten tętniak może zmienić się w raka.

– W takim razie zawrzyj układ. Ratuj się. Już to przedtem robiłeś.

Elroy smętnie pokiwał głową. Prawie nie spróbował swojego budweisera...

– Nie chcę jechać do pingwinów. Może być Kalifornia, ale chromolę Dakotę Północną.

– Nie powiedziałem ci o jeszcze jednym warunku ugody – oznajmiłem.

Już wiedziałem, jak postępować z tym kłamliwym sukinsynem.

- Jakim znowu warunku?
- Chodzi o tę sprawę sprzed dwunastu lat, z Jacksonville. Sprawę Morgana. Będziesz musiał odwołać swoje zeznania.
- Chyba pan żartuje.
- Staniesz przed tym samym sądem, chociaż dzisiaj przewodniczy mu inny sędzia.
- Mam tam pójść, żeby mnie oskarżyli o krzywoprzysięstwo? Nie ma głupich.
- Nie mogą cię oskarżyć, nawet gdyby chcieli. Nastąpiło przedawnienie.

Po namyśle Elroy zapytał:

- Kiedy?
- Niedługo. Najpierw podpiszesz oświadczenie. Następnie złożysz zeznanie przed sędzią i wsypiesz Ramosa i Palomino. A potem czeka cię program ochrony świadków i Kalifornia. Chyba że wolisz Dakotę Północną.
- Muszę się zastanowić.
- Nie masz wyboru, Elroy. To należy do umowy.

Oczywiście, nie należało. Ani Charlie Waldorf, ani jego odpowiednik w Miami nie obstawaliby przy tym warunku. Kłamałem jednemu klientowi, aby – być może – uratować życie drugiemu. Wiedziałem, że, bez względu na okoliczności, nie mam do tego prawa.

I wcale o to nie dbałem.

Wiedziałem co nieco o takich rzeczach, jak fotografia trójwymiarowa, replikacja cząsteczek DNA, okres błękitny w malarstwie Picassa, konstrukcja igloo, pasy Van Allena, rzeczywistość wirtualna, a nawet hodowla kóz. Nie wiedziałem jednak, jak dogadać się z własnym synem.

W niedzielę wieczorem, kiedy Alan wrócił z Captiva Island, powitałem go przypomnieniem rozmowy, którą podsłuchała jego matka.

- Jeszcze nie zdecydowałem, co z tym zrobić – powiedziałem – więc dajmy sobie trochę czasu do namysłu. Potem porozmawiamy. Ale tym razem szczerze, bez wciskania kitu.

Poniedziałek był dniem wolnym od pracy. Alan od rana siedział nadąsany nad basenem i palił papierosa za papierosem. Ja i Toba wypłynęliśmy naszym słupem. Był dokładnie taki, jak to sobie kiedyś wymarzyliśmy: trzymiejskowy, ale na tyle mały, że mogła nim sterować jedna osoba – nawet bez wciągarek, radia czy radaru. I, oczywiście, nazywał się „Marzenie”. Postawiłem żagiel i zająłem miejsce przy sterze. Toba, ubrana tylko w dolną część kostiumu kąpielowego, rozłożyła się na nadmuchiwanym materacu na dziobie.

Błękit zatoki iskrzył się w blasku słońca. Sterowałem obszernym łukiem ku Whale Key, odległej mniej więcej o godzinę drogi od naszej przystani. Zakotwiczyłem łódź po zawiętrznej wyspy, około pięćdziesięciu metrów od brzegu. Było to miejsce rzadko odwiedzane przez żeglarzy. Spuściłem żagle i przywiązałem je luźno do bomu. Za burtę opuściłem drewnianą drabinkę.

Toba dokładnie wiedziała, co robię.

Mażeńskie łoże prędzej czy później zaczyna człowieka nudzić; wydaje się, że ilość pomysłów, jakie dwoje tych samych partnerów może w nim zrealizować, jest ograniczona. Kiedyś, dawno temu, przestudiowałem *Kamasutrę* i doszedłem do wniosku, że większość zawartych w niej rewelacji to bzdury. Jak można poruszać się w takich pozycjach nie narażając się na skurcz mięśni? Albo jak mógłbym kąsać małżowiny uszne mojej żony, czy też plotąc sprośności ssać wielkie palce jej stóp i nie wybuchnąć przy tym śmiechem? Rozumiałem jednak potrzebę odmiany, różnorodności, która sprawia, że akt miłosny jest czymś więcej niż tylko sekwencją mechanicznych ruchów. Czymś bardziej godnym zapamiętania niż celne posłanie piłeczki golfowej na odległość dwustu metrów. (Chociaż jest to także czynność stanowiąca wypadkową określonej serii ruchów.) I, oczywiście, *było* czymś więcej. Osiągnięcie pewnej harmonii, podobnie jak w golfie, przynosiło fantastyczne rezultaty.

Niestety, od pewnego czasu nie zdarzało nam się to często. Prawdę mówiąc, częściej na polu golfowym niż w łóżku. Dlatego też w czasie niektórych weekendów, gdy pozwalała na to pogoda, podnosiłem żagle „Marzenia” i zabierałem Tobę na stosunkowo bezludne wody za Bay Isles. Już dawno przekonałem się, i to nie tylko na podstawie doświadczeń ze

swoją żoną, jak dalece stymulująca może być zmiana otoczenia.

Spoglądając w stronę wyspy, widziałem białą czaplę polującą na płyciźnie. Na nagich piersiach Toby kładł się żar słońca – rozleniwiał i budził lubieżne myśli. A kiedy Toba wpadała w lubieżny nastrój, to samo działo się ze mną – i vice versa. To taki samonapędzający się mechanizm, który sprawia, że możliwych jest tyle wspaniałych rzeczy...

Wyskoczyłem za burtę; Toba za mną. Woda była zimna, aż zapierało dech. Pośpiesznie wróciliśmy na pokład, sięgnęli po ręczniki.

Moje pożądanie wszakże nie ostygło, a dotknięcie zimnej dłoni Toby rozpałało je coraz bardziej. Pieściłem językiem jej sutki, wyprężone i słone.

Po nawietrznej pojawił się jakiś kecz, zmierzający ku przylądkowi Cow na Tidy Island. Za kilka minut musi znaleźć się dostatecznie blisko, by jego pasażerowie mogli przez lornetkę zobaczyć, co dzieje się na pokładzie „Marzenia”.

– Zejdźmy do kabiny – powiedziałem, wsparty na łokciach, na karku czując ciężar silnych tydek mojej małżonki. (Trzy razy w tygodniu chodziła na gimnastykę i *stretching*.)

– Niech sobie patrzą – odparła zdyszana. – Może będą rzucać studolarówkami...

Cały następny dzień upłynął mi pod znakiem wyrzutów sumienia Nigdy dotąd nie okłamałem klienta. Za coś takiego traciło się uprawnienia adwokackie. Nie mogłem jednak zapomnieć widoku niebieskich płomieni nad głową Sweetinga.

O siódmej wróciłem do domu. Byłem skonany i marzyłem już tylko o kąpieli i szklance bloody mary. Koło basenu czekała na mnie Toba.

– Rozmawiałam z Alanem – oznajmiła. – Uważa, że go nie szanujesz. Że się na nim zawiodłeś.

– I ma rację.

– Załamał się. Jego ojciec jest znanym adwokatem, matka odnosi sukcesy jako pośrednik handlu nieruchomościami, siostra, cudowne dziecko, studiuje w jednym z college'ów Ivy League. A on jest nieudacznikiem. Powiada, że jedyną pocięchą znajduje w narkotykach. Marihuana jest jego

najlepszym przyjacielem.

Podniosłem oczy ku niebu.

– Najgorsze – ciągnęła Toba – że ma samobójcze myśli.

– Zauważyłaś u niego skłonności samobójcze? – zapytałem z sercem ściśniętym rozpaczą.

– Nie słuchasz, co mówię. Słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć. To on twierdzi, że ma samobójcze myśli. Opowiadał mi, że wsiada czasem do samochodu i jedzie w stronę autostrady, a potem próbuje przejechać przez nią z zamkniętymi oczyma. Zamyka je na chwilę, ale zaraz ogarnia go strach. Mówi sobie: „Tata będzie wściekły, a mamie to całkiem zrujnuje życie”.

– Powiedziałaś mu, że to kompletna bzdura? Że to i mnie zrujnowałoby życie?

– Nie. Po prostu płakałam.

I ja byłem bliski płaczu. Chodziło o życie mojego syna. Dałbym wszystko, żeby to, co usłyszałem, nie było prawdą. Jako ojciec obwiązany byłem chronić swoje dzieci. Potrafi to robić hiena i tygrys bengalski i wróbel o ptasim mózdzku; dlaczego ja nie potrafię?

– Ted, co my teraz zrobimy?

Nie umiałem odpowiedzieć mojej żonie. Straciłem wiarę we własne siły. Mój syn – jak Darryl Morgan – znalazł się na drodze ku zagładzie, a ja nie wiedziałem, jak temu zapobiec.

13

Samolotem jakichś lokalnych linii lotniczych poleciałem do Jacksonville, na lotnisku wynająłem samochód i ruszyłem na zachód autostradą I-10, a potem szosą 121, przez las, gdzie powietrze było ciężkie od zapachu żywicy. Wracałem do Raiford i do celi śmierci.

Na betonowym więziennym boisku czarni mężczyźni grali w koszykówkę. Inna grupa ćwiczyła podnoszenie ciężarów: dzwoniły sztangi, spocone ciała połyskiwały w słońcu. Powietrze przeszywały gniewne okrzyki.

Oczekiwano mnie w głównym budynku więzienia. Po sprawdzeniu mojej tożsamości i przepuszczeniu przez wykrywacz metalu, zaprowadzono mnie do chłodnego gabinetu zastępcy naczelnika. Tabliczka na biurku informowała, że jest nim Raymond G. Wright.

Na tymże biurku stały dwa telefony: czerwony aparat służył do komunikowania się ze światem zewnętrznym, czarny zapewniał łączność w obrębie więzienia. Raymond G. Wright miał na sobie białą koszulę z guzikami w rogach kołnierzyka i krawat w paski. Wymięta brązowa marynarka wisiała na oparciu krzesła. Przypomniałem sobie, że widziałem Wrighta w komorze straceń podczas egzekucji Sweetinga. Fred Olsen mówił, że zanim kat naciśnie guzik i rozpocznie się wykonywanie wyroku, zastępca naczelnika instaluje bezpiecznik. Wszyscy tutaj przykładali rękę do zabijania. Dosłownie.

- Nieczęsto gościmy u nas prokuratorów – odezwał się Wright.
- Musiał mnie pan źle zrozumieć. Nie jestem już prokuratorem. – Z

wewnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem wizytówkę firmy Royal, Kelly, Wellmet, Jaffe & Miller i pchnąłem ją ku niemu po blacie biurka.

Byłem gotów stawić czoło konsekwencjom uderzenia Clive'a Crockera w dniu egzekucji Sweetinga; przeprosić go i w razie potrzeby zaproponować jakąś rekompensatę. Ale Rymondowi G. Wrightowi moje nazwisko najwyraźniej z niczym się nie kojarzyło. Może, pomyślałem, pracownicy administracji więzienia są bici tak często, że nikt nie przywiązuje do tego wagi?

– Chciałbym się widzieć z Darrylem Morganem.

– Jest pan adwokatem Czarodzieja?

– Kto to jest Czarodziej?

– Tak strażnicy nazywają pana Morgana.

– Nie, nie jestem jeszcze jego adwokatem. Ale będę. Wracam z Tallahassee, z CCR. Pracują właśnie nad jego ostatnią apelacją. Gubernator podpisał już wyrok śmierci. Przypuszczam więc, że Morgan podlega rygorom – jak wy to nazywacie – pierwszej fazy programu Death Watch.

– Niestety, pańskiego nazwiska nie ma na liście osób uprawnionych do odwiedzania Morgana – zaprotestował Wright.

– Pańska sekretarka powiedziała mi przez telefon, że to nie stanowi problemu – odparłem. I dodałem: – Byłem oskarżycielem Morgana.

Ten argument zbił nieco z tropu zastępcę naczelnika. I było to całkiem zrozumiałe.

– Jeśli to coś pomoże – ciągnąłem – może pan zadzwonić do Beldona Rutha, prokuratora stanowego w Jacksonville. Albo do obrońcy publicznego Kennetha Buckrama. Oni potwierdzą moje reference.

Wright chrząknął i zaczął przekładać papiery na doskonale uporządkowanym blacie swojego biurka. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowałem, że nie wiedział, jak uporać się z sytuacją, co do której nie istniały żadne pisemne wytyczne. Dzwonienie dokądkolwiek też niewiele mogło mu pomóc.

Zmarszczył czoło.

– Jak może pan zostać jego adwokatem, jeśli był pan oskarżycielem na jego procesie? Czy nie istnieje tu pewien konflikt interesów? Nie może pan bronić kogoś, kogo pan wcześniej oskarżał.

- Czy jest pan prawnikiem? – zapytałem.
- Nie.
- W takim razie byłbym wdzięczny, gdyby nie mówił mi pan, co jako prawnik mogę robić, a czego nie mogę. Ja pana nie pouczam, jak ma pan prowadzić swoje więzienie, panie naczelniku.
- Ależ ja pana nie pouczałem, panie mecenasie – zapewnił Wright. – Tak tylko pytałem. – I podniósł słuchawkę czarnego telefonu.

Pokój widzeń z adwokatami znajdował się w głównym budynku, około czterystu metrów od skrzydła Q. Skazanych doprowadzano tam podziemnym korytarzem. Wyposażenie pokoju stanowiły dwa składane metalowe krzesła i stół. Usadowiony za pancerną szybą strażnik obserwował przebieg widzenia, nie mógł jednak słyszeć rozmów.

Darryla Morgana zrewidowano w sąsiednim pomieszczeniu, po czym zdjęto mu kajdanki oraz zapinany na brzuchu łańcuch. Wstałem, kiedy pojawił się w drzwiach. Unikałem jego wzroku i tylko przelotnym spojrzeniem obrzuciłem roslą sylwetkę w więziennym ubraniu.

Morgan miał teraz trzydzieści trzy lata. Gdybym o tym nie wiedział, dałbym mu czterdzieści. Kręcone włosy na skroniach zaczynały siwieć. Oczy, głęboko osadzone i czarne, nie płonęły już wściekłością jak wtedy na sali sądowej, kiedy patrzyłem w nie po raz ostatni. W ich spojrzeniu kryła się obojętność człowieka pozbawionego nadziei; człowieka starego.

Uświadomiłem sobie, że mnie nie poznał.

- Wie pan, kim jestem?
- Powiedzieli mi, że adwokatem.
- Nie pamięta mnie pan?
- Wygląda pan znajomo.
- Występowałem na pańskim procesie – powiedziałem. – Jako oskarżyciel.

Morgan powoli skinął wielką głową. Nic nie powiedział. Czekałem na jakąś reakcję, ale wyglądało na to, że się nie doczekam.

- Nazywam się Ted Jaffe. Pamięta pan?

Morgan ponownie skinął głową. W jego spojrzeniu zaszła ledwie do-

strzegalna zmiana.

Z trudem powstrzymałem chęć spuszczenia wzroku. Czulem teraz zapach Morgana; gorzką woń cudzego ciała.

Upłynęła minuta, nim się odezwał:

- Co pan tu robi?
- Chcę panu pomóc.

To było wszystko, co przyszło mi do głowy po tygodniach gryzienia się wątpliwościami, po torturze dziesiątków bezsennych nocy. Te trzy słowa.

– Najlepiej mi pan pomoże – rzekł Morgan – spiesząc stąd w podskokach.

Na to byłem przygotowany i pewien, że sobie poradzę.

- Wiem, co pan czuje, panie Morgan.
- Czyżby?

Nagle poczułem się zmęczony i pusty. Jedyne, co pozostało, to świadomość własnej głupoty. Byłem tu intruzem. Próbowałem wtrącać się w sprawy człowieka skazanego na śmierć, człowieka, któremu został może miesiąc życia. Jeśli mam coś osiągnąć – jeżeli warto się jeszcze o cokolwiek starać – muszę pamiętać, że ten człowiek pozbawił życia innego człowieka. Niezależnie od tego, kim jest dzisiaj, wtedy stał się mordercą. Musiał ponieść karę, na jaką zasłużył. Ale karę wymierzoną mu przez prawo, nie zaś będącą rezultatem czyjegoś błędu czy pomyłki sądowej.

– Posłuchaj, Darrylu – powiedziałem proszącym tonem. – Dotarły do mnie nowe informacje dotyczące twojej sprawy. Wiem, że Jerry Lee Elroy, mężczyzna, który siedział z tobą w więzieniu hrabstwa Duval, skłamał mówiąc, że w rozmowie telefonicznej przyznałeś się do winy. Jeśli to ujawnię, może uda się wywalczyć dla ciebie nową apelację, może nawet nowy proces. Niczego nie obiecuję. A już w żadnym wypadku nie obiecuję ci, że w nowym procesie zapadnie inny werdykt. Zawsze jednak istnieje szansa, że uda się obalić wyrok kary śmierci. Wczoraj widziałem się w Tallahassee z ludźmi z CCR. Zgodzą się, żebym wziął tę sprawę.

Morgan słuchał i kręcił głową, nie tyle zaprzeczając, co wyrażając bezgraniczne zdziwienie.

- Zwariowałeś, facet.

– Nie sędzę – odrzekłem i niewiele brakowało, bym dodał: „Chociaż są tacy, którzy by się z tobą zgodzili”. W porę jednak ugryzłem się w język.

– To tyś mnie tu wpakował.

– Tak, to prawda. Brałem udział w twoim procesie.

– Coś mi tu nie pasuje – mruknął Morgan.

– Musze zadać ci mnóstwo pytań.

– Pocałuj mnie w czubek pały.

– Nie masz nic do stracenia.

– Zawsze jest coś do stracenia.

– Ze mną niczego nie ryzykujesz.

– Pieprzenie w bambus. Powiedziałem: nie jestem zainteresowany.

– Darryl, nie jestem już prokuratorem. Nie mogę ci zaszkodzić. Mogę ci tylko pomóc.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla pewnej firmy prawniczej w Sarasota.

– Nadal uważasz, że zabiłem tego faceta. I że William Smith dźgnął nożem jego żonę.

Miał rację, ale tego nie mogłem mu powiedzieć.

– Moje zdanie nie jest istotne – powiedziałem ostrożnie.

– Lepiej spadaj stąd – rzekł Morgan. – Mogę cię zabić. Co mam do stracenia?

– Przed chwilą powiedziałeś, że zawsze jest coś do stracenia.

– Może myliłem się, a ty miałeś rację. Za czterdzieści cztery dni mają mnie wykończyć. Co mi zależy, jeśli i tak mam umrzeć. Nikt bardziej nie zasłużył sobie na śmierć niż ty, ten kapuś i ten pierdolony gliniarz. Może moje życie nabrałoby przez to jakiegoś sensu? Przynajmniej zasłużyłbym na to, co ze mną zrobią. Pomściłbym swoich braci. Wiesz, co powiedział Malcolm X?

Jego oczy zabłyśły; po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do tego pokoju.

– Spokojnie – powiedziałem.

Musiałem nad nim zapanować. Adwokat zawsze musi panować nad swoim klientem. W tym przypadku, bardziej niż zwykle, stawało Się to

nagłącą koniecznością. Morgan niewątpliwie nie był ułomkiem.

Postanowiłem stawić mu czoło i po raz pierwszy spojrzeć mu w oczy.

– Powiem ci, jak to jest w skrzydle Q – zaczął mówić. – Kiedy mnie tam przynosili, zabrali mi karty i wszystkie moje magiczne przybory. A było to wszystko, co miałem. Łapałem więc karaluchy, wiązałem parami i zaprzęgałem do pudełka od zapalek. Ciągały pudełko po podłodze jak muł wóz i czas jakoś leciał. Potem przez kibiel dostała się do celi mała żaba. Trzymałem ją przez kilka tygodni i karmiłem swoimi karaluchami. Potem karaluchów zabrakło, a żabka nadal była głodna. I tak by się nie uchowala, więc wrzuciłem ją z powrotem do kibla. Kapujesz, o co mi idzie?

– Staram się – odparłem.

– Karaluch, żabka, żydowski adwokat – co to w końcu za różnica? Nielekko jest siedzieć i czekać, aż posadzą cię na Drewnianej Mamie. Najgorsze świństwo, jakie mi tu zrobili, to że kazali mi czekać. Kiedy człowiek trafia za kraty, z początku wydaje mu się, że to wszystko nieprawda. Siedzi za coś, czego wcale nie zrobił, i mówi sobie: „Hej, to nie może tak być. Za kilka miesięcy mnie wypuszczą”. Pewien facet powiedział mi wtedy coś takiego: „Chłopie, nadejdzie taka noc, kiedy poczujesz, że płaczesz. Będziesz miał łzy w oczach i będziesz się zastanawiał dlaczego”. Odpowiedziałem mu: „Gówno prawda. Ja nigdy nie płacę”. Minęły trzy, cztery lata i zapłakałem. Tak, chłopie, zapłakałem, przysięgam. Dwanaście lat przeleciało. Mówisz o jeszcze jednej apelacji? Po co mi to? Dzień w dzień ta sama myśl tłucze mi się po głowie: „Kiedy to wszystko się skończy?” I wiem, że nie prędeję, aż nakarmią mną Wielką Drewnianą Mamę. Wtedy skończy się moja męka. Załatwię ciebie, który mnie tu wsadziłeś, to może zrobią to szybciej.

Patrzyłem, jak podnosi się z krzesła i sunie w moim kierunku. Nie byłem w stanie ruszyć się choćby o centymetr. Po prostu czekałem na niego.

14

Ściany pokoju stopniowo wylaniały się zza przesłaniającej moje oczy mgły; pachniało merbrominem i środkami odkażającymi.

– Proszę tu chwilę poleżeć – usłyszałem czyjś głos. Nie protestowałem.

Podniosłem do oczu rozedrganą dłoń. Z rozmównicy zabrano mnie do więziennego szpitala. Byłem już przytomny i z niewielką pomocą poruszałem się o własnych siłach. Lekarz, błądy młodzieniec, bez powodzenia hodujący kozią bródkę, stwierdził, że nie odniosłem żadnych ran; kości też mam całe. Posiniaczone gardło będzie bolało przez dzień czy dwa, ale to wszystko. Powinienem ograniczyć mówienie.

– Wie pan może, co tam się stało? – zapytałem.

– Pewien skazany próbował pana udusić.

– Jezu – stęknąłem – tyle to wiem. Chodzi mi o to, dlaczego mu się nie udało?

– Powstrzymali go strażnicy. Na zewnątrz dyżurują zawsze dwaj funkcjonariusze więzienni. Zdążyli w ostatniej chwili.

W salce, gdzie mnie ulokowano, leżało dwóch białych więźniów; jeden po usunięciu wyrostka, drugi z nogą w gipsie. Umilali sobie czas opowieściami o różnych zakładach karnych, w których ostatnio przebywali.

– W Terre Haute – oznajmił ten ze złamaną nogą – podle się teraz siedzi. Pamiętam, byłem kiedyś na stołówce. Na tacy został już tylko jeden pączek. Oczywiście, wystartował do niego czarnuch z początku kolejki, ale jakiś inny, z tyłu, sprzątnął mu go sprzed nosa. No więc ten z przodu wyciągnął kosę i dziabnął go w bebecz. Potem usiadł przy stole i zjadł pączek, a

ten drugi czarnuch leżał na podłodze pod jego nogami. Nie bajeruję, sam to widziałem.

Niebezpieczne miejsce, pomyślałem. Przy pierwszej wizycie tutaj uderzyłem człowieka. Podczas drugiej – próbowano mnie zabić. Przemoc może być zaraźliwa. A może – jak to kilka wieków temu wywodził Hobbes – brutalność jest naturalną skłonnością człowieka wolnego od ograniczeń życia społecznego.

„Bądź miły, ciesz się życiem i staraj się nie przejmować”. Dobrze, mamusiu.

Podpisałem oświadczenie, że nie zamierzam dochodzić swych praw w związku z wydarzeniami w rozmównicy, i opuściłem więzienie. Nie zatrzymałem się, aby wstąpić do gabinetu Raymonda Wrighta; on nie pofatygował się z wizytą do szpitala.

W Jacksonville ponownie zameldowałem się w hotelu „Marina”, wziąłem prysznic i zadzwoniłem do biura.

– Co nowego, złociutka? – spytałem Ruby.

– Jerry Lee Elroy zaczyna wariować. Chce wiedzieć, co ma robić.

Wydzwania co pół godziny.

– Jeśli znów zadzwoni, przypomnij mu, żeby nie wyjeżdżał z miasta. I niech siedzi cicho, dopóki się z nim nie skontaktuję.

– Źle cię słyszę, Ted. Masz chrypę?

– Coś w tym rodzaju. Kto jeszcze dzwonił?

– Charlie Waldorf. Spytał: „Zawieramy ugodę? Miami się niecierpliwi”.

– Powiedz mu, że nie ma powodu do niepokoju. Jestem pewien, że ugoda dojdzie do skutku.

– Dwa razy dziennie dzwoni Barry; to samo inni współnicy. Wszyscy w różnych stadiach apopleksji.

– Wiadomość jak wyżej: nie ma powodu do niepokoju. Wracam w poniedziałek.

– Czy ty aby nie jesteś na Karaibach z jakąś panienką?

– Do widzenia, Ruby.

Zadzwońiłem do domu.

– Co z Alanem?

– W porządku. Poszedł na plażę z Sue Hoppy – głos Toby wydał mi się zimny jak wieczór u schyłku lata.

– Czyżby to był początek sympatii?

– To, co ich łączy, nazywa się narkomanią, a nie sympatią.

– Postaram się wrócić w niedzielę.

– Pohulałeś wczoraj wieczorem?

– Tak, w bibliotece CCR w Tallahassee. Mam zapalenie gardła. Pa, kocham cię.

Nie odpowiedziała mi tym samym, jak to zwykle robiła.

Wykręciłem numer biura pomocy prawnej i poprosiłem Briana Hoda. Nie było go, ale zostawił dla mnie wiadomość: nazwisko, adres i numer telefonu.

Po drugim sygnale usłyszałem kobiecy głos:

– Tak?

– Czy pani Carmen Tanagra?

– Tak.

– Mówi Ted Jaffe. Ponad dziesięć lat temu byłem tutaj pierwszym zastępcą prokuratora stanowego.

– Nie chcę znów przez to przechodzić.

– Nie zamierzam pani niepokoić. Prowadzę teraz prywatną praktykę. Chciałbym z panią porozmawiać o pewnej sprawie.

– Nie jestem zainteresowana – odparła i odłożyła słuchawkę.

Zacisnąłem pięści w bezsilnej złości; nie mogła wiedzieć, o co mi chodzi. A może jakoś to wyczuła?

– Chciałabym panu pomóc, ale nie mogę – oznajmiła Muriel Suarez. – Mam swoje powody. Co pan robi dziś wieczorem?

– Chyba wyładuję złość na ścianach mojego pokoju w hotelu i pójdę wcześniej spać.

– Zapraszam pana na kolację.

– I przy okazji powie mi pani, dlaczego nie może mi pomóc z Carmen Tanagra?

- Tego nie ma w jadłospisie. Czy jada pan mięso?
- Tak. Ziemniaki także. I ser, masło oraz krem czekoladowy. Średnia długość życia prawników nie prezentuje się tak dobrze jak piłkarzy ligi NFL. Jedz, pij i wesel się, bo jutro czeka cię sąd.
- Wielu ludzi nie jada ostatnio mięsa. Na krótką metę czyni ono człowieka agresywnym, na dłuższą – zabija. Mimo to mam dziś apetyt na mięso i piekę udziec jagnięcy, który podam w tłustym sosie. Początek wyzerki o godzinie ósmej. A uprzedzając pańskie pytanie... i owszem, znajdzie się także kilka butelek dobrego czerwonego wina.

Cienie smukłych butelek bordeaux, oświetlonych drgającym blaskiem świec, falowały na ścianach. Muriel wystąpiła w stroju nałożnicy z haremu: w głęboko wyciętej niebieskiej jedwabnej bluzce i luźnych białych spodniach. Złocista skóra i wyraziste czarne oczy sprawiały, że trudno było oderwać do niej wzrok, toteż moje zainteresowanie jej osobą nie miało charakteru wyłączenie zawodowego.

Opowiedziałem szczegółowo, co przydarzyło mi się w Raiford. Cieszyłem się, że żyję, chociaż zdawałem sobie sprawę z czekających mnie jeszcze niebezpieczeństw. Być może to wino natchnęło mnie optymizmem.

Muriel podała kawę.

- Smakowało ci jagnię? Tylko szczerze.
- Było wyśmienite. Zjadłem trochę za dużo, ale raczej nie przeszkodzi mi to zasnąć.
- Masz szczęście, że dzisiejszej nocy nie będziesz spać snem wiecznym, *hombre*. Chyba już zrozumiałeś, że powinienes tę sprawę przekazać komuś innemu.

Z filiżanką w dłoni przeniosłem się na tapczan i odparłem tonem człowieka o doskonale zdrowych zmysłach:

- Tylko dlatego, że klient próbował mnie udusić?
 - A co, musi ci upuścić krwi, żebyś przestał się nim interesować?
- Zaśmiałem się krótko.
- No dobrze – powiedziała. – A co z ogólnie obowiązującymi zasadami?

- Jakimi, na przykład?
- Ponieważ nie możesz bronić człowieka, którego kiedyś oskarżałeś, jest rzeczą oczywistą, że nie możesz także występować w jego imieniu z wnioskiem o apelację.

Zaprzeczyłem zdecydowanym ruchem głowy.

– Dlaczego wszyscy uważają, że nie mogę bronić Morgana? Nie ma prawa, które by mi tego zabraniało, poza wytycznymi Florydzkiego Stowarzyszenia Prawników. Zgodnie z nimi mogę to zrobić, jeśli uzyskam zgodę właściwej agencji rządowej. W tym wypadku będzie nią Biuro Prokuratora Stanowego, Obwód Czwarty.

- Beldon się zgodzi?
- Nie przepada za zabijaniem.
- Nie bądź naiwny. Jeśli zechce, zawsze znajdzie wymówkę. Uzna twoje postępowanie za niezgodne z zasadami, przewrotne, podłe, niedopuszczalne... nie brak słów na określenia takiego zachowania.

– Na szczęście nie ma żadnych praw czy przepisów, które by je wykluczały.

– Czy coś takiego już się zdarzyło?

Nie zmarnowałem czasu spędzonego w bibliotece prawniczej w Tallahassee.

– Nie na Florydzie – przyznałem – ale owszem, raz, dziesięć lat temu. W Kalifornii. Sprawa o morderstwo pierwszego stopnia: *California versus Ovens*. Wypląnął nowy świadek, który potwierdził alibi oskarżonego.

– Tutaj nie ma żadnego alibi. Darryl Morgan zeznał, że znajdował się w miejscu przestępstwa.

– Morgan nie miał uczciwego procesu – oświadczyłem. – Z tego, co wiem, może być nawet niewinny.

– Więc kto jest winny? Kto popełnił to morderstwo?

Sam się nad tym zastanawiałem.

– Mógł być to ktoś podobny z wyglądu do Darryla.

– Czy Morgan nie pracował u Zide'ów?

– Istotnie, ale jak sądzisz, ile uwagi Connie Zide poświęcała pomocnikowi ogrodnika?

– Mówiłeś, że on ma ponad dwa metry wzrostu. Na kogoś takiego trudno nie zwrócić uwagi.

– Tu masz rację – powiedziałem i nagle przypomniałem sobie coś, co usłyszałem dwanaście lat temu: pewne zdanie, na które wtedy nie zwróciłem uwagi. Poczulem, że włosy jeżą mi się na głowie. Otóż przypomniałem sobie, jak Neil Zide opisał człowieka, który zastrzelił jego ojca: „Młody, czarny, w tenisówkach, dżinsach i, jeśli dobrze pamiętam, czarnej trykotowej koszulce”.

Czyżbym o czymś zapomniał? A jeśli nie, to dlaczego – ja, prokurator – nie pojąłem wtedy ukrytego sensu zeznania Neila? Dlaczego nie zrozumiał go Gary Oliver?

Muriel wciąż czekała na moją odpowiedź.

– W tej chwili – powiedziałem – nie dysponuję dowodami niewinności Morgana. Wniosem o ponowne rozpatrzenie sprawy z powodu istotnego błędu w ustaleniach faktycznych.

Potrząsnęła głową, aż rozsypały się jej czarne kręcone włosy.

– Posłuchaj. Szanuję Beldona, ale oboje wiemy, że, jego zdaniem, bezstronna ława przysięgłych to taka, która sędzi po jego myśli, największą zbrodnią prokuratora jest przegranie sprawy, a jedyny istotny błąd popełnili w raju Adam i Ewa.

– Tak czy inaczej, Beldon jest moim przyjacielem.

– I choćby dlatego może chce cię powstrzymać, zanim twój własny klient poderźnie ci gardło.

Wyszedłem od niej po jedenastej. W drzwiach, nie zamykając oczu, uniosła twarz, a ja pocałowałem ją lekko w usta. Nie był to braterski pocałunek, ale też na pewno nie pocałunek przyszłego kochanka. I – zważywszy ówczesną sytuację – tak chyba być powinno.

W sensie prawnym „hrabstwo Duval” i „miasto Jacksonville” były synonimami. Dzięki temu Jacksonville było największym pod względem obszaru miastem Stanów Zjednoczonych. Nazywało się „ubezpieczeniową stolicą Południa”, a jego stałą ambicją było zdobycie licencji na organizowanie rozgrywek NFL. Na razie jednak musiało zadowolić się futbolem uniwer-

syteckim, lokalną ligą baseballową i wyścigami chartów.

Z hotelu „Marina” wyszedłem o siódmej rano. Wiele betonu popłynęło w tym mieście od czasów mego dzieciństwa. Moja dżungla – dzikie bagna nad rzeką – należała już do przeszłości. Jej miejsce zajęły dwupasmowe arterie ze sklepami Publix, Winn-Dixie, Food Lion i Albertson's na każdym skrzyżowaniu.

Muriel opowiadała mi, że najnowszy projekt Neila Zide'a dotyczył budowy dwupiętrowego centrum handlowego w stylu Art Deco, połączonego z ośrodkiem sportów wodnych; a wszystko to w odległości kilku przecznic od oceanu.

- Ośrodek sportów wodnych? – zapytałem. – Z oceanem pod bokiem?
- Myślisz, że to nie chwyci? Czyżbyś był przeciwnikiem postępu?

Przejechałem Main Street Bridge i w piętnaście minut później stanąłem przed drzwiami rezydencji Carmen Tanagra – małego drewnianego domku na Alabama Avenue, nieco odsuniętego od chodnika. Tabliczka obok wejścia zawierała następującą informację:

GLORIA WILLOUGHBY, CARMEN TANAGRA
Dietetyka – Oczyszczanie organizmu
Irydologia – Ziołolecznictwo – Kinezyjoterapia
Płukanie okrężnicy

Cmoknąłem kilkakrotnie, szykując się w duchu na trudne do przewidzenia niespodzianki, a następnie zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła mi wysoka, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta o srogim wejrzeniu. Przyglądała mi się bez słowa.

- Przepraszam, że niepokoję panią o tak wczesnej porze. Czy zastałem panią Tanagra?
- Pan jest pacjentem?
- Jeszcze nie. Ale kto wie, co może się zdarzyć? – Wręczyłem jej służbową wizytówkę.

Do drzwi podeszła Carmen Tanagra. Pamiętałem ją z czasów, gdy pracowała w policji; wyglądała starzej, ale jednocześnie zdrowiej. Niewątpliwie skutki regularnego płukania okrężnicy, pomyślałem, nie mówiąc już o

właściwej diecie. Było w niej coś męskiego; dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz pewne fakty ujrzałem w nowym świetle.

– Pani Tanagra, moja obecność tutaj nie ma nic wspólnego ze sprawą Bongiorno ani z pani prywatnym życiem. Czy mógłbym wejść do środka?

Pięć minut później siedziałem w saloniku, pijąc herbatę z cykorii i pogryzając herbatniki. Ponad wahadłowymi kuchennymi drzwiami widziałem wlepione w siebie oczy Glorii Willoughby. Nie byłem pacjentem. Byłem mężczyzną, który dzwoni do drzwi o ósmej rano. Uznałem, że pora przystąpić do rzeczy.

– Nie utrzymuje pani żadnych kontaktów z biurem szeryfa?

Carmen Tanagra zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie, i wcale nie ma tym nie zależy. Nie lubię, jak gnoi się dobrych gliniarzy. Tylko biali mają tam szanse na wyższe stanowiska. A jak taki awansuje, zaraz robi się z niego nadęty dupek.

Nie miała kłopotów z formułowaniem sądów.

– Nie żałuje pani tamtej pracy?

– Czego tu żałować? Pozwolenia na broń? Jestem szczęśliwsza tu, z Glorią, może mi pan wierzyć.

– Wierzę – odrzekłem. – Co która z was robi?

– Co proszę?

Poczułem, że się rumienię.

– No... to płukanie okrężnicy, kinezjoterapia... Widziałem wasz szyld. Czy obie jesteście irydologami? Znacie się obie na wszystkim? – plątałem się, świadom, że robię się coraz bardziej czerwony.

– Obie znamy się na wszystkim – z lodowatym spokojem odparła Carmen. – Ale to Gloria była moją nauczycielką. Panie Jaffe, o co panu chodzi?

– Czy pamięta pani morderstwo Solomona Zide'a?

Przez kilka sekund mierzyła mnie jadowitym spojrzeniem. Potem z jej gardła dobył się chrapliwy dźwięk, który mógłbym wziąć za śmiech, gdybym nie widział jej miny.

– Czarny chłopak w furgonetce – powiedziała. – Zabity na parkingu Lil'Champ. To on podobno pociął twarz tej kobiecie. Nazywał się William

Smith.

- Uciekał i dlatego Floyd Nickerson musiał go zastrzelić, prawda?
- W odpowiedzi Carmen Tanagra ponownie wydała chrapliwy odgłos.
- Czy nie tak napisano w raporcie policyjnym?
 - Dokładnie tak.

A więc chodziło także o to. Byłem coraz bliżej celu. Opowiedziałem Carmen, czego dowiedziałem się od Jerry'ego Lee Elroya.

- No, no – mruknęła.
- Nie jest pani zdziwiona – zauważyłem. – A więc Nickerson musiał pani powiedzieć, że to lipa.
- Nie pamiętam, co mi powiedział.
- Nadal jest mu pani życzliwa?
- Chyba pan żartuje.
- Wie pani, gdzie go szukać?
- Poderwał dobrą robotę: gliny do wynajęcia.
- Słyszała pani, dla kogo pracuje?
- Wie pan co? Zaczyna mi to wyglądać na przesłuchanie.
- Prawda? – uśmiechnąłem się. – Nadepnąłem pani na odcisk? Jestem zbyt blisko prawdy?
- Blisko czy nie; to się tylko liczy na wyścigach i w tańcu – odparła Carmen Tanagra. Nie odwzajemniła jednak uśmiechu.

Nie bardzo wiedziałem, co takiego zrobiłem czy powiedziałem, że straciłem tę odrobinę zdobytego terenu.

- Morgan nadal siedzi w celi śmierci. W przyszłym miesiącu mają go stracić. Tymczasem okazuje się, że jeden ze świadków na jego procesie kłamał.

- A pan chce się dowiedzieć, czy nie kłamał i drugi.

Sama to powiedziała. Nie musiałem jej naprowadzać. Poczułem, że serce bije mi szybciej; zmusiłem się do milczenia.

- Gdybym powiedziała panu, że kłamał – zapytała Carmen – czego by pan ode mnie oczekiwał?
- Że złoży pani zeznanie pod przysięgą – odrzekłem pochylając się ku niej. – I potwierdzi je na rozprawie apelacyjnej.

– Panie Jaffe, pozwoli pan, że coś panu opowiem. Jakiś czas temu w zatoczce koło Ford George wylądował transport marihuany. Było tego kilkaset ton, przywiezione barkami w komorach balastowych o podwójnym dnie. Policja z Jacksonville dostała cynk i zorganizowała wielką obławę. Aresztowano całą bandę, w tym dwóch Kubańczyków, którzy mieli odebrać towar. Ci Kubańczycy przyjechali na nabrzeże dwoma mercedesami. I niech pan sobie wyobrazi, że oba te mercedesy wylądowały w garażach wysokiej rangi funkcjonariuszy policji. Wszystko by było dobrze, gdyby jakiś referent z archiwum policyjnego nie wkurzył się i ich nie zakapował. Gliniarze musieli samochody zwrócić. Czy zostali postawieni w stan oskarżenia? Nie, proszę pana! Czy ktoś podał się do dymisji? Też nie. Za to złożył wymówienie ów referent. Dziś jest kuchną w barze szybkiej obsługi w śródmieściu... Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

To, czego chciałem się dowiedzieć, już mi powiedziała.

– Jeśli wsypię Floyda Nickersona – ciągnęła Carmen – nie będzie miało znaczenia, jak dawno przestał być policjantem.

– W sprawie Bongiorno wydali panią prokuraturze, chociaż była pani policjantem.

– Żeby należeć do bractwa, trzeba mieć jaja, inaczej mówiąc, być chłopem. Wtedy, w sprawie zabójstwa Gambrela, mój informator mówił prawdę. Ale Bongiorno miał kumpli w Tallahassee. Jego pieniądze i wpływy okazały się mocniejsze; kapuś zmienił zeznanie, a ja dostałam po dupie. A gdybym zrobiła to, czego się pan po mnie spodziewa... – urwała i wyprostowanym palcem przejechała po gardle. – Nie mam wykształcenia medycznego ani zezwolenia na praktykę. Wylądowałabym obok tego referenta, żeby przyjmować zamówienia na owsiankę i jajecznicę.

– Tego pani nie życzę, ale...

– Więc niech mi pan da spokój.

– William Smith nie żyje. Proszę o tym nie zapominać. Drugi człowiek czeka w celi śmierci na egzekucję. Nie sądzi pani, że dość tych trupów? Chce pani, żeby i Morgan śnił się pani po nocach?

– Nie mogę panu pomóc. – Odstawiła filiżankę gestem oznaczającym koniec audycjii. Przez cały czas naszej rozmowy Gloria nie ruszyła się z

drzwi kuchni; słuchała.

– Mógłbym powołać panią na świadka – zauważyłem. – Musiałaby pani powiedzieć prawdę.

Carmen Tanagra podniosła się z krzesła i podeszła do drzwi.

Otworzyła je na oścież, a potem pchnęła siatkę, aż jej rama trzasnęła o drewnianą ścianę domu.

– Mam dla pana propozycję. Może spróbuje pan srać w jedną garść, a szczać w drugą, żeby sprawdzić, która wcześniej będzie pełna? Ale niech pan to zrobi na zewnątrz. I proszę nie fatygować się z powrotem, żeby mi powiedzieć, jak panu poszło.

15

Resztę przedpołudnia spędziłem w bibliotece biura pomocy prawnej. Wczesnym popołudniem poszedłem do sądu zobaczyć się ze znajomym sędzią. Poprosiłem go, aby korzystając ze swych uprawnień oddał mi pewną przysługę. O trzeciej siedziałem już w wynajętym samochodzie, zmierzając na zachód, ponownie ku autostradzie I-10.

Dwadzieścia minut później na znajomym skrzyżowaniu skręciłem w drogę stanową numer 121. Rozpoznawałem już pewne punkty krajobrazu: sklep Country Variety, biały drewniany kościółek o zapadniętym dachu – Raiford Road Church. Zimowe słońce przypiekało mi lewe ramię oparte o drzwi wozu. Radio, nastawione na jakąś lokalną stację, nadawało muzykę country; machinalnie wystukiwałem rytm melodii palcami leżącej na kierownicy dłoni.

Zawodzący dźwięk skrzypiec wypełniał ciasną przestrzeń samochodu, by porwany wiatrem, ulecieć przez otwarte okno w zieleń lasu i ciszę popołudnia. *Zawsze jestem w domu, kochaanie... Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie...*

W Sarasota zostawiłem żonę, syna, swoją firmę – wszystko co najważniejsze w moim życiu. To, co teraz robiłem, było jednym z wielu sposobów chwilowego uwolnienia się od tamtych problemów. A także próbą odzyskania tego wszystkiego, co straciłem w ciągu ostatnich lat, a co teraz wydawało mi się tak cenne i niezbędne w przyszłości.

Jeszcze nie zapomniałem zapału, z jakim rozpocząłem służbę. Pamiętałem, że moją największą ambicją było wtedy stanąć przed Sądem Najwyższym i walczyć o życie niewinnego człowieka. Ale w codziennej

gonitwie za dobrobytem i poczuciem bezpieczeństwa dawne ambicje jakoś wyblakły, uleciały ze świadomości. Jakże niedawno zdawało mi się, że osiągnąłem prawie wszystko, do czego dążyłem. Uważałem, że na przeszkodzie do pełnego szczęścia nie stoi już nic poza recesją i kłopotami z synem.

Jak płytkim człowiekiem uczyniły mnie te minione lata. Czy my wszyscy, myślałem, nie popełniamy błędu, rezygnując ze swych młodzieńczych marzeń?

Nie wszystko jednak było stracone. Nie wszystko, bo w starych archiwach sądu stanowego udało mi się odnaleźć to, czego szukałem. Wiedziałem już, że tej przekłętej grudniowej nocy przed dwunastu lat Neil Zide, opisując wygląd Darryla Morgana, nie wspomniał o jego wzroście.

Ta sama brązowa marynarka wisiała na drewnianym wieszaku w rogu gabinetu. Zastępca naczelnika więzienia stanowego był, jak zwykle, w białej koszuli z guziczkami przy kołnierzu, ale tym razem w krawacie w inne paski – czerwone i brązowe.

Na mój widok zawarczał:

– Wczoraj, panie Jaffe, zwrócił mi pan uwagę, że nie jestem upoważniony do oceny pańskiego postępowania jako prawnika. Podobnie pan nie może mówić mi, co mogę, a czego nie mogę jako naczelnik więzienia. Po wczorajszym incydencie zmuszony jestem stwierdzić, że moje stanowisko wobec pańskiego żądania widzenia z Darrylem Morganem wiąże się z wyborem określonego sposobu zarządzania tym zakładem. Mam prawo panu odmówić. Muszę brać pod uwagę pańskie bezpieczeństwo.

– Jeśli mi pan odmówi – odparłem – do dziesiątej rano dnia jutrzejszego na pańskim biurku znajdzie się nakaz sądowy, podpisany przez sędziego Krawitza z Jacksonville. Czy naprawdę chce mnie pan zmusić do sięgania po tak drastyczne środki?

Chciał. Co do tego nie miałem wątpliwości. Wcale nie zależało mu na oszczędzeniu mi kłopotów. Obawiał się jednak, że jeśli sędzia dobierze mu się do skóry, naczelnik więzienia nie omieszką zrobić tego samego. Podstawową maksymą systemu penitencjarnego, wyrytą w najtwardszym

kamieniu na murach więzień, jest: „Zachować dyskrecję i nie drażnić sądów”. Nie zwracać na siebie uwagi, a wtedy nikt nie będzie wtrącał się w nasze sprawy. I człowiek będzie mógł spokojnie doczekać emerytury.

Dłonie Wrighta bez ruchu spoczywały na blacie biurka niczym dwie puste rękawiczki.

– W tych okolicznościach zmuszony jestem zmienić tym razem warunki widzenia. Jak mamy odpowiadać za pańskie bezpieczeństwo, jeśli nie możemy pana ochronić?

To akurat brzmiało całkiem rozsądnie.

– W porządku. Podoba mi się pomysł ochrony.

– Poprosimy pana o podpisanie odpowiedniego oświadczenia.

– Zgoda.

– Będzie pan rozmawiał z Morganem przez szybę, za pośrednictwem telefonu.

– Nie zgadzam się.

– W takim razie w pokoju widzeń muszą być obecni dwaj strażnicy.

– Nie. To byłoby pogwałcenie zasady poufności rozmowy adwokata z klientem.

– Jedynym wyjściem jest więc zakucie pańskiego klienta w kajdany i unieruchomienie go za pomocą łańcucha.

– Proszę bardzo – odrzekłem. Jeśli chcą, mogą go ubrać w kaftan bezpieczeństwa. Bałem się Morgana. Człowiek nie może czuć się swobodnie w towarzystwie kogoś, kto próbował go udusić.

– Nie możemy tego zrobić w pokoju widzeń – powiedział Wright. – Są tam tylko krzesła i stół. Nie przymocowane do podłogi. W ścianach nie ma pierścieni na łańcuchy.

– Co więc pan proponuje, panie Wright?

– Mógłby pan rozmawiać z nim na oddziale. W jego celi.

Zawahałem się.

– W celi śmierci?

– Tam obecnie przebywa.

Popatrzyłem w zmrużone, o nieruchomych powiekach, oczy zastępcy naczelnika.

– W porządku – powiedziałem.

Wright uśmiechnął się z zadowoleniem i nie bez złośliwości.

– Teraz jeszcze Czarodziej musi zgodzić się na widzenie. Jeśli tego nie zrobi, nasze ustalenia staną się bezprzedmiotowe. Nawet sędzia nie może zmusić skazanego do rozmowy z adwokatem.

– Ma pan zupełną rację. Zechce go pan zapytać?

– Nie wcześniej niż wieczorem. Jeśli się zgodzi, może pan przyjść jutro rano, o ósmej.

– Proszę mu powiedzieć, że zaczynam wierzyć w jego niewinność. I że zamierzam ocalić mu życie.

Przez szereg podwójnych bram, zdalnie otwieranych z dyżurki o szybach z pancernego szkła, strażnicy poprowadzili mnie do bloku Q. Weszliśmy do środka. Trzask zamykanej kraty rozniósł się przeciągłym wibrującym echem, które ucichło dopiero po dziesięciu sekundach. Rozgrzane powietrze cuchnęło ludzkim moczem. Odór spoconych ciał wdzierał się w nozdrza. W uszy wwiercał się zmieszany jazgot setek głosów.

Przed sobą miałem trzy kondygnacje bloku Q. Po betonowych schodach wspięliśmy się na środkowy poziom i ruszyli pomostem wzdłuż rzędu cel. Ciężkie buty strażników dudniły o cementową posadzkę; echo niosło odgłos kroków. Spoza krat śledziły nas oczy więźniów. Z celi do celi przelatywały ich okrzyki.

Nie zauważyłem nigdzie Jamesa Cagneya ani George'a Rafta. Zaledwie kilka z tych majaczących w półmroku twarzy było białych. Co chwilę natomiast napotykałem spojrzenie dzikich, czerwonych oczu, patrzących na mnie z czarnej twarzy; oczu płonących jak ślepia wściekłego psa. Takim wzrokiem patrzyły na mnie zwierzęta, gdy jako dziecko trafiłem do zoo, gdzie ogłupiałe stworzenia, odarte z całego ich naturalnego piękna, krążyły po swoich klatkach albo otępiałe leżały w kałużach nieczystości. Czuję wtedy ten sam odór; szybko musiałem stamtąd uciekać. Swoich dzieci nigdy nie zabrałem do zoo.

Tutaj, z dala od ludzkich oczu, żyli ci, których przeznaczeniem była śmierć. Wiedli żywot człekokształtnych zwierząt, zamkniętych w bloku Q

do czasu, gdy ostatni adwokat wykorzysta ostatnią szansę apelacji i dane im będzie zakosztować miłosiernego uścisku Drewnianej Mamy.

Podczas drugiego spotkania z Darrylem Morganem zacząłem poznawać jego życie. Reszty dowiedziałem się później, podczas kolejnych wizyt w Raiford. Teraz chcę to wszystko opowiedzieć.

Po raz pierwszy Darryl został skazany za drobną kradzież, już wcześniej, za wybicie dwóch okien w szkole, oddano go pod nadzór ochronny. Tym razem gwizdnął odtwarzacz z samochodu i dał się złapać podczas próby zastawienia go w lombardzie.

– Chcę ci pomóc, synu – powiedział sędzia, spoglądając na Darryla z wysokości swego fotela. – A myślę, że jedyne, co może ci pomóc, to terapia więzienna, ponieważ to nauczy cię myśleć o konsekwencjach twoich czynów. Zrozumiałeś? Spróbujmy więc wysłać cię na sześć miesięcy do roku do ACI.

Apalachia Correctional Institute, czyli ACI, znajdował się w hrabstwie Liberty, na zachód od Tallahassee, na terenie Apalachicola National Forest. Progi poprawczaka przekroczył Darryl na tydzień przed swoimi szesnastymi urodzinami. Trafił do baraku numer 5, białego drewnianego budynku, który przez lata użytkowania upodobnił się barwą i fakturą tynku do nie pranego od miesięcy prześcieradła. Nie tylko ciała jego mieszkańców, ale i ściany oraz popękana podłoga z desek zionęły tam smrodem potu.

Pierwsza kolacja Darryla składała się z fasoli zapiekanej ze słoniną, szklanki mleka i ciasteczka z kilkoma rodzynkami w środku. Wieczorem w baraku numer 5 rozgorzała dyskusja teologiczna między parą siedemnastolatków, Hubertem i Williamem. Nazwisko Williama brzmiało Smith, i to on, cztery lata później, miał zginąć na parkingu przed sklepem spożywczym Lil'Champ w Jacksonville.

– Na tym świecie, brachu – oświadczył William – nie ma, kurwa, czegoś takiego jak zbawienie: póki żyjesz, możesz se tym dupy nie zawracać.

– Amen – odparł Hubert.

Darrylowi przydzielono górną pryczę w kącie obok pryszniców. Materac był cienki, drucianka siatka zapadnięta – szybko rozboleły go plecy. Bolały

go także kolana, gdyż wtedy właśnie zaczął szybko rosnać.

Nigdy dotąd nie spał poza domem. Ale co tam! Na pewno za nikim nie tęsknił.

Obudził się o trzeciej nad ranem. W baraku musiało być co najmniej czterdzieści stopni ciepła. Z łaźni napływały kłęby pary, dobywającej się z nieszczęlnych pryszniców. Te kłęby pary niczym mgła, odgłos spadających kropel, jakby wody spływające z liści – wszystko to sprawiało, że Darryl czuł się jak w tropikalnym lesie podczas pory deszczowej.

Jednakże innym chłopcom najwyraźniej to nie przeszkadzało. A ja będę tak samo twardy jak oni, postanowił Darryl. Co mi tam upał.

Wkrótce opanował nowy język. Domem skazanego, jego dominium, jest należąca doń łóżko. Karcer nazywa się „dziurą”. „Kosa” to własnej roboty nóż, wykonany z kawałka ramy żelaznego łóżka. Roczny wyrok; to „kalendarz”, dwa lata więzienia – „dwojak”, pięć – „miedziak”, dziesięć – „dycha”, a dwadzieścia pięć – „ćwiartka”.

– Nie miałem fartu – opowiadał nowy przyjaciel Darryla, William Smith. – Trafiłem na sędziego, co nie uznawał drobnych. Skurwysyn znalazł tylko trzy miarki: pięć, dziesięć i ćwiara. Z miejsca zasunął mi piątaka. Otworzyłem gębę i mówię: „Coś mi się tu nie zgadza, panie sędzio, dał mi pan za dużo”. A on się śmieje i powiada: „Reszta dla ciebie, chłopcze”.

W sobotni wieczór do Darryla podeszli Hubert i jeden ze starszych chłopców, przezwiskiem Waliza.

– Facet, co ty na to, żebyśmy się trochę zabawili?

Ze sposobu, w jaki na niego patrzyli, Darryl odgadł, co mają na myśli.

– Spierdalać, pedryle – warknął. – Niech mnie który dotknie, a tak mu skopię rodzoną dupę, że popamięta. – I naprężył mięśnie.

W niedzielę po południu Hubert, Waliza i kilku innych chłopaków zarzucili Darrylowi koc na głowę, a w usta wepchnęli knebel z ręcznika. Kopiącego i bezskutecznie próbującego krzyknąć zanieśli na pryczę Walizy i wypieprzyli w rodzoną dupę. Czterej inni chłopcy, w tym William, grali przez ten czas w karty na ganku. Jedną z najgłupszych rzeczy, jakie można zrobić w kryminale, jest wchodzenie w drogę facetom, którzy mają jasno określone i poważne zamiary; zwłaszcza jeśli te zamiary są sprzeczne z

prawem.

Wieczorem William odbył z Darrylem poważną rozmowę, starając się wyjaśnić panujące w poprawczaku zwyczaje.

– Jak facet mówi do ciebie „chcę cię przelecieć”, a ty mu odpowiadasz „nie”, to on czuje się obrażony. Hubert i Waliza nie chcieli ci zrobić nic złego. Hubert jest w ogóle łagodny jak baranek. Po prostu potrzebowali kogoś wsadzić.

Siedem miesięcy później Darryl wrócił do Jacksonville. Przez pewien czas pracował w myjni samochodów. Znalazł sobie dziewczynę imieniem Pauline. Kiedy Pauline zaszła w ciążę, Darryl stanął przed koniecznością zdobycia pieniędzy na skrobankę. Na szczęście miał przyjaciół.

– Nie pękaj – oznajmił mu jeden z nich. – Wyskoczmy wieczorem na plażę. Poszukamy jakichś wesołych gości przy forsie.

Przez dwa tygodnie skutecznie rabowali pijaków i białych nastolatków, strasząc napadniętych kawałkami zwykłych desek z budowy, podczas trzeciego weekendu zostali zatrzymani przez udającego pijaka policjanta w cywilu. Sąd dla nieletnich skazał Darryla na rok pobytu w szkole dla chłopców imienia Arthura C. Doziera.

Szkoła imienia Doziera znajdowała się w północno-zachodniej Florydzie, wszyskiego trzydzieści kilometrów od granicy z Georgią. W oficjalnych dokumentach stanowych nazywano ją „ośrodkiem resocjalizacji przestępców”. Jego pensjonariusze pracowali na plantacjach sorgo oraz trzciny cukrowej i czasami chodzili do szkoły.

Chłopcy mieszkali w barakach, pilnowani przez uzbrojonych strażników. Wiezorami nie mieli nic do roboty poza pogaduszkami, grą w karty, waleniem konia, wsadzaniem sobie nawzajem i ciągnięciem druta. Darryl zaprzyjaźnił się z dwójką rówieśników, Hogiem i Isaakiem. Umówili się, że będą razem uprawiać seks, jeśli przyjdzie im na to ochota, ale wspólnie wystąpią przeciw każdemu, kto spróbuje zgwałcić któregoś z nich.

Isaac przechowywał pod poduszką dwie talie kart. Pewnego dnia powiedział do Darryla:

– Masz takie duże ręce. Nauczę cię obracać kartami, robić różne

sztuczki. Może coś z tego będziemy mieli.

W czasie przerw obiadowych pokazywał Darrylowi, jak tasować karty nie zmieniając ich ułożenia, jak przekładać jedną ręką i rozdawać ze spodu talii.

W baraku domem Darryla była przestrzeń o wymiarach półtora metra na dwa i pół, po bokach ograniczona ściankami z tektury, umocowanymi do tyłu szafek jego sąsiadów. Pomiędzy swoimi szafkami Darryl umieścił kawałek cienkiej deski, tworząc coś w rodzaju składanego stołu. Na nim postawił zdjęcie Pauline. Pewnego dnia, kiedy chłopcy byli w pracy, strażnicy pod nadzorem naczelnika zniszczyli papierowe ścianki dzielące barak na indywidualne boksy. Stoły z desek, osobiste pamiątki i dekoracje usunięto i spalono.

Zdjęcie Pauline przepadło.

– Ja tam nigdy niczego nie trzymałem w szafce czy pod łóżkiem – spokojnie oświadczył Hog. – W ogóle nie mam nic osobistego, bo wiem, że te świny prędzej czy później mi to zniszczą. A jakbym złapał takiego skurwysyna, jak drze moje zdjęcie, tobym dał mu po łbie i trafiłbym do dziury. Po co mi to. Lepiej nic nie mieć. Niczego nie mogą ci zabrać.

Znalazłszy się po ośmiu miesiącach na wolności, Darryl dowiedział się, że Pauline wyjechała do Miami. Postanowił ruszyć na południe, upomnieć się o nią i ewentualnie o swoje dziecko. Nie miał jednak pieniędzy. Ukończył właśnie siedemnaście lat. Mógł pracować jako robotnik budowlany, pomywacz, kelner, goniec, dozorca, może mechanik czy cieśla, gdyby podczył się fachu. Mógłby zatrudnić się na stacji benzynowej. Nie mógł natomiast zostać taksówkarzem czy fryzjerem, ponieważ był karany.

Nie umiem tego, nie umiem tamtego. Co ja w ogóle umiem? Okradać pijaków, wybijać szyby, podpalać, włamywać się do sklepów, czyścić kasy rejestrujące, rabować z bronią w rękę, wyważać łomem drzwi samochodów i wrywać radia i odtwarzacze. Wiem, gdzie można kupić trawę, hasz, kokę, amfę, herę, prochy, grzybki i kwas. Z moimi znajomościami z pudła mogę zorganizować trzydziestkęsemkę, urzyna, sprężynowiec, nóż komandoski, bagnet... co tam! Jak ktoś bardzo chce, mogę mu załatwić nawet pieprzone

uzi. Pokerek? Proszę bardzo, wiem, gdzie się grywa w pokera. Kolorowy telewizor? Słyszałem, że mają ich całą ciężarówkę.

Trzeba coś zrobić. Zakreć się trochę... zabawić się. W pudle nauczyłem się, że człowiek musi się czymś wykazać. Ludzie albo się ciebie boją, albo mają cię w nosie. Jedno lub drugie, nie ma trzeciej możliwości. Jak wyciągnę magnum .357, każdy będzie tańczył, jak mu każę, nie? Będę jak Jasse James, John Wayne albo ten Shaft z Harlemu. Nikt mi nie podskoczy. Przez całe życie to ja byłem tym przegranym. Teraz chcę spróbować, jak to jest, kiedy inni robią to, co im każesz.

Tak więc w miasteczku Middleburg Darryl wkroczył do baru Burger King i zrabował z kasy pięćdziesiąt dolarów. Tego samego dnia w Jacksonville zatrzymała go policja; za bardzo rzucał się w oczy. Odsiedział cztery miesiące w więzieniu hrabstwa Clay. Kumplowi z celi powiedział:

– Tyle to mogę przestać na głowie.

Kilka miesięcy później złapano go z przedmiotami pochodzącymi z włamania do sklepu motoryzacyjnego. Miał osiemnaście lat, był pełnoletni. Zarobił siedem lat.

Więzienie nazywało się Branville. W stołówce witał skazanych napis umieszczony na ścianach: JEŚLI CHCESZ, BY CZŁOWIEK POZOSTAŁ TAKIM, JAKIM JEST – TRAKTUJ GO JAK KOGOŚ, KIM JEST. JEŚLI JEDNAK ZALEŻY CI NA TYM, BY SIĘ ZMIENIŁ – TRAKTUJ GO JAK OSOBE, KTÓRĄ CHCESZ, BY SIĘ STAŁ.

Wymyślił to facet nazwiskiem Goethe. Darryl przeczytał napis i pomyślał: jedno jest pewne, ten Goethe nigdy nie siedział w kryminale.

W Branville przebywał akurat Isaac i dawny przyjaciel Darryla z ACI, William Smith. Czuł się więc jak w domu. Najlepsze, co może człowieka spotkać w pudle, to spotkanie ze starymi kumplami. Dzięki nim można nie bać się samotności.

W Branville znajdowała się fabryka mebli. Więźniowie robili biurka dla prokuratorów, obrotowe krzesła dla sędziów. Płaca wynosiła jedenaście centów za godzinę. Darryl trafił jednak do kuchni; zmywał naczynia i nie zarabiał nic. Sypiał w bloku zamieszkanym przez siedemdziesięciu wyjących po nocach potępieńców. W Branville więźniowie uprawiali też sport.

Darryl miał już wtedy blisko dwa metry wzrostu, ważył ponad sto kilogramów. Dano mu rękawicę baseballową i postawiono na boisku. W polu spisywał się słabo, ale z kijem w dłoni potrafił wykorzystać swoją pierwotną siłę – uderzane przez niego piłki szybowały ponad boiskiem i odbijały się od betonowych murów.

Drużyna Branville uczestniczyła w rozgrywkach miejscowej Północnoflorydzkiej Ligi Międzyzakładowej. Drużyny zakładowe składały się przeważnie z młodych białych mężczyzn. W pierwszym meczu, w którym wystąpił Darryl, Branville przegrało 5 do 33. Darryl zdobył dwa punkty, miał jedno przechwycenie, raz, biegnąc do ostatniej bazy, zręcznie przepuścił piłkę między nogami. Po meczu powiedział do Williama:

– Jak to jest, że nie możemy wygrać z tymi facetami? Wszyscy jesteśmy braćmi z wyjątkiem tego białego pierdolca na drugiej bazie i Rivery na trzeciej. W NBA są sami bracia, robią co chcą z białymi chłopakami. Czego nam brakuje? Woli zwycięstwa?

Isaac zajmował celę w tym samym bloku co Darryl. Jak zwykle nie rozstawał się z kartami. Organizował partyjki pokera; co tydzień wygrywał kilka kartonów papierosów.

W Branville nie brakowało gorzałki – bimbru z cukierków, cukru, rodzynek i jabłek znoszonych ze stołówki; spirytusu kradzonego z oddziału szpitalnego. Darryl wygrał w pokera kilka kartonów marlboro i wymienił je na pół litra bimbru. Pochorował się po nim, wymiotował; w takim stanie przyłapał go w łaźni jeden z klawiszy. Znalaziono przy nim butelkę z resztką alkoholu. Za karę na miesiąc wyłądował w „dziurze”.

Była to cela o żelaznych drzwiach, jedynie z wąską szparą, przez którą podawano jedzenie. Darryl nie otrzymywał żadnej poczty, w żadnym z więzień, jakie zwiedził w swojej karierze, nie miał ani jednego widzenia. Na północy Florydy była właśnie zima. Celę ogrzewała pojedyncza rura biegnąca od podłogi do sufitu, rozgrzana tak, że syczała, kiedy spryskało się ją wodą.

Co rano Darryl wyglądał przez zakratowane okienko celi. Wdział niebo barwy roztopionej cyny, fragment nie używanego betonowego kortu tenisowego, wieżę strażniczą i mężczyzn w szarych dresach biegnących we

mgle niczym duchy.

W sąsiedniej celi przebywał facet o przydomku Świr. Powiedział Darrylowi, że siedzi w dziurze od ośmiu miesięcy.

- Za co? – zdziwił się Darryl.
- Nie pamiętam – odparł Świr. – Ale musiał to być dobry numer.

Za pomocą kawałka drutu Świr podał Darrylowi wymiętoszoną paczkę po camelach z trzema marlboro, jednym viceroyem i książeczką zapalek w środku. Teraz Darryl był jego dłużnikiem i nie mógł mu kazać zamknąć ryja, kiedy Świr do północy wrzeszczał na całe gardło do kumpla zwanego Teabag, siedzącego piętro wyżej. Darryl miał wrażenie, że porozumiewają się w języku suahili.

Osadzeni w karcerze mieli prawo do dwóch kąpeli tygodniowo i godzinnego spaceru po ogrodzonym murem wybiegu. Za bytności tam Darryla w łaźni popełniono morderstwo. Teabag dostał szału i zabił faceta, który wydał mu się antypatyczny; dwóch innych zranił. Idąc do łaźni ukrył „kosę” w ręczniku. Darryl zapytał jednego z braci, dlaczego Teabag pochłastał tych dwóch gości. Ten odparł, że o to samo pytali Teabaga strażnicy. On zaś zrobił zdziwioną minę i odpowiedział:

- Byli akurat pod ręką.

Darryl wyszedł z dziury i w pierwszą sobotę wieczorem miał okazję obejrzeć film, wyświetlany w więziennej świetlicy. Film nazywał się *Hotel*. Rolę jednego z bohaterów, zawodowego złodzieja, grał Karl Maiden. Ilekroć ukazał się na ekranie, witały go wrzaski widowni. W zakończeniu filmu prowadzonemu w kajdankach do więzienia Karlowi udaje się ściągnąć popielniczkę. Więźniowie nagrodzili ten wyczyn gromkim aplauzem.

Wychodzącego z ciemnej sali w światło dnia Darryla ogarnęło na moment poczucie klęski. Widział palmy na dziedzińcu, facetów w podkoszulkach grających w piłkę. Ktoś biegał wokół boiska: spocona twarz lśniła w słońcu, tenisówki popiskiwały na betonie. Z oddali dobiegał szcęk żelaza i głosy kumpli ćwiczących wyciskanie sztangi na ławeczkach.

Co za głupota, pomyślał Darryl. Musi istnieć coś lepszego. Ale co? Mam dziewiętnaście lat i to jest wszystko, co znam.

Zwolniony warunkowo po dwudziestu miesiącach pobytu w Branville Darryl wrócił do domu, aby wylegiwać się na tarasie matczynego drewniaka.

– ...mama piła, zapijała się na śmierć. Siostra handlowała cipą i przysypiała w pracy. A.J. zarabiał na życie w Palmetto Club, kosił białym trawniki. Kiedyś powiedział: „Byłbym bardzo zobowiązany, gdybyście kiedyś wpadli zobaczyć, gdzie pracuję”.

Pożyczyłem od jednego znajomego colta czterdzieści pięć. W sobotę wieczorem pojechałem autostopem do St. Augustine i oskubałem kilku pedałów na parkingu przed nocnym klubem. Prawo ulicy mówi: ciesz się życiem, póki masz za co. Słyszał pan, co brat Redd Foxx powiedział w telewizji jednemu białemu? Powiedział: „Chcesz wiedzieć, co znaczy być czarnuchem? To znaczy w piątek obrobić bank, a w sobotę wydać wszystko, co zgarnąłeś”. Ludzie się śmiali, ale to prawda. Tak się robi, ale nie z powodu głupoty, ale dlatego, że człowiek wie, co go czeka. Ma się świadomość przyszłości, chłopie... to znaczy braku przeszłości.

Jeden facet nawijał kiedyś do mnie i kilku moich kumpli: „Chodźcie na Main Street albo Union, czarnuchy! Bierzcie, co chcecie! Jeśli będzie trzeba, zabijajcie, ale bierzcie, czego potrzebujecie! Musimy stworzyć własny świat, a nie dokonamy tego, dopóki żyje biały człowiek. Zabijcie go, ludzie, i zbierzcie owoce tego czynu!” „Nie jestem jeszcze gotowy na takie numery”, odpowiedziałem.

Darryl przyznał się, że nie czytał wtedy Malcolma X. Określenie „sprawiedliwość rasowa”, którym posługiwali się niektórzy w jego otoczeniu, nic dla niego nie znaczyło. Lubił muzykę soul: Arethę Franklin, Curtisa Mayfielda, brzmienie wytwórni Motown, Isaaca Hayesa i jego temat z filmu *Shaft*, którego zawsze słuchał, rytmicznie strzelając palcami. Jednak cała ta muzyka stanowiła tylko akompaniament dla pozbawionego celu życia na ulicy. Mijając kościół baptystów Mount Calvary na Front Street, słyszał namiętne zawodzenie piersiastych śpiewaczek gospel, ale nigdy nie wszedł do środka.

Przez pewien czas pracował na stacji benzynowej, potem sprzedawał ziółka na boisku szkoły średniej dla białych dzieciaków. Przypomniał sobie, że niejaki Shorty Bigshoes robi szwindle ubezpieczeniowe w czarnej dziel-

nicy Jacksonville. Poszedł do Shorty'ego i poprosił o pracę.

- Brak ci klasy do takich numerów – powiedział Shorty Bigshoes.
- Nauczę się – odparł Darryl.
- Człowieku, zaliczyłeś wyroki za wszystkie drobne przestępstwa, jakie można znaleźć w kodeksie karnym. Nigdy nie prowadziłeś lewych interesów. Za długo siedziałeś w kryminale. Nauczyłeś się żyć na raty. Gliny za dobrze cię znają. Dam ci dobrą radę: zacznij normalnie żyć, poszukaj sobie jakiejś tyрки.

„Tyрка” to znaczy legalna praca.

Rad Shorty'ego Bigshoesa nie należało lekceważyć. Darryl poszedł do swojego tak zwanego ojczyma i poprosił o pomoc.

A.J. odezwał się doń w te słowa:

- To, co teraz powiem, dotyczyć będzie dobra i zła, i zepsucia, jakie grozi człowiekowi stojącemu między pytaniem a odpowiedzią, między wiedzą a ignorancją. Słuchaj mnie bardzo uważnie. Ileż to zepsucia pleni się wokół nas, a my udajemy, że nie wiemy dlaczego. Ale ja ci powiem. Dlatego że zło zamieniło się miejscami z dobrem! Bojaźń boża i szacunek dla starszych ustąpiły samczej pysze i kultowi brutalności. Zanieczyszczenie środowiska wewnętrznego i zewnętrznego jest największym problemem naszego czasu, a my chowamy głowę w piasek, aby nie widzieć, jak wzbiera fala nieczystości. Czy mnie rozumiesz? Czy poruszyłem tę resztkę duszy, jaka ci jeszcze została? Zawsze byłeś dobrym chłopcem, zwłaszcza dla dzieci i starszych. Zawsze opiekowałeś się zwierzętami... Pamiętasz swojego kota.. Snuffy'ego? Przejechał go czerwony pikap GMC. Pamiętasz, jak wtedy płakałeś? Co zostało w tobie z tych czasów?

- Co ty paliłeś, A.J.? – zapytał Darryl.
- Fajeczkę bożej prawdy!
- Jesteś chory, A.J.. To ty przejechałeś Snuffy'ego; czarnym ffordem, nie czerwonym GMC i byłeś wtedy pijany. To ty tłukłeś mnie w dupę, jak tylko znalazłeś do tego pretekst. I to ty pieprzyłeś moją siostrę na skrzyni tego pikapa, kiedy miała dziesięć lat. Nie przepuściłeś żadnej okazji, żeby ją przelecieć i dlatego dziś jest ona tym, czym jest: zaspaną kurwą. Nigdy w życiu nie kiwnąłeś palcem, żeby mi pomóc.

Ku zdziwieniu Darryla kilka dni później A.J. przyszedł do domku Marguerite i oznajmił, że jego stary kumpel, James, został starszym ogrodnikiem w pewnej eleganckiej posiadłości na wybrzeżu. Osobiście zatrudnia personel do pracy w ogrodzie. Właśnie potrzebuje pomocnika.

– Pomocnika do czego?

– Nieważne. James wszystkiego cię nauczy. Masz tu adres. Jedź tam i zobacz się z Jamesem. Powiedz mu, że chcesz się uczyć.

James okazał się muskularnym łysym staruchem. Zapytał Darryla, czy wierzy w Pana Jezusa i chrześcijańską etykę pracy.

– Tak, psze pana! Jak najbardziej! – odrzekł Darryl, jakby zwracał się do białego człowieka.

Działo się to w sierpniu roku 1978. W kwietniu następnego roku, dwadzieścia minut po ogłoszeniu wyroku przez sędziego Bilia Eglina, Darryl skuty kajdankami i opasany łańcuchami siedział w furgonetce więziennej wiozącej go do Raiford, do celi śmierci.

Kiedy tam dotarł, trzej klawisze zaprowadzili go do komory straceń i pokazali krzesło.

– Przypatrz się, czarnuchu. Posadzą twoją czarną dupę na kolanach Drewnianej Mamy i naciśną guzik. Widziałeś kiedyś jajko wrzucone na dobrze rozgrzaną patelnię?

– Możesz się odwoływać, chłopcze. Teraz mają cały system apelacji. Ostatni facet odwoływał się i za każdym razem przegrywał. Dopiero na sam koniec przyleciał jego adwokat i woła: „Rastus! Nareszcie mam dobrą nowinę! Nie udało mi się wywalczyć złagodzenia wyroku, ale załatwiłem ci zmniejszenie napięcia!” Klawisze ryknęli śmiechem.

– Pierdol się, złamasie – spokojnie powiedział Darryl.

Uważał, że nie ma nic do stracenia, ale mylił się. W drodze do celi – ręce miał skute na plecach – zepchnęli go ze schodów. Złamał sobie nos, czoło i jedno ucho spływały krwią, zwichnięta w kostce noga bolała niemiłosiernie. W oficjalnym raporcie zapisano: „Skazany potknął się i upadł”.

Często zastanawiał się, dlaczego skazanych na śmierć nie zabijają od razu po przyjeździe. Wystarczy facetowi kazać klęknąć w rowie, wpakować kulkę w tył głowy, zasypać. Widział coś podobnego na filmie o hitlerow-

skim obozie śmierci. Wtedy wydawało mu się to okropne. Teraz już nie.

Światło zapalano o czwartej trzydzieści. W godzinę później było śniadanie. Celę opuszczało się dwa razy w tygodniu, aby wziąć kąpiel i odbyć godzinny spacer po ogrodzonym siatką dachu. Skazany miał do dyspozycji czarno-biały telewizor marki Emerson i radio. Pozostawiano je włączone przez całą noc. Więźniowie z cel śmierci nie pracowali. Od czasu do czasu ci, którzy umieli czytać, mogli wypożyczyć książkę. Zwykle były to wyświechtane egzemplarze kryminałów E. S. Gardnera albo broszury religijne. Więzień spał, jadł i załatwiał się w swojej celi. Nie widywał nikogo, poza swoimi sąsiadami, kiedy przechodzili korytarzem albo odbywali spacer. Można jednak było rozmawiać – krzyczeć przez kraty, grać na odległość w szachy i w warcaby, robić zakłady piłkarskie. Darryl wiedział, jakie są średnie trafień prawie wszystkich zawodników pierwszej ligi.

Znał wielu naprawdę złych facetów, ale nigdy w życiu nie znalazł się w otoczeniu tak żalonych skurwysynów. Słyszał kiedyś, jak dwaj mężczyźni spirali się, który zgwałcił i zamordował starszą kobietę:

- Hej, moja miała siedemdziesiąt dwa lata!
- No to wygrałeś. Moja tylko sześćdziesiąt pięć...

Widzenia odbywały się raz w tygodniu. Darryl wpisał na listę nazwiska wszystkich członków swojej rodziny. Nikt jednak nie przyszedł.

Trzy lata później jego stary kumpel z Apalachia, Isaac, odbył wycieczkę do bloku Q i zawarł znajomość z Drewnianą Mamą. W 1977 roku, kilka tygodni po opuszczeniu Branville, Isaac obrabował sklep monopolowy, zabierając dwieście czterdzieści dolarów gotówką. W pościg za nim ruszyły dwa radiowozy. Isaac oddał kilka strzałów ze swego colta detective special i jedna z kul trafiła między oczy młodego patrolowego. Wobec zabójców policjantów stosowano skróconą procedurę apelacyjną. Przyszedł czas, że Isaac musiał rozdysonować swoje doczesne dobra. Papierosy i ubrania oddał chłopakom, z którymi siedział wcześniej w bloku C.

– Te łachy i tak nie będą pasować na Darryla – powiedział. – Niech więc dostanie te oto pamiątki zmarnowanego życia.

Zostawił Darrylowi dwie talie kart, pudełko gumek recepturek numer 6, garść plastikowych świecidełek i monet oraz kilka wymiętoszonych, po-

sklejanych taśmą ksiązek, traktujących o sztukach magicznych.
Darryl postanowił zostać iluzjonistą.

16

Obok muszli klozetowej wystawała ze ściany gruba czarna obręcz z żelaza. Przez nią przewleczono łańcuch kajdan, które Darryl zapięte miał na nogach, i wolny koniec opasującego go łańcucha, do którego przypięte były także kajdanki krępujące jego ręce. Ten skomplikowany system więzów wynalazł przed trzydziestu laty pewien generał U.S. Army. Nieco później został skazany za defraudację funduszy państwowych. W drodze do federalnego obozu karnego w Pensylwanii miał na sobie pęta własnej konstrukcji. Ci, którzy go wówczas widzieli, twierdzili, że się uśmiechał.

Darryl, spowity w łańcuchy, siedział na cementowej posadzce swojej celi oparty plecami o ścianę. Rozrzucone długie nogi przywodziły na myśl jakieś potężne nożyce, gotowe w każdej chwili się zamknąć. Na jego twarzy nie było uśmiechu.

Do celi wszedłem razem z jednym ze strażników. Odgrodził ramieniem część pomieszczenia i oświadczył:

– Jeśli przekroczy pan tę linię, panie mecenasie, mamy rozkaz natychmiast przerwać widzenie.

Strażnicy usadowili się na składanych krzeselkach po przeciwnych stronach pomostu. Znajdowali się w odległości około pięciu metrów od łóżka, poza zasięgiem głosu, ale stale mieli mnie na oku.

Usiadłem na brzegu pryczy Darryła. Na brunatnym kocu położyłem swoją teczkę ze świńskiej skóry, uprzednio skrupulatnie przeszukaną przez strażników. Na kolanach trzymałem magnetofon sony i notes.

– Mogę ci pomóc – powiedziałem Darryłowi.

- Dlaczego wróciłeś? – zapytał, patrząc na mnie bez zmruczenia powiek.
- Polubiłem twoje towarzystwo.
- Pieprzenie. Jesteś wolnym człowiekiem.
- Dokonałem pewnego wyboru. Powrót tutaj jest jego konsekwencją.
- Kiedy ja ostatni raz dokonałem wyboru, powiedziałem do klawisza: „Przełącz mi na kanał siódmy”.

- Dokonałeś też pewnego wyboru, zanim spróbowałeś mnie udusić – przypomniałem.

- Sprytny z siebie gość. Prawie już o tym zapomniałem.
- Dlaczego więc zgodziłeś się na widzenie? Powiedziałeś, że to wszystko chrzaniec w bambus, że nie jesteś zainteresowany.

- Człowieku, ty nie odróżniasz gówna od miodu.

- Więc może mógłbyś mnie oświecić.

- Coś trzeba robić, facet. Zabijać czas.

- Dlaczego nazywają cię Czarodziejem?

- Gdybym miał talię kart albo kilka gumek, tobym ci, kurwa, pokazał.

Otarłem tłusty pot z czoła. Jeśli tak jest tu zimą, jak wygląda sierpień w tych murach?

- Gdzie nauczyłeś się tych wszystkich magicznych sztuczek?

- Tu, w celi. Sam się nauczyłem.

Opowiedział mi o swoim nieżyjącym przyjacielu Isaacu i o pobycie w Branville.

- Uczyłem się też z książek. Jedna z nich nazywała się *Alkazar i jego tajemnice*. Nigdy nie było żadnego Alkazara. Tę książkę napisał jeden magik, Kronzek. Ale to, co w niej opisał, to czysta prawda.

- Co potrafisz zrobić?

Po raz pierwszy Darryl zachichotał. Rękawy miał zawinięte powyżej łokci; wyraźnie widziałem jego tatuaże.

- Delikatne szachrajstwo – powiedział. – O to w tym wszystkim chodzi. Mogę przeciąć sznurek, a potem złączyć go z powrotem. Znam takie sztuczki z kartami, że pomyślałbyś: to prawdziwe czary. Nie uwierzysz, co potrafię zrobić.

- Dlaczego zabrali ci wszystkie magiczne przybory?

- Tu jest blok Q, facet. Wszystko zabierają. Czego ode mnie chcesz?
- Chcę, żebyś mi opowiedział, co zdarzyło się tamtej nocy.
- Jakiej nocy?
- Tej, kiedy poszedłeś okraść dom Zide'ów w Jacksonville Beach.
- Nie uwierzysz mi. Nigdy nie wierzyłeś.
- Spróbuj. Oświeć mnie.
- Okay – powiedział i wreszcie się roześmiał. – Oświecę cię.

Praca u Zide'ów okazała się gorsza, niż się spodziewał. Starszy ogrodnik, James, ani na chwilę nie dawał mu spokoju. „Za krótko strzyżesz tę trawę, chłopcze. Widzisz te bryły darni? Niedobrze. A teraz strzyżesz za długo. Dzień, dwa i będziesz musiał to robić na nowo”.

Jednym z podstawowych zadań Darryla było tropienie psich gówien na terenie posiadłości. Już wcześniej pani domu miała trzy psy: Paco, ośmioletniego dobermana, wyszkolonego do pilnowania domu, i dwójkę cocker spanieli, Myrę i Mickeya, głupich, ale sympatycznych stworzeń. Teraz kupiła jeszcze parkę trzymiesięcznych szczeniaków jakiejś chińskiej rasy, której nazwy Darryl nie potrafił wymówić. Maluchy biegały samopas po trawnikach i fajdały sześć, siedem razy dziennie.

– Do ciebie należy szukanie ich kupek – rzekł James. – Jak już taką znajdziesz, najpierw porządnie przysyp ją ziemią. Potem zbierz wszystko na łopatę i wyrzuć do taczki. Będziesz to pakował w te plastikowe worki.

- Szkoda takiego dobrego nawozu – zauważył Darryl.
- Nie znasz się na tych rzeczach, chłopcze.
- Niczego mnie nie uczysz. Jak mam się na czymś poznać?

Stary James odwrócił się i odszedł bez słowa.

Okazało się, że nawet najbardziej przykładając się do pracy, Darryl nie jest w stanie zlokalizować wszystkich kupek. Trawniki i klomby ciągnęły się setkami metrów, a chińskie szczeniaki buszowały po całej posiadłości.

James zmuszony był ganić swego pomocnika.

– Pani powiedziała, że wczoraj o mało nie wdepnęła w psie kaku. Przed samymi drzwiami. Podobno w domu pokazały się muchy. Może masz za daleko do ziemi, żeby dobrze widzieć, co? Potrzebne ci okulary? Może

powinieneś chodzić na czworakach i szukać tego na wężu?

- Tata powiedział, że będziesz mnie uczył ogrodnictwa.
- Wszystko w swoim czasie.
- Ile ton psiego gówna muszę zebrać, żeby naszedł ten czas?

James nie raczył odpowiedzieć.

Darryl gawędził od czasu do czasu z Terence'em, szefem ochrony i pewnego wieczora, kiedy usiedli razem na papierosa, Terence powiedział mu, że James nigdy niczego nie nauczył żadnego ze swoich pomocników. Miał już sześćdziesiąt trzy lata i obawiał się, że w najbliższym czasie państwo Zide zechcą znaleźć sobie młodszego i lepiej wykształconego ogrodnika.

– To na pewno nie będę ja – powiedział Darryl. Miał teraz lepsze zdanie o sobie i swoich zdolnościach i większe nadzieje na przyszłość. Lubił jednak pracę na świeżym powietrzu. Chętnie zostałby ogrodnikiem, gdyby wreszcie mógł skończyć ze strzyżeniem trawników i zbieraniem psich gównien.

Paco był psem obronnym, więc wymagał treningu. Co dzień po południu musiał odbyć trzykilometrową przebieżkę. Towarzyszenie mu należało do obowiązków Darryla. Ganiłi po plaży, aż chłopiec czuł, że puchną mu stopy, a powietrze wlewa się do płuc jak roztopiony ołów. Lubił jednak chwilę, gdy zatrzymywali się na odpoczynek. Z przyjemnością wdychał słone powietrze i zanurzał bose stopy w chłodnej wodzie. Z dnia na dzień biegało mu się coraz łatwiej; z czasem opanował sztukę rytmicznego oddychania. Mógłby zostać marynarzem. Tylko że nikt nie nauczył go pływać. Statek mógłby zatonać i byłoby jednego czarnucha mniej.

Przyglądał się odległym sylwetkom oceanicznym statków; czasem podływały całkiem blisko brzegu. Sunęły majestatycznie po błękitnej powierzchni Atlantyku. Podobały mu się; potężne, a zarazem dostojne i niewzruszone w dążeniu do celu. Fajnie musi być na takim statku. Mógłby pracować przy łodziach. Budować jachty. Robić coś, do czego zostały stworzone te ręce... Rozkładał palce, oglądał swoje szerokie dłonie, grube, żylaste przeguby... Gdzie mógłby się tego nauczyć? Może pojechałby do Lauderdale, gdzie mieszczą się stocznie jachtowe? Odszukałby Pauline. Przypuszczalnie jest już tatusiem. Byłby dobry dla swojego malca, nie biłby

go, nie wyśmiewał, nie nazywałby „darmozjadem” czy „debilem”. Nauczyłby go wszystkiego, co sam umiał.

Swemu przyjacielowi Williamowi Darryl nie opowiadał o wszystkim, co przychodziło mu do głowy. Nie chciał, żeby William wyśmiewał się z niego. Smith pracował od ósmej do piątej jako dozorca na dworcu autobusowym linii Greyhound.

- Słuchaj, jedźmy razem do Lauderdale – zaproponował kiedyś.
- Z czym? Nie masz pieniędzy.
- Ty też nie. Machniemy jakąś nocną robótkę, kolego.

Darryl w zamyśleniu szurał butem po chodniku. Rozmawiali na ulicy, przed barem Kentucky Fried Chicken.

- Shorty Bigshoes powiedział, że gliny za dobrze mnie znają.
- Zrobimy kilka rundek po plaży i wynosimy się. Prosto do Lauderdale.
- Nie chcę nikomu zrobić krzywdy.

William zniecierpliwiony potrząsnął głową.

– Chodzi o to, żeby zgarnąć, co trzeba, i dać nogę. Możesz nie mieć fartu i trafić na gościa, który ci powie: „Spadaj, nie dostaniesz ode mnie ani grosza”. Ale takiego łatwo przekonać. Nie musisz go zabijać. Wystarczy przyłożyć kolbą albo strzelić w nogę. Od razu zmięknie. Znałem faceta, co oskubał jednego gościa, a potem rozbił butelkę i wydlubał mu oczy. Ten frajer, powiedział, na pewno już nikogo nie rozpozna.

Darryl był oburzony.

– Człowieku, gadasz jak ci faceci z Raiford, co odsiadują jedną ćwiartkę po drugiej. Nie chcę nikogo walić kolbą ani strzelać ludziom w nogi i, jak Boga kocham, nie będę nikomu wydlubywał oczu.

- Co chcesz robić w Lauderdale, jak już dogonisz tę swoją Pauline?
- Pójdę do pracy. Będę się uczył. Jeszcze nie wiem. – Wyjawienie, że zamierza zostać cieślą okrętowym, nie wchodziło w rachubę. Należało trzymać fason.
- To miejsce, gdzie zbierasz psie gówna... ci ludzie mają forszę, nie?
- Mają forszę, to mało powiedziane, chłopie. – Darryl opisał posiadłość i wnętrze domu, na tyle, na ile je poznał zaglądając przez okna. – To bogacze!
- Wiesz, gdzie tam co stoi?

- Ale co?
- Wszystko, co da się sprzedać.

Darryl zaczął się zastanawiać. Naprawdę zależało mu na wyjeździe z Jacksonville.

– Znasz jakiegoś faceta, który kupi telewizory, obrazy i podobne gównno?

– Jasne, że znam. Mam też bryczkę i wiem, gdzie można załatwić eleganckie spluwy. Bierzesz je na dzień, a po robocie oddajesz. Za pożyczanie płaci się dwadzieścia dolców od sztuki. Wiedziałbyś, jak dostać się tam w nocy? Do tej frymuśnej chałupy?

- Rozejrzę się – rzekł Darryl. – Coś wymyślę.

I wymyślił. Zastrzegł jednak, że nie chce, żeby coś się stało Paco, byli przecież kumplami. Paco został nauczony nie brać jedzenia od obcych, ale Darryl nie był obcy, znali się od dawna. William obiecał załatwić jakieś proszki, po których Paco pośpi kilka godzin, ale obudzi się zdrów i cały.

– Za kilka dni – powiedział Darryl – bogacze wydają wielkie przyjęcie. Na pewno sobie popiją. Jak pobalują do północy, to potem będę spać jak zabici.

- Jacy oni są? – zapytał William.

– Kto?

– Ci biali, u których pracujesz.

– Prawie ich nie znam. Ona to kawał starej dziwki. Ma kochasia, który przychodzi do niej wieczorem, kiedy stary wyjedzie z miasta. Gzi się z nim przy basenie, a potem wskakują do wody i zaczynają się wygłupiać. A basen jest, chłopie, taki wielki, że mógłbyś się w nim zgubić.

– Choleera! – William zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

– Kiedyś podeszła do mnie i pyta, jak mi się podoba praca. „W porządku, psze pani”, mówię. A ona uśmiecha się do mnie od ucha do ucha, a minę ma taką, jakby zrobiła dobry uczynek. O swojego starego to ona wcale nie dba. Kiedy on jest w domu, ciągle się kłóca.

– Sami tam mieszkają?

– Już ci mówiłem; z synem. Chłopak ma tam oddzielne mieszkanie.

Ojciec ciągle na niego wrzeszczy, a on mu odpowiada. Ma taki piskliwy głos. W pudle miałby powodzenie jako dziewczynka.

- Co z tymi innymi psami? Szczekają na obcych?
- Myra i Mickey to takie głupie bydłeta, że merdałyby ogonami aa widok diabła.
- Mówiłeś coś o jakimś strażniku.
- Terence jest daleko, na drugim końcu drogi.
- No, to jesteśmy w domu, kolego.

W dniu przyjęcia państwo Zide urządzili symboliczny poczęstunek dla swoich pracowników. O czwartej podano w ogrodzie dwie butelki Moët et Chandon i dwie tace kanapek z wędzonym łososiem i pastą z kurczaka. Pod namiotem w żółte i białe paski Darryl wypił dwa kieliszki szampana – było to dla niego nowe doświadczenie – i opuścił posiadłość Zide'ów dokładnie w chwili, gdy dwudziestoosobowa ekipa obsługi przyjęcia kończyła przygotowania do imprezy. Zwykle Darryl wychodził z pracy o szóstej – chyba że porcja psich gówien wymagających usunięcia była wyjątkowo duża – wsiadał do autobusu jadącego na północ i na A1A przesiadał się do drugiego, który dojeżdżał do Beach Boulevard. Dzisiaj jednak przed bramą czekał na niego William w swoim rozklekotanym fordzie pikapie.

Ruszyli na południe, drogą koło kościoła metodystów i Florida National Bank.

- Dokąd jedziemy? – spytał Darryl.
- Musimy gdzieś przeczekać te osiem godzin, nie?

Wstąpili na chwilę do baru. Pili beczkowe piwo Michelob, ale szybko stracili na nie ochotę.

- Lepiej za dużo nie pić – ostrzegł Darryl.

Pojechali na zachód, do centrum handlowego z kinem dla zmotoryzowanych. Kupili sześć puszek zimnego budweissera i obejrzeni *The Buddy Holly Story*, a potem *Działa Nawarony*. Film – choć stary – zrobił na nich duże wrażenie. W duchu każdy z nich czuł się Gregorym Peckiem czy Davidem Nivenem wysadzającym ogromne niemieckie działa. Nadeszła północ, nadal mieli mnóstwo czasu. W sklepie Lil'Champ w Ponte Vedrà

William kupił jeszcze sześć piw, zaparkowali samochód na parkingu plaży miejskiej i siedzieli w ciemnościach, popijając z puszek. Z lasu dobiegło pohukiwanie sowy. Darryl wysiadł z wozu i wysikał się pod tablicą z napisem: *Uwaga! Nie zaśmiecać terenu; hrabstwo St. Johns. Wykroczenie podlegające karze grzywny w wysokości 500 dol. i/lub 60 dni aresztu.* Pod tablicą poniewierało się co najmniej trzydzieści puszek po piwie i pustych kartonów.

Sikając potężnym łukiem, Darryl zatopił dziewięć czy dziesięć puszek; były to niemieckie okręty wojenne i łodzie podwodne. A on był pilotem nurkującego bombowca. Wrócił do samochodu i otworzył kolejnego bu-dweissera.

Około drugiej William zakomenderował:

– Odjazd, koleś. Bo się spóźnimy.

Dojechali do posiadłości Zide'ów; minęli nie oświetloną bramę.

– Gdzie zostawimy wóz? – zapytał William.

– W pobliżu powinna być plaża miejska.

– Ale nie wiesz na pewno?

– Jasne, że wiem. Wszystko w porządku. Jedź, jak jedziesz.

Oczywiście Darryl nie wiedział, gdzie dokładnie znajduje się plaża. Zaparkowali kilometr dalej, w wysokiej trawie obok drogi. Księżyc już zaszedł, ale niebo usiane było gwiazdami. Darryl wsunął za pasek szczypcy do przecinania drutu, do tylnej kieszeni dżinsów schował latarkę. Williamowi udało się załatwić tylko jeden rewolwer, colt python. Miał go teraz przy sobie, a ponadto taszczył plastikową torbę z kawałkiem wołowej wątroby. Wątroba zaczynała już śmierdzieć; z dziurawej torby na ziemię kapłała krew. Przechodząc przez gęste zarośla, dotarli do wydmy i weszli na plażę.

Po piętnastu minutach brodzenia po omacku w grząskim piachu znaleźli się na skraju posiadłości Zide'ów. Spłoszona mewa rozwrzeszczała się nagle nad ich głowami.

– To powiadasz, że jakie oni tu mają telewizory? – zapytał William.

– Wielkiego adventa, konsolę RCA i pewnie ze trzy dziesiętnastocalowe na górze.

– Człowieku, jak my to wszystko zatargamy do pikapa? Myślałem, że

uda się zaparkować gdzieś bliżej.

Darryl zaśmiał się złośliwie, z głębi piersi.

– Nie będzie łatwo – powiedział.

– Marnie to zaplanowałeś.

– To był twój pomysł, facet.

– Ale to ty byłeś w środku.

– W takim razie weźmiemy tylko obrazy – zdecydował Darryl. – Nie mogą być takie ciężkie, a warto są kupę szmalu.

Znad oceanu nadciągała mgła. Podchodząc do furtki wiodącej z terenu posiadłości na plażę, usłyszeli warczenie Paco.

William znieruchomiał.

– Nie będzie szczekał?

– Jak szczeka, to nie masz się czym martwić. Kiedy szykuje się złapać kogoś za gardło, to tylko warczy. Dawaj to mięso.

– Hej, Paco, staruszkule! To ja!... – zawołał Darryl podchodząc do furtki.
– Spokojnie, malutki.

Pies leżał na piasku obok kępy zielska.

William przeciął szczypcami drut kolczasty i mogli wejść na teren posiadłości. Minęli jeszcze kilka wydm, a potem drewnianym chodnikiem szli wzdłuż rzędu palm, których strzępiaste czuby czerniały na tle zasnuwającego się nagle chmurami nieba. Po prawej majaczyły we mgle zarysy basenu i kortów tenisowych.

– Nie zapalaj latarki – szepnął Darryl.

– Po co mi latarka – burknął William – kiedy tu wszystko oświetlone jak na Boże Narodzenie.

Na trawnikach i wokół basenu płonęły pomarańczowym blaskiem lampy przeciw owadom. Wszystkie trzy kondygnacje domu były oświetlone; sam budynek wydawał się wielki niczym katedra. Wygląda jak zamek nawiedzany przez duchy, pomyślał Darryl. Szedł teraz pierwszy. Przecięli trawnik i osłonięci szpalerem hibiskusów zakradli się na werandę. Minęli czujnik systemu alarmowego; w oparach mgły żółty promień biegnący do fotokomórki tworzył migotliwą linię na ich drodze.

Ich uszu dobiegły nagle jakieś głosy. Jak na komendę przykucnęli, kryjąc się za rowkowaną, marmurową kolumną. Darryl oparł dłoń na kamieniu; jego chłód przejął go nagłym dreszczem. William syknął zniecierpliwiony.

– Zamknij się, idioto... – warknął Darryl.

Głosy dobiegające od strony domu przechodziły stopniowo w niewyraźny wrzask. Gdzieś na parterze klócili się jacyś ludzie.

Słyszeli naładowany wściekłością ryk mężczyzny. Niespodziewanie nad ich głowami zapłonęło światło. Potem na werandzie pojawiły się szczeniaki, dwa małe lhasa apso, które na łeb, na szyję puściły się ku ukrytym za kolumną ludziom. Skamlały przy tym i zawodziły niczym potępieńcy.

Szczeniaki znały Darryla i lubiły go, a teraz wyczuły jego zapach. Wściekle wymachując ogonami, z trudem zatrzymały się na śliskiej terakotowej posadzce i podskakując na tylnych łapach, jęły szarpać ząbkami nogawki jego dżinsów.

Niespodziewanie w oszklonych drzwiach wiodących z domu na taras pojawiła się Connie Zide w białym, rozchełstany szlafroku. Darryl spostrzegł ją, gdy była około dziesięciu metrów od niego. Wydała mu się blada jak postać z czarno-białych filmów grozy. Zatrzymała się i wbiła weń dzikie spojrzenie.

W jednej chwili z lekkością spłoszonego słonia Darryl zerwał się na nogi i rzucił do ucieczki. William za nim; biegli skuleni, zakosami, naśladując sposób poruszania się żołnierzy pod ostrzałem, zapamiętany z jakiegoś filmu.

Szczeniaki przekonane, że zaczyna się zabawa, pognały za uciekającymi. Jednego z nich dosięgnął kopniak Williama. Zabił już dzisiaj jednego psa; kto tam przejmowałby się szczeniakami. Psiak uderzył o marmurową kolumnę i zapiszczał przeraźliwie.

Darryl biegł co sił, wypatrując furtki na plażę. Nie zauważył światła kolejnego czujnika alarmowego; błysnęło mu tylko na wysokości oczu. Usłyszał za sobą trzask, jakby tłuczonego naczynia, ale kiedy obejrzał się, zobaczył jedynie okrywający wszystko tuman mgły, a bliżej siebie pociągnął twarz Williama, podskakującą w rytmie biegu. Ściągnięte w grymasie przerażenia wargi odsłaniały jego zęby, bielejące w ostrym świetle lamp

rozbłysłych nad kortem tenisowym.

Uniosłem dłoń, gestem oznaczającym: „Zatrzymajmy się w tym miejscu”. Darryl skinął głową i zmienił pozycję opierając się swobodniej o ścianę celi. Poprawił łańcuch, kilkakrotnie zgiął i wyprostował ręce w przegubach.

– Mam kilka pytań – powiedziałem.

Opowieści, której właśnie wysłuchałem, nie usłyszano na procesie. Załedwie jej fragmenty wypłynęły podczas prowadzonego przez Gary'ego Olivera przesłuchania jego klienta. obrońca Darryla w zasadzie ograniczył się do umożliwienia podsądnemu zaprzeczenia zeznaniom świadków oskarżenia. Wydawało mi się to sprytnym posunięciem; kto wie, czy nie jedynym w całej taktyce Olivera.

Gdyby Darryl opowiedział wtedy swoją historię, rozniósłbym ją na strzępy. Czyje bowiem zeznanie jest bardziej wiarygodne – żony i syna ofiary czy tępawego czarnego młodzika, który potwierdził, że znajdował się w miejscu przestępstwa, a potem dwukrotnie przyznał się do morderstwa? Jeśli to ktoś inny zastrzelił tamtej nocy Solomona Zide'a, dlaczego Connie i Neil bez wahania zidentyfikowali Darryla Morgana? Przy jego wzroście trudno było go z kimś pomylić.

W drzwiach celi pojawili się strażnicy.

– Panie mecenasie...

Odwróciłem się.

– Pora na spacer więźnia.

Zapytałem, czy nie można by odłożyć tego na później, kiedy skończę.

– Nie, proszę pana. Obowiązuje nas ścisły harmonogram. Teraz jest jego kolej.

Zwróciłem się do Darryla, opartego o ścianę celi.

– Nie mógłbyś zrezygnować dzisiaj ze spaceru?

– Wypuszczają nas na dach dwa razy w tygodniu – odparł. – Na godzinę. Jeśli dziś zrezygnuję, na następny spacer będę musiał czekać trzy dni. Powiedzmy, że za trzy dni będzie padało, i co wtedy? „Masz pecha” usłyszę i koniec. Jak myślisz, co lepsze – głądzić tu z tobą czy odetchnąć świeżym powietrzem i rozprostować kości? Zresztą ty mi i tak nie wierzysz. Uważasz,

że zabiłem tego starego Żyda. Byłeś palantem i jesteś nim nadal. W dniu, kiedy usłyszę od ciebie: „Możliwe, że się myliłem. Możliwe, że to ty miałeś rację” – będę z tobą gadał. O ile mnie do tej pory nie wykończą. A wtedy przemówię do ciebie zza grobu. – Zachichotał złośliwie. – Tak, pierdolcu. Będę cię straszył. Zobaczymy, jak ci się to spodoba.

17

Cotygodniowe zebranie wspólników dobiegło końca. Harvey Royal poprosił, żebym jeszcze został, bo chce zamienić ze mną kilka słów na osobności. Wsunął do ust tabletkę przeciw nadkwasocie, rozparł się w skórzanym fotelu i rzekł:

- Ted, co ty, do diabła, robisz ciągle w Jacksonville?
- Wyjaśniłem ci to w zeszłym tygodniu, Harvey.

Gwałtownie potrząsnął kościstą głową, skąpo okrytą resztką siwych włosów.

– W Tallahassee istnieje cała instytucja zajmująca się tego rodzaju apelacjami, nieprawdaż?

– Owszem. Nazywa się CCR.

– Instytucja mająca zdecydowanie większe możliwości w tak skomplikowanych sprawach niż prowincjonalna firma prawnicza z Sarasota. Chyba się z tym zgodzisz?

– Niekoniecznie. Darryl Morgan wyczerpał już możliwości apelacji. Przebywa w celi śmierci od dwunastu lat. Za cztery tygodnie ma zostać stracony.

Harvey oczywiście wiedział, że wygrana w tej sprawie zależała od wydobycia zeznań od nowego klienta firmy, Jerry'ego Lee Elroya. Nie odważyłem mu się jednak powiedzieć – ani zresztą nikomu – że wszelkie nadzieje na zmuszenie Elroya do świadczenia w sądzie wzięłyby w łeb, gdybym przekazał sprawę do CCR. Prawnicy z Tallahassee nie okłamywaliby Elroya, nie wmawialiby mu, że odwołanie zeznań sprzed dwunastu lat jest

warunkiem zawarcia porozumienia, które miało uwolnić go od oskarżenia o posiadanie narkotyków. A gdyby powiedzieli mu prawdę, Elroy nigdy nie zgodziłby się zeznawać. To zaś oznaczałoby śmierć Darryla Morgana.

Harvey przyglądał mi się uważanie znad okularów.

– Nie jestem obojętny wobec twoich uczuć – oświadczył – ale na dzisiejszym zebraniu pojawił się problem spraw, którymi się dotąd zajmowałeś. Kiedy ty siedziałeś na północy, zabawiając się w dobrego samarytanina, Barry i Marian musieli cię zastępować. Zmuszony jestem zapytać, Ted: czy zamierzasz powrócić do wykonywania swoich obowiązków wobec firmy?

– Muszę zająć się tym, co uważam za najważniejsze – odrzekłem. – Myślę, że nie muszę usprawiedliwiać takiego stanowiska... Jeśli w tej firmie nie znajdę zrozumienia, to nie sądzę, abym chciał tu dłużej pracować. Za kilka dni ponownie lecę na północ. Zamierzam podjąć się obrony Darryla Morgana.

Zadzwonił telefon. Harvey podniósł słuchawkę i polecił sekretarce, by na chwilę wstrzymała się z łączeniem rozmów. Następnie ponownie zwrócił się do mnie:

– Pozwól, że powiem bez ogródek, Ted. Z tego, co wiem, nie masz szans na wygranie tej sprawy. Będziesz ją przeciągał w nieskończoność, przedłużał mękę Morgana, ale ciekaw jestem, co na to powie twoje sumienie?

Przypomniałem sobie słowa Darryla: „Dzień w dzień ta sama myśl tłucze mi się po głowie: kiedy to wszystko się skończy? I wiem, że nie prędeży, aż nakarmią mną Wielką Drewnianą Mamę. Wtedy skończy się moja męka...”

– Jest taka stara zasada – bezlitośnie ciągnął Harvey – która znajduje zastosowanie we wszystkich sprawach, w których w grę wchodzi kara śmierci: dobry adwokat oznacza długie czekanie.

– Wiem – odparłem. Nie zamierzałem mydlić mu oczu udawanym optymizmem. Na to był zbyt bystry. – Próbuję przekonać system, że został popełniony błąd. I muszę przyznać, że przypomina to sikanie pod wiatr.

– Nie ująłbym tego w ten sposób, ale oczywiście masz rację. Ted, potrzebujemy ciebie tutaj, nie w Jacksonville.

– A więc nasze interesy są sprzeczne.

- Jak zamierzasz usunąć tę sprzeczność?
- Robiąc to, co do mnie należy – odparłem.

Wziąłem się zatem do roboty. Pojechałem z Barrym Wellmetem do Brantontona, na spotkanie z radcą prawnym firmy zamieszanej w sprawę zawyżenia cen mleka. Odwiedziłem dyrekcję miejscowego oddziału ZiDevco, aby uzgodnić listę świadków w ich procesie przeciw firmie budowlanej. Następnego dnia skontaktowałem się z pięcioma podwykonawcami, których wytypowaliśmy jako ewentualnych sojuszników, i zacząłem opracowywać szczegóły zeznań, z jakimi mogliby wystąpić w sądzie. Przejrzałem sporządzone przez Barry'ego streszczenie sprawy towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego, a następnie umówiłem się z Harveyem Royalem i wspólnie zredagowaliśmy jego ostateczną wersję. „Praca”. Jakież to czyste i pełne głębokiej treści słowo. Jak słuszne w swojej istocie.

I jak kurewsko nonsensowne. W końcu nie robiłem nic innego, jak tylko wymyślałem chytre sposoby wyciągania ludziom pieniędzy, tak by inni ludzie mogli się wzbogacić. Pomagałem bogatym chronić ich bogactwa, a wszystko po to, żeby zarobić na swoje honorarium. Czy było w tym miejsce na coś takiego jak sprawiedliwość?

Pewnego popołudnia wpadłem do biura Buddy'ego Capry w budynku sądu karnego, aby zobaczyć się z Elroyem. Spotkanie odbywało się w obecności Charliego Waldorfa, który usadowił się na kanapie w kącie gabinetu i szlifował sobie paznokcie pilniczkiem, który wyglądał tak, jakby prokurator stanowy używał go od chwili ukończenia studiów prawniczych. Capra przedstawił stanowisko prokuratury. Zawarcie umowy uzależnił od zgody Elroya na świadczenie przeciw Ramosowi i Polomino.

Elroy chciał wiedzieć, gdzie miałyby się to odbyć.

– Wielka ława przysięgłych zbiera się obecnie w Miami – wyjaśnił Capra. – Na wiosnę chcieliby wnieść oskarżenie do sądu. Pańska obecność na przesłuchaniu jest, oczywiście, niezbędna. Jeśli złoży pan zeznanie, miejscowa prokuratura umorzy śledztwo w sprawie posiadania przez pana kokainy. Będzie pan wolny, panie Elroy, a, dzięki federalnemu programowi ochrony świadków, także bezpieczny.

- Dokąd mnie wyślecie?
- Słyszałem, że wybrał pan Kalifornię.
- Tylko żeby to nie było w górach – warknął Elroy. – Nie zależy mi na towarzystwie jakichś pieprzonych grizzly.
- Och, o prawo goszczenia pana ubiegało się wiele miast w Kalifornii – odrzekł Capra. – Wygrało San Diego. Nie mogą się pana doczekać.
- Z czego będę tam żył?

Charlie Waldorf odłożył pilniczek do paznokci i powiedział burkliwym tonem:

- Rząd wyda panu nowy dowód tożsamości i opłaci mieszkanie za sześć miesięcy. Zapewnimy panu utrzymanie przez dziewięćdziesiąt dni. Później będzie pan zdany na własne siły.

Po wyjściu z gabinetu Capry zjechaliśmy na dół windą wyposażoną w elektroniczną pozytywkę, wygrywającą pasażerom jeden z koncertów Vivaldiego na flet. Tę samą melodię słyszało się w słuchawce telefonu, czekając na połączenie z prokuraturą. Na tym polegał styl Charliego Waldorfa; ten facet był rasowym mieszkańcem Sarasota.

Elroy i ja szliśmy wolno w popołudniowym skwarze Main Street.

- Zaproponowali ci idealne warunki – powiedziałem. – Tylko nie zapominaj, że jest jeszcze ta druga sprawa.
- Jaka mianowicie?
- Jacksonville. Odwołanie fałszywego zeznania z procesu Morgana. Mam nadzieję, że o tym pamiętasz.

Elroy podrapał się po nie golonym od kilku dni podbródku.

- Capra i ten drugi facet nie wspominali o tym.
- Nie wspominali, bo nie było takiej potrzeby – odrzekłem twardo. – Ale musisz to zrobić. Zaczniemy od pisemnego oświadczenia pod przysięgą. Natychmiast. W moim biurze.
- Nie można tego odłożyć do siódmej? W motelu czeka na mnie fajna cipka – uśmiechnął się, pokazując szparę między zębami. Nie byłem pewien, czy wierzy we wszystko, co mu mówię. Na pewno jednak nie zamierzał ryzykować, mając do wyboru: San Diego albo Raiford.

Kiedy po wieczornej kąpeli wynurzyłem się z basenu, Toba zmarszczyła czoło i rzekła:

– Może nie zrobi to na tobie wrażenia, ale muszę cię poinformować, że był tu dzisiaj jakiś mężczyzna i wręczył mi wezwanie do złożenia zeznania pod przysięgą.

Wytrząsnąłem wodę z uszu i zapytałem:

– W jakiej sprawie?

– Tej wariatki, która zadzwoniła kiedyś w środku nocy, by mi powiedzieć, że coś jej siedzi na cyckach. Konkretnie – pająk.

– I jakiś adwokat chce, żebyś zeznawała w sprawie pająka?

– Tak!

Ryknąłem śmiechem, ale szybko się uspokoiłem, rzuciwszy okiem na twarz mojej żony.

– Przepraszam, zabrakło mi słów. Zresztą w tej sytuacji śmiech wydaje mi się najwłaściwszą reakcją.

Po kolacji poprosiłem Alana do biblioteki. Usiadłem w fotelu, ubrany w czarną bluzę od dresu, stare dzinsy i tenisówki założone na gołe stopy – kostium znamionujący zarówno dojrzałość, jak i młodzieńczą swobodę. Alan rozwalił się na sofie, ale przez cały czas kręcił się, jakby nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji: zakładał nogę na nogę, przeciągał się, prężył muskularne ramiona. Głęboko wycięta sportowa koszula odsłaniała porośniętą czarnymi, kręconymi włosami pierś. Poprawiłem na nosie okulary w rogowej oprawie i mimo młodzieżowego stroju poczułem się stary.

– Nie będę palił, tato. Wiem, że to cię złości i że kanały wentylacyjne śmierdzą potem tytoniem. Ale potrzymam sobie w ręku nie zapalonego papierosa, dobrze?

Wychyliłem się ze swojego fotela i położyłem mu rękę na ramieniu. Chciałem zasygnalizować swój niepokój i głęboką troskę.

– Alanie, wspomniałeś matce o samobójstwie. Muszę to potraktować poważnie i przyznam ci się, że jestem przerażony. Wiem, jak trudno wyrazić pewne rzeczy, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, co stało się przyczyną twojej depresji? Muszę to wiedzieć.

– Po prostu czuję się niepotrzebny. Powiedziałeś, że jestem popaprańcem. Niedojdą.

Nigdy nie nazwałem go niedojdą. Co najwyżej mogłem przy jakiejś okazji powiedzieć: „Uważam, że robisz wszystko, żeby spać sobie życie”. Nie spierałem się jednak. Nie byliśmy w sądzie.

– Chciałbym, żebyś poddał się terapii odwykowej. Czy masz coś przeciwko temu?

– Nie – odparł Alan.

Wiedziałem, że to jeszcze nie wszystko i że muszę zdobyć się na brutalność, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztowało. Opowieść matki Elstona z Newton głęboko zapadła mi w pamięć.

– Możesz wytrwać i doprowadzić kurację do końca – powiedziałem – albo nie. To zależy od ciebie. Ale nie życzę sobie narkomana w moim domu. Jeśli dowiem się, że cokolwiek bierzesz, zrobię ci takie piekło, że nie będziesz wiedział, gdzie się schować. I choćbyś klęczał przede mną, prosił i płakał – wykopię cię stąd jak parszywego ćpuna.

Toba wynalazła pewną znaną terapeutkę zatrudnioną w szkolnej służbie zdrowia, która przyjmowała prywatnych pacjentów, licząc sobie sześćdziesiąt pięć dolarów za godzinę. Nazywała się Dorothy Buford.

Pewnego wieczora spotkaliśmy się z nią w jej domowym gabinecie. Ten pokój, pełen porcelany i bibelotów z kości słoniowej, przypominał mi dom mojej babci. Dorothy Buford wyglądała na trzydzieści kilka lat.

– Prawdę mówiąc, nie chcę teraz z państwem rozmawiać – oznajmiła. – Wolałabym z góry nie przyjmować określonego punktu widzenia. Niech państwa syn umówi się ze mną telefonicznie.

– Chcielibyśmy przedstawić istotę problemu – powiedziałem.

– Pan może mi jedynie przedstawić istotę pańskiego problemu, panie Jaffe. Ale o tym proszę rozmawiać ze swoim terapeutą. Niech syn do mnie zadzwoni. Od niego dowiem się, na czym polega jego problem.

W samochodzie, w drodze do domu, śmiałem się.

– Wiesz co? Ona ma absolutną rację. Podoba mi się.

– A mnie nie – odparła Toba. – Uważam, że to kuta na cztery łapy

cwaniara.

W sypialni, rozpinając pod bluzką stanik, powiedziała, nie patrząc w moją stronę:

– Ted, chciałabym, żebyś nie wyjeżdżał w poniedziałek.

– Postaram się wrócić na weekend.

– Czy masz dziewczynę w Jacksonville?

– Na miłość boską! Nie! – zawołałem. A jednak obraz Muriel Suarez, nieproszony, pojawił się w moim umyśle. Co, do diabła! Nie można człowieka oskarżać o snucie erotycznych fantazji. W końcu na tym polega cała płynąca z nich przyjemność.

– Jeśli okaże się, że masz inną kobietę – powiedziała Toba – połamię ci nogi młotem kowalskim i, kiedy zaśniesz, utnę ci pól małego.

– W mafii zrobiłabyś karierę – odrzekłem.

– Jak długo to jeszcze będzie trwało? Te wyjazdy do Jacksonville?

– Tak długo, jak to będzie konieczne, Tobo.

– Nasz syn twierdzi, że ma samobójcze myśli. Co będzie, jeśli umrze, kiedy ty będziesz poza domem, zajęty ratowaniem życia jakiegoś parszywego mordercy?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Na to pytanie nie było odpowiedzi. Spostrzegłem, że Toba wraca z drugiego końca pokoju i na swojej nocnej szafce stawia butelkę chablis.

– To mi pomaga zasnąć – powiedziała, napełniając kieliszek.

– Może byśmy trochę poświntuszyli? – zapytałem żartobliwie. – To też niezły środek nasenny.

– Ale najpierw napiję się wina. Nie martw się. Umyję zęby.

– To, co wypijaś dziś wieczorem, zwałiloby z nóg muła.

Spojrzała na mnie dziwnie błyszczącymi oczyma.

– Odchrzań się, Ted. Ty robisz, co chcesz, więc bądź łaskaw pozwolić mi na to samo; dziękuję bardzo.

Niebo nad Longboat Key zasnuły ciemne chmury, lunął deszcz. W takiej nocy Toba i ja czerpaliśmy – często nieświadomą – pociechę z widoku łodzi, huśtających się na fali w zatoce, mrugających przyjaźnie latarniami ku naszej sypialni, naszemu schronieniu. Tej nocy fale tłukły o brzeg z taką siłą,

że zdawało się, iż ziemia drży w posadach.

Nie świntuszyliśmy. Kilka minut po zgaszeniu swojej lampki Toba zaczęła lekko pochrapywać. Zabawne, pomyślałem. Gdybyś przed ślubem dowiedział się, że kobieta, z którą zamierzasz związać się na całe życie – chrapie, nie omieszkałbyś dobrze się zastanowić przed podjęciem ostatecznej decyzji. Później jednak człowiek się przyzwyczaja. To chrapanie staje się oznaką bezbronności, jakby częścią jej samej. Wręcz ją kochasz za to... nie mimo to, ale za to. I, oczywiście, daje ci to swobodę w pielęgnowaniu własnych społecznych nawyków, które z kolei są częścią ciebie...

Powoli odpływałem w sen.

„Wtedy, w sprawie zabójstwa Gambrela, mój informator mówił prawdę...”

Usiadłem i nagle zupełnie rozbudzony wyteżyłem pamięć, wlepiając wzrok w półmrok sypialni. W oddali zadudnił grzmot; brzmiało to jak ostrzegawcze warknięcie złego psa. W uszach dźwięczał mi niewyraźny głos Carmen Tanagra wymawiającej to nazwisko.

Po raz pierwszy usłyszałem je przed dwunastoma laty: Victor Gambrel. Pamiętałem nawet tego człowieka: czterdziestolatek, łudząco podobny do Basila Rathbone'a w roli Sherlocka Holmesa. Były policjant z Jacksonville, wówczas szef ochrony Zide Industries. Po telefonie Neila przybył do posiadłości Zide'ów na chwilę przed zjawieniem się ekipy Wydziału Zabójstw. Niczego nie widział. Przesłuchałem go w prokuraturze, ale zrezygnowałem z powoływania go na świadka.

Z tego, co usłyszałem od Kenny'ego Buckrama i Carmen Tanagra, wynikało, że pięć lat temu Gambrel został zamordowany. Ale dlaczego? I przez kogo? Podejrzewano mafię. Carmen powiedziała coś jeszcze. Pogrzebałem głębiej w pokładach swojej pamięci i znalazłem:

„Bongiorno miał kumpli w Tallahassee. Jego pieniądze i wpływy okazały się mocniejsze; kapuś zmienił zeznania, a ja dostałam po dupie...”

I ślepiej kurze trafi się od czasu do czasu jakieś ziarno. Sprawa Morgana zaczęła mi się oto jawić w całkiem nowym, przerażającym świetle. Wyśliźnąłem się z łóżka i pośpiesznie zszedłem do salonu. Wyjąłem z teczki długopis i notatnik i usiadłem przy stole. Nocne niebo co chwila przecinały

zygzaki błyskawic.

Wróciłem do łóżka dopiero po kilku godzinach. Kiedy zasnąłem, śniła mi się kobieta podobna do Connie Zide. Trzymała nóż, przytknięty do gardła Darryla Morgana.

18

Solly mnie nie znosi – powiedziała mi kiedyś Connie Zide. – Uważa, że jestem fałszywa, niezrównowazona, samolubna, leniwa, próżna, pretensjonalna, chciwa... Znam tę listę na pamięć jak skaut swoją przysięgę, bo wysłuchuję jej, ilekroć się spotykamy. Jeśli Solly nie może nad kimś zaprowadzić, niszczy go. Dotyczy to zwłaszcza ludzi z jego najbliższego otoczenia. Ostatnio zaczęła mieszać alkohol z kokainą, więc zrobił się naprawdę wredny. Kilka tygodni temu, podczas kłótni o Neila, uderzył mnie.

Siedzieliśmy nad drinkami w „Ruffino's”, lokalu znajdującym się w połowie drogi między moim biurem a domem. Connie zadzwoniła do mnie do pracy mówiąc, że będzie w pobliżu. Chciała się tylko ze mną napić, potrzymać za rękę, popatrzeć w oczy. Zwykle w takich wypadkach rzeczywiście to właśnie miała na myśli.

Zacisnąłem pięści. Jak ten sukinsyn śmiał ją uderzyć! Byłem zły, ale wiedziałem, że powinienem zachować ostrożność w okazywaniu tego rodzaju uczuć. Jej życie z Sollym i Neilem to nie moja sprawa. Niemniej jednak trudno mi było zachować kamienną twarz. Nikt do końca nie panuje nad swoimi emocjami.

– Pamiętasz, ostatnio nie widzieliśmy się przez cały tydzień. To dlatego, że miałam siniaki. Tutaj. – Connie dotknęła policzka, gdzie widniał jeszcze niewyraźny, niebieski ślad. Zauważyłem go wcześniej, ale przez grzeczność udawałem, że wszystko jest w porządku; nie komentuje się zmian na twarzy czterdziestosiedmioletniej kobiety.

– Neil zobaczył to następnego ranka – ciągnęła. – Powiedziałam mu

prawdę, a on pobiegł prosto do gabinetu ojca. Mam wrażenie, że Solly usłyszał wtedy kilka epitetów, które nawet dla niego stanowiły nowość.

Jeśli mówiła prawdę, była to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem na temat „światła jej życia”.

– Od kiedy Neil skończył czternaście lat – mówiła Connie – i zaczął pisać wiersze i fotografować kwiaty, Solly nieustannie daje mi do zrozumienia, że uważa go za ciotę. Natomiast Neil gardzi ojcem za to, jak ten mnie traktuje.

– Przecież podobno razem pracują.

– Solly zrobił z Neila chłopca na posyłki. Płaci mu za to nędzne grosze. Jak myślisz, dlaczego Neil mieszka w jego domu?

Coś mi się tu nie zgadzało. W tym równaniu brakowało jakiegoś elementu.

– Dlaczego nie pomożesz mi wynająć własnego mieszkania?

– Niczego ode mnie nie przyjmie. Uważa, że powinnam rzucić Solly'ego, a wtedy, mówi, będę potrzebowała całych swoich oszczędności. Przed ślubem podpisałem intercyzę... Solly zawsze był dobry, gdy chodziło o ochronę swoich interesów. Opuszczając dom, tracę prawo do korzystania z jego majątku.

– Powiedziałaś, że Neil jest dobrym fotografem.

– Cudownym. Ale brak mu pewności siebie. To przyjdzie... z czasem.

Zrozumiałem, że Connie nie była zbyt obiektywna w ocenie swojego syna. Ja sam spotkałem Neila kilkakrotnie, przy okazji obiadków dobroczynnych. Wyczuwało się w nim tę samą zmysłowość co u Connie, ale chłodne, taksujące spojrzenie najwyraźniej odziedziczył po ojcu. Miał w sobie jakąś kobiecą miękkość, a jednocześnie był wybuchowy i agresywny. Wiedział, gdzie pracuję, i w jakimś momencie naszej rozmowy oznajmił:

– Cieszę się, że pana poznałem. Jeśli mnie kiedyś złapią z walizką kokainy, będę wiedział, do kogo się zwrócić.

– Byle nie z pustymi rękami – odparłem – bo inaczej marny twój los.

– O, a więc jest pan przekupny? Coś podobnego! Matka zawsze przedstawiała pana jako wzór wszelkich cnót.

– Odchrzań się, Neil – powiedziałem spokojnie.

Neil nosił buty od Gucciego i czarną jedwabną kurtkę z salonu Ermenegildo Zegna, udrapowaną na ramieniu jak muleta. Odchodząc pocałował matkę w usta, pomachał ręką kilku znajomym, zawołał "Ciao!" i odjechał lamborghini o srebrzystych kołach.

Upłynęło pierwsze siedem miesięcy mojego – jak to później zmuszony byłem nazwać – opętania. W tym czasie robiłem wszystko, żeby nie zakochać się w Connie Zide. Wiedziałem, że uczuciowe zaangażowanie się w ten fatalny związek mogło doprowadzić do zniszczenia mojego małżeństwa, mojej rodziny, może nawet kariery. A tego nie chciałem.

Nadeszło lato, a ja po uszy tkwiłem w swoim zaślepieniu. Podczas jednego z weekendów udało nam się powtórnie odwiedzić chatę na Cumberland Island. W piątkowe popołudnie wypłynęliśmy pożyczonym kutrem, biorąc kurs na pełne morze. W pewnym momencie, kiedy oboje znajdowaliśmy się w kokpicie, Connie rzuciła:

– Neil o nas wie.

Nie mogła nie zauważyć wyrazu konsternacji na mojej twarzy.

– Nie bój się. On akceptuje nasz związek. Uważa cię za mężczyznę z gatunku silnych i małomównych. „Niewyrośnięty żydowski Gary Cooper”, jak on to mówi.

Wyostrzyłem nieco kurs zmieniając ustawienie grota i spytałem z posępną miną:

– Jak się dowiedział?

– Nie mamy przed sobą sekretów.

– Powiedziałaś mu? To było głupie, Connie.

Natychmiast wyobraziłem sobie możliwe scenariusze dalszych wypadków. Na przykład Neil dla kawału albo zemsty opowiada o nas ojcu przy obiedzie. Albo Solly wpada wściekły do mojego gabinetu w biurze prokuratora okręgowego. A może do mego domu, witany przerażonym spojrzeniem Toby...

Potrzebne mi to było jak pryszcz na tyłku. A znając Tobę, mogłem się spodziewać najgorszych konsekwencji takiego obrotu rzeczy.

Connie usiadła na pokładzie, przytrzymując dłońmi kostki skrzyżowa-

nych nóg. Wyglądała na pogodzoną z losem i bynajmniej nie zaniepokojoną.

– Wiesz, co mi kiedyś powiedział Neil? „Con, czy około dziewięciu miesięcy przed moim urodzeniem nie miałas w Kalifornii jakiejś awanturki? Z Gregorym Peckiem, na przykład? Lub choćby z Chuckiem Hestonem? Jeśli powiesz tak, nawet gdyby to był ten stary reakcjonista Chuckie, będę skakał z radości”. Żałowałam, że muszę go rozczarować. Powiedziałam mu, że w tamtych czasach byłam młoda, wierna i pełna nadziei.

Zacząłem wybierać szoty, ustawiając kuter z wiatrem. Przypuszczam, że z mojej twarzy dość łatwo można było wyczytać, o czym myślę. Connie podniosła się jednym zgrabnym ruchem i przeszła na środek pokładu, aby zająć się fokiem. Pewnie i umiejętnie zamocowała wszystkie liny. W popołudniowym słońcu całe jej ciało lśniło od palmowego olejku, którego zapach wypełniał moje nozdrza. Ukończywszy pracę skierowała się ku rufie, zdecydowanym krokiem przemierzając pokład. Zawsze wiedziała, czego chce, i nigdy nie brakowało jej pewności siebie, aby po to sięgnąć.

Zeszła do kokpitu i rozpięła stanik bikini, odsłaniając piersi o stwardniałych od wiatru sutkach; jej afrykańskich – jak mawiała – wydatnych sutkach, które lubiła pieścić koniuszkami palców, co zawsze rozpałało mnie do białości. Czasem w jakimś motelowym pokoju żądała, abym przyglądał się, jak się masturbuje. Zaczynała od piersi, a potem stopniowo przesuwiała dłonie coraz niżej; miała szczupłe dłonie o długich palcach, czasami używała wibratora. W pewien deszczowy poniedziałek w St. Augustine Beach, tuż przed moimi urodzinami, wynajęła call girl imieniem Sue Ann. Wieczorem do drzwi naszego pokoju zapukała porywająco piękna dwudziestoletnia dziewczyna. Sue Ann pochodziła z Cairo w Georgii; właśnie zrobiła maturę. Z początku nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć.

– Prezent urodzinowy – wyjaśniła Connie.

– Nie chcę takiego prezentu – odparłem, co było oczywistym kłamstwem.

– Ale ja chcę.

Zacząłem się śmiać i po chwili przyłączyłem się do nich. Tak oto dostałem od niej prezent, którego odmawiała zawsze swojemu mężowi.

Kiedy teraz klęknęła na dywaniku w kokpicie naszej łodzi, wyraz jej oczu

barwy morskiej wody nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej zamiarów. Zsunęła aż do kostek moje kąpielówki, a ja wsparłem się na kole sterowym, aby utrzymać łódź na kursie. Kierowaliśmy się na pełne morze. Żagle łopotały odrobinę, a moje serce biło podejrzanie szybkim rytmem. Pochylając się nade mną, Connie klasnęła w ręce z miną dziecka, które dostało upragnioną zabawkę.

– Wyobraź sobie, że to Sue Ann – szepnęła.

I w ten oto sposób – tak jak to sobie zamierzyła – jej niedyskrecja zesłała – przynajmniej chwilowo – na dalszy plan.

Wieczorem w sosnowej chacie nad zatoczką przyrządziła filety z kurczaka w sosie pieczarkowym, podlane hiszpańskim sherry. Twierdziła, że jest to potrawa bez nazw i przepisu, jak wszystko, co gotowała. W kuchni pracowała szybko, nucąc przy tym broadwayowskie szlagiery. Przygotowanie surówki z cykorii w sosie vinaigrette zajęło jej dosłownie kilka minut. Potrafiła stworzyć domową atmosferę, nie pozbawioną – w przeciwieństwie do atmosfery mego domu – pewnego pikantnego smaczku. Chyba czytała w moich myślach, bo w pewnym momencie powiedziała:

– Ted, kiedy cię poznałam, stwierdziłeś, że jesteś człowiekiem szczęśliwie żonatym.

– Tak, pamiętam.

– Okłamałeś mnie, najdroższy.

– Nie.

– Spróbuj chociaż powiedzieć „chyba”.

– Nie, nie kłamałem.

– No dobrze, więc okłamywałeś samego siebie. Czy tak jest lepiej?

Zaczęliśmy jeść, ale rozmowa utknęła w martwym punkcie. Pochwaliłem sos i surówkę, sprzątnąłem ze stołu i zaparzyłem kawę.

– Ted, jutro minie sześć miesięcy od dnia, kiedy ten Kubańczyk napadł mnie na parkingu.

– Wiem.

– Ted, kocham cię.

Te słowa nie padły dotąd w naszych rozmowach.

– Powiedziałam o tym Neilowi – ciągnęła Connie. – Chciałabym, żeby cały świat dowiedział się o naszej miłości.

– Connie... – w moim głosie zamiast czułości pojawiło się coś na kształt ostrzeżenia. To samo musiała Connie dostrzec w moim wzroku. Była jednak kobietą upartą. Nie osiągnęłaby w życiu tak wiele, gdyby nie nauczyła się żeglować pod wiatr.

– Chodźmy na plażę – powiedziała.

Srebrzysto-szarą, połyskliwą powierzchnię oceanu znaczyły blade, jak nafosforyzowane linie, pozostawione przez przepływające ryby. Woda była wystarczająco ciepła na kąpiel pod gwiazdami. W pobliskich zaroślach zagulgotał dziki indyk. Od strony hotelu „St. Mary's” dobiegały przytłumione dźwięki muzyki. Stałem nagi na płyciźnie fale łagodnie obmywały moje uda. Patrzyłem w niebo, ogromne, roziskrzone gwiazdami, obojętne na kłótnie kochanków.

Connie podpłynęła do mnie i stanęła u mego boku, także unosząc twarz ku niebu. Milczeliśmy.

W łóżku, później tego wieczora, szepnęła:

– Po prostu śpijmy. Obejmij mnie.

Lubiła, kiedy obejmowałem ją przytulony do jej pleców. Czulem w dłoni ciężar jej piersi, a na udach, tym razem wyjątkowo niewinny, dotyk pośladków. Razem odpływaliśmy w sen, jak niesione morskim prądem wodorosty. Właśnie wtedy najdobitniej uświadomiłem sobie swoją zdradę wobec Toby.

Rano kochaliśmy się. Trwało to dość długo, by niebo zdążyło zmienić barwę z ciemnej szarości na błądy błękit o przejrzystości szkła.

Powiedziałem, że przed wieczorem muszę być w Jacksonville, żeby spędzić niedzielę z dziećmi. Przy kawie Connie wróciła do wczorajszej rozmowy:

– Gdybyś był szczęśliwy w małżeństwie, to, co istnieje między nami, nie byłoby możliwe. Dlaczego nie przyjmujesz tego do wiadomości, Ted?

Rzecz w tym, że nie bardzo wiedziałem, czym było to, co istniało między nami. Nie umiałem tego zdefiniować. Nigdy nie twierdziłem, że jestem doskonały; nie chciałem być doskonały.

- Rzuciłabym Solly'ego, żeby być z tobą.
- Connie, nawet gdyby... – nie wiedziałem, co powiedzieć.

Nigdy przedtem nie zapuszczaliśmy się w te rejony. Ten kierunek rozmowy groził katastrofą.

Zamierzałem wybrać uczciwą drogę.

– Connie, nie chcę, żebyś rzuciła dla mnie Solly'ego. Ja nie zostawię Tobie i dzieci dla ciebie. Może ty i ja wykorzystaliśmy już swoją porcję szczęścia. Może pora z tym skończyć.

– Jesteś okrutny – odparła łagodnym głosem. – Gdybyś był uczciwy, przyznałbyś, że mnie pragniesz.

Sama sobie szkodziła. Każde jej słowo coraz bardziej oddalało ją ode mnie.

- Connie, żona, rodzina stanowią część mojego życia.

Wpatrywała się we mnie rozgorączkowanym wzrokiem. Włosy miała splątane, zlepione porannym potem.

– Chcesz to teraz skończyć? Mówisz, że między nami już nic nie ma? Nie możesz jej naprawdę kochać! – wybuchnęła. – Gdybyś ją kochał, nie byłbyś taki, kiedy jesteś ze mną. Czy ty tego nie rozumiesz, najdroższy? Ted, okłamujesz mnie!

Jej namiętność dorównywała jej miłości. Ale ja jej nie kochałem.

- Nie chcę cię zranić – powiedziałem.
- Robisz się obrzydliwie zimny!

Byłem nieszczęśliwy. Ta sytuacja stała się nie do zniesienia. Wiedziałem jednak, co czuję i co muszę zrobić.

Z ust Connie wyrwał się jęk, od którego ciarki przebiegły mi po plecach.

- Czy to dlatego, że jestem od ciebie starsza?
- Connie, dlaczego mnie nie słuchasz?
- Zrobiłabym dla ciebie wszystko! Uczynię cię szczęśliwym, przysięgam!

To już nie była ta kobieta, która mówiła do mnie „kotku”, kiedy spotkałiśmy się po raz pierwszy. Wskoczyłem z łóżka. Odwrócony do niej plecami zapatrzyłem się na ocean, na szybującą nad wodą parę ibisów. Podeszła do mnie i od tyłu oplótła ramionami. Jej dłonie płasko spoczęły na

mojej piersi. Straszna myśl przeleciała mi przez głowę. Wyobraziłem sobie, że tymi długimi, ostro zakończonymi paznokciami wrywa mi serce, wydziera je z piersi jak niewolnikowi przeznaczonemu na ofiarę dla jakiegoś azteckiego bóstwa.

Nic takiego jednak nie zaszło. To nie ja przeznaczony byłem na ofiarę.

Kilka dni później, nad ranem, kochałem się z moją żoną. Nim zaczęliśmy, przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że jest z nami w łóżku inna kobieta. Wyglądała jak Sue Ann i usadowiwszy się za klęczącą Tobą, masowała jej opalone plecy. Przez odsłonięte okno do sypialni wlewało się blade światło poranka. W powietrzu tańczyły drobiny kurzu. Oczy Sue Ann śmiały się do mnie ponad zmierzwionymi, czarnymi włosami mojej żony. Toba obróciła się tak, że mogłem zająć miejsce Sue Ann i wnikać w nią od tyłu, obejmując zarazem jej piersi.

– Ściśnij je – powiedziała.

To działo się naprawdę. W wyobraźni wciskałem swój członek między błyszczące od olejku, miedziane półkule pośladków naszej partnerki, która nagle zmieniła się w Connie. To cudzołóstwo, pomyślałem, ale za zgodą wszystkich zainteresowanych. A więc bez bólu i ryzyka. Czy także bez winy? Na marginesach starych map umieszczano napis: „Dalej żyją potwory”. Miałem oto wrażenie, że w swojej podróży przez życie dotarłem do skraju mapy. Nie w wyobraźni. W rzeczywistości.

– Rznij ją, kochanie. Nie będę się gniewać.

Brzmienie tych słów, dobiegających z mojej wyobraźni, cisnęło mnie w otchłań orgazmu, zakończonego gwałtownym spazmem. Jego siła jakby zaskoczyła Tobę; jej ciało wygięło się w łuk, gdy dołączyła do mnie. Żyły na jej szyi wezbrały krwią. „Ted!” – zawołała. A potem zwarliśmy się w rozpaczliwym uścisku, jak dwoje ludzi na pokładzie samolotu nurkującego w skalistą przepaść.

Zadzwoniła do mnie Connie z wiadomością, że Solly wyjechał w interesach do Hongkongu. Nie będzie go przez tydzień.

– Przyjdź do mnie, proszę.

– To nie byłoby rozsądne – odparłem. Sam nie wierzyłem, że takie słowa powstały w moim umyśle i mogły paść z moich ust.

– Ted, na miłość boską, czyż nie zaszliśmy zbyt daleko, żeby mówić takie głupstwa?

Wcale nie chciałem zachodzić zbyt daleko. Ale nagle poczułem, że jeśli się nie zgodzę, będzie to tylko odwlekanie tego, co nieuniknione. Wcześniej czy później będę musiał stawić temu czoło. Inaczej potwory pożą mnie żywcem.

O wpół do szóstej zajechałem przed bramę posiadłości Zide'ów. Wcześniej byłem tu tylko raz. Trafiłem akurat na zmianę wartowników przy bramie. Starszy z dwójki mężczyzn w szarym uniformie – na mosiężnej plakietce na piersi widniało nazwisko Terence O'Rourke – wychylił się ze stróżówki. Odgadłem w nim byłego policjanta; tylko gliniarze potrafią patrzeć na człowieka takim wzrokiem, jakby znali każde jego potknięcie z przeszłości i lepiej od niego samego wiedzieli, do jakich świństw zdolny jest w przyszłości.

Strażnik podniósł wzrok znad notatnika i rzekł:

– Czy mógłbym zobaczyć pańskie prawo jazdy?

Moja wina. Gdybym nie był taki głupi, zadzwoniłbym do Connie i powiedział: „Nie chcę, żeby wartownik znał moje nazwisko. Zawiadam go po prostu, że przyjedzie facet w szarej hondzie rocznik 75”. Dokładnie tak postąpiłem przy okazji poprzedniej wizyty w tym domu.

Wyjąłem prawo jazdy, osłaniając przy tym umocowaną do portfela odznakę zastępcy prokuratora stanowego.

– Dziękuję, panie Jaffe.

Sterowana elektronicznie brama jęła się rozsuwać.

Zaparkowałem przed wejściem, w sąsiedztwie pary kamiennych lwów przy schodach. Szczeniaki lhasa apso bawiły się na zwirowanym podjeździe. Obok żywopłotu z krzewów hibiskusa czekała na mnie Connie, cała ubrana na biało. Chodniczką pod markizami zaprowadziła mnie na brzeg basenu; szczeniaki pobiegły za nami.

– Wskakujmy do wody i pokochajmy się – powiedziała i przeciągnęła dłonią wzdłuż mojego rozporoka.

– Connie... – ruchem głowy wskazałem rosnącego czarnego robotnika, na pół skrytego za kępą drzew bananowych. Zmierzał w kierunku trawnika pchając przed sobą taczkę.

- To moi ludzie. Płacę im – powiedziała Connie.
- I dlatego nie będą plotkować?
- Ted, za bardzo się przejmujesz.
- Tak, ostatnio coraz bardziej.

Było coś złowieszczonego w tonie mego głosu, co sprawiło, że umilkła. Niewierność to brutalny sport.

Zaczęliśmy spacerować wokół basenu.

Pustka w sercu, ściągnięty żołądek, gorycz słów, które zdawały się palić mnie w usta, kiedy je wypowiadałem – tylko to zapamiętałem z tej rozmowy. Powiedziałem Connie, że między nami wszystko skończone. Nie byłem w stanie dłużej udawać beztroskiego kochanka. Bałem się o swoje małżeństwo. Powiedziałem, że zawsze będą ją wspominał z czułością, jako kobietę, która ofiarowała mi coś niezwykle cennego. Przypuszczam, że mówiłem to samo, co w takich sytuacjach od wieków mówili mężczyźni na całym świecie; także i wiele kobiet. Prawda nigdy nie jest zabawna. Mój własny głos docierał do mnie jakby z zewnątrz, skądś z oddali.

Connie nawet w tym białym stroju wyglądała na nieco bladą.

- Jest inne wyjście – powiedziała. – Możesz odejść od swojej żony.
- Próbowałem ci powiedzieć, że tego nigdy nie brałem pod uwagę.
- Zawsze mówiłeś, że twoja żona jest kobietą wrażliwą...
- Tak mi się zdaje.
- ...i oczywiście twojej żonie zależy na tym, abys był szczęśliwy.
- Bez wątpienia.
- Jeśli więc ktoś inny pojawił się w twoim życiu, dlaczego twoja żona chce cię zatrzymać tylko dla siebie? Czy to nie podłość ze strony twojej żony?

Powtarzane ponad potrzebę słowa „twoja żona” były strzałami wyrzucanymi w moim kierunku. Niech czuje! Może rozdrażniony zechce bronić swego terytorium, walczyć, zamiast po prostu odejść.

To brutalny sport.

– Connie to, co w tej chwili robisz, jest podłe. Skończmy już.

Popołudniowe słońce znaczyło powierzchnię basenu smugami cienia padającego od drzew. W szerokim słomkowym kapeluszu i jasnej powiewnej sukience odsłaniającej szyję Connie wyglądała jak rozgniewana księżniczka. Obok niej ja – w wymiętym garniturze, zmęczony całodzienną pracą, przesiadywaniem od ósmej rano w zatłoczonych salach sądowych.

– Muszę już iść – powiedziałem.

– Czeka na ciebie twoja żona?

Do tej chwili widziałem w Connie piękną, choć niemłodą kobietę, zaangażowaną w interesujący romans; nie pierwszy zresztą. Siebie widziałem jako jej niewolnika „wziętego w jasyr”. I nagle, niemal z minuty na minutę, krępujące mnie więzy opadły. Nasze role się odwróciły.

Nie mogłem jej tego powiedzieć. Chciała słuchać słów miłości i bezdennej tęsknoty. Ja jednak nie doznawałem takich uczuć. Czułem smutek – lecz zabarwiony poczuciem wyzwolenia. Miałem wrażenie, że mógłbym wznieść się w powietrze. Potem może spadnę. Ale przeżyję.

– Żegnaj, Connie.

Przywarła do mnie, objęła kurczowo; z jej gardła wyrwał się niewyraźny, chrapliwy dźwięk. Nagle odsunęła się, odwróciła, i głową naprzód runęła do basenu.

Jakby biały spadochron opadł na wzburzoną powierzchnię wody; w chmurze pęcherzyków powietrza powoli zaczął tonąć, a razem z nim pograżało się ciało przywiązanej doń kobiety.

Nie ulegało wątpliwości, że czas podjąć akcję ratunkową. Skoczyłem; podeszwy butów bezgłośnie uderzały o dno basenu. Stałem w sięgającej mi do piersi, zalatującej chlorem wodzie, szczeniaki na skraju basenu powar kiwały z podniecenia.

Raz jeszcze Connie została uratowana przez swojego bohatera – przemoczoną, prychającą jak na wpół utopiony kot, ale żywą wytaszczyłem na brzeg basenu. Z domu wyszła ciemnoskóra latynoska służąca, wzrostu na oko stu czterdziestu centymetrów, i zbliżyła się do nas, uśmiechając się ostrożnie. Wyraz jej twarzy mówił: „Nasza Señora to dopiero lubi kawały”.

Wyjaśniłem, że pani Zide zemdląła i wpadła do wody. Służąca nie wy-

glądała na przekonaną, ale zachowała spokój.

- Jak ci na imię? – zapytałem.
- Martina.

Później, w czasie śledztwa po śmierci Solly'ego dowiedziałem się, że pochodziła z miasta Leon w środkowym Meksyku.

Zanieśliśmy Connie do salonu i ułożyli na olbrzymiej sofie stojącej obok marmurowego stołu do trik-traka. Biały berberyjski dywan i sofa w jednej chwili przesiąkły wodą.

Connie otworzyła oczy.

- Nic mi nie jest – powiedziała spokojnie.

Martina zapytała, czy powinna wezwać lekarza.

– Nie. Zaprowadź panią Zide do sypialni. Przynieś jej ręcznik i suche ubranie. Czy oprócz ciebie jest ktoś w domu?

- Zadzwońię po ochroniarza – powiedziała Martina.

– Tak. Dobry pomysł. Do widzenia, Connie.

Zakaszła i wypluła nieco wody na dywan. Odwróciłem się i odszedłem. Z tego pokoju i z jej życia.

Kiedy dwadzieścia minut później wkroczyłem do domu, Toba wytrzeszczyła na mnie oczy i spytała:

- Co ci się, u licha, stało?
- Jeśli ci powiem, i tak nie uwierzysz.
- Spróbuj. Nigdy nie wiadomo.

– Musiałem pojechać do domu mojego świadka w sprawie o wymuszenie. Pewna kobieta wpadła do basenu. Wskoczyłem za nią i wyłowilem ją.

– Takie rzeczy się zdarzają – oświadczyła Toba. – Dlaczego miałabym w to nie uwierzyć? Każdy mężczyzna, który zjada całe banany, zdolny jest wskoczyć do basenu, żeby uratować kobietę.

Jeszcze podczas studiów na Uniwersytecie Floryda, w początkach romansu, który miał się zakończyć naszym małżeństwem, odkryłem, że Toba ma dziwny zwyczaj jedzenia owoców po kawałku – prawie nigdy w całości. W jej lodówce często znajdowałem pół jabłka albo gruszkę z odkrojonym

plasterkiem. Kiedy jej o tym wspominałem, robiła obrażoną minę. Wreszcie pewnego wieczora, podczas wizyty w moim kawalerskim mieszkaniu, powiedziała:

– Czy mogę zjeść jedną trzecią któregoś z tych bananów?

Zdumiony uniosłem w górę oczy i spojrzałem na nią jak na wariatkę.

– Przestań! – zawołała. – Czy ja się z ciebie śmieję, kiedy zjadasz całego?

Wtedy zrozumiałem, że ją kocham, i że mógłbym przeżyć z nią życie. Była nie tylko ładna, miła i pełna wdzięku; potrafiła mnie, gorliwego młodego prawnika, jakim wtedy byłem, ująć subtelnym zrozumieniem istoty sprawiedliwości, zrównoważeniem i pogodą ducha.

I oto dziesięć lat później, w kuchni naszego domu, tuląc ją do mokrej piersi, wolny od czaru, jakim Connie Zide usidliła moje serce, przysięgłem sobie w duszy, że będę dla niej tak dobry, jak tylko potrafię.

Następnego dnia zadzwoniłem do Connie i spytałem, jak się czuje. Podziękowała mi za wyciągnięcie jej z basenu.

– Musiałam za długo przebywać na słońcu.

Zapadło niezręczne milczenie.

– A więc, jeszcze raz: do widzenia – powiedziałem.

– Tak. Do widzenia.

Nie mogłem uwierzyć, że to takie proste.

Tydzień później zadzwonił do mnie Solly Zide. Byłem akurat w sądzie, toteż zostawił wiadomość mojej sekretarce. Telefonując do niego po południu, spodziewałem się najgorszego.

– Miałem zamiar zaprosić pana na lunch i osobiście z panem porozmawiać – rzekł Zide – ale przez najbliższe dwa tygodnie nie będę miał czasu. Zresztą to nie ze mną ma pan rozmawiać.

Opowiedział mi o wolnej posadzie w firmie Royal, Kelly, Green, Wellmet z Sarasota.

– Na pańskim miejscu – zakończył beznamiętnym tonem – skorzystałbym z tej okazji. Nic lepszego pana nie czeka.

Czy to była groźba? Czy chciał mi powiedzieć, że czeka mnie coś gor-

szego? Na przykład wypędzenie z Jacksonville? Nigdy go o to nie spytałem. Zresztą nie miałem ku temu okazji. Moje następne spotkanie z Sollym Zide'em odbyło się dwa miesiące później, podczas wieczoru muzycznego w jego domu. Gospodarza przez cały czas otaczał tłum gości. Zamieniłem z nim raptem parę słów, kiedy mijaliśmy się koło basenu, prawie dokładnie w tym miejscu, gdzie Connie wpadła do wody. Zide, elegancki w białej wieczorowej marynarce, był bardzo oficjalny, ale nie zauważyłem w jego zachowaniu wrogości. Doszedłem do wniosku, że ma jakieś kłopoty. Jakie? – tego oczywiście nie wiedziałem, choć przeznaczone mi było kiedyś się dowiedzieć.

Siedem godzin później Solly Zide nie żył.

19

Beldon poczłapał w kąt gabinetu i do jedyne go pustego kosza na śmieci cisnął pęk zwiędłych czerwonych róż. Potem odwrócił się do mnie i rzekł:

– Masz kurewski tupet, Jaffe.

Nigdy dotąd nie zwracał się do mnie po nazwisku. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Na ścianie, obok jego dyplomów i listów pochwalnych za odwagę, pochodzących z okresu służby w policji, widniała tablica z wypisaną na niej dewizą Departamentu Sprawiedliwości. Głosiła ona, że władza osiąga cel, ilekroć sprawiedliwości stanie się zadość.

– Jeśli w to wierzysz, nie będziesz się przeciwstawiał mojej decyzji bronięcia Darryla Morgana – powiedziałem, ruchem głowy wskazując sentencję na ścianie.

– Nie możesz bronić kogoś, kogo wcześniej oskarżałeś! – warknął Beldon. – Wiesz o tym!

– Nie, nie wiem. W sensie formalnym stan Floryda jest osobą prawną. Nie może rościć sobie pretensji do żadnego uprzywilejowania.

– Policja nie miała przed tobą żadnych tajemnic. Podobnie jak świadkowie oskarżenia; rozmawiali z tobą bez zachowania elementarnej ostrożności. Do cholery, nie możesz tak zmieniać stron!

– Elroy nie powiedział mi wtedy, że kłamie. Dowiedziałem się o tym po dwunastu latach.

– Teraz jest twoim klientem, czyż nie?

BRAK 2 STRON

Odprawdzając mnie do drzwi Beldon położył dłoń na moim ramieniu. Zdawało mi się, że wyczuwam jej drżenie.

– Nie mówisz mi wszystkiego – powiedział.

– O czym? – Nie mogło mu chodzić o moje sztuczki z Elroyem; niby skąd miało mu to przyjść do głowy?

– Przecież nie o swoim prywatnym życiu, głąbie. Mam na myśli tę sprawę. Tu się dzieje coś innego. Bo inaczej dlaczego tak by ci zależało na Morganie?

Nie odpowiedziałem.

– Nie chodzi o dowody – ciągnął Beldon. – Chyba byś mi powiedział, gdybyś miał nowe dowody, prawda?

– Nie, nie mam dowodów.

– Ale coś więcej niż tylko podejrzenia?

– Ciut więcej.

– Kazesz mi zgadywać, jak jakiemuś głupkowi?

– Muszę, Beldon. W tej sprawie nie jesteśmy partnerami. – Bardziej dyplomatycznie nie umiałem tego sformułować.

Uśmiechnąłem się sztywno i chciałem wyjść, ale nadal trzymał dłoń na moim ramieniu. Jakby chciał mi coś przekazać. Zatrzymałem się w pół kroku.

– Ja też wiem to i owo... – rzucił i zawahał się.

– Na temat tej sprawy? – spytałem ostrożnie.

– Nie myśl, że się usprawiedliwiam. Aż tak bym się z tobą nie cackał.

W to akurat nie wątpię.

– Po prostu mam powody sądzić, że nie powinieneś angażować się w tę sprawę, nawet w jej wstępnym stadium. Potraktuj moje słowa jak głos rozsądku: rób, co uważasz za konieczne, ale nie posuwaj się zbyt daleko.

– Co konkretnie wiesz?

W spojrzeniu Beldona wyczuwałem ukrytą groźbę. A może ostrzeżenie?

– Domyśl się.

Wiedział o Connie. To musiało być to.

– Zastanów się – powiedział. – Nie bądź uparty. Po co się narażać? – Zdjął dłoń z mojego ramienia. Dopiero wtedy odczułem, jak bardzo mi tam

ciężyla.

Beldon powiedział: „...jeśli Horace zgodzi się wznowić postępowanie karne”. Sędzia Bill Eglin odszedł z pracy w sądownictwie; zajął się polityką i w chwili obecnej piastował godność senatora stanowego swoim światłym umysłem przyczyniając się do rozstrzygnięcia wielu najwyższej wagi problemów etycznych i prawnych. Dlatego Horace Fleming odziedziczył wszystkie jego sprawy. W stanie Floryda sędziowie osiągnęli wiek emerytalny w siedemdziesiątym roku życia. Horace Fleming był jedynym znanym mi sędzią, który skutecznie przeciwstawiał się tym przepisom.

Zapytałem Kenny'ego Buckrama, czy – z punktu widzenia moich interesów – obecność Fleminga za stołem sędziowskim jest korzystna czy też nie.

– Pięć lat temu – odparł Kenny – może nawet trzy czy dwa, odpowiedziałbym „tak”. Ale teraz Horace jest już bardzo stary. Ma kłopoty z pamięcią, myli się. Rozprawa pod jego przewodnictwem to loteria. Jedno trzeba mu przyznać: nie daje się człowiekowi nudzić.

Odbyłem czterogodzinną podróż do Tallahassee, by porozmawiać z ludźmi z CCR. Byli uszczęśliwieni, że biorę tę sprawę; zawsze polowali na bezinteresownych ochotników. Wieczór spędziłem nad papierami w hotelu „Ramada Inn”, a rano wyruszyłem w drogę powrotną do Jacksonville.

Kenny umożliwił mi korzystanie z zaplecza biura pomocy prawnej, łącznie z dostępem do ich biblioteki prawniczej, archiwum prasowego i skomputeryzowanego zbioru akt sądowych.

– Potrzebne mi będzie biurko i telefon.

– Dołożymy ci nawet krzesło i zatemperowany ołówek. Możesz korzystać z naszej kserokopiarki. Normalnie wszyscy płacą piętnaście centów za stronę. Bogaci prawnicy, jak ty, dolara.

Wieczorem zaprosiłem Muriel Suarez na kolację do mojej ulubionej restauracji na plaży, której specjalnością były owoce morza.

– Jestem wykończona – oznajmiła Muriel opadając na krzesło – więc bądź tak dobry i zamów dla mnie coś dobrego. Jem wszystko, co pływa, z wyjątkiem meduz. Ale najpierw poproszę wódkę Gibson ze skórką cytry-

nową, bez wody – to mnie postawi na nogi.

Kiedy przyniesiono drinki, zamówiłem świeże małże i lucjana pieczonego na węglu drzewnym.

– Co robisz, poza wsadzaniem przestępców za kratki? – zapytałem. – Czy w twoim życiu jest jakiś mężczyzna? Jesteś zbyt atrakcyjną i inteligentną kobietą, żeby nie przyciągać mężczyzn. Nie myśl, że cię podrywam. Przemawia przeze mnie ciekawość osoby zainteresowanej.

– Nie myślę, że mnie podrywasz – odrzekła Muriel. – A co do mężczyzny w moim życiu, to nie, ni cholery. Ani zresztą kobiety. Skąd wziąć na to czas?

Stworzyłem jej okazję, a ona z niej skorzystała. Odpowiedziała jednak w taki sposób, bym mógł albo posunąć się dalej, albo wycofać. Mój wybór. Wyjaśniło się przy okazji, skąd wziął się ten zagadkowy ton w jej głosie, kiedy rozmawialiśmy o Carmen Tanagra.

Uniosła kieliszek w moją stronę.

– A co u ciebie, panie Wielki Cywilisto z Sarasota?

Opowiedziałem jej o swojej umowie z Beldonem. Następnie rozmowa zeszała na sprawy rodzinne. Szybko zdałem sobie sprawę, że ten temat pogłębi moją depresję. Opuściłem dom w najgorszym momencie. Powinienem tam teraz być, choćby ze względu na Alana; nie mówiąc już o grzęznącej w pijaństwie Tobie.

– Chłopak dorasta – powiedziała Muriel. – Musi sam rozwiązać swoje problemy.

– Zaczekaj, aż sama będziesz miała dzieci.

Przypomniałem sobie, jak często słyszałem te słowa z ust matki, i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Mam młodszego brata, Davida. David jest narkomanem. W swoim czasie nie żałował sobie kokainy.

– I co się z nim stało?

– Ojciec, zanim umarł, namówił Davida na podjęcie kuracji odwykowej. Początkowo nie chcieli go przyjąć. Powiedzieli, że nie można nikogo namawiać do zerwania z nałogiem. Musisz sam zrozumieć, że jesteś ćpuniem, znaleźć się na dnie i błagać o pomoc. W końcu go jednak przyjęli.

– I?

– Był tam przez siedemnaście miesięcy. W ośrodku dla narkomanów w stanie Nowy Jork, w górach Catskill. Opowiadał nam, że przypominało to więzienie, a znał się na tym, bo w więzieniu też siedział. Kiedyś udało mu się do mnie zadzwonić. „Muriel, powiedział, jeśli tu zostanę, umrę”. Był wtedy w ośrodku od pięciu miesięcy. „Nie umrzesz”. To wszystko, co mu odpowiedziałam, ale możesz mi wierzyć, że niewiele spałam tamtej nocy. A jednak, kiedy rok później wrócił do domu, był wyleczony.

– Przestał być narkomanem?

– Narkomanem zostaje się na całe życie. Nie, nastawienie Davida jest takie: „Spędziłem siedemnaście kurewskich miesięcy w zapomnianej od Boga lodowej dziurze na końcu świata i jeśli teraz znów zacznę brać, cały ten czas okaże się zmarnowany. A na to nie mogę się zgodzić”. To uparty chłopak.

– Co teraz robi?

– Jest ekspedytorem w firmie taksówkowej w West Palm Beach. W takim ośrodku nie robią z ciebie prawnika czy lekarza. Po prostu uczą sztuki przeżycia.

Po kolacji odprowadziłem Muriel do domu. Nie miałem wobec niej żadnych konkretnych planów i przypuszczam, że moja osoba była jej równie obojętna. Od tego chłodnego pocałunku w drzwiach jej domu nic się między nami nie działo, i prawdę mówiąc, nawet sobie nie wyobrażałem, że mogłoby do czegoś dojść. Niemniej kobiety mają swoje sposoby sygnalizowania swoich oczekiwań – spojrzeniem, pochyleniem ramion...

W drzwiach wzięła mnie za rękę i wciągnęła do środka. Zaczęliśmy się całować. Smakowała solą, węglem drzewnym i lucjanem.

– Myślałem, że wolisz kobiety?

– W zasadzie tak – mruknęła. – Ale nie, żeby nie lubiła mężczyzn. Z wyjątkiem facetów takich jak Jaime Ortiz, który zmuszał mnie, żebym trzepała mu konia na przednim siedzeniu jego mustanga, kiedy byliśmy w szkole średniej.

– Sam nie wiem – powiedziałem szczerze. – Wcale nie mam ochoty cię nawracać.

- Na to raczej nie licz – przyznała.
- Jeśli ma to być coś w rodzaju wyzwania, lepiej zostańmy przyjaciółmi.

Okazało się, że to takie proste. Wypiliśmy po szklaneczce i poszedłem do domu. I nawet nie przypuszczałem, ile będę zawdzięczał takiemu finałowi tego wieczoru.

The Zide Building wznosił się na przedmieściu Jacksonville, przy Regency Plaza Mall.

Dawnym imperium Solly'ego zarządzał obecnie Neil Zide; on też był jego głównym udziałowcem. Prowadzenie rozległych interesów Zide Industries przekazał bardziej od siebie kompetentnym specjalistom z dyplomami najlepszych uczelni. Ale ZiDevco należało wyłącznie do niego. Wkrótce po śmierci ojca udało mu się dokonać kilku udanych inwestycji, w wyniku których ZiDevco stało się właścicielem nadmorskich terenów w siedmiu hrabstwach. W tym samym czasie uzyskał od władz stanowych pozwolenie na kupno części dna zatoki. Neil Zide z bogatego stał się bardzo bogaty. Zapuścił włosy do ramion, golił się, kiedy miał na to ochotę, do pracy przychodził w dżinsach i jedwabnych włoskich koszulach o szerokich rękawach a la d'Artagnan. Do tego wkładał stare koszykarskie adidas, których obowiązkowo rozwiązane sznurowadła wlokły się za nim po parkietach jego biura. W sumie wyglądał jak młody hollywoodzki producent. Miał trzydzieści trzy lata i już nie musiał mieszkać w bocznym skrzydle domu matki. W Ponta Verde wystawił sobie własny biały pałac w stylu mauretańskim, kupił mieszkanie na Ile de la Cité w Paryżu, apartament służbowy przy Central Park South na Manhattanie i dom weekendowy w Aspen.

Fotografie tych wszystkich miejsc opatrzone podpisem Neila zdobiły czarne ściany jego gabinetu.

- Jeździsz na nartach? – zapytał mnie.
- Jeździłem. Teraz nie mam czasu.
- Wszyscy uciekają się do tej wymówki. Mam dwa domki gościnne w Aspen. Oczywiście jesteś zaproszony. Wspaniałe trasy, świetne przyjęcia i

jeszcze lepsze powietrze. Ostatnio założyli tam kolejkę linową, tak że na szczyt Ajax jedzie się piętnaście minut.

– Nie ma to jak postęp. Jak miewa się twoja matka?

– Doskonale. Dziękuję za pamięć. Cieszę się, że nie musimy unikać tego tematu.

Oparłem się wygodnie o fotel i postanowiłem, że tak właśnie zrobię: będę unikał rozmowy na temat Connie. Neil nie był odpowiednim do niej partnerem; zresztą kto nim był?

Za to na pewno nie brakowało mu bystrości. Bez trudu zrozumiał wymowę mojego milczenia. Spojrzał na zegarek, dając mnie z kolei do zrozumienia, że jego czas jest cenny i że nie ma go zbyt wiele. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie ponad szklanym blatem biurka. Przez ostatnie dwanaście lat w jego oczach nie przybyło ciepła.

– Jak się domyślam, przybywasz do mnie jako adwokat. Co mogę dla ciebie zrobić?

Przez nie domknięte drzwi za jego plecami widziałem łóżko pokryte złotą narzutą, spod której wystawała pościel koloru złota; wezgielnie łóżka było też oczywiście złote.

– Reprezentuję Darryla Morgana – powiedziałem. – Będę próbował wywalczyć dla niego ponowienie procesu.

– Czy ja się aby nie przesłyszałem?

– Nie sądzę.

Przyglądał mi się w milczeniu. Był inteligentnym człowiekiem, niezależnie od wszystkich swoich pów. Wiedział, kiedy się zamknąć.

Wypaliłem więc z grubej rury:

– Chciałbym ci zadać kilka pytań dotyczących Floyda Nickersona i Victora Gambrela.

Neil odetchnął głęboko. Powoli: wdech, wydech. Jego niebieskie oczy nie zmieniły jednak wyrazu. Nic nie powiedział. Obaj czekaliśmy nie wiadomo na co.

Na koniec, kiedy to milczenie stało się krępujące, rzucił:

– Słucham. Mów dalej.

– Spróbuję odświeżyć twoją pamięć. Nickerson był policjantem z

Wydziału Zabójstw. Prowadził śledztwo w sprawie śmierci twojego ojca.

– Pamiętam.

– Natomiast Victor Gambrel był mniej więcej do roku osiemdziesiątego piątego szefem ochrony Zide Industries w Jacksonville. Zgadza się?

– Jak najbardziej.

– Darryl Morgan przyznał się Nickersonowi do popełnienia morderstwa. Przypominasz to sobie?

– Tak.

– Nickerson wytrzasnął także faceta, który siedział z Morganem w jednej celi i podsłuchiwał rozmowę telefoniczną, zawierającą powtórne przyznanie się do winy.

– To także pamiętam – oświadczył Neil. Potrząsnął głową, jakby uwalniając ją z pajęczej sieci; długie brązowe loki zafalowały i wróciły na swoje miejsce.

– Jerry Lee Elroy.

– Co proszę?

– Tak nazywał się ten facet, który dzielił celę z Morganem.

– Jeśli tak twierdzisz...

– To nie przesłuchanie, Neil – powiedziałem. A pomyślałem: A co, jeśli nie przesłuchanie?

– Nadal nie powiedziałeś mi, co mogę dla ciebie zrobić.

– Możesz zaspokoić moją ciekawość odnośnie do kilku faktów, powiedz mi, co stało się z Floydem Nickersonem. Jeśli wiesz.

– Nie za bardzo. – Neil podrapał się po nosie, potem po nie ogolonym podbródku. Zamrugał kilkakrotnie.

– Nie chodzi mi o to, że nie wiem, gdzie on przebywa – powiedziałem swobodnym tonem. – Jest w Gainesville, pracuje w Orange Meadow Estates. Interesuje mnie, jak tam trafił.

Neil wzruszył ramionami...

– W Orange Meadow Nickerson jest szefem ochrony – dodałem.

– Tak?

– A przedsiębiorstwo to podlega ZiDevco.

– Faktycznie.

- Nie pamiętasz, w jaki sposób Nickerson dostał tę robotę?
 - Musiałbym poprosić kogoś o sprawdzenie w dziale zatrudnienia. Jeśli ci na tym zależy...
 - Ty go nie zatrudniałeś?
 - Ted – uśmiechnął się – to było dawno temu. Jak mam pamiętać o czymś takim – dorzucił z miną człowieka światowego. – O tylu rzeczach się zapomina... W końcu po co zaśmiecać sobie głowę drobiazgami?
 - A czy nie jest możliwe, że to twoja matka dała mu tę pracę? Albo zarekomendowała go komuś?
 - Oczywiście, że nie. Con nigdy nie miała nic wspólnego z interesami firmy; nie miała i nie ma.
 - W takim razie może istotnie obejrzałbym akta osobowe Nickersona z działu zatrudnienia. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zlecił przesłanie ich kopii do biura pomocy prawnej na ręce Kelly'ego Buckrama.
 - Postaram się. – Neil zanotował coś w terminarzu. – Oczywiście, jeżeli te akta jeszcze istnieją. Minęło dziewięć lat. Nie wiem, czy tego rodzaju dokumenty przechowujemy tak długo.
 - A teraz Gambrel. Co o nim pamiętasz?
 - Victor... tak, oczywiście, że go pamiętam. Co za tragiczny koniec.
 - W lipcu osiemdziesiątego piątego został zastrzelony w swoim samochodzie na parkingu przed Regency Square Mall. Istotnie, tragiczny koniec; bez wątplenia.
 - Prawdziwa zagadka kryminalna – zauważył Neil. – Może kiedyś usłyszymy o niej w tym programie telewizyjnym... jak on się nazywa?
- Pytania bez odpowiedzi.*
- Może – odrzekłem. – Ostatnio słyszałem, ale niech to zostanie między nami, że za tą sprawą kryją się ludzie Bongiorno. Chociaż nie bardzo wiem, co mafia mogła chcieć od Gambrela. To bez sensu. Nie uważasz?
- Neil zrobił taką minę, jakby się zastanawiał.
- Czy sugerujesz, że śledztwo w sprawie śmierci Gambrela nie zostało zamknięte?
 - Niczego nie sugeruję. Nie znałem faceta. Natomiast ty – tak. Znałeś go dobrze.

– Tego bym nie powiedział.

– Tej nocy, kiedy Darryl Morgan włamał się do waszego domu i przyłapany na gorącym uczynku zastrzelił twojego ojca, zadzwoniłeś na policję i zaraz potem do Gambrela. Tak mi powiedziałeś i to samo zeznałeś w sądzie, czyż nie tak?

Neil chrząknął i przełknął ślinę.

– Prawdę mówiąc, Ted, ja po prostu nie pamiętam, co zeznałem w sądzie na temat Victora Gambrela. To był dla mnie niezwykle trudny okres... nie żebym rozpaczał po śmierci ojca, ale niepokoił mnie stan matki. Prócz mnie nie miała wówczas nikogo, na kim mogłaby się wesprzeć. A tej koszmarnej nocy zadzwoniłem do Victora, bo był szefem ochrony firmy ojca i uznałem, że powinienem go zawiadomić.

– Czy masz jakąś teorię odnośnie do przyczyn jego śmierci?

– Słyszałem, że poszło o... długi karciane. Wysokie sumy, które winien był nieodpowiednim ludziom.

– Takim jak Bongiorno?

– Niewykluczone. Czy teraz ja mogę cię o coś zapytać?

– Nie krępuj się, Neil.

– Dlaczego znów angażujesz się w tę sprawę, i to po przeciwnej stronie?

Dlaczego zająłeś się obroną Morgana?

– Wszyscy mnie o to pytają – odparłem, ze smutkiem kręcąc głową – moja żona, wspólnicy, prokurator stanowy... a ja chyba nie jestem w stanie udzielić im zadowalającej odpowiedzi. Nigdy nie byłem zachwycony tym, co zrobił sędzia Eglin – to jeden powód. Przypuszczam, że chodzi o to, iż Darrylowi Morganowi nie zagwarantowano uczciwego procesu i, moim zdaniem, on nie zasłużył na śmierć, powiedziałem się czegoś, co jakby pasuje do przyjętej przeze mnie linii rozumowania. Nie jest to nic wstrząsającego, ale ma pewne znaczenie.

– Co to takiego?

– Tajemnica zawodowa – odparłem z westchnieniem. – Informacja pochodzi od mojego klienta. Przykro mi.

Przez dobrą chwilę Neil wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem.

– Czy to wszystko?

– Tak... dzięki, Neil. Pozdrowienia dla Connie. Jestem ci wdzięczny, że zechciałeś poświęcić mi tyle czasu.

Podaliśmy sobie ręce. Już w drzwiach, przystanąłem i odwróciłem się. Poprzedniego dnia obejrzałem fragment *Colombo* z Peterem Falkiem.

– A przy okazji... Chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie. Mogę? Nie pogniewasz się?

– Nie. Słucham – odrzekł Neil.

– Zapytałem cię, w jaki sposób Nickerson dostał pracę w Orange Meadow, a ty stwierdziłeś, że nie masz pojęcia. Zgadza się?

– Owszem.

– Ty go nie zatrudniłeś.

– Istotnie.

– Bo i niby dlaczego.

– Właśnie.

– A kilka minut temu, kiedy poprosiłem o akta osobowe Nickersona, powiedziałeś, że bardzo chętnie, ale nie jesteś pewien, czy dział zatrudnienia przechował je przez dziewięć lat. Powiedziałeś tak, prawda?

– Jak najbardziej.

– No tak... Tylko, widzisz, nie przypominam sobie, abym ci powiedział, że Floyd Nickerson zrezygnował z pracy w policji i przeszedł do ZiDevco akurat dziewięć lat temu. Skąd więc o tym wiedziałeś?

Neil przyglądał mi się spokojnym, chłodnym wzrokiem. Nie miałem jednak wątpliwości, że jest wytracony z równowagi. Nie da się kontrolować wszystkich funkcji ciała, a ciało nigdy nie kłamie.

– Zgadywałem – oświadczył.

– Po prostu wybrałeś pierwszą lepszą liczbę, jak na loterii. Tak?

– Tak.

– I trafiłeś w dziesiątkę. Jestem pełen uznania. Jeszcze jedno pytanie. Można?

– Jeśli musisz.

Otworzyłem usta... i zamknąłem je.

– Coś takiego! Zapomniałem, co chciałem powiedzieć. Po prostu wyleciało mi z głowy. Tobie się to nie zdarza?

- Czasami – mruknął Neil.
- Jak sobie przypomnę – powiedziałem – dam ci znać.

Ponownie odwiedziłem znajomego sędziego i poprosiłem o wystawienie nakazu sądowego. Następnie kupiłem dwie talie kart i włożyłem je do teczki. Rano wyruszyłem do Raiford. Po przedstawieniu mojego nakazu Raymondowi Wrightowi musiałem dwie i pół godziny czekać na ławeczce w korytarzu, nim pod eskortą odprowadzono mnie do celi śmierci. Darryl miał dziś na sobie koszulkę z podobizną myszki Miki i džinsy. Był skuty i przypięty do ściany, a na korytarzu znów siedzieli dwaj strażnicy.

– Zamierzam złożyć wnioski o wznowienie postępowania karnego na twoją korzyść – powiedziałem. – Może odbędzie się przesłuchanie świadków. Czy będziesz ze mną współpracował?

- Gdzie byłoby to przesłuchanie?
- W Jacksonville. Przed innym sędzią niż poprzednio.
- Miałbym jechać do Jacksonville?
- Musiałbyś.
- Co bym tam robił?

– Siedział cicho, uważał, co się dzieje, i nie próbował nikogo udusić. Gdyby to trwało dłużej niż jeden dzień, przenocowałbyś w więzieniu hrabstwa Duval.

- Mówisz: może odbędzie się przesłuchanie. Nie – że się odbędzie.
- To prawda. Niczego nie obiecuję.
- A obiecuj sobie; i tak ci nie uwierzę. Co chcesz, żebyśmy zrobili?
- Przede wszystkim potrzebna mi twoja zgoda na reprezentowanie cię w sądzie. To znaczy, że byłbym twoim obrońcą, twoim adwokatem.
- Różne dziwne rzeczy spotkały mnie w życiu – oświadczył Darryl. – Ale to już jest szczyt wszystkiego.

Odchodząc wręczyłem mu dwie talie kart.

Tuż po piątej, minąwszy skrytą w cieniu wieży strażniczej bramę główną, wkroczyłem na wysypyany żwirem plac przed więzieniem.

Czekali tam na mnie dwaj mężczyźni. Zwróciłem uwagę na ich lśniące w

blasku słońca buty. Mieli na sobie szaroniebieskie mundury zastępców szeryfa hrabstwa Bradford.

– Pan Edward M. Jaffe?

– Tak się nazywam.

– Mamy nakaz aresztowania pana pod zarzutem poważnego naruszenia nietykalności cielesnej.

– Co takiego?! – nie wierzyłem własnym uszom, chociaż formułka aresztowania wypowiedziana została dostatecznie wyraźnie. – Panowie – uśmiechnąłem się ze sztuczną nonszalancją – jestem adwokatem, przyjechałem tu na spotkanie z klientem. Mieszkam w Sarasota. Jestem też byłym pierwszym zastępcą prokuratora stanowego w Jacksonville. Chętnie przedstawię wszelkie posiadane przeze mnie zaświadczenia tożsamości i podam kilka numerów telefonów, pod którymi możecie zasięgnąć informacji na mój temat.

Odczytali mi moje prawa i kazali założyć ręce na plecy; chcieli mnie zakuć w kajdanki.

Stwierdzenie, iż nie wierzyłem, że to wszystko dzieje się naprawdę, tylko w przybliżeniu oddaje mój ówczesny stan ducha. Znałem tę procedurę aż nadto dobrze – setki razy uczestniczyłem w aresztowaniach. Nigdy jednak nie występowałem w roli aresztowanego. Niewykłuczone, że przez pewien czas znajdowałem się w stanie szoku.

Jeden z zastępców odebrał mi teczkę. Szczęknięły kajdanki; na przegubach rąk poczułem chłód stali. Chwilę później siedziałem na tylnym fotelu radiowozu, odgradzony od swoich konwojentów drucianą siatką.

Szybko domyśliłem się w czym rzecz. Clive Crocker złożył skargę, że uderzyłem go i złamałem mu nos. Oświadczył przy tym pod przysięgą, że nie sprowokował mnie, i niewątpliwie przedstawił świadków na poparcie swojej skargi, a także protokół obdukcji lekarskiej.

Przypomniałem sobie jednak, iż prawo stanowi, że jeśli poszkodowany nie doznał trwałego uszkodzenia ciała, mamy do czynienia ze zwykłym pobiciem, co jest zaledwie wykroczeniem pierwszego stopnia. Normalnie poproszono by mnie o przybycie do biura szeryfa i przedstawienie własnej wersji wypadków. Niepotrzebne by nawet było formalne przesłuchanie...

– Chodzi o zwykłe pobicie, nie zaś pobicie z uszkodzeniem ciała – jałem wyklądać wiozącym mnie do więzienia policjantom. – Jestem prawnikiem, wiem, co mówię.

– Będziesz się pan tłumaczył sędziemu Burchellowi.

Dojechaliśmy do komisariatu mieszczącego się w budynku administracji hrabstwa przy głównej ulicy Starke. Napis na czerwonej wstędze nad wejściem głosił: GOŚCINNI, WOLNI OD NARKOTYKÓW I DUMNI. Nie przybyliśmy tu jednak na spotkanie z sędzią; po prostu jeden z zastępców chciał zabrać swój termos z kawą. Spod komisariatu pojechaliśmy do więzienia hrabstwa Bradford – piętrowego budynku z czerwonej cegły przy bocznej uliczce.

– Nie mogę wysiąść z samochodu – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Zdrętwiały mi nogi.

– Niech pan spróbuje.

Najważniejsze to zachować spokój. Zapytałem, czy mogę skorzystać z telefonu.

– Najpierw musimy wciągnąć pana na ewidencję – usłyszałem w odpowiedzi.

Czy tak właśnie działa prawo? Nie wydało mi się to sprawiedliwe. Uświadomiłem sobie, że istnieje wiele rzeczy, o których prawnicy nie mają pojęcia.

W ciasnym pokoiku na parterze spisano moje personalia, pobrano odciski palców, sfotografowano. Musiałem oddać pasek od spodni, zegarek, sznurówka, portfel i klucze. Jeden z zastępców szeryfa zaprowadził mnie do pomalowanej na zielono celi na piętrze, z pojedynczym oknem z matową szybą, okratowaną od strony korytarza. Następnie odszedł. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi na dole. Potem warkot odjeżdżającego samochodu.

Pozostałe cele świeciły pustkami. Nie robili tutaj oszałamiających interesów. Wszystko wskazywało na to, że Starke nie jest przestępczą stolicą północnej Florydy.

Wyposażenie mojej celi składało się z pozbawionej deski muszli klozetowej, dwóch piętrowych prycz, gaśnicy i czarnego telefonu wiszącego na

ścianie. Kiedy jednak podniosłem słuchawkę i przyłożyłem ją do ucha, nie usłyszałem sygnału.

– Ten telefon nie działa! – wrzasnąłem.

Nie było jednak nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć.

– Jasny gwint! – darłem się. – Co tu się dzieje?! Jest tam kto?! Czy ktoś tu w ogóle jest?!

Zmierzchało. Potrząsnąłem kratami, w nadziei, że ktoś usłyszy hałas. Okazały się jednak wyjątkowo solidne. Nie wydały najmniejszego dźwięku.

20

O szóstej trzydzięci wieczorem przywieziono jeszcze jednego więźnia. Umieszczono go w mojej celi. Jednocześnie nie znany mi dotąd zastępca szeryfa przyniósł żółtą plastikową tackę zawierającą spaghetti z klopsikami i dwie kromki białego chleba.

– Ten telefon jest zepsuty – oświadczyłem z całym spokojem, na jaki mnie było stać. – Do tej pory nie zadzwoniłem do swojego adwokata. Czy mógłbym to zrobić z innej celi?

– Po piątej telefony nie działają – odparł zastępca.

– Żaden?

– Chce pan colę czy sprite?

– Twierdzi pan, że żaden z tych telefonów nie działa po południu? Nie do wiary! Jak to jest możliwe?

– Panie! Coś pan, dziecko? Powinien pan wiedzieć, że wszystko jest możliwe.

Wiedziałem. Zawsze byłem o tym przekonany. Pytanie o przyczynę takiego stanu rzeczy nie miało najmniejszego sensu.

– Kiedy znów zaczną działać?

– O siódmej rano.

– A o której rozpoczyna pracę sędzia? O której zaczynają się przesłuchania przedprocesowe?

– O dziewiątej, dziesiątej. Zależy.

Nie odważyłem się spytać od czego.

Policjant odszedł, zostawiając mnie w nastroju człowieka, który właśnie

dowiedział się, że jest śmiertelnie chory. Mój towarzysz niedoli – pijany biały mężczyzna około trzydziestki, nie ogolony i z czerwonymi oczyma – zapalił papierosa. Zauważył, że mu się przyglądam.

– Chce pan zapalić? – zapytał.

– Tak. Proszę.

Do godziny jedenastej następnego ranka, kiedy to stanąłem przed sędzią Burchellem, wypaliłem pięć kentów, które dał mi siedzący ze mną pijak, i dwa marlboro light, które wyzebrałem od policjanta z rannej zmiany. Noc spędziłem na materacu grubości pięciu centymetrów, ułożonym na stalowej płycie. Położyłem się w bieliźnie i skarpetkach. Kiedy w środku najczarniejszej nocy zmuszony byłem wstać, żeby się wysuszyć, wdepnąłem w kałużę, pozostawioną obok muszli przez mego podpitego współlokatora. Mokre skarpetki cisnąłem w najdalszy kąt celi i spałem z gołymi nogami. Trząśłem się z zimna na stalowym łożu i w rezultacie przespałem może w sumie dwie godziny.

Kilka minut po siódmej zadzwoniłem do biura Kenny'ego Buckrama. Nie było go jeszcze w pracy, a automatyczna sekretarka nie mogła przyjąć wiadomości, bo dzwoniłem na koszt odbierającego. Spróbowałem dozwonić się do domu Kelly'ego na Neptune Beach; ta sama historia. Mój przyjaciel prawdopodobnie wypuścił się na kobitki. Co za świństwo, zostawić klienta w potrzebie! O dziesiątej, kiedy przewieziono mnie do budynku administracji hrabstwa Bradford – nie ogolonego, z piekącymi oczyma, cuchnącego, bez skarpetek i z nie wymytymi zębami – nadal byłem sam.

– Wysoki Sądzie – powiedziałem, kierując wzrok ku wyżynom stołu sędziowskiego, jak to robiłem setki razy występując w imieniu swoich klientów (i w zamierzchłej przeszłości w imieniu stanu) – prawdopodobnie moja prezencja pozostawia wiele do życzenia, ale jestem adwokatem, byłem pierwszym zastępcą prokuratora stanowego w czwartym obwodzie. Nie planowałem tego, ale zmuszony jestem sam występować w swojej obronie. Chciałbym zacząć od pytania Wysokiego Sądu, dlaczego zostałem oskarżony o poważne naruszenie nietykalności cielesnej? Moim zdaniem, skoro poszkodowany nie doznał trwałego uszkodzenia ciała, zachodzi tu przypa-

dek zwykłego Pobicia, co jest wykroczeniem, ale nie przestępstwem. Jak przypuszczam, pan Crocker oskarżył mnie o zadanie mu uderzenia w twarz i złamanie nosa. Nawet jeśli przyjąć, że jest to prawda...

Umilkłem, gdyż sędzia Burchell, nadzwyczaj dystyngowany południowiec około sześćdziesiątki, bez wątplenia niebezpieczny jak wąż mokasyn, pokręcił głową, spoglądając na mnie jak na nierozgarniętego smarkacza.

– Panie Jaffe – rzekł – uważam, że pański klient jest głupcem. Został pan oskarżony o uderzenie funkcjonariusza więziennego na terenie zakładu karnego. A to zawsze jest przestępstwem. Funkcjonariusz służby więziennej jest odpowiednikiem policjanta. Z wyrazu pańskiej twarzy wnoszę, że pan o tym zapomniał, prawda?

– Ma pan absolutną rację, panie sędzio. Zapomniałem o tym drobiazgu.

Sędzia Burchell zaskoczył mnie. Może zlitował się nad facetem o wymiętym garniturze, który najwyraźniej nawet nie znał swego fachu – zapomniał albo nie znał nigdy. Kaucja w przypadku przestępstwa drugiego stopnia wynosiła dwa i pół tysiąca dolarów. W portfelu miałem niewiele ponad setkę. Moja książeczka czekowa została w domu. A nie miałem wątpliwości, że stan Floryda nie przyjmuje kart kredytowych American Express ani nawet Visa.

Sędzia jednak orzekł, że gotów jest zwolnić mnie po złożeniu pisemnego zobowiązania. Młody zastępca prokuratora stanowego, który przez pięć dni w tygodniu musiał dzielić z Burchellem salę sądową, nie zgłosił sprzeciwu. Sędzia wyznaczył termin rozprawy.

– Oczywiście będzie pan obecny, panie Jaffe?

– Wysoki Sądzie, za nic w świecie nie opuściłbym własnego procesu.

– A więc do widzenia panu.

– Do widzenia, panie sędzio.

Pojechałem taksówką na więzienny parking, gdzie przesiadłem się do wynajętego samochodu. Ręce mi się trzęsły, a język kleił do podniebienia. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym nie był adwokatem, gdybym nie miał na sobie garnitur i gdybym był czarny, wróciłbym na żelazną pryczę w więzieniu hrabstwa Bradford.

W drodze do Jacksonville zatrzymałem się na stacji benzynowej i kupi-

łem paczkę benson & hedges lights.

Następnego ranka przyjrzałem się twarzy widocznej w lustrze hotelowej łazienki. Była blada, jakby zeszała z niej cała opalenizna. Zaczerwienione powieki piekły od dymu unoszącego się z popielniczki.

Jeden po każdym posiłku, postanowiłem. Może to uczyni życie łatwiejszym, ukoji stargane nerwy. Tylko że potem będzie jeden po każdej filiżance kawy w ciągu dnia, po każdej szklaneczce wódki z tonikiem wieczorem. W sumie jakieś pół paczki. Niebawem dojdzie jeszcze jeden, do porannej kawy, bo ten właśnie jest najlepszy – kiedy twój język reaguje jeszcze na smaki i nie odczuwa się tego paskudnego drapania w gardle. A w końcu: do diabła z tymi ograniczeniami! Pal, kiedy masz ochotę!

Zaczynam cię lepiej rozumieć, Alanie. Ja też jestem nałogowcem.

Musi pan uważać na pułapki proceduralne – powiedział Brian Hoad. Rozmawialiśmy w jego gabinecie w biurze pomocy prawnej. – Przede wszystkim musi pan zakwestionować prawdziwość zeznania Elroya sprzed dwunastu lat. Nie wolno jednak pominąć żadnego argumentu, jaki przyjdzie panu do głowy. Jeśli sędzia Fleming odrzuci prośbę o złagodzenie kary, a pan zechce pójść wyżej, do Stanowego Sądu Najwyższego albo do sądu federalnego w jedenastym obwodzie, to nie będzie pan mógł się powołać na żadne nowe okoliczności.

– A jeśli akurat wypłynie coś nowego?

– Ich to gówno obchodzi. Te łobuzy chcą mieć wszystko na piśmie. W ten sposób mogą powiedzieć „nie”, zanim pan w ogóle dojedzie do Tallahassee.

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni koszuli po paczkę papierosów; wyjąłem jednego i zapaliłem plastikową zapalniczką. Rozejrzałem się po biurku w poszukiwaniu popielniczki, ale popielniczki nie było.

Hoad przyglądał mi się z zainteresowaniem; trochę jakbym wyciągnął z kieszeni psie łajno.

– Nie przypominam sobie pana palącego.

– W moim życiu zachodzą poważne zmiany – odrzekłem.

Tym razem bawiąc w Jacksonville nie pojechałem do Raiford. W pew-

nym sensie Darryl przestał się liczyć. Był tylko człowiekiem zagrożonym śmiercią. Nie brał udziału w walce o swoje życie; w mojej walce.

Od czasu do czasu kontaktowałem się z żoną. Co słyhać? Co z Alanem? Wszystko w porządku, odpowiadała Toba z niesłabnącą wrogością. W firmie traktowano mnie równie chłodno. Zajmowałem się przydzielonymi mi sprawami, ale nie poświęcałem im zbyt wiele czasu. Harvey Royal spodziewał się, że pojedę z nim do Waszyngtonu. Barry Welmet potrzebował mnie w Bradenton – nasz główny klient w sprawie dystrybutorów mleka liczył na moje doświadczenie.

– Wszystko będzie załatwione – powiedziałem Barry'emu. – Mogą być pewni wygranej.

– Ale oni chcą ciebie tutaj i skłonni są za to zapłacić.

– Kup im po lizaku – odrzekłem.

Nie należałem do ludzi, którzy często miewają sny; czy raczej łatwo je zapamiętują. Teraz jednak moje noce pełne były koszmarów, strachu i uciezek przed nieznanymi prześladowcami. Jacyś ludzie w mundurach prowadzili mnie ku budzącemu grozę przeznaczeniu... Gorzej, że zawsze miałem świadomość, iż za następnym zakrętem snu może się czaić obraz płonącej głowy. Zwykle udawało mi się go unikać. Ale ta głowa, która – jak widziałem – w każdej chwili mogła mi się objawić w aureoli błękitnych płomieni, nie była głową Darryla Morgana ani nawet Erica Sweetinga. Chwilami zdawało mi się, że jest to głowa mojego syna.

W ostatnim dniu marca przedłożyłem swoją prośbę sędziemu Horacemu Flemingowi. Egzekucja Morgana wyznaczona była na czwartek 11 kwietnia.

W poniedziałek, 8 kwietnia w południe Fleming wezwał mnie do gabinetu sędziowskiego w budynku władz hrabstwa Duval. Zamierzał widocznie zagrać ze mną „jeden na jednego”, bez udziału przedstawiciela drugiej strony – *ex parte*. Jest to procedura zdecydowanie odrzucana przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent uczciwych sędziów. Ale, jak uczono nas w szkole prawniczej, starzy gracze nie zawsze grają zgodnie z zasadami (a niekiedy i z normami etyki zawodowej).

Sędzia przywitał mnie rozparty w wysokim fotelu; siwe włosy nosił za-

czesane do tyłu, na czubku czerwonego, pokrytego siecią żyłek nosa tkwiły okulary. Mówił powoli i zachowywał się tak, jakby siedział w bujanym fotelu na werandzie wiejskiego domu, popijając burbona z miętą. Był bez togi i marynarki; dłonie trzymał na brzuchu zahaczone kciukami o skórzane szelki. Na ścianach roiło się od zdjęć jego wnuków, prawnuków, psów myśliwskich najróżniejszych ras i jego samego, młodszego, z dumą prezentującego do obiektywu taką czy inną wielką rybę. Na biurku, pośród innych papierów, leżała i moja prośba o odroczenie egzekucji Darryla i złagodzenie wyroku w sprawie *Florida versus Morgan*. Strony mego pisma, wyjęte z plastikowej okładki, ułożyły się w kształt wachlarza, niczym wielka talia kart.

– Przeczytałem to – oznajmił sędzia Fleming.

– To dobrze, Wysoki Sądzie. Cieszę się.

– A więc?

Zawahałem się.

– Nie bardzo rozumiem, panie sędzio.

– To wszystko, co ma pan do powiedzenia? – zapytał. Przesunął sękatymi, wykręconymi artretyzmem palcami po pliku rozsypanych arkuszy, jakby mówił: wybierz kartę.

– Tak – odparłem, zastanawiając się gorączkowo, co też takiego przeczytałem.

– Jeśli się nie mylę, dwanaście lat temu oskarżał pan w tej sprawie, czy tak?

– Tak jest.

– Rozmawiałem o tym z panem Ruthem. Otóż mam wyrobione zdanie na temat osoby prokuratora i nigdy się z nim nie kryłem. Jeśli Beldon Ruth mówi, że wiewiórka może zaciągnąć pociąg towarowy stąd do Tallahassee, można łąpać za miotłę i brać się do czyszczenia szyn. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

– Tak, panie sędzio; i zgadzam się. Panu Ruthowi można ufać.

– A on twierdzi, że jest pan dobrym prawnikiem. Oczywiście, nie miało to wpływu na moją decyzję. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Tak, panie sędzio.

– Chce pan kawy?
– Chętnie, dziękuję.
– Termos stoi tam, w kącie. Mnie też może pan nalać. Mój kubek to ten z wypisaną na nim sentencja. Niech pan przeczyta. To moje credo polityczne. Ma pan jakieś szczególne upodobania?

– W zakresie filozofii politycznej?

Sędzia uśmiechnął się.

– Nie, jeśli idzie o kawę, panie Jaffe.

– Lubię mocną, panie sędzio.

– Ja parzę taką, że można jej używać do usuwania przecieków w chłodnicy. Nie przecieka panu chłodnica w samochodzie?

Odszukałem kubek sędziego. Napis na nim brzmiał: WIELKĄ ZALETĄ DEMOKRACJI JEST TO, ŻE SPOŚRÓD WIELU TYLKO JEDEN MOŻE ZOSTAĆ WYBRANY.

Rozlewałem kawę do kubków, a tymczasem sędzia Fleming mówił:

– Zamierzam przychylić się do pańskiej prośby. Dam panu dziewięćdziesiąt dziewięć dni zwłoki. Nic więcej nie mogę zrobić skoro w Raiford już się szykują do usmażenia tego człowieka. Przyprowadzi pan swojego świadka i pana Morgana, i kogo pan tylko zechce, tutaj, 24 czerwca – według mojego kalendarza jest to poniedziałek – o dziewiątej rano. Będę na pana czekał, jeśli nie zdarzy się coś nieprzewidzianego. Zadowolony?

– Tak, panie sędzio – odparłem, a serce waliło mi z wielkiej radości.

– Poproszę ze śmietanką i z cukrem.

– Ile cukru?

– Pół tej niebieskiej torebeczki z napisem equal.

Postawiłem kubki z kawą na biurku.

– Proszę mi wybaczyć, panie sędzio – zacząłem ostrożnie. – Nie chciałbym być natrętny, ale egzekucja Morgana ma odbyć się za trzy dni. Musi pan złożyć pisemny nakaz odroczenia wyroku w biurze prokuratora stanowego, a jego kopię przesłać do prokuratora generalnego w Tallahassee.

– Panie Jaffe, dzisiaj jest poniedziałek, prawda? – zapytał sędzia Fleming.

– Istotnie, panie sędzio.

– Otóż załatwiłem to wszystko w piątek po południu, mój chłopcze –
oznajmił cokolwiek urażonym tonem.

21

Oboje, Toba i ja nie mogliśmy się już doczekać letnich deszczów. Niebo nad zatoką pęczniało żarem, powietrze zdawało się ciągnąć jak guma, stawało w gardle, dławiło. Nie pomagały spryskiwacze – trawa wokół basenu wysychała, jej źdźbła brązowiały na końcach. Wieczorami czuło się bagienny odór napływający z południa z rozlewisk Everglades. Pod oknem naszej sypialni zakwitły orchidee, ale w południe woda w zatoce Sarasota wydawała się bliska wrzenia.

Siedziałem w sztucznym chłodzie swojego gabinetu i gapiłem się przez przyciemnioną szybę. Popołudniowe chmury kłębiły się nad horyzontem, a wyżej wisiało słońce jak bryła roztopionej siarki. Niełatwo było zachować spokój, wiedząc to, co wiedziałem, podejrzewając to, co podejrzewałem. Nie śpiesz się, po kolei, powtarzałem sobie. Teraz najważniejsze jest przesłuchanie świadków w obecności sędziego Fleminga; od tego zależy, czy Darryl będzie żył.

Podniosłem słuchawkę telefonu i połączyłem się ze starszym wspólnikiem firmy.

– Harvey, właśnie zapoznałem się z projektem naszej strategii w sprawie towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego. Czy ty i Marian znajdziecie dla mnie kilka minut?

W gabinecie Harveya przystąpiłem do przedstawienia swoich argumentów. FDIC wniosła poprawki do skargi przeciw naszemu klientowi, dyrektorowi towarzystwa, niejakiemu Novakowi. Novak Powinien się do nich teraz ustosunkować i właśnie Harvey i Marian Przygotowali szkic jego

repliki.

– Zarzuty strony rządowej są niewłaściwie sformułowane – powiedziałem. – Ich groźby są wysane z palca i musimy im to wytknąć. Administracja Reagana zachęcała towarzystwa O-P do wchodzenia na rynek kredytów komercyjnych. Novak nie dopuścił się żadnych nadużyć, nie popełnił żadnych błędów. Wzbogacił się, ale to samo można powiedzieć o większości biznesmenów, kumpli Reagana. Nie rozumiem, jak te federalne bydlaki mają czelność oskarżać go o malwersację.

– Spokojnie, Ted – wtrącił Harvey, dolewając tym tylko oczywiście oliwy do ognia.

– Nasz klient – oświadczyłem – został zniesławiony przez funkcjonariuszy rządu utrzymywanego z płaconych przez niego podatków. Całujemy w dupę kogoś, kto właśnie nas powinien całować w dupę.

Poniewczasie uświadomiłem sobie, że jeśli chcę nadal pracować w tej firmie, powinienem być bardziej taktowny. Cóż, kiedy to nie było takie łatwe.

– Jak rozumiem – z lodowatą miną rzekł Harvey – zamierzasz sam opracować odpowiedź na zarzuty oskarżenia?

– Nie, to robota Marian. Jeśli wykona ją solidnie, nie dojdzie nawet do procesu. Pojutrze muszę lecieć do Miami, odebrać Jerry'ego Lee Elroya, mojego świadka w sprawie Morgana, i odtransportować go do Jacksonville. Dopóki nie przykuję go do łóżka w hotelu, nie będę miał pewności, że w poniedziałek znajdzie się w sądzie. A w poniedziałek jest nasz wielki dzień.

Czwartek rozpocząłem od serii telefonów. Ustaliłem, że w poniedziałek rano Darryl zostanie przewieziony do więzienia hrabstwa Duval i o ósmej trzydzieści doprowadzony pod eskortą przed oblicze sędziego Fleminga. Przedtem będę mógł się z nim spotkać w pokoju ławy przysięgłych.

Dowiedziałem się, że stan Floryda reprezentować będzie podczas przesłuchania jeden z młodych, nie znanych mi zastępców prokuratora. Spodziewano się też obecności zastępcy prokuratura generalnego, specjalnie oddelegowanego przez Tallahassee.

Takie były zasady tej gry. Emocjonującą stroną pracy adwokata w spa-

wach karnych jest to, że staje do walki z całą potęgą stanu, niczym Dawid naprzeciw Goliata. Z Goliatem jest jednak ten kłopot, że łatwo może cię zadeptać; ciebie albo twego klienta.

W sobotę wieczorem poleciałem do Miami. Mały samolot powoli nabierał wysokości. W dole migwały błękitne oczka podświetlanych basenów, krzyżujące się sznury samochodowych reflektorów wyznaczały linie autostrad. Czterdzieści minut później z czarnej pustki Everglades wyłoniło się Miami, niczym olbrzymia skrzynia klejnotów, pulsująca blaskiem światła rozjaśniającym horyzont. Widok tego miasta zawsze robił na mnie wrażenie. Jaka szkoda, że nie można było patrzeć na nie wyłącznie z góry, jak na wspaniały dowód inteligencji ludzkiej rasy.

Złapałem taksówkę i podałem kierowcy adres w Hialeah. Nad pulpitem recepcjonisty motelu „Man O'War” wisiały czarno-białe zdjęcia sławnych koni wyścigowych. Na fotelu obok automatów z papierosami siedział zatopiony w lekturze mężczyzna; kiedy wszedłem, obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. Miał około trzydziestki, nosił wąsy i kolorową hawajską koszulę włożoną pod marynarkę z bawełny. Popijał colę i czytał jakiś kryminał w tanim wydaniu. Równie dobrze mógłby mieć wypisane na czapce „Glina”

Zostawiłem walizkę w pokoju i ruszyłem na poszukiwanie Elroya. Na piętrze usłyszałem za sobą odgłos kroków. Odwróciłem się i ujrzałem mężczyznę w hawajskiej koszuli. Trzymał w ręku portfel z przypiętą doń błyszczącą złotem odznaką.

Powiedziałem, że jestem adwokatem Elroya i pokazałem służbową wizytówkę oraz prawo jazdy.

– Okay, panie Jaffe. Tylko sprawdzamy.

Zapukałem do drzwi Elroya i zawołałem go po imieniu. Otworzył i pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to zmiana w jego wyglądzie: srebrny łańcuszek z krzyżykiem na szyi, modne szerokie spodnie, biały golf. W rękę jak zwykle ścisnął puszkę budweissera. Pokój wypełniała poświata bijąca z ekranu telewizora.

– Czołem, mecenasie! – zawołał, sadowiac się na powrót w łóżku. – Daj mi pan tylko obejrzeć do końca ten film.

Oglądał odcinek serialu *Star Trek: Następna generacja*.

– Przepadam za tymi fantastyczno-naukowymi bajerami – oznajmił, kiedy film dobiegł końca. – Może byśmy coś zjedli?

– Pozwalają ci wychodzić?

– Pilnują mnie, łążą za mną. Nie rozumiem, co im zależy, i tak wezmą swoją pensję. Tu za rogiem jest niezła knajpka.

Nawet teraz czuło się gorąco unoszące się z nagrzanego w ciągu dnia chodnika. Niedaleko znajdowały się teren torów wyścigowych Hialeah Park i „Lacy's”, wybrana przez Elroya restauracja, którą odwiedzali głównie emeryci i koniarze. Specjalnością zakładu były tanie „domowe” obiady. Zamówiłem mielone, które reklamowano jako „przyrządzone dokładnie tak, jak robiła to twoja mama”. (Mielone mojej mamy były zwykle suche i dlatego po usmażeniu pakowała je do byle jakiego sosu.)

Rozejrzałem się po sali, wypełnionej tłumem starszuchów w kraciastych koszulach i jasnych spodniach, siwych, w okularach w grubych, wypukłych szklach. Zwróciłem uwagę na parę przy sąsiednim stoliku. Trzymali się za ręce jakby świadomi kruchości ich związku wobec przemijania czasu. On miał elegancką siwą bródkę, ona starannie umalowane usta. Studiowali jadłospis niczym mapę opisującą drogę do ukrytego skarbu. Zamówili jedzenie i z tą samą uwagą zagłębili się w program wyścigów.

– Tu zaraz jest tor – odezwał się Elroy. – Zawsze coś się tam dzieje. To właśnie lubię: ruch.

Przyglądałem mu się z kamienną twarzą, bez uśmiechu. Dzięki takim, jak on oraz Ramos i Palomino, kolumbijska kokaina trafiała do tysięcy narkomanów, do dzieci w setkach miejskich szkół. Jeden z takich łańcuszków kończył się na osobie mojego syna. A gdzieś w San Diego, myślałem, jest chłopiec podobny do Alana, który wkrótce kupi swoją porcję narkotyku od tego ludzkiego śmiecia siedzącego przy moim stoliku.

– Słodziutka! – zawołał Elroy do przechodzącej kelnerki. – Nie dostalibyśmy jeszcze trochę sosu? – Odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby. – Mamy nieprzewidziany problem, mecenasie.

– To znaczy?

– Faceci z biura prokuratora stanowego nie chcą, żebym wyjeżdżał z

Miami. Boją się, że mi się coś stanie.

– Co, na przykład?

– Palomino i Ramos są na wolności, zwolnieni za kaucją. Ucieszyliby się, gdyby mnie znaleźli. – Elroy przeciągnął palcem po gardle.

Odłożyłem nóż i widelec.

– Rozmawiałem z tobą w połowie tygodnia. Powiedziałeś, że nie będzie żadnych kłopotów.

– W prokuraturze jest taki facet, Baxter. Powiedziałem mu, „Słuchaj pan, chcę odwiedzić swoją siostrę w Jax. Sprawa rodzinna. Daj mi pan dzień, dwa urlopu”. A on mi na to: „Jerry Lee, nie zwracaj głowy, ciesz się, że pilnujemy twojej dupy”. „Myślałem, że to należy do umowy”, nawijam. Wtedy powiedział mi, że w umowie mowy nie ma o tym, że muszę zeznawać w Jax.

Charlie Waldorf ani Robert Diaz nie wiedzieli, że Elroy jest mi potrzebny jako świadek w Jacksonville. Powiedziałbym im, gdyby pojawiły się komplikacje z terminami, ale proces w Miami zaczynał się dopiero w sierpniu. Nie widziałem więc potrzeby wtajemniczenia ich w swoje plany. A już na pewno nie chciałem, żeby dowiedzieli się, że okłamałem Elroya.

– Posłali tajniaków, żeby mieli na mnie oko. Jednego widział pan w hotelu. Drugi jest tutaj, właśnie go przyuważyłem. – Elroy wskazał wzrokiem na lewo.

Parę stolików od nas siedział samotnie mężczyzna około czterdziestki, o krótkich, przedwcześnie posiwiałych włosach, ubrany w jasnopopielatą sportową kurtkę. Jadł mielone popijając 7-Up.

– Nie da rady, mecenasie – stwierdził Elroy.

– Musimy coś wymyślić – powiedziałem spokojnie. – Przesłuchanie jest w poniedziałek rano. Nie stawisz się, to tamten człowiek umrze.

– Przykro mi, jak Boga kocham. Ale powiedzieli mi, że nie muszę brać w tym udziału. A może pan mnie robi w konia?

Tego właśnie się obawiałem. Czuję się mniej więcej tak, jak w chwili gdy zastępca szeryfa hrabstwa Bradford mówił: „Ma pan prawo nie odpowiadać na pytania...”

– Gdyby w Jacksonville czekała na ciebie jakaś cipka – zauważyłem –

miałbyś w nosie, co mówią Diaz czy Baxter. Jezus mógłby wstać z grobu i błagać cię: „Zostań!”, a ty i tak poleciałbyś do Jacksonville.

– Fakt. Ale to inna sprawa, nie?

Poczułem, że wzbiera we mnie zimna, okrutna wściekłość, zwykle dobrze ukryta pod maską bogobojnego sługi prawa.

– Elroy – powiedziałem – jeśli jutro ze mną nie pojedziesz, Marty Palomino odbierze w swoim domu na Key Biscayne telegram zawierający twój adres i numer pokoju. A kiedy będzie się do ciebie wybierał, przypomnę mu, żeby nie zapomniał maczety. I centymetra.

Elroy zaśmiał się nerwowo.

– Śmieję się, koleś, śmieję.

– Jestem pańskim klientem.

– Szkoda mi będzie cię stracić. Tyle na tobie zarabiam, że wkrótce mógłbym przejść na emeryturę.

Rozważałem formalne powołanie go na świadka. Zresztą już wcześniej o tym myślałem. Tyle że nie wiedziałem, jak zareaguje na to prokuratura z Miami. Nawet gdyby się nie sprzeciwili, nie miałem gwarancji, że Elroy powie w sądzie to, co powinien. Nie dysponując żadnymi środkami nacisku, nie byłbym w stanie wydobyc z niego prawdy...

Czułem wibrowanie stolika, wywołane podrygiwaniem nogi Elroya. Ten kretyń najwyraźniej uwierzył w moją groźbę.

– Jeśli jutro wyjadę z tego miasta sam – powtórzyłem – jesteś trupem.

– Ej, wolnego...

– Twój los jest w twoich rękach. Niewielu ludzi może to powiedzieć.

– Spokojnie, mecenasie. Przyhamuj pan.

Wszyscy mi to ostatnio proponowali. Może i coś w tym było. A może nie. Zresztą jeśli nawet, co to mnie obchodzi.

Elroy westchnął.

– Jeśli się zgodzę, co będę z tego miał?

To już oznaczało krok naprzód. Dziwka zawsze będzie dziwką; pozostało tylko ustalenie ceny.

– Powiedziałem ci, że pokryję wszystkie koszty.

– Też mi coś. – Elroy zastanawiał się przez chwilę. – W Jax odbywają

się latem wyścigi, nie? W Kennel Club, na McDuff Avenue?

– Wyścigi chartów?

– No właśnie; zwariowane kundle. Wieczorem nie będę panu potrzebny, co?

Miałem w kieszeni tysiąc dolarów w drobnych banknotach, które otrzymałem od Elroya jako honorarium za dotychczasowe usługi prawne.

– Kiedy znajdziemy się na miejscu – powiedziałem – oddam ci ten tysiąc dolarów. Umówimy się, że w sprawie o posiadanie narkotyków broniłem cię za darmo. Jeśli więc spytają w sądzie, czy ktoś ci zapłacił za złożenie zeznań, będziesz mógł powiedzieć, że nie.

Elroy uśmiechnął się szeroko; nie istniało łądactwo, którego by nie zaprobował. Był urodzonym łotrem.

– Jak pozbędziemy się tych gości z motelu?

Zastanawiałem się nad tym problemem, czekając, aż kelnerka przyniesie rachunek. Kiedy ponownie spojrzałem na Elroya, wciąż się uśmiechał. Ale tym razem w jego twarzy chytrość mieszała się z zadowoleniem.

– Masz jakiś pomysł?

– Pan nie chce być zamieszany w tę akcję, prawda?

– Już jestem zamieszany.

Elroy wyjaśnił, na czym polega jego plan. W południe wybierze się do Hialeah Park. Z reguły łążą za nim dwaj gliniarze, nie odstępując go na krok. Kiedy jednak idzie do kasy totalizatora albo chce się odlać, towarzyszy mu tylko jeden.

A na torze zwykle panuje tłok.

– Zostaw pan to mnie – oznajmił. – Po prostu ustalmy, gdzie się spotkamy.

Zaproponowałem główne wejście na tor.

– Nic pan nie myśli, mecenasie. Jeśli pana zauważą, zaraz się połapią, co jest grane. Do lotniska jest stamtąd dziesięć minut drogi. Odczekam, powiedzmy, pięć, sześć gonitw. Wyjdę około wpół do czwartej. Jakimi liniami lecimy?

Zanim wyszliśmy z motelu, zadzwoniłem na lotnisko i zarezerwowałem dwa miejsca w samolocie USAir.

- Rejs numer 133. Odlot o czwartej trzydzieści. Spotkajmy się przy stanowisku rezerwacji punktualnie za kwadrans czwarta.
- Dobra. Umowa stoi.

Czekałem na Elroya w chaosie hali odlotów międzynarodowego portu lotniczego w Miami i pocilem się. Za dziesięć czwarta zacząłem przechadzać się nerwowo. Ten sukinsyn mógł po prostu zostać na jeszcze jedną gonitwę. Zrobiłem kilka kroków, włożyłem okulary i spojrzałem na tablicę odlotów. Kolejny rejs do Jacksonville mieliśmy o szóstej; następny o ósmej trzydzieści – jeżeli Elroy w ogóle się pokaże. Zakląłem i rozejrzałem się wkoło wzrokiem szaleńca. Stojąca obok kobieta cofnęła się, chowając się za plecy męża.

Trzy minuty po czwartej poczułem kłapnięcie w ramię. Odwróciłem się i oto stał przede mną Elroy w swoich workowatych spodniach, białym golfie i czapce ozdobionej przez florydzkie mewy; stał i znowu szczyrzył do mnie zęby.

- Już się pan denerwował, co?
- Kto? Ja?
- Musiałem obejrzeć jeszcze jedną gonitwę. Płacili dwanaście do jednego za konia, który nie miał pieprzonego prawa przyjść na premiowanej pozycji... Pana to pewnie gównu obchodzi, ale chce pan wiedzieć... Hej, co jest?

Z obrotowych drzwi za plecami Elroya wyłonił się siwy policjant, którego widzieliśmy w restauracji „Lacy's” poprzedniego wieczora. Jeśli nie on, to ktoś bardzo do niego podobny. Miał na sobie brązowy sweter i niósł niewielką lotniczą torbę.

- Nie odwracaj się! – powiedziałem do Elroya.

Domniemany policjant wmieszał się w tłumek złożony z wyglądających na sportowców młodych Latynosów w pasiastych szortach, pary młodych białych księży i kobiety z dwójką płaczących dzieci. Zniknął.

- O co chodzi? – zapytał Elroy.
- Zdawało mi się, że widzę jednego z twoich opiekunów.
- Niemożliwe. – Elroy rozejrzył się szybko i zdecydowanie pokręcił

głową. – Gdyby to był któryś z tych gliniarzy, którzy łazili za mną na torze, nie czekałby, aż wskoczmy do samolotu, tylko od razu podszedł do mnie i zapytał: „A ty dokąd, amigo?”

– Jestem zaniepokojony.

– Nie ma strachu. Nawet nie wiedzieli, co się dzieje. Postąpiłem przy okienku, gdzie przyjmują pięciodolarowe zakłady, a potem idę do tego gliniarza i nawijam: „Cholera, chłopie, zapomniałem ci powiedzieć. Dostałem cynk od jednego trenera. Dwanaście do jednego, koń numer sześć”. Gliniarz nie wytrzymał; poleciał zagrać za piątaką. A ja myk i już mnie nie ma. Dobrze, co?

– Chodźmy. Musimy przejść przez kontrolę – powiedziałem, nie przestając się pocić.

Wszystkie miejsca w samolocie były zajęte. Dwukrotnie przeszedłem przez całą długość kabiny, do toalety i z powrotem, wypatrując znajomych twarzy. Kiedy podchodziliśmy do lądowania w Jacksonville, Elroy kończył właśnie drugą podwójną whisky z lodem.

– Gdzie się zatrzymamy, mecenasie? W „Ponte Vedrà”? W „Plantation Club”? Najlepszy byłby miły pokój w „Omni”.

Zadzwońm z lotniska i zarezerwowałem pokoje dla nas. Uznałem, że istotnie, solidny śródmiejski hotel „Omni” będzie bezpieczniejszy niż na przykład „Marina” czy któryś z moteli na przedmieściach.

W wypożyczalni samochodów Elroy chrząknął i powiedział:

– Rozmawialiśmy o tej, jak by się pan wyraził, bonifikacie. O tym tysiączku. Ma go pan pod ręką?

– Nie dzisiaj.

– Może coś à conto? Wolałbym się urodzić bogatym niż przystojnym, ale nie miałem wyboru. Taki już mój los. Jestem splukany do czysta, mecenasie.

– Mogę ci dać sto dolarów. Po co ci teraz pieniądze?

– Mówiłem panu o letnich wyścigach piesków. Pytałem, czy wieczorem będę panu potrzebny. Powiedział pan, że nie. Zgadza się?

– Wybierasz się dzisiaj do Kennel Club?

– Żeby wygrać, trzeba grać. A co pan myślał?
– Elroy, dopiero co byłeś na wyścigach w Miami. Jeszcze ci mało? Musisz od razu lecieć na następny tor?

– O to właśnie chodzi, człowieku! – zawołał. – Z Hialeah odrzutowcem prosto do Kennel Club. To się nazywa szpan! Będę opowiadał o tym swoim wnukom, jeśli się ich dorobię.

– Chodźmy najpierw do hotelu – powiedziałem. – Potem zobaczymy. – Znalazłem się w sytuacji ojca nagabywanego o kupno lodu przez niesfornego pięciolatka.

Elroy zrobił nadąsaną minę. Wynająłem dwa pokoje, mając nadzieję, że zadowoli go perspektywa spędzenia wieczoru w łóżku, przed własnym telewizorem. Zamówiłem nawet kanapki i kawę. Nic z tego. Nie minęła minuta, a już pukał do moich drzwi.

– Mecenasiu! Zadowolony pan z pokoju? Wszystko gra? Tak sobie pomyślałem... może dałby mi pan trochę gotówki, co ma pan przy sobie? Zostawi pan sobie garść doliców i spędzi wieczór po swojemu, a ja po swojemu? Co pan na to?

– Lepiej zostań tutaj – odrzekłem, starając się, żeby wypadło to przekonująco. – Tak będzie bezpieczniej.

– Mówiłem panu, gdyby ten facet z lotniska był gliniarzem, nie odlecielibyśmy z Miami.

Sięgnąłem po portfel. Mój zasób gotówki stopniał do dwustu pięćdziesięciu dolarów.

– Ostatnia gonitwa jest o jedenastej. Wypiję kilka piw i o północy jestem z powrotem.

Mógł poleżeć dokądkolwiek. Zniknie w mieście, a ja będę siedział w hotelu i obgryzał paznokcie. Nie uśmiechało mi się czekanie na niego do rana. Przesłuchanie potrwa co najmniej dwa dni, będę więc mógł popracować nad rekapitulacją materiału dowodowego jutro wieczorem.

– Pójdę z tobą – oznajmiłem.

– Poważnie? Chce pan iść na wyścigi?

– Nie, ale pójdę. Po ostatniej gonitwie wracamy prosto do hotelu. Chcesz coś zjeść przed wyjściem?

– Kupię sobie hot doga na miejscu – odparł Elroy. – Chodźmy już. I tak spóźnimy się na pierwszą gonitwę.

Na wyścigach psów byłem raz w życiu, jako mały chłopiec. Z rodzicami i siostrą. W drodze na tor Elroy wyjaśnił mi jednak, na czym polega ta zabawa. Pozwoliłem mu zapłacić za karty wstępu dla nas obu i zaprowadzić się do oszklonej, klimatyzowanej loży. Zgodziłem się, by kupił program, typował psy i robił zakłady.

– Cóż pana gryzie, mecenasie?

– Myślę o jutrzejszym przesłuchaniu.

– Co tam, to przecież nie jest prawdziwy proces, nie? Nic poważnego.

– Nie pleć. To jest coś poważnego. Dlatego musisz złożyć swoje zeznanie pod przysięgą. Próbujemy ocalić życie Darrylowi Morganowi.

„Trzy minuty do startu...”

Prowadzone przez swoich opiekunów psy paradowały wokół toru. Korony palm chwiały się, kołysane nocną bryzą. Poszczególne gonitwy prze-działy dwudziestominutowe przerwy. Elroy w skupieniu studiował wyniki wyświetlane na monitorze. Jego oczy ani na moment nie pozostawały w bezruchu. Na koniec zerwał się z krzesła.

– Stawiam dwadzieścia dolców na dwójkę. Ten kundel w każdej gonitwie daje zarobić. Gra pan, mecenasie?

Wręczyłem mu banknot pięciodolarowy, a on pomaszerował pewnym krokiem w stronę kas totalizatora. Chwilę później światła przygasły i mechaniczny zając wystartował. Psy rzuciły się za nim wściekłym galopem.

Wstałem, żeby rozprostować kolana i nagle w tłumie widzów spostrze-głem znajomą twarz mężczyzny o krótkich siwych włosach, ubranego w brązowy sweter. Obserwował mnie z odległości niespełna dziesięciu me-trów.

Ten człowiek nie jest policjantem, uświadomiłem sobie niespodziewanie.

A mimo to śledził Elroya. Podążał za nim z motelu na tor wyścigowy w Miami, a potem na lotnisko. Na wszelki wypadek nie poleciał USAir 133, tylko następnym, rejssem, pewnie tym o szóstej. Przepytał personel firm wynajmu samochodów na lotnisku w Jacksonville i oczywiście dowiedział się, że dzwoniłem do hotelu „Omni”. Czekał na nas przed wejściem albo w

garażu, gdzie zostawiłem samochód.

Dlaczego jednak obserwuje mnie, nie zaś Elroya? Ponieważ – podpowiedział mi wewnętrzny głos – Elroyem zajął się ktoś inny.

Stałem bez ruchu, tylko serce jak młotem waliło o moje żebra. Siwołosy zagradzał mi najkrótszą drogę do sali kasowej, w której zniknął Elroy. Ruszyłem ku dalszemu wejściu.

Czułem się jak nurek walczący z wrogim mu, przeciwnym prądem.

Zanim dobrnąłem do sali totalizatora, obok jednej z kas zebrał się już tłum ciekawskich. Policjanci z wyciągniętym rewolwerami starali się utrzymać gapiów na dystans. Jerry Lee Elroy siedział na dywanie, oparty o ścianę kantora kasowego i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Biały golf zlany był krwią płynącą z boku. Spomiędzy żeber wystawała rękojeść sztyletu. W usta wcisnięty miał jakiś duży, ciemny przedmiot. Dobrze dwie minuty zabrało mi ustalenie, co to takiego. Zabójca Elroya miał widać czas rozewrzeć szczęki ofiary i wepchnąć w usta jeża morskiego. Jego kolce wbiły się głęboko w język donosiiciela.

Kiedy zastanawialiśmy się nad sposobem wymknięcia się z Miami, Elroy powiedział: „Pannie chce być zamieszany w tę akcję”. A ja odparłem: „Już jestem zamieszany”. Zamieszany, nie – zaangażowany. Kura znosząca jajka i świnia, z której robi się szynkę, w różnym stopniu uczestniczą w procesie powstawania jajecznicy na szynce, którą zjadamy na śniadanie. W tej podróży do Jacksonville Elroy był świnią.

Noc wypełniła się jękiem syren. Skutkiem mojej nieostrożności Elroy stracił życie. Ja zaś straciłem świadka, który mógł ocalić życie Darrylowi.

Napotkałem pytający wzrok jednego z policjantów.

– Jestem adwokatem tego człowieka – powiedziałem cicho.

Wzruszył ramionami.

– Miał facet pecha. Co chce pan zrobić?

Uczynić cud. Obudzić się i stwierdzić, że to był tylko sen.

Pojechałem za radiowozem do Police Memorial Building, gdzie mieściły się biura urzędu szeryfa miasta Jacksonville. Kiedy raz przyznałem się do znajomości z denatem, gliniarze z Wydziału Zabójstw nie mieli zamiaru tak

łatwo pozwolić mi odejść. Większość zamordowanych, z jakimi mieli do czynienia, były to ofiary knajpianych strzelanin albo sobotnich awantur rodzinnych. Zabójstwo Elroya – „Widziałeś, kurwa, tego jeża morskiego w jego ustach?” – stało się wydarzeniem. Widać było, że są zadowoleni.

Który z detektywów skontaktował się z prokuraturą stanową w Miami. Po rozmowie z Robertem Diazem zwrócił się do mnie:

- Powiedział pan, że wywiózł Elroya z Miami.
- Wyjechaliśmy razem, tak.
- Namówił go pan do wyjazdu. Czy to chciał pan powiedzieć, panie Jaffe?

– To pan powiedział, nie ja. O dziewiątej muszę być w sądzie na przesłuchaniu w sprawie morderstwa. Czy mogę już iść?

Zażądali, abym najpierw dokonał formalnej identyfikacji zwłok swojego klienta.

Elroy leżał na metalowym wózku. Jeża morskiego wyjęto mu z ust. Oczy miał zamknięte, twarz dziwnie spokojną. Właściwie czemu nie? Jeśli umiera się tak szybko, że człowiek dosłownie nie wie, co się z nim dzieje...

W korytarzu, łączącym salę rozpraw z pokojem sędziowskim, Horace Fleming przystanął i zanotował coś na dokumencie, który w tym celu położył na szafce z aktami. Tłum prawników, urzędników i reporterów sądowych sunął za nim niczym stado rybek-pilotów za rekinem. Kilka kroków dalej siedział na masywnej drewnianej ławce Darryl Morgan przypięty kajdankami do oparcia. Superman może zdołałby uciec z takim ciężarem, ale gdyby Darrylowi przyszedł do głowy podobny pomysł, musiałby poradzić sobie jeszcze z dwójką policjantów uzbrojonych w pistolety kalibru .45, a usadowionych w końcu korytarza, obok schładzacza wody. Przed sądową izbą zatrzymań tłoczyło się kilku adwokatów, usiłujących porozumieć się przez kraty ze swoimi klientami. Wszyscy czekali na szansę posłuchania u sędziego?

– Parkiet powoli zaczyna się zapelniać – powiedział sędzia Fleming zwracając się do mnie i do reprezentantów stanu. – Zechcą państwo wstąpić do mojego gabinetu?

Znalazłszy się w pokoju sędziowskim, całkiem bez siły opadłem na fotel. Minionej nocy udało mi się przespać wszystkiego dwie godziny. I nie był to zbyt krzepiący sen.

Zegar na ścianie wskazywał dziewiątą dwadzieścia dziewięć. Pozostali prawnicy zajęli miejsca w fotelach, a młody zastępca prokuratora generalnego z Tallahassee przysiadł na szafce na akta. Szczupły zastępca prokuratora stanowego należał do stajni Beldona i nazywał się John Whatley; obok niego siedziała Muriel Suarez.

Uśmiechała się do mnie z serdeczną poufałością. Zapytana, co tu robi, wyjaśniła, że Whatley jest praktykantem świeżo po studiach na uniwersytecie stanowym i jej zadaniem jest nie dopuścić, aby popełnił jakiś błąd.

– Ależ myśmy rozmawiali o tej sprawie – zaprotestowałem. – Nie pamiętam dokładnie, co ci powiedziałem, ale cokolwiek to było, winno zostać uznane za poufne.

– Beldon najwyraźniej uważa ten fakt za pozbawiony znaczenia.

– To on cię wyznaczył?

– A myślałeś, że zgłosiłam się na ochotnika?

Zrozumiałem. Wet za wet. Znałem sekrety oskarżenia, jako były przedstawiciel stanu w procesie Morgana. Muriel Suarez знаła moje sekrety, bo sam jej kilka dni temu je zdradziłem. Jak mógłbym się skarżyć? Beldon, ty chytry lisie.

Sędzia Fleming rozluźnił krawat i rzekł zwracając się do mnie:

– Uważam, że możemy zaoszczędzić mnóstwo czasu dzięki takiemu nieformalnemu porównaniu stanowisk stron. Pański świadek, pan Elroy, były współwięzień skazanego, nie stawiał się w sądzie. Z tego, co się dowiedziałem, wynika, że raczej nie należy się go spodziewać. Jednym słowem, utonął jak mucha w lemoniadzie. To chyba chciał mi pan powiedzieć w korytarzu?

– Tak, pan Elroy wita się z wiecznością – odparłem. Mój głos docierał do mnie jakby z oddali, każde słowo z osobna.

– Kiedy to się stało? – zainteresował się sędzia.

– Dziś w nocy, około jedenastej. Elroy został zasztyletowany w Jacksonville Kennel Club.

– Co na to stan Floryda, poza oczywiście „amen”? – sędzia spojrzął na Whatleya i Muriel.

– Wysoki Sądzie – rzekł Whatley – uzasadnienie wniosku apelacyjnego bazuje w całości na domniemaniu, jakoby zeznając w roku 1979, że był świadkiem przyznania się pana Morgana do winy, pan Elroy dopuścił się krzywoprzysięstwa. Poza tym nie ma tam niczego nowego: ten sąd i sądy wyższej instancji znają już pozostałe argumenty obrony. Niezależnie od żalu, z jakim oskarżenie przyjęło wiadomość o śmierci pana Elroya, zmuszeni jesteśmy zwrócić uwagę, iż pisemne oświadczenie nieżyjącego świadka nie stanowi wystarczającej podstawy do stwierdzenia krzywoprzysięstwa. Oskarżenie nie ma bowiem możliwości przesłuchania świadka w celu określenia wiarygodności jego zeznań.

– Rozumiem pański punkt widzenia – oznajmił sędzia Fleming i ponownie zwrócił się od mnie: – Co pan na to?

– Znane są przypadki akceptacji zaprzysiężonego zeznania na piśmie nieżyjącego człowieka – powiedziałem. – Nie miałem dość czasu, aby zbadać tę kwestię pod kątem prawa precedensowego. Ale jeśli Wysoki Sąd wyrazi zgodę, podejmuję się tego dokonać.

Był to z mojej strony stuprocentowy bluff. Nie miałem pojęcia o istnieniu jakiegokolwiek nadającego się do wykorzystania precedensu; chociaż, kto wie?

– Istnieje znacznie więcej precedensów uzasadniających odrzucenie pisemnego oświadczenia niepopartego zeznaniami żadnego świadka – powiedział Whatley.

Sędzia Fleming pokiwał głową.

– Ma pan rację, panie prokuratorze. I pan ma rację, panie mecenasie. Ale pan – tu wskazał sękatym, trzęsącym się palcem Whatleya – ma więcej racji.

– Wysoki Sądzie... – zacząłem.

– Nie, nie, nie – przerwał sędzia. – Nie interesują mnie żadne pańskie argumenty. Znam sytuację. W celi śmierci przebywa pewien człowiek. Człowiek ów chce żyć, a stan chce jego śmierci. obrońca skazanego chce przeciągnąć sprawę jak może najdłużej, przedłużając tym samym życie

swojego klienta. Natomiast sędzia chce, żeby interes w jego sądzie kręcił się jak należy. Trudno, żeby wszyscy byli zadowoleni. Czy ma pan innych świadków, panie Jaffe?

- W tej chwili nie, panie sędzio. Ale sądzę, że ich znajdę.
- Robi pan ze mnie durnia, panie Jaffe?
- Nie, panie sędzio.

Fleming zastanawiał się przez chwilę.

– Zamierzam dopuścić to zeznanie – rzekł wreszcie – ale zarazem zmuszony jestem stwierdzić, iż nie znajduję podstaw do rewizji wyroku. Inaczej mówiąc, panie Jaffe, przegrał pan. Zamierzam odrzucić pańską prośbę o złagodzenie kary. Nie będę wysłuchiwał argumentacji opartej na zeznaniach świadka, który w najlepszym razie może przemówić do nas za pośrednictwem medium. Ma pan pecha, panie Jaffe, tak bym to określił. Ale nie pan pierwszy i nie ostatni.

– Panie sędzio...

– Panie Jaffe – sędzia pochylił się w fotelu i wbił we mnie spojrzenie bladych, zażawionych oczu – miło mi było znów pana spotkać. Proszę przekazać ode mnie wyrazy szacunku Caroline.

- Caroline?
- Czyż nie jest już pańską żoną?
- Nie, panie sędzio. Nigdy nie była.
- Musiałem pomylić pana z kimś innym.

Opuściłem gabinet sędziego Fleminga i wyszedłem na korytarz, aby powiedzieć Darrylowi Morganowi, że stan Floryda nadal chce jego śmierci.

22

Bolał mnie kark. Miałem dolegliwości żołądkowe, łałało mnie w stawach. Podejrzywałem, że zjadłem nieświeżego hamburgera w barze na Main Street, gdzie zwykle posiłałem się w godzinach pracy. Mój lekarz orzekł, że to objawy nowej odmiany grypy, ale żadne z przepisanych przez niego lekarstw nie pomagało. Badanie krwi nie wykryło u mnie żadnej znanej choroby.

Straciłem czucie w palcach; niebawem nie byłem w stanie napisać głupiego listu. Pewnego dnia zmartwiona Ruby zapukała do drzwi mojego gabinetu i powiedziała:

– Doszło już do tego, Ted, że nie mogę odczytać twojego pisma.

Mimo włączonej klimatyzacji pocilem się niemiłosiernie i musiałem trzymać w biurku zapasowe koszule. Trzęsły mi się ręce, co skończyło się zaplamieniem kawą dwóch nowych krawatów i szarego garnituru w jodełkę, jednego z moich ulubionych. Zrezygnowałem więc z picia kawy; nawet jeśli to nie po niej bolał mnie brzuch, na pewno rujnowała moją garderobę. Zacinałem się niemal przy każdym goleniu. Ostatecznym utrapieniem okazał się guz, który wyskoczył mi na mosznie. Poszedłem do urologa.

– To nic groźnego – rzekł. – Nie powinien się powiększać. Może pan prowadzić normalne życie.

Swędziały mnie podeszwy stóp. Podczas jednego z poniedziałkowych zebrań musiałem zdjąć buty i skarpetki, żeby się podrapać; drapałem, aż skóra zrobiła się czerwona i zaczęła krwawić.

Moim wspólnicy gapili się na mnie w osłupieniu. Nie miałem im tego za

złe. To wtedy właśnie oni i Toba doszli do wniosku, że zwariowałem.

Zabrałem swojego głównego świadka na wyścigi psów i pozwoliłem, aby zamordował go jakiś zbir na usługach narkotykowych baronów z Miami. W rezultacie gubernator po raz drugi podpisał nakaz wykonania kary śmierci na Darrylu Morganie. Jeżeli jakiś sąd nie nakaze odroczenia egzekucji, Darryl miał być stracony na krześle elektrycznym w komorze śmierci więzienia Raiford 2 sierpnia 1991 roku.

Nie widząc innego wyjścia, przesłałem papiery Morgana (łącznie z oświadczeniem nieżyjącego świadka) do Stanowego Sądu Najwyższego w Tallahassee. Nie miałem nadziei, że uda mi się wywalczyć wznowienie postępowania, ale liczyłem na odroczenie egzekucji choćby na czas konieczny do rozpatrzenia mojej prośby. Istotnie, po tygodniu Sąd Najwyższy nakazał kolejne odroczenie, o sześćdziesiąt dni.

Zostałem wezwany do stawienia się przed wysokim trybunałem w dniu 27 sierpnia, celem złożenia ustnych wyjaśnień.

– Nie łam się, Ted! Do dzieła! – zawołałem po otrzymaniu tej wiadomości.

Znajdowałem się w biurze; Ruby spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem. Wzruszyłem ramionami, a ona bez słowa odwróciła głowę.

Zadzwoiłem do Jacksonville, do Briana Hoada, aby podzielić się z nim dobrą nowiną. Ciekaw byłem, dlaczego wyznaczono mi tak krótki termin na przygotowanie wystąpienia.

– Sądziłem, że w takich sytuacjach zwlekają miesiącami, nawet latami. Skąd ten nagły pośpiech?

– Istotnie, zazwyczaj się nie śpieszą – wyjaśnił mi Hoad – pod warunkiem, że wniosek apelacyjny składamy my albo CCR. Ale w przypadku prywatnego adwokata wszystko odbywa się szybciej. Oni wiedzą, że twój czas jest cenny, i że działasz bezinteresownie. Nie chcą, żebyś musiał czekać.

– Ten człowiek w celi śmierci... on nie miałby nic przeciwko czekaniu.

– Ten człowiek, Ted, jest skazanym mordercą. Wsuwa jajka w proszku i ogląda telewizję na koszt stanu.

– Chciałbyś znowu zająć się tą sprawą, Brian?

– Nie – odrzekł Hoad. Potem się jednak zawahał. – Czy to znaczy, że ty chcesz z niej zrezygnować?

– Z tego, co powiedziałeś, wynika, że wówczas Darryl Morgan żyłby dłużej.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Nie chcę zrezygnować z tej sprawy – rzekłem. – I nie zrezygnuję. – Dopóki Morgan nie będzie wolny, pomyślałem, albo martwy.

Kazałem Ruby odwołać swoje spotkania wyznaczone na następny dzień, polecałem do Jacksonville i w sierpniowym skwarze pojechałem wynajętym samochodem do Raiford, aby powiedzieć Darrylowi Morganowi, że Sąd Najwyższy stanu Floryda gotów jest rozważyć darowanie mu życia. Chciałem popatrzeć w oczy Darryla, spróbować znaleźć w nich coś innego niż nienawiść i pogardę.

Darryl nie zgodził się na spotkanie ze mną.

Wright był na urlopie, rozmawiałem z innym funkcjonariuszem.

– W tej sytuacji nic nie mogę zrobić – rozłożył ręce.

– Czy Morgan coś powiedział?

– Że jest zajęty.

Waleniem konia albo robieniem karcianych sztuczek, pomyślałem. Wracalem do Jacksonville, a rozkręcone na pełny regulator radio wypełniało wnętrze wozu jazgotem muzyki country. Byłem Don Kichotem z północnej Florydy. Jeden mój klient został zamordowany; drugi, czekający na egzekucję w celi śmierci, był zbyt zajęty, aby się ze mną zobaczyć.

W samolocie do Sarasota zaczęły mnie swędzieć stopy. Drapiąc się, poczułem nieprzyjemne uwieranie w kroku. Poszedłem do toalety i stwierdziłem, że guz na mosznie urósł do rozmiarów grochu i przybrał kolor truskawki. Swędział niemal tak paskudnie jak moje stopy.

Czyżby to była kara boża? Kto inny mógł mnie poddawać tak okrutnej próbie? Zastanawiałem się, czy nie wybrać się w sobotę do synagogi. Potrzebowałem pomocy z jakiegoś innego źródła.

Pewnego ranka otrzymałem wezwanie do stawienia się w biurze Charliego Waldorfa w budynku sądu karnego dla miasta Sarasota. Buddy Capra

zaprowadził mnie do gabinetu, gdzie powietrze było aż gęste od dymu, a niedopałki papierosów sterczały nawet z ziemi w doniczkach z kwiatami.

Waldorf nie bawił się w ceregiele. Bez żadnych wstępów wypalił:

– Robert Diaz zaproponował mi wniesienie przeciw panu oskarżenia o wykorzystywanie świadka.

– Diaz to głupi gnojek. – Opadłem na fotel, po chwili zerwałem się i jajem krążyć po pokoju. – Nieobecność Elroya nie miała żadnego znaczenia dla sprawy prowadzonej przez Diaza. Nie odwoziłem go od wywiązania się z jego zobowiązań prawnych, a już w żaden sposób nie powstrzymywałem go od złożenia zeznań. Poprosiłem go jedynie o świadczenie w innej sprawie. A on się zgodził.

– Wywiózł go pan z Miami, gdzie przebywał pod opieką władz stanowych.

– Wywozłem? Gówno prawda. Sam ze mną pojechał.

– Ale ukradkiem. Na torze wyścigowym wymknął się pilnującym go policjantom.

– Możliwe. Nic o tym nie wiedziałem. Nie byłem na torze. Powiedziałem: „Elroy, jeśli nie masz nic przeciwko temu, spotkajmy się na lotnisku”. I Elroy zjawił się na lotnisku.

Charlie Waldorf pochylił się nad biurkiem, przyjmując pozę psa szykującego się do ataku. Byłem pewien, że zjeżyły mu się włosy na karku.

– Rzecz sprowadza się do tego, Jaffe, że Elroy prosił jednego z zastępców prokuratora, człowieka nazwiskiem Baxter, o pozwolenie opuszczenia Miami. Czy powiedział ci, że Baxter mu odmówił? A jeśli tak, to w jaki sposób nakłoniłeś go do wyjazdu? Może mi odpowiesz.

Zanim chwycę cię za gardło, chciał pewnie dodać.

– Tylko dwaj ludzie znają odpowiedź na te pytania, Charlie. Jeden z nich nie może na nie odpowiedzieć, drugi nie chce. Ja nie przeszkadzałem wymiarowi sprawiedliwości. Ja próbowałem pomóc sprawiedliwości. A jeśli Diaz chciał zatrzymać Elroya w Miami, to właśnie było manipulowanie prawem.

Uznałem, że pora spuścić nieco z tonu. Ostatecznie stawką w tej grze mogła być moja wolność i prawo wykonywania zawodu.

– Żałuję, że tak się to skończyło. Naprawdę żałuję, bardziej pewnie niż pan. Ale co się stało, to się nie odstanie, więc nie dajmy się zwariować, okay?

– Masz pan kurewski tupet, Jaffe.

Jakbym słyszał Beldona Rutha. Ludzie uparli się mówić mi różne przykre rzeczy, ale ja nie chciałem ich słuchać. Uważałem, że tylko w ten sposób mogę przetrwać.

W windzie uderzyły na mnie siódme poty. Rozmawiając z Waldorfem, przez cały czas miałem chęć zrzucić buty, zedrzeć skarpetki i drapać się, drapać – paznokciami, a najlepiej kawałkiem papieru ściernego. Czy mogą mnie oskarżyć? Idiotyczne, ale istotnie mogli. Na swoim terenie prokurator stanowy jest udziałowym władcą. Wystarczy, że wstanie lewą nogą z łóżka, a może zażądać stu lat więzienia dla dziesięciu różnych osób. To, że nasz system prawa karnego musiał bazować na takich ludziach, było błędem. Już samo to, że w ogóle musiał bazować na ludziach, skazywało go na wieczną niedoskonałość.

Nie miałem już wątpliwości co do przyczyny trapiących mnie chorób. Musiałem ocalić życie Darryla Morgana; tylko w ten sposób mogłem ratować swoje zdrowie. Tydzień później ponownie poleciałem do Jacksonville i zaprosiłem Gary'ego Olivera na obiad do rybnej restauracji nad rzeką.

Gary postarzał się, osiwiiał, ale wydał mi się bardziej pewny siebie, a w jego oczach znalazłem jakby więcej ognia. Nie byliśmy nigdy na ty i teraz postanowiłem to zmienić. Nie traktowałem go dotąd jak równego sobie, częściowo dlatego, że miał problemy z piciem, częściowo ponieważ dwanaście lat temu okazał się tak marnym prawnikiem. Od kiedy jednak znów zacząłem palić, mój stosunek do osób, najogólniej mówiąc, uzależnionych uległ zasadniczej zmianie. Zaczynałem również dochodzić do wniosku, że na swój sposób Gary robił, co mógł, aby uratować Darryla Morgana. Nikt na jego miejscu nie osiągnąłby więcej. Wyczuwałem w nim coś, co moja matka określała słowami *sitzfleisch* – pewną przyziemną wytrwałość w dążeniu do celu.

Powinienem nauczyć się głębiej wnikać w ludzką psychikę i lepiej oceniać ich wartość.

Kiedy kończyliśmy koktajl z krewetek, powiedziałem:

– Gary, tym razem jesteśmy po tej samej stronie. Przyszedłem tu, bo potrzebuję twojej pomocy.

Oliver ostrożnie skinął głową. Kiedy rozmawialiśmy poprzednio, on sprzedawał. Tym razem ja sprzedawałem, a on kupował.

– Wtedy, w siedemdziesiątym dziewiątym, uważałeś, że Morgan jest winny, prawda?

– Jasne, chociaż wmawiał mi, że tego nie zrobił.

– Nie kusiło cię, żeby mu uwierzyć?

– Czy można siać zboże na betonie?

– Dlaczego więc powołałeś go na świadka?

– Sam chciał. Odwodziłem go od tego, jak mogłem, ale uparł się.

– On, nie ty?

– Myślisz, że jestem taki głupi? Zdecydowany był powiedzieć swoje, choćby wszystkie muły w Georgii miały dostać od tego zajęcej wargi.

– Ale występując jako świadek właściwie nigdy nie opowiedział swoje wersji wypadków tamtej nocy.

– Zgadza się. Wiedziałem, że to by mu tylko zaszkodziło. Przysięgli uważali go za winnego, co zresztą potwierdzili swoim werdyktem, ale za takie idiotyczne kłamstwo zażądałoby dla niego kary śmierci. Zabroniłem mu opowiadać tę historię. Mógł tylko powtarzać „Nie, nikogo nie zabiłem”. I wyglądało na to, że o to mu właśnie chodzi.

– Gary, chciałbym ci przedstawić kilka faktów i teorii. Spróbuj mnie wysłuchać. Umówmy się, że to jest cena, jaką musisz zapłacić za ten obiad.

– Jeżeli będę mógł pomóc temu chłopakowi, zrobię to.

Opowiedziałem mu o wszystkim, co gryzło mnie, od kiedy po raz drugi zaangażowałem się w sprawę *Florida versus Morgan*. Gary słyszał już, co stało się z Jerrym Lee Elroyem, a ja powiedziałem mu o swoim podejrzeniu, że Floyd Nickerson także kłamał twierdząc, że Darryl przyznał się do winy. Wspomniałem także o tym, że Carmen Tanagra potwierdziła moje podejrzenia. Mówiłem o dziwnych losach Nickersona, który z policji w Jacksonville zawędrował na pierwszorzędną posadę w należącym do ZiDevco osiedlu koło Gainesville, i o tym, jak Neil Zide wygadał się, że wie o

Nickersonie więcej, niż chce przyznać. Opowiedziałem o gwałtownej śmierci Victora Gambrela, szefa ochrony Zide Industries, człowieka, który pierwszy zjawił się w posiadłości Zide'ów po śmierci Solly'ego.

– Jaka jest więc twoja teoria? – zapytał Oliver.

– Założmy, że mój obecny, a twój były klient mówi prawdę. Był na terenie posiadłości Zide'ów – czemu zresztą nie przeczy – ale nie nacisnął spustu tego pistoletu, którego, nawiasem mówiąc, nikt nigdy nie widział.

Oliver przyjrzał mi się uważnie.

– Jedno wydaje się pewne, Zide sam się nie zabił. A pani Zide sama nie pokaleczyła sobie twarzy. Ktoś to musiał zrobić.

– Ktoś podobny do Darryła?

– Niewielu takich znajdziesz.

– A więc ktoś niepodobny do Darryła?

– Poza nim byli tam tylko pani Zide i jej syn.

– Właśnie – powiedziałem.

– To jest możliwe. Nieprawdopodobne, ale możliwe.

– Dlaczego nieprawdopodobne?

– Ona została naprawdę poważnie zraniona, Ted.

– Ale niekoniecznie przez włamywacza.

Zamyślił się na dłuższą chwilę, jakby badając nową teorię; sam to robiłem setki razy.

– Mógł ją zranić mąż. A wtedy go zastrzeliła.

– To niewykluczone.

– Nie wyglądasz na przekonanego.

Zapytałem Olivera, czy słyszał kiedyś o multimilionerze w średnim wieku kaleczącym twarz swojej żony.

Kiedy się zastanawiał nad odpowiedzią, dodałem:

– W obecności swego dorosłego syna.

– Brzmi to niespecjalnie – przyznał. – Ale to nie znaczy, że nie mogło się zdarzyć.

– Zostawmy to na chwilę. Przypuśćmy, że Darryl i William Smith poszli tam, żeby okraść dom Zide'ów. Że istotnie trafili na rodzinną awanturę i wystraszeni przez kogoś uciekli. Darryl twierdzi, że widział Connie na

tarasie. Równie dobrze ona mogła widzieć jego. Kłótnia skończyła się tym, że Zide zranił żonę w twarz, a ona go zastrzeliła. Zabiła go. Może tego nie chciała, ale wyobraź sobie tę sytuację: oto ma przed sobą zwłoki męża, leżące na podłodze werandy. Boi się. Niby to zabójstwo w obronie własnej, ale nigdy nic nie wiadomo. A jeśli powiedzą, że to było morderstwo? Skąd może wiedzieć. Nie myśli jasno. I wtedy coś przychodzi jej do głowy: „Już wiem! Zwałę to na Darryla Morgana. To tylko wielki, tępy czarnuch. I był tutaj. To fakt”.

Oliver wolno pokręcił głową.

– Musiałyby być niewiarygodnie podłą kobietą. Nie zrobiła na mnie takiego wrażenia.

– Nie, nie jest podła – powiedziałem. – Ale tak naprawdę to nigdy nie wiadomo, prawda?

Milczał, ale czułem, że moja koncepcja nie daje mu spokoju.

– Uważasz, że tak się to odbyło?

– Sam nie wiem.

Rzecz w tym, że nie mogłem sobie wyobrazić, aby kobieta, z którą łączył mnie tak intymny związek, która płakała w moich ramionach na Cumberland Island, Świadomie posłała na śmierć niewinnego człowieka. Pamiętałem przecież, że nie chciała śmierci Darryla. Współczuła mu, widziała w nim nieszczęśliwą ludzka istotę.

Ale może nie chciała jego śmierci, bo wiedziała, że jest niewinny?

Oliver podrapał się po policzku, pogładził szczękę.

– Jak do tego pasuje historia z zatrudnieniem Nickersona?

– Aż za dobrze. Po prostu to mogła być łapówka.

– A zabójstwo Gambrela?

– Możliwe, że nie ma związku z tą sprawą. Wiesz, jak to jest, kiedy próbuje się stworzyć teorię obrony. Człowiek chwytą się wszystkiego i niczego. – Dopiliśmy kawę i poprosiłem o rachunek. – Zanim zostałeś adwokatem, byłeś prywatnym detektywem. Beldon powiedział mi, że całkiem niezłym. Może byś trochę powęszył? Porozmawiał z potencjalnymi świadkami? Nigdy nie dotarłem do ówczesnego strażnika posiadłości Zide'ow. Może widział coś, czego nie zameldował policji? Moja propozycja wygląda

następująco: jeśli przepchnę swój wniosek apelacyjny w Tallahassee i dojdzie do przesłuchania świadków lub do ponownego procesu, poproszę cię, żebyś zajął miejsce obok mnie przy stole obrony. Otrzymasz za to normalne wynagrodzenie.

- Ile planujesz zarobić na tej sprawie? – zapytał Oliver.
- Figę z makiem.
- W porządku. Wezmę od ciebie równą połowę tej figi z makiem.

Przyglądałem się, jak Oliver pije wino. Wyglądało na to, że alkohol nie robi na nim wrażenia, że wszystko jest w normie. Dałem mu kopie moich zapisków.

Zmieniając temat, powiedziałem:

– Gary, podczas pobytu w Raiford pobiłem funkcjonariusza więziennego. Złamałem mu nos.

Oliver wytrzeszczył oczy.

– Nie chrzań.

– Podczas pełni księżyca przestaję być sobą. Skończyło się zbrodnią drugiego stopnia. Zechcesz mnie reprezentować w hrabstwie Bardford? Tym razem nie za figę z makiem, ale za normalne honorarium. I nie będziemy się spierać o jego wysokość.

– Do licha, masz zadatki na wilkołaka i łamiesz nosy klawiszom. Kto by się chciał z tobą spierać?

Tydzień później zadzwonił do mnie do Sarasota. Był w Bradford i zbadał sprawę na miejscu. Dokonał też wstępnych ustaleń: Clive Crocker skłonny był zrezygnować z roszczeń cywilnych w zamian za pokrycie kosztów leczenia i pięć tysięcy dolarów rekompensaty za cierpienia fizyczne i straty moralne. Obiecał wycofać wniosek o ściganie z oskarżenia prywatnego, co znaczyło, że zgadza się nie składać obciążających mnie zeznań. Reszta zależała od biura prokuratora stanowego w Bradford: mogli kontynuować dochodzenie, jeśli uznają, że sprawa jest do wygrania przy użyciu innych świadków.

- Dlaczego mieliby mi zrobić takie świństwo? – zapytałem.
- Ba, to ty byłeś prokuratorem – odparł Gary. – To ty mi powiedz.
- Bo lubią podkładać ludziom świnię.

– I, jak obaj wiemy, często to robią. Musisz pogodzić się z tym ryzykiem. – W słuchawce rozległ się jego chichot. – Wiesz oczywiście, że jeśli umorzą postępowanie, będziesz musiał podpisać zrzeczenie się roszczeń wobec biura szeryfa.

– I co jeszcze? Może zechcą, żebym stanął przed komisariatem i zbierał od przechodniów po pięć dolarów od łebka na doroczny piknik policjantów?

Po powrocie do domu zlikwidowałem jednak swój kapitał rezerwowy i następnego dnia Ruby wysłała potwierdzony czek do Raiford. Zastanawiałem się, czy nie podpisać go „Pierdol się”. Kto zwraca uwagę na podpisy? Ale ostatecznie nagryzmoliłem swoje nazwisko.

Toba zakończyła składanie zeznań i została poinformowana przez adwokata kobiety pająka, że na tym etapie postępowania jego klientka gotowa jest przyjąć odszkodowanie w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. W razie odmowy, pani Hart zamierza domagać się pół miliona.

– To kara boska za to, że zostałem prawnikiem – stwierdziłem.

– Co chcesz z tym zrobić? – zapytała Toba.

– Sprowadzić z Durango kilka skorpionów do kosza na brudną bieliznę pani Hart i parę brazylijskich piranii do jej bidetu.

Po obiedzie zacząłem się pakować. Powiedziałem Tobie, że wybieram się do Tallahassee, gdzie za sześć dni mam wystąpić przed stanowym Sądem Najwyższym. Wyglądała na zdziwioną:

– Myślałam, że przegrałeś tę sprawę już na wiosnę.

– Wtedy przegrałem, ale teraz chcę spróbować jeszcze raz i wygrać.

– I dlatego lecisz do Tallahassee prawie tydzień wcześniej?

– Muszę załatwić kilka spraw. Porozmawiać z pewnymi ludźmi, przepuścić kilku sędziów...

– Prawnicy powinni się żenić z prawniczkami – ponuro zauważyła Toba. – Tak byłoby sprawiedliwie.

Następnego dnia w toalecie firmy wpadłem na Harveya Royała i skozystałem z okazji, żeby zawiadomić go, iż ponownie wyjeżdżam na północ.

– Ted, ta sprawa staje się twoją obsesją.

– Istotnie – odparłem. – Powinieneś tego spróbować, Harvey. Jeśli

pominąć drobne dolegliwości w miejscach nie nadających się do pokazania w towarzystwie, obsesja wydobywa z człowieka to, co w nim najlepsze.

W Sądzie Najwyższym Stanu Floryda adwokat ma pół godziny na przekonanie siedmiu sędziów, że ludzka istota, będąca jego klientem, nie zasługuje na posadzenie na krześle elektrycznym i spalenie żywcem.

Siódemka sędziów przyglądała mi się z wielkim zainteresowaniem. Jest jakaś nadzieja, pomyślałem. Uda ci się. Zaraz im pokażesz.

Na podium po mojej lewej stronie znajdował się rząd światełek. Podczas mojego wystąpienia będą kolejno zmieniać barwę z zielonej na białą, odmierzając upływ czasu. Kiedy zapłoną kolorem czerwonym, będzie to znaczyło, że posłuchanie dobiegło końca. Należy wtedy dokończyć zaczęte zdanie i wyjść.

Rozpocząłem swoje wystąpienie od przypomnienia faktu, że podczas procesu przed dwunastoma laty sędzia Bill Eglin zwracał się do Darryla Morgana po imieniu, a nawet posunął się do nazwania go „chłopcem”. W ten sposób znieważał podsądnego i wpływał na stosunek doń ławy przysięgłych. Ówczesny obrońca Darryla Morgana nie zaprotestował przeciw tym praktykom.

Jeden z młodych sędziów podniósł dłoń i powiedział:

– Panie Jaffe, do czego pan właściwie zmierza? Powołanie się na nieprawidłowości postępowania sędziego mija się z celem, ponieważ, jak sam pan zauważył, obrona nie wniosła wtedy sprzeciwu. Nie będziemy więc tego słuchać. Jeśli natomiast chce pan dowieść niekompetencji obrony, muszę panu przypomnieć, że ta kwestia była już poruszana w tym sądzie. Czy zatem cokolwiek się zmieniło?

– Żywię głęboką nadzieję – rzekłem – iż zmieniło się nastawienie sądu do mojego klienta i że obecnie kieruje nim wola służenia sprawiedliwości i miłosierdzie. – Spojrzałem w lodowato zimne oczy sędziego i szybko dodałem: – Poza tym pojawił się nowy czynnik, a mianowicie ujawnienie kłamstwa w zeznaniach jednego ze świadków oskarżenia z 1979 roku. Wysoki Sąd ma przed sobą kopię jego oświadczenia. Nawiązałem do tego faktu w swoim wystąpieniu wstępnym.

Sędzia przewodniczący poprawił na nosie dwuogniskowe okulary i przebiegł wzrokiem po rozłożonych przed nim dokumentach.

– Panie mecenasie, czegoś tu nie rozumiem. W protokółach procesu mowa jest o oskarżycielu z ramienia stanu, niejakim Edwardzie M. Jaffe. A oto patrzę na pański wniosek apelacyjny i co widzę – obrońca Darryla Morgana nazywa się Edward M. Jaffe. Czy w stanie Floryda jest dwóch Edwardów M. Jaffe i obaj są prawnikami?

– Nic mi o tym nie wiadomo, Wysoki Sądzie.

– A więc to pan był oskarżycielem na pierwszym procesie?

– Tak, ja.

– Już samo to wydaje mi się dostatecznie nieprawidłowe, bym zadał sobie pytanie, co tu się właściwie dzieje i dlaczego dopuszczono do takiej sytuacji. Ale na domiar złego, panie Jaffe, świadek, który, jak pan teraz twierdzi, dopuścił się podczas procesu krzywoprzysięstwa, był... pańskim świadkiem!

– W rzeczy samej, Wysoki Sądzie.

Sędzia zmrużył oczy. Pochylił się i scenicznym szeptem odezwał się do mikrofonu:

– Czy nakłaniał go pan do złożenia fałszywych zeznań, panie Jaffe?

Doskonale wiedział, że tego nie zrobiłem, ale co mu szkodziło trochę się rozerwać. W końcu stawką w tej grze było raptem parę dziesiątków lat życia jakiegoś durnego czarnucha.

Wyjaśniłem, w jakich okolicznościach spotkałem Elroya w Sarasota i opowiedziałem, czym się kierował wyznając mi swoje winy. Zanim skończyłem, lampki na pulpicie zmieniły kolor na biały.

– Pięć minut, panie mecenasie – tonem przestrogi odezwał się któryś z sędziów.

Podsumowałem swoje argumenty, sformułowałem wniosek końcowy. Sędziowie opuścili salę rozpraw.

Wrócili po dziesięciu minutach i zajęli miejsca przy stole w kształcie podkowy.

Głos zabrał sędzia przewodniczący:

– Nie chcemy niepotrzebnie przeciągać tej sprawy i przedłużać nie-

pewności skazanego. Ten sąd lepiej niż inne rozumie powagę wyroku śmierci. Ale ten sąd wie także, do jakich wybiegów uciekają się wnoszący apelację, i oświadcza, iż nie będzie tolerował prób pośredniego kwestionowania wyroku poprzez wytaczanie innego powództwa. Prób, których jedynym celem jest sianie zamętu i opóźnianie zamknięcia sprawy. Uważamy za niedopuszczalne, by ta sama osoba występowała jako oskarżyciel na procesie, a potem, choćby i po dwunastu latach, reprezentowała skazanego w postępowaniu apelacyjnym. Jesteśmy zdania, że Florydzkie Stowarzyszenie Prawników podziela naszą opinię. Zdajemy sobie sprawę z faktu, że proces pana Morgana nie był doskonały; niewiele procesów zasługuje na takie określenie. Ale nie dopatrzyliśmy się w nim zasadniczych uchybień. Wyrok zostaje utrzymany w mocy.

Sędzia stuknął młotkiem w stół. Zapłonęło czerwone światło.

Moją największą ambicją było stanąć przed Sądem Najwyższym i ocalić życie niewinnemu człowiekowi. I to moje młodzieńcze marzenie legło w gruzach. Stan chciał śmierci Darryla Morgana.

– Popelniacie poważny błąd – powiedziałem.

Takie zachowanie urągało wszelkim zasadom przyjętym na tej sali.

– Co pan powiedział? – odezwał się przewodniczący.

– Twierdzę, panie sędzio, a znam tę sprawę lepiej od pana, że popelniacie poważny błąd.

– Panie Jaffe, za tę uwagę moglibyśmy oskarżyć pana o obrazę sądu.

– Istotnie, moglibyście – odparłem i opuściłem salę rozpraw.

23

Nie zdołałem ocalić życia Darrylowi Morganowi i ta porażka wtrąciła mnie w otchłań bezdennej depresji. Życie jednak toczyło się dalej. Choć moje myśli skupiały się na Darrylu, istniały przecież inne sprawy, z którymi musiałem sobie radzić.

Także Toba przeżywała trudny okres.

– Ta recesja – mówiła – może człowieka wykończyć. – Telefon w jej biurze milczał; nie było interesów, nie było zarobków.

Szukała ucieczki w wyznaczaniu sobie celów zastępczych: nauczyć się hiszpańskiego; popracować na rzecz ruchu zwolenników dopuszczalności aborcji; przytyć dwa, trzy kilogramy, ale tak, żeby poprawić się na twarzy, nie w biodrach.

Cathy znalazła na lato pracę kelnerki w restauracji rybnej na Quay. Alan pracował w warsztacie samochodowym na St. Armands Key. Podczas któregoś z weekendów wypuścił się z przyjaciółmi na biwak pod namiotami nad Caloosahatchee River. Po powrocie opowiedział Tobie, że nie potrafili porządnie rozstawić namiotu i kiedy zaczął padać deszcz, on i jeden z jego kolegów schronili się w wagonie kolejowym, który otwarty stał sobie na jakiejś bocznicy; po prostu wgramolili się do środka i poszli spać. O szóstej rano obudzili ich dwaj policjanci i w kajdankach zaprowadzili do Fort Meyers, siedziby władz hrabstwa Lee, gdzie chłopcy zostali aresztowani za naruszanie własności prywatnej.

– Jak jacyś kryminaliści? Co za bzdura! – zawołała Toba.

Alan był zdania, że sam poradzi sobie z tą sprawą.

Toba opowiedziała mi o wszystkim dopiero wieczorem.

– Jeśli się przyzna, jak wysoka może być grzywna?

– Kilkaset dolarów. Nie martw się, pewnie pozwolą mu to odpracować... Będzie zbierał śmieci w parku albo zdrapował graffiti ze ścian szkoły.

Aby ułatwić Alanowi zapłacenie grzywny, Toba postanowiła uregulować jego rachunek u Dorothy Buford. Zadzwoiła, żeby się z nią umówić.

– Alan nie jest już moim pacjentem – powiedziała terapeutka. – Od trzech tygodni.

– Tak? Mogę wiedzieć, dlaczego pani z niego zrezygnowała?

– To on zrezygnował. Uznał, że niepotrzebna mu jest żadna terapia.

Przez cały tydzień Toba dusiła w sobie tę wiadomość. Pewnego dnia, oglądając zachód słońca ze szklanką wódki z tonikiem w rękę, zrobiła krok w niewłaściwym kierunku i wpadła do basenu. Wynurzyła się i z trudem łapiąc powietrze wygramoliła się na brzeg, zostawiając pływające na powierzchni wody kostki lodu, skrawek cytryny i szklankę do koktajli. Poszła do sypialni i przebrała się w suche ubranie.

Następnie zadzwoniła do Dorothy Buford.

– Ma pani wolny termin? Może zajęłabym miejsce mojego syna? Nie bardzo radzę sobie z pewnymi problemami... Za dużo ostatnio piję. Dzisiaj wpadłam w ubraniu do basenu.

Wieczorem, kiedy wróciłem z biura, opowiedziała mi swoją przygodę. Zacząłem chodzić po pokoju, wyłamując palce.

– Nie wymyśliłaś tego przypadkiem? – spytałem.

– Dlaczego tak się denerwujesz? Nic mi się nie stało.

– Pamiętasz, jak kiedyś opowiadałem ci o pewnej kobiecie, moim świadku, która wpadła w ubraniu do basenu?

– Słabo, ale coś sobie przypominam.

– Wyłowiłem ją.

– I co?

– Nic. Tylko dziwne, że znów to się zdarzyło.

– Mnie nie wyłowiłeś. – Toba była zaskoczona i zbita z tropu. – Poza tym nie jestem twoim świadkiem. Jestem twoją żoną. Byłam podpiita, dlatego wpadłam do basenu.

Usiadła i opowiedziała mi, czego dowiedziała się o Alanie.

Zostawiłem mu kartkę: „Synku, obudzę cię przed wyjściem do biura. Chcę z tobą porozmawiać o twojej decyzji przerwania leczenia”.

Kiedy o szóstej trzydzieści rano zszedłem do kuchni, Alan był już na nogach i właśnie zalewał mlekiem płatki śniadaniowe.

– No tak – mruknął smutno – znów spieprzyłem sprawę.

– Też bym to tak określił. – Postawiłem czajnik na gazie. Doszedłem do wniosku, że herbata lepiej mi zrobi niż kawa.

– Powiem ci, co się stało – zaczął Alan.

Uznawszy terapię Dorothy Buford za zawracanie głowy, przez ostatnie trzy tygodnie wydawał otrzymane od nas pieniądze na marihuanę.

– A ta historia, którą wam opowiedziałem o tym, co się działo nad Caloosahatchee, to bzdura. Siedzieliśmy w samochodzie zaparkowanym nad rzeką. Gliniarze zwinęli nas o pierwszej w nocy, bo wydaliśmy się im podejrzani. Znaleźli marihuanę, dwie uncje minus to, co zdążyliśmy wypalić. Oskarżyli nas o posiadanie narkotyków.

– Jak podobało ci się w więzieniu?

– Nie bardzo.

I jeszcze jedno, powiedział. To nieprawda, że zdał egzaminy z fizyki i historii USA. Żadne świadectwo nie nadejdzie pocztą.

– Myślałem, tato, o wyjeździe do San Francisco. Jest tam teraz mój przyjaciel, Bobby Woolford. Ma mieszkanie i pracę; mógłbym się u niego zatrzymać. Nie ma obawy, on nie bierze. Zawsze chciałem pojechać do Frisco.

– Jeśli już tam pojedziesz – powiedziałem – nie mów nigdy „Frisco”. Miejscowi cię za to ukamienują. – Wsypałem do czajniczka porcję mieszanki irish breakfast i earl grey, przygotowanej według mojej własnej, najwłaściwszej, jak sądziłem, receptury. Zacząłem wlewać wrzątek do naczynia i gorący aromat – woń dalekiego kraju – wypełnił moje nozdrza. Chciałbym tam teraz być, siedzieć na słomianej macie i chłonać tajemnice bytu.

Wieczorem zwołałem w salonie naradę rodzinną. Powiedziałem, że zamie-

rzam przedstawić Alanowi pewną propozycję. Chciałem, żeby wszyscy byli przy tym obecni.

Zwracając się do syna, powiedziałem:

– Chcę ci podziękować za szczerość. Teraz wiem, skąd się brało twoje przygnębienie czy nawet myśli samobójcze. Trzeba by mieć jaja z żelaza i serce ze stali, żeby nie być przygnębianym twoim życiem. Bo jeśli ktoś w kółko powtarza ten sam błąd, prędzej czy później musi się poczuć jak zamknięty w klatce szczur.

Alan spuścił głowę, milczał.

– Zadzwoiłem dzisiaj do kilku osób – ciągnąłem. – Rozmawiałem z pewną prawniczką z Jacksonville, której brat był narkomanem uzależnionym od kokainy. Przeszedł leczenie w zamkniętym ośrodku dla narkomanów na północy stanu Nowy Jork. Skontaktowałem się z kierownikiem tego ośrodka i ten powiedział mi, że znajdzie dla ciebie miejsce. Chce się z tobą spotkać na Manhattanie za tydzień od dziś. Odbędziecie coś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej. Pojedziemy razem do Nowego Jorku.

– Tato, mówiłem ci, że chcę jechać do San Francisco.

– Tak, słyszałem. Ale rozmawiałem też z prokuratorem z Fort Myers. On wie, że raz już byłeś zatrzymany, wtedy na Siesta Beach. Może ci teraz zafundować trzydzieści dni terapii więziennej. Jeśli wyjedziesz do San Francisco przed załatwieniem tej sprawy, roześlą za tobą listy gończe. Ale jeśli zdecydujesz się na ośrodek w Nowym Jorku, stan Floryda odstąpi od ścigania.

Dyskutowaliśmy przez ponad godzinę.

– Alanie – powiedziałem na koniec – do piątku chcę znać twoją odpowiedź. Pamiętaj, co ci ostatnio powiedziałem? Nie zmieniłem swojego stanowiska. Nie możesz dłużej zostać w tym domu. Albo podejmiesz leczenie, albo wyniesiesz się stąd na zawsze.

W czwartek rano Alan, nie ogolony, znów czekał na mnie przy stole w kuchni.

– Niech będzie – powiedział cicho.

Kiedy wygrałeś, kiedy druga strona przystała na twoje warunki, nie

okazuj zadowolenia, nie wdawaj się w roztrząsanie szczegółów. Po prostu odejść. Zadzwoń, gdzie trzeba, i w piątek odlecieliśmy do Nowego Jorku.

Zatrzymaliśmy się w hotelu naprzeciw Central Parku. Biurowce ze szkła i stali wystrzelały w niebo, a w ich cieniu koczowali bezdomni. Na Fifth Avenue czarni mężczyźni sprzedawali podrabiane rolexy. Żebracy zaczęli przechodniów. Piękne kobiety, białe, czarne, przechadzały się po chodnikach, postukując obcasami.

- Lubisz Nowy Jork, tato?
- Tak, ale wątpię, czy umiałbym powiedzieć dlaczego.
- Straszne miasto.

Straszna planeta, chciałem mu powiedzieć.

Ośrodek dla narkomanów, mieszczący się w odrapanym budynku z brunatnego piaskowca na wschód od Broadwayu, składał się z recepcji, kilku pokoi biurowych i pomieszczeń mieszkalnych, ulokowanych w suterenie. Mimo wczesnej godziny było gorąco; budynek nie miał klimatyzacji. Za biurkiem w recepcji siedziała młoda Portorykanka z czerwonymi plastikowymi lokówkami we włosach. Zauważyłem karalucha umykającego spod schładzacza wody.

Usiedliśmy z Alanem na ławce w holu. Po chwili dołączyli do nas trzej młodzi ludzie – dwaj Murzyni, jeden Latynos. Byli wychudzeni i wyglądali na zmartwionych. Alan ścisnął między kolanami niewielką walizkę, w której przywiózł swoje rzeczy. Staralem się patrzeć na to miejsce jego oczyma. Znalazł się oto na krawędzi obcego mu świata, do którego wcale nie było mu spieszno. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało w porządku, ale wejście w ten świat mogło się okazać zadaniem ponad jego siły. Uśmiechnąłem się, próbując dodać mu otuchy. Chyba niewiele jednak udało mi się osiągnąć.

Przyjęła nas trzydziestokilkuletnia kobieta, drobna, o ostrych rysach; nazywała się Germaine Price. Wprowadziła Alana do malutkiego, pozbawionego okien gabinetu, w mnie poleciła czekać na zewnątrz.

Alan wyszedł po dziesięciu minutach.

- Tato – powiedział – mogę porozmawiać z tobą w cztery oczy?
- Weszliśmy do pustego pokoju ze stojącą pod ścianą starą szkolną

ławką.

– To jest ośrodek dla kompletnych ćpunów, dla ludzi z getta. To miejsce, dokąd ich wysyłają, ta ich wspólnota terapeutyczna, znajduje się dwieście kilometrów na północ, w górach, niedaleko miasta Oakwood. Przez pierwsze dwa miesiące nie wolno stamtąd nawet zadzwonić. Przez trzy miesiące nie wolno przyjmować żadnych wizyt. Nie wolno wychodzić poza teren ośrodka. To prawie więzienie. Ja tego nie potrzebuję.

– A czego potrzebujesz, Alanie?

– Myślę, że mógłbym jakoś załatwić tę sprawę w Fort Myers. Pójść do sądu, wyjaśnić wszystko sędziemu. Potem pojechałbym do San Francisco, znalazł pracę. Sam dałbym sobie radę z narkotykami.

– To wszystko pieprzenie w bambus, synu. Chcę porozmawiać z panią Price. Zaczekaj tu, dobrze?

Wchodząc do pozbawionego okien gabinetu, zastanawiałem się, czy Alan będzie na mnie czekał, gdy stamtąd wyjdę. Wyobrażałem sobie, jak mówię Tobie na lotnisku w Sarasota: „Przykro mi, ale zgubiłem naszego syna na rogu Sto Czwartej i Broadwayu”.

Usiadłem naprzeciw Germaine Price i powiedziałem:

– Czy mój syn naprawdę kwalifikuje się do leczenia w pani ośrodku, czy może nie trzeba uciekać się do tak drastycznych metod?

– Panie Jaffe, gwarantuję panu, że jeśli pański syn nie zdecyduje się na leczenie, nasze lub podobne, niebawem umrze.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Sięgnąłem po papierosa; pierwszego tego dnia.

– Przypuszczam, że pani przesadza – powiedziałem.

– Nie. Tacy jak on nie żyją długo. Umierają na AIDS, wskutek wycieńczenia, niedożywienia, przedawkowania. Giną w więzieniach. Niektórzy są nawet całkiem inteligentni, zwykle mają dobry charakter, jak przypuszczalnie pański syn. Zawsze dużo kłamią. I łamią serce swoim bliskim.

– Jakie są pani kwalifikacje, pani Price?

– Przewyciężony nałóg i magisterium z psychologii społecznej. Wróciłem do pokoju, gdzie zostawiłem Alana; siedział na ławce, bębniąc palcami w porysowane drewno. Spojrzał na mnie zgaszonym wzrokiem. Jednak

nie uciekł.

– Nie mogę za ciebie podjąć decyzji, synu – powiedziałem. – Ja też musiałem dokonać wyboru i dokonałem go. Jeśli nie rozpoczniesz leczenia, umyvam ręce od twoich problemów. – Podkreśliłem wagę swoich słów gwałtownym gestem obu rąk; czułem, że serce ściska mi się z bólu.

Alan skrzywił się jak do płaczu i powłócząc nogami wyszedł z pokoju.

Po półgodzinie Germaine Price zawiadomiła mnie, że Alan jest w suterenie, gdzie odbywa się – jak oni to nazywają – przystąpienie do wspólnoty. Zgodził się na leczenie w ośrodku. Pani Price wzruszyć ramionami; dla niej nie było to nic nowego. Żadne zwycięstwo, raczej dopiero początek.

Alan wrócił z sutereny w towarzystwie dwójki młodych Murzynów w skórzanych kurtkach i porwanych dżinsach. Jeden z nich wyróżniał się wzrostem i przypominał młodszego, szczuplejszego Darryla Morgana.

– Kim oni są? – zapytałem Alana, kiedy obaj czarni zniknęli w gabinecie pani Price.

– Należą do rodziny. Stali bywalcy; nazywają ich poganiaczami. Bucky i Jack. Byli tu na przepustce. Pojedziemy razem do Oakwood.

Już zaczynał chwytac miejscowy żargon. Już był młodszym białym braciszkiem Bucky'ego i Jacka.

– Jak ma na imię ten wysoki?

– Jack. Dlaczego pytasz?

– Przypomina mi kogoś.

Wyszliśmy na taras przed domem. Padał deszcz, krople bębniły o beton. Przez te wszystkie lata, kiedy pracowałem jako prokurator, ilu ojców, ile matek żegnało w ten sposób swoje dzieci? Spojrzałem na twarz Alana i zauważyłem, że jest bliski łez. Trzymał się jednak; jechał do Oakwood. Przytuliłem go i szepnąłem:

– Powodzenia, synu.

Wypuściłem go z objęć, uśmiechnąłem się z trudem i ruszyłem przez deszcz ku Broadwayowi. Nie miałem parasola, ale w tej chwili to było bez znaczenia. Przeszedłem kilka kroków i odwróciłem się. Chciałem pomachać Alanowi, już podnosiłem rękę – ale taras był pusty.

Jednym z powodów, dla których wyprowadziliśmy się z Jacksonville,

było przekonanie Toby, że jest tam „zbyt czarno”. „A czarni oznaczają więcej przemocy – powiedziała – więcej narkotyków”.

Uśmiechnąłem się, nie bez goryczy. Oto przed chwilą leczenie Alana powierzyłem czarnej wspólnocie.

Ze skrzyżowania Sto Czwartej z Broadwayem pojechałem prosto na lotnisko La Guardia. Pora była wrócić do sprawy Darryla Morgana, a czasu zostało niewiele. Miałem jednak pewien plan. Nie wróciłem do Sarasota. Poleciałem do Orlando, a tam przesiadłem się na samolot do Gainesville.

Po raz pierwszy zobaczył mnie w biały dzień: siedziałem za kierownicą wynajętego samochodu i przyglądałem się, jak wyprowadza z supermarketu wózek pełen zakupów.

Miał na sobie zwykle bawełniane spodnie w jasnym kolorze i luźny biały golf w rodzaju tych, które chętnie noszą mężczyźni w średnim wieku dla zamaskowania brzuszka. Obserwowałem go już wewnątrz sklepu; siedłem za nim, kiedy pakował do wózka dwa kartony lowenbrau dark special, kwartę soku pomarańczowego, dwa kawałki polędwicy wołowej, pół kilograma obranych krewetek i lody czekoladowe – sprawunki człowieka o eklektycznym guście kulinarnym i raczej nie liczącego się z pieniędzmi; był rozwieziony i robił zakupy tylko dla siebie.

Kupiłem paczkę ziemniaczanych prażynek i zapłaciwszy w kasie gotówkowej wyszedłem przed nim. Usiadłem w samochodzie i czekałem.

Usłyszałem potrójny, melodyjny sygnał, gdy Floyd Nickerson wyłączył alarm w swoim buicku. Podniósł wzrok i wtedy napotkał moje spojrzenie. Nie było nic niezwykłego w widoku mężczyzny siedzącego w zaparkowanym kilka metrów dalej samochodzie i palącego papierosa, chociaż mężczyzna ten przyglądał mu się dziwnie uważnie. Nickerson obojętnie odwrócił wzrok.

Jednak zauważył mnie; a o to mi właśnie chodziło.

Jego dom stał przy ulicy biegnącej skrajem pola golfowego Orange Meadow

– zaprojektowanego przez Roberta Trenta Jonesa, jak głosiła broszura reklamowa – mniej więcej na wysokości piątego dołka. Tego wieczora jadł w domu. Kilka minut po siódmej odwiedziła go kobieta, masywna blondyna około czterdziestki. Siedziałem w samochodzie po drugiej stronie ulicy i czekałem, aż wyjdzie, ale około północy dałem spokój i wróciłem do motelu nie opodal kampusu w Gainesville.

Miałem nadzieję, że nie robię z siebie głupca; nie było to jednak wykluczone. Musiałem uzbroić się w cierpliwość i modlić się, by dopisało mi szczęście.

O siódmej trzydzięci rano znów byłem przed jego domem. Kilka minut po ósmej uniosły się drzwi garażu i wyłonił się z nich jadący tyłem jeep cherokee z blondyną za kierownicą. Nickerson owinięty w biodrach mokrym ręcznikiem wyszedł na podjazd, aby pomachać jej na pożegnanie.

Wtedy znów mnie zobaczył.

Policzyłem w myślach do pięciu. W swoich reakcjach nie jesteśmy znowu tak bardzo różni od naszych zwierzęcych przodków; pięć sekund to bardzo długo dla dorosłego mężczyzny, na którego gapi się inny dorosły, nie znany mu mężczyzna: nie spuszcza oczu, nie uśmiecha się i nic nie mówi. Te pięć sekund to mniej więcej tyle, ile mężczyzna może wytrzymać bez zażądania wyjaśnień. Wyczytałem to wszystko z książki poświęconej metodom inwigilacji policyjnej i technikom śledczym.

Włączyłem silnik, zawróciłem i opuściłem teren Orange Meadows Estates. Tutaj Floyd Nickerson był panem i w każdej chwili mógł wezwać ochronę. Ostatecznie nadal był jej szefem.

Jechałem za samochodem blondyny aż na University Boulevard w Gainesville. Wysiadła przed biurem sprzedaży nieruchomości. Było to jedno z tych nowoczesnych, oszklonych biur, do których można zaglądać z ulicy i cieszyć się widokiem urzędników przy biurkach zajętych wytwarzaniem atmosfery wytężonej pracy. Jej biurko stało tuż przy oknie od ulicy. Nie zatrzymałem się; zwolniłem tylko, obejrzałem sobie wnętrze biura i pojechałem dalej.

Przez resztę dnia byłem już ostrożniejszy. Nickerson bez wątpienia spodziewał się dalszego ciągu. Gdybym miał więcej czasu, wyjechałbym z

miasta, wrócił do Sarasota, pozwolił mu poddusić się trochę na wolnym ogniu.

Ale nie miałem czasu.

Wieczorem zadzwoniłem do niego z automatu na stacji benzynowej. Usłyszałem burkliwe „Tak?” i odłożyłem słuchawkę.

Rano najpierw wstąpiłem do Avis, firmy wynajmu samochodów, a następnie raz jeszcze przejechałem koło jego domu. Około pięćdziesięciu metrów od wjazdu na teren posesji stał wóz patrolowy służby ochrony Orange Meadow Estates, z dwójką mężczyzn na przednim siedzeniu. Ubrani byli w stalowoszare mundury o zdobionych czerwienią naramiennikach. Szukali białego chevroleta, którym jeździłem poprzedniego dnia. Dziś jednak prowadziłem brązową toyotę.

Dokądkolwiek się teraz ruszy, będzie mnie wypatrywał. Może mnie nawet zobaczyć tam, gdzie mnie wcale nie będzie.

Gra nabierała rozpędu. Gra, w którą dorośli ludzie zwykle nie grają, chyba że są do tego zmuszeni.

Na jej biurku stała tabliczka z napisem: SUZANNE BYERS. Wkroczyłem do chłodnego wnętrza biura z rozgrzanej słońcem ulicy, otarłem pot z czoła i z westchnieniem ulgi opadłem na fotel naprzeciw biurka.

– Nazywam się Ted Klauber – oznajmiłem. – Jestem psychoanalitykiem, mieszkam w Jacksonville. Zamierzam przeprowadzić się w okolice Gainesville i szukam domu do kupienia. Mam nadzieję, że zechce mi pani pomóc, pani Byers.

– Trafił pan pod właściwy adres, panie Klauber – odrzekła wesoło.

Dopiero po kilku minutach przyszło jej do głowy, żeby zapytać, dlaczego wybrałem akurat tę firmę i dlaczego skierowałem się właśnie do niej, Suzanne Byers.

– To był odruch – wyjaśniłem. – Zobaczyłem panią z ulicy i pomyślałem: dlaczego nie pójść do Suzanne? Tak samo zależy jej na zrobieniu interesu, jak komuś, kogo mi polecono. I oto jestem.

Tak wykrętne tłumaczenie powinno obudzić jej podejrzliwość, i o to mi właśnie chodziło. Z drugiej strony musiała mnie traktować jak potencjalnego

klienta. Wyglądałem solidnie, pałałem wprost chęcią kupna domu, a recesja porządnie dała się we znaki rynkowi nieruchomości.

Nim dojechaliśmy do pierwszego domu, opowiedziałem jej historię swojego życia, częściowo prawdziwą, częściowo – wbrew przestrogom mojej matki, że lepiej nie kłamać bez potrzeby, bo wtedy człowiek nie musi pamiętać, co powiedział – zmyśloną. Ona również streściła mi swój życiorys. Pochodziła z Michigan, kolejne etapy jej życia wyznaczały: studium dla sekretarek, małżeństwo, potem kurs programowania komputerowego, rozwód i – przed dziesięcioma laty – przeprowadzka na Florydę.

- Nie ma pani dzieci?
- Dwoje. Są już dorosłe, po studiach.
- Nie do wiary. Na czym polega pani sekret, Suzanne?

Uśmiechnęła się zadowolona.

- Rozumiem. W pani życiu jest jakiś mężczyzna – powiedziałem.
- Tak. Prawdę mówiąc, jest.
- Przekonajmy się, czy zgadnę: po pięćdziesiątce, oczywiście bardzo męski, niezależny. Niezbyt bogaty, ale dobrze sytuowany. Rozwodnik, bezdzietny.

- Wspaniale! – zawołała.
- Dziękuję.
- Musiał mnie pan szpiegować.
- Proszę mi o nim powiedzieć – uśmiechnąłem się.
- Wie pan, Ted, lepiej nie. Raczej nie powinienam.

Chyba uznała, że się do niej przystawiam. Tego nie było w moich planach.

- W moim życiu też jest pewna kobieta – pochwaliłem się. – Zajmuje się ziołolecznictwem i irydologią w Jacksonville. Jest byłą policjantką.
- Naprawdę? To zabawne.
- Dlaczego? Czy pani przyjaciel też jest eks-policjantem?
- Tak. I też pochodzi z Jacksonville. Pracował w Wydziale Zabójstw.
- Niemożliwe! To tak jak moja dziewczyna. Może się znają?
- Opuścił Jacksonville dawno temu.
- Jak on się nazywa?

– Floyd – odparła i rzuciła na mnie ukradkowe spojrzenie, jakby sprawdzając moją reakcję.

– To imię czy nazwisko?

– Nazwisko.

Doskonale. A więc czuła się zaniepokojona.

– Czym on się teraz zajmuje? – zapytałem.

– Naprawdę, nie powinnam o tym mówić.

– Gliniarze z reguły podejmują pracę w ochronie – stwierdziłem.

– Tak?

– Owszem. Jeśli mają szczęście.

Obejrzelśmy dwa domy. Oba mi nie odpowiadały; jeden był za duży, drugi za mały.

– Odezwę się za kilka dni – obiecałem. – Może przez ten czas coś pani znajdzie.

– Gdzie się pan zatrzyma?

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Ale na razie pan nie wyjeżdża.

– Zostanę jeszcze kilka dni. Zadzwońię do pani.

W motelu na University Boulevard zameldowałem się pod prawdziwym nazwiskiem. Nietrudno było mnie znaleźć, jeśli jako eks-glina miało się odpowiednie kontakty i solidny powód do podjęcia poszukiwań. Suzanne dostarczy mu tego powodu: zaopatrzy także w mój rysopis.

Nickerson miał odpowiednie kontakty i był szybki.

Wieczorem zjadłem obiad w restauracji na skraju miasta i szosą numer 441 ruszyłem w stronę Orange Meadow Estates.

Tym razem w pobliżu domu Nickersona nie było wozu patrolowego. Za to od pewnego czasu jechało za mną jakieś volvo. Zauważyłem je tuż po opuszczeniu motelu, ale do tej chwili nie byłem pewien, czy istotnie jestem śledzony.

Volvo przyśpieszyło, wyprzedziło mnie i skręciło gwałtownie, zajeżdżając mi drogę. Wcisnąłem hamulec.

Nickerson wyskoczył z wozu; to samo uczynił towarzyszący mu mężczyzna, jeden z ochroniarzy, których widziałem rano w wozie patrolowym.

Teraz nie miał na sobie szarego munduru z kolorowymi naramiennikami; powiedziałbym, że ubrany był na sportowo. Pozostał przy otwartych drzwiach volvo, gdy tymczasem Nickerson w kilku krokach dopadł mojej toyoty i chwycił za klamkę. Drzwi nie były zablokowane.

– Wyłaż, Jaffe.

Chyba nie miał broni i ten fakt dodawał mi otuchy – zważywszy na okoliczności – raczej nieuzasadnionej. Był gliniarzem, człowiekiem doświadczonym w stosowaniu przemocy, muskularnym i silnie zbudowanym. Do tego miał wsparcie.

– O co ci, do diabła, chodzi? Czego się wpięprzasz w moje życie? – mówiąc zaciskał i otwierał dłonie.

W ciemności nie widziałem jego twarzy, ale na pewno był czerwony ze złości. Chętnie by mnie pobił. Pomyślałem, że się boi.

Moje milczenie wyraźnie mu się nie podobało.

– Śledzisz mnie w supermarkecie – mówił napastliwym tonem – nachodzisz moich przyjaciół. Napytasz sobie biedy, kolego.

– Porozmawiajmy, Nick.

– Nie mamy o czym rozmawiać.

– Może o starych dobrych czasach? Kiedy jeszcze nie zdążyłeś się sprzedać?

– Pierdol się – mruknął.

Słyszałem jego przyspieszony oddech. Nie, on nie chciał mnie pobić. Chciał mnie zabić.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie odwołać się do jego sumienia. Musiał mieć jakieś sumienie. Robił straszne rzeczy i może ich wspomnienie dręczyło go po nocach, nie dając spać. Może w głębi duszy chciał być przyzwoitym człowiekiem, naprawić wyrządzone zło?

Jakoś nie bardzo mogłem w to uwierzyć.

– Mam oświadczenie – powiedziałem – złożone pod przysięgą przez Jerry'ego Lee Elroya. Pamiętasz go?

– Nie – odrzekł i niewykluczone, że mówił prawdę.

– Dwanaście lat temu siedział w jednej celi z Darrylem Morganem w więzieniu hrabstwa Duval. Załatwiłem mu umorzenie sprawy o pobicie. A

potem namówiłeś go do skłamania w sądzie, że słyszał, jak Morgan przyznał się do zamordowania Solly'ego Zide'a.

Cofnął się o krok.

– Elroy złoży zeznanie, Nick. Pójdiesz siedzieć.

Nie wiedział, że Elroy nie żyje. Odwrócił się w stronę volvo i zawołał:

– Patrick, ten dżentelmen i ja przejdziemy się trochę po polu. Zostań tutaj i miej oko na jego samochód, dobrze?

– Tak jest – dobiegł z ciemności głos Patricka.

Nim zdecyduje, co ze mną zrobić, Nickerson chciał ustalić, co wiem. I wołał nie ryzykować, że ktoś nas podsłucha.

Prowadził mnie przez pole golfowe, silną dłonią ściskając za ramię.

– Grasz w golfa? To turniejowe pole. Piąty dołek jest akurat naprzeciwko mojego domu.

Minęliśmy rozłożysty dąb, wspięliśmy się na wyżej położoną, trawiastą część pola. Po lewej stronie widziałem niewyraźne zarysy dwóch szerokich rowów z piaskiem i taflę jeziora.

Od wody ciągnęło chłodem i wilgocią. Z daleka dobiegło pohukiwanie sowy. Zatrzymaliśmy się na skraju pierwszego rowu. Nickerson oparł ręce na biodrach i stanął naprzeciwko mnie

– Pamiętam Elroya – rzucił. – Ale ta twoja historyjka to wielkie gówno.

– Ty też kłamałeś w sądzie, Nick. Zeznałeś, że Morgan przyznał ci się do popełnienia morderstwa. To dopiero było wielkie gówno.

Parsknął przez nos, ale nic nie odpowiedział.

– Carmen Tanagra to potwierdzi.

– Musiałaby skłamać.

– Zobaczymy, co na to powie sędzia. A nie będzie nim Bill Eglin.

– Wszystko gówno, powiadam.

Spoza chmur wyłonił się wąż sierp księżyca. Odetchnąłem głęboko.

– Nic, próbuję dać ci szansę. Masz nowe życie, nową dziewczynę. Chcesz to wszystko stracić? Sąd może nakazać ujawnienie twojego konta w Barnett Bank. W marcu 1980 roku byłeś z żoną na Wyspach Bahama. Miałeś z sobą pieniądze, które dostałeś od Neila Zide'a. Później spłaciłeś nimi swój dług hipoteczny w Jacksonville. Masz tutaj wymarzoną posiadłość. Czy mam

uwierzyć, że to nagroda za złapanie Morgana i zastrzelenie Smitha? Nie, Nick, to łapówka od Neila Zide'a.

W ciągu minionych trzech tygodni Gary Oliver odkrył mnóstwo interesujących faktów.

Po chwili milczenia Nickerson powiedział:

- Ten wielki Murzyn strzelił do Solly'ego Zide'a i zabił go. To jest fakt.
- Nie, nieprawda, Nick.
- Jeśli nie on, to kto?

Starał się, żeby to pytanie zabrzmiało szczerze, ale wiedziałem już zbyt wiele, by mu uwierzyć.

- Może ty? – podsunąłem.

Wybuchnął śmiechem.

– Masz rację. Żartowałem. Wiem, że to nie ty.
– Świetnie – odparł, chichocząc.
– Jedyne, co masz na sumieniu, to niszczenie dowodów i manipulowanie świadkami. Nie sądzę, żeby wlepili ci za to więcej niż dziesięć lat w Raiford.

Przestał się śmiać. Zauważyłem, że znowu zaciska pięści.

– Oczywiście, jeśli zabiłeś Gambrela i zdołają ci to udowodnić, zamienisz się miejscami z Morganem. Co zrobiłeś z pieniędzmi od Neila, Nick? Założyłeś sobie konto w Bank of Nova Scotia w Nassau? A może wpakowałeś je w jakieś spekulacyjne obligacje? Ci międzynarodowi kombinatorzy gwarantują niezłe zyski. Ciekawe, co IRS sądzi o twoich interesach? Czy nie płaciłeś jakichś rachunków, na przykład w American Express, czekami wystawionymi na bank w Nassau?

Nawet nie wiem, jak to zrobił. Usłyszałem zduszone warknięcie i poczułem kwaśny zapach jego oddechu, a potem jednocześnie ból i mdłości. Podejrzewam, że w sposób zdecydowanie fachowy uderzył mnie końcem buta w pachwinę. A nie był to płócienny adidas ani skórzany reebok, ale solidny roboczy but zakończony metalowym czubkiem.

Usta miałem pełne piachu. Nie wiem, czy upadłem do rowu, czy zsunąłem się tam pod ciężarem jego ciała, w każdym razie wciąż czułem ten smrodliwy oddech, bo kłęczał na mojej piersi wpijając mi kciuki w skronie.

Darryl omal nie udusił mnie na śmierć. Spędziłem noc w więzieniu z nogami unurzanyymi w siuśkach. A teraz Nickerson robił coś okropnego z zakończeniami moich nerwów. To była ta strona profesji adwokata, o której nie powiedzieli mi na studiach prawniczych.

Był tak rozjuszony, że prawie nie był w stanie mówić. Wciąż wbijał palce w zagłębienia moich skroni obok uszu, tak że jego głos docierał do mnie jakby z wodnej głębin, jak głos rekina ludojada, który nagle nauczył się mówić. Nie rozumiałem większości z tego, co mówił.

– ...do stracenia, więc odpiardol się ode mnie, bo zabiję. Spróbuj, kurwa, jakichś sztuczek z moimi kontami albo z IRS, spróbuj mnie tylko ruszyć, a będziesz trupem.

Potem uniósł dłoń i jej kantem uderzył mnie w grzbiet nosa. Usłyszałem trzaśnięcie i natychmiast poczułem słony smak krwi. Jestem pewien, że zatłukłby mnie tam na śmierć, ale widocznie nie był pewien, czy przyjechałem do Gainesville sam i czy ktoś nie wie, z kim zamierzałem się spotkać. Nic innego nie mogłoby go powstrzymać.

Musiał zawołać po pomoc, bo z ciemności wyłonił się Patrick. Powlekli mnie w dół zbocza, do mojego samochodu i wepchnęli na przednie prawe siedzenie. Krwawiłem, bolała mnie głowa, bolały żebra i chciało mi się rzygać. Patrick wywiózł mnie z terenu Orange Meadow Estates i mniej więcej pięć minut później zaparkował mój samochód na parkingu za stacją benzynową przy autostradzie. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Ja też milczałem. Wsiadł z samochodu i więcej go nie widziałem.

Nickerson złamał mi nos i chyba uszkodził żebra. Czyżby mnie kopał? Nie mogłem sobie przypomnieć. Nie wyrzygałem się: duch zatryumfował nad materią.

Zgłosiłem się na oddział nagłych przypadków szpitala ogólnego w Gainesville. Kazali mi się rozebrać, ponieważ koszulę miałem mokrą od krwi. Pielęgniarka wskazała przewód przyklejony plastrem do mojej piersi.

- Co to takiego? – spytała, marszcząc brwi.
- Podśluch – odparłem.
- Jest pan z brygady antynarkotykowej?
- Nie, jestem adwokatem.

Chyba nie bardzo mi uwierzyła, chociaż ja sam nie widziałem wtedy nic dziwnego w swoim wyjaśnieniu.

Przesłuchałem taśmę dopiero po powrocie do pokoju motelu. Po raz drugi natomiast odtworzyłem ją czterdzieści godzin później w gabinecie sędziego Fleminga.

Tym razem spotkaliśmy się w obecności Muriel Suarez. Sytuacja dojrzała do rozstrzygnięcia i kameralna rozmowa *ex parte* nie wchodziła w rachubę. Ja sam poprosiłem biuro prokuratora stanowego o przysłanie przedstawiciela. Trzeba przyznać, że Muriel nie robiła wielkiego problemu z kwestii legalności nagrania. Prawo stanowiło wyraźnie, że na nagranie magnetofonowe niepotrzebna jest zgoda obu stron. W przeciwnym wypadku podsłuch jako metoda zbierania informacji, na przykład w sprawach związanych z narkotykami, musiałby wyjść z użycia; nie mówiąc o tym, że żaden świadek nie mógłby zeznawać w sądzie na temat zasłyszanej rozmowy bez zgody jej uczestników.

– Wysoki Sądzie – zaczęła Muriel – mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju wymuszeniem. Pozwolę sobie przyjąć, że nie sprowokowany przez pana Jaffe, pan Nickerson nie powiedziałby nawet tego, co jak się zdaje, powiedział.

– Bardzo słuszne założenie – rzekł sędzia.

– Pan Jaffe bez mała wkładał słowa w usta swego rozmówcy. Nie ma też wątpliwości, że pan Nickerson znajdował się w stanie silnego wzburzenia.

– W rzeczy samej, odniosłem wrażenie, że był nieco zdenerwowany – przyznał sędzia.

– Jeśli Wysoki Sąd wsłucha się uważnie w to nagranie, tak jak ja to uczyniłam, stanie się oczywiste, że pan Nickerson nie potwierdził żadnego z oskarżeń pana Jaffe. Być może zaatakował pana Jaffe w sensie fizycznym, ale o tym wiemy jedynie ze słów pana, mecenasie. A z całym szacunkiem dla mego kolegi muszę zauważyć, iż jako rzecznik jednej ze stron w tej sprawie może on być, że się tak wyrażę, nieobiektywny.

Sędzia przyjrzał mi się uważnie. Nie mógł nie zauważyć, że nos pod

bandażem mam potężnie opuchnięty i poruszam się jak człowiek, który przegrał starcie z ciężarówką.

Uśmiechnął się i skinął głową.

– Zgadzam się z panią, pani Suarez.

– Pan Nickerson wyraźnie powiedział panu Jaffe, że jego oskarżenia, jakoby nakłaniał świadka do składania fałszywych zeznań i sam dopuścił się krzywoprzysięstwa, są wysane z palca.

– Nie, proszę pani. Słyszałem, co powiedział. Powiedział, że to wielkie gówno.

– Wysoki Sąd ma absolutną rację.

– Muszę się zastanowić – oznajmił sędzia Fleming. – Posłucham sobie tej taśmy w domu, na moim magnetofonie. Zasadzę wnuka do kręcenia gałkami, żeby mi ją ładnie wyczyścił. Za dzień, dwa odezwę się do państwa.

Pamiętałem, jak zbeształ mnie, gdy ostatnio próbowałem go poganiać, tak więc tym razem siedziałem cicho. Nie było to jednak łatwe.

Trzy dni później sędzia Fleming wezwał nas do swojego gabinetu.

– Uparty z pana facet – zwrócił się do mnie.

– Owszem, panie sędzio.

– Czego pan właściwie chce? – zapytał.

Chrząknąłem i odparłem:

– Wszystko jest w moim wniosku, Wysoki Sądzie. Czy mam to inaczej sformułować czy powtórzyć?

– Tylko proszę bez fochów. Po prostu niech pan mi powie swoimi słowami, jeśli pan potrafi, czego naprawdę pan chce.

– W sumie – odrzekłem – chodzi mi o to, żeby sprawa mojego klienta wróciła do sądu.

– Myśli pan o rozprawie?

– Co najmniej, Wysoki Sądzie.

Uniósł krzaczaste, siwe brwi.

– Z przesłuchaniem świadków?

– Uważam, że to dobry pomysł – odparłem. Zupełnie nie miałem pojęcia, czy mówi poważnie, czy kpi sobie ze mnie.

– A pani, czego pani chce? – zwrócił się z kolei do Muriel Suarez.

– Wysoki Sądzie, mogę powiedzieć, czego nie chcę. Nie chcę narażać stanu na kłopoty i wydatki związane z prowadzeniem pełnej rozprawy, kiedy odbył się już ośmiodniowy proces przed ławą przysięgłych, w wyniku którego Darryl Morgan został skazany za popełnienie morderstwa pierwszego stopnia. – Muriel nieznacznie podniosła głos. – Nie ma żadnych nowych dowodów.

– Cóż, jest ta taśma – odparł sędzia Fleming.

– To nie dowód – odparła Muriel. Wcale się go nie bała.

Sędzia pokiwał głową.

– Dużo wrzasków i gróźb, nic więcej. Ale jeśli wsłucha się we wszystko naprawdę uważnie i uruchomi zdrowy rozsądek, daje to sporo do myślenia. Czy zgodzi się pani ze mną?

W tej sytuacji Muriel mogła tylko wzruszyć ramionami i przyznać z ociąganiem:

– Zgadzam się, ale to w dalszym ciągu nie jest...

– Dowód – wtrącił sędzia. – Może i nie jest. Jeśli dam panu jeden dzień na tę rozprawę – ponownie zwrócił się do mnie – kogo pan wezwie?

– To znaczy: jakich świadków?

Sędzia potwierdził ruchem głowy. Zdecydowałem, że pora zagrać o pełną stawkę. Nie wiedziałem tylko, dlaczego przyszła mi do głowy tak optymistycznie brzmiąca metafora, skoro jak dotąd nie zyskałem nic, z wyjątkiem może odrobiny starczej pobłażliwości.

– Panie sędzio – rzekłem – czy przeczytał pan w całości protokół z procesu *Florida versus Morgarn*?

Sędzia wyglądał na nieco zbitego z tropu. Doszedłem do wniosku, że mój strzał był celny, chociaż zdawałem sobie sprawę, że z tym człowiekiem nigdy nic nie wiadomo.

– Panie sędzio, jestem pewien, że przynajmniej przejrzał pan ten protokół w kwietniu, i że już wtedy wyrobił pan sobie zdanie na temat tej sprawy. Wie pan wszakże, że protokół sądowy może być interesującą lekturą, ale nie jest to słowo boże. Jeśli więc teraz przystanie pan na moją prośbę, oczywiście będzie pan chciał wysłuchać zeznań wnioskodawcy, czyli Morgana. Przedstawimy także dwóch czy trzech innych świadków.

Uważam jednak, iż korzystne byłoby także wysłuchanie świadków oskarżenia.

Muriel zerwała się na równe nogi.

– Ostrożnie, panie sędzio! On za chwilę zażąda nowego procesu!

– Nie, proszę pani – odparłem. – Chodzi mi o rozmowę z udziałem głównych świadków, nic więcej. Jednym z nich jest pan Nickerson. Jeśli pani go nie powoła, ja to zrobię. Nie sądzę też, abyśmy mogli dobrze zrozumieć pana Nickersona, jeśli nie przesłuchamy pana Neila Zide'a. A jeśli zamierzamy przesłuchać jego, to czemu nie powołać także jego matki?

– Panie sędzio...

– Chwileczkę, wolnego, moi państwo! – zawołał sędzia Fleming. – Panie Jaffe – zwrócił się do mnie – jeśli chce pan, żebym pozwolił panu przesłuchać głównych świadków oskarżenia, to muszę przyznać, ma pan niezły tupet. A więc czy o to właśnie panu chodzi?

– Twierdzę, że to pan powinien wysłuchać ich zeznań, panie sędzio. Choćby dla zapoznania się ze szczegółami tej sprawy. Będzie to bez wątpienia szybsze i łatwiejsze niż przeczytanie długiego i nudnego protokołu. A mówiąc drugiego, mam na myśli około trzech tysięcy stron, panie sędzio.

Fleming pogładził podbródek, bez mrugnienia wpatrując się prosto w moje oczy.

– Uparty jak kozioł – mruknął. – Nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby zadać tym ludziom parę pytanek, prawda?

– Wysoki Sądzie, nie planuję powtórzenia całego postępowania dowodowego, ale owszem, ta myśl nie jest mi obca; nie miałbym nic przeciwko zadaniu paru pytań.

– Pani Suarez?

– Panie sędzio – Muriel nie próbowała ukryć złości – jeśli pozwoli mi pan przesłuchać naszych głównych świadków, nie będzie to nic innego jak powtórzenie postępowania dowodowego.

Sędzia uśmiechnął się przekornie.

– A więc, pani Suarez, zapytam jeszcze raz: czego pani chce? Nie, czego pani nie chce. Ale czego chce.

Muriel stanęła na wysokości zadania.

– Chcę sprawiedliwości, Wysoki Sądzie, i chcę do niej dążyć w sposób zgodny ze zdrowym rozsądkiem.

– To się chwali – orzekł sędzia Fleming. – Ja też tego z reguły chcę. Ale najbardziej chcę zaspokoić swoją ciekawość. Nadąza pani?

– Nie bardzo – bąknęła Muriel.

– Chcę, proszę pani, dowiedzieć się, dlaczego tego Nickersona tak rozwścieczyły oskarżenia pana Jaffe. A ponieważ główni świadkowie żyją i dobrze im się powodzi, dlaczego nie mielibyśmy ich posłuchać? I jeszcze jedno niech pani weźmie pod uwagę. Po tej rozprawie będziemy mieli wreszcie z głowy tego faceta. A to ułatwi życie tak biuru prokuratora stanowego, jak i temu sądowi, nieprawdaż?

– Wysoki Sądzie...

– Taka mała gustowna rozprawa – mówił sędzia Fleming – dla wyjaśnienia pewnych wątpliwości i dla dobra, jak pani raczyła to określić, sprawiedliwości zgodnej ze zdrowym rozsądkiem. Podoba mi się ten pomysł. Niestety, musimy poczekać aż do stycznia, ponieważ w moim kalendarzu nie ma miejsca do samego Nowego Roku. Natomiast w poniedziałek, 13 stycznia, przekazuję tę salę panu Ruthowi. Niech więc będzie to poniedziałek, 6 stycznia. Wydam kolejny nakaz odroczenia egzekucji. W styczniu dam panu trzy dni. Czwartek i piątek przed weekendem potrzebny mi będzie na pakowanie i przeprowadzkę. W tej sytuacji oboje państwo będą mieli mnóstwo czasu na zastanowienie się i odświeżenie pamięci tych, którzy tego potrzebują. Możecie nawet zawrzeć ugodę. Co pani na to, pani Suarez? Czy odpowiada pani początek stycznia? A tak przy okazji, czy lubi pani owoce?

Głęboko wciągnęła powietrze i nieco drżącym głosem odpowiedziała:

– Tak, Wysoki Sądzie, lubię.

– U mnie na sali zawsze są owoce. Jaki jest pani ulubiony owoc?

– Świeżo zerwane jabłko odmiany Delicious – odparła, raz jeszcze stając na wysokości zadania.

– A co pan powie, mecenasie?

– Miodowy melon – oznajmiłem.

– Nie – sędzia zmarszczył brwi – chodziło mi o to, co pan sądzi o styczniowym terminie.

– Tak jest, panie sędzio. – Niewiele brakowało, bym wydał okrzyk wojenny. Z trudem się pohamowałem. – Odpowiada mi w zupełności.

25

Zdarza się, że jakaś przypadkowa uwaga nabiera szczególne znaczenia, znacznie przewyższającego intencje jej autora. Kilka lat temu słynni Steelersi z Pittsburga spotkali się w meczu o Superpuchar z Ramsami Los Angeles, którzy wtedy zaczynali swoją karierę w lidze NFL. Steelersi roznieśli w puch drużynę z Los Angeles i pamiętam, jak ten fakt skomentował któryś ze sprawozdawców telewizyjnych: „Ramsi przyjechali tu grać, ale Steelersi przyjechali, aby wygrać. Wynik mógł być tylko jeden”.

Zapamiętałem to sformułowanie ze względu na jego celność – spoczywało tuż pod powierzchnią mojej pamięci, w każdej chwili gotowe do użycia. Kiedy sędzia Fleming zarządził umieszczenie na wokandzie sprawy *Florida versus Morgan*, doznałem uczucia tryumfu i zarazem oczyszczenia. Byłoby teraz czymś najzupełniej normalnym, ludzkim, gdybym przygotował się do rozprawy, poszedł do sądu i spokojnie zrobił, co do mnie należało; lepiej lub gorzej, wygrywając lub ponosząc porażkę. Po prostu wziął udział w grze.

Ale, w przeciwieństwie do Ramsów, nie wybierałem się do sądu dla samej chwały uczestniczenia w grze. Jak Steelersi, zamierzałem pójść tam i wygrać. Musiałem wygrać. Musiałem też zrobić znacznie więcej, niż do mnie należało. I musiałem ponieść pewne ofiary.

Jak będą wielkie, jak dalece odmienia moje dotychczasowe, uporządkowane życie – mogłem się tylko domyślać. Wiedziałem jednak, że nie mam wyboru, że nie mogę dłużej tkwić w bagnie fałszu i obłudy, jakim przez minione dwanaście lat stało się moje życie. Gdzieś u Camusa występuje taka

postać, człowiek, który „widzi zbyt wiele i zbyt wiele rozumie”. Te słowa zawsze mnie poruszały, chociaż nie przyszło mi do głowy odnosić ich do siebie. Teraz jednak najdokładniej określały moją sytuację, ponieważ wiedziałem, że Darryl Morgan nie był winien zbrodni, o którą go oskarżono i za którą skazano go na śmierć. Sądziłem, że wiem, kto zabił Solomona Zide'a. Nie wiedziałem jedynie, jak mam to udowodnić nie niszcząc zarazem swego małżeństwa i swojej kariery.

W październiku odezwało się wreszcie Florydzkie Stowarzyszenie Prawników z siedzibą w stolicy stanu. Nie dowiedziałem się, kto złożył skargę, ale podejrzewałem, że stało się to za podpuszczeniem owego sędziego Sądu Najwyższego, któremu zarzuciłem popełnienie „poważnego błędu”. Wyglądało na to, że teraz trzeba było za to zapłacić. Prawie zawsze płaci się za zuchwalstwo i donkiszoterię. I z reguły cena jest zdecydowanie niekorzystna. Ten przypadek mógł być jednak wyjątkiem.

Komisja Etyki Zawodowej Stowarzyszenia chciała się dowiedzieć, jak usprawiedliwiam decyzję podjęcia się obrony człowieka, którego kiedyś oskarżałem. Zażądali także, abym ustosunkował się do skargi, jaka wpłynęła z biura prokuratora stanowego na okręg siedemnasty, Roberta Diaza, że „świadomie i celowo” wprowadziłem w błąd swojego byłego klienta Jerry'ego Lee Elroya w kwestii warunków porozumienia, poprzez przyznanie się do winy, między nim a prokuraturą stanową.

Napisałem list do Komisji Etyki. Stwierdziłem w nim, że podjąłem się obrony Darryla Morgana, ponieważ wymagało tego dobro sprawiedliwości. On sam poprosił mnie o to. Zamierzam więc reprezentować jego interesy tak długo, jak długo będzie sobie tego życzył.

Co do sprawy Elroya – napisałem – to nie mam pojęcia, o co im, do cholery, chodzi. Musiała zajść jakaś pomyłka.

Wówczas zadzwonił do mnie Beldon Ruth.

– Co słyhać, młodzieńcze? – rzucił z lekka protekcyjnym tonem. Odniosłem wrażenie, że to jego sędziowskie poczucie wyższości nie wróży mi nic dobrego.

– W porządku, Beldon. A co u ciebie?

- Nie mogłoby być lepiej. Jak rodzina?
- Świetnie. Jak się miewa Laurette?

Jeszcze przez chwilę pletliśmy w tym duchu i wreszcie Beldon przystąpił do rzeczy. Niech mi się nie zdaje, oznajmił, że umowa, którą zawarliśmy latem, będzie obowiązywać w nieskończoność. Dotyczyła ona mojego wniosku apelacyjnego bazującego na oświadczeniu Elroya. Tamtą grę przegrałem. Teraz chodzi już o zupełnie inną stawkę. Biuro prokuratora stanowego na czwarty okręg nadal jest „instytucją rządową” władną decydować, czy wolno mi reprezentować w sądzie Darryla Morgana. Beldon, będąc nadal prokuratorem stanowym, po namyśle uznał, że nie wolno; byłoby to nieprzyzwoite, niesosowne i sprzeczne z zasadami.

– A poza tym – rzekł – słyszałem, że dobiera ci się do skóry Stowarzyszenie Prawników. Pora się wycofać, Ted, mój chłopcze.

– Horace Fleming przychylił się do mojej prośby – odparłem.

– O przesłuchanie świadków. Ale to nie znaczy, że ty możesz być tym prawnikiem, który je poprowadzi.

– Posłuchaj, Beldonie, tak czy inaczej 6 stycznia będę na sali sądowej. Wezmę obrońcę posiłkowego, więc śmiało, zgłaszaj swoje protesty, rób, co uważasz, że musisz zrobić. Moim zdaniem to świństwo z twojej strony, ale widocznie masz swoje powody, by tak postępować.

– Znasz te powody – odparł.

– I uważam je za niewystarczające.

Beldon zastanawiał się przez chwilę.

– Jeśli wychyliš się i nabijesz sobie guza, nie przychodź do mnie po pomoc.

Tydzień później otrzymałem pismo z Komisji Etyki. Tym razem nie próbowali mnie oskarżać o wprowadzenie w błąd Elroya; nie mieli dowodów, a poza tym zawilości dotyczące ugody między oskarżonym a oskarżycielem nie nadawały się do publicznego roztrząsania. Gorzej było z drugą sprawą. „Zgodnie z art. 4 § 1 pkt 11 Kodeksu Odpowiedzialności Zawodowej, dotyczącym zatrudnienia w firmach prywatnych osób sprawujących uprzednio funkcje publiczne”, Stowarzyszenie Prawników uznało mnie za winnego „naruszenia ogólnie przyjętych norm”. Innymi słowy, nieważne, że

Darryl Morgan chciał, bym został jego obrońcą. Zachowałem się brzydko i koniec.

Odpisałem grzecznie, że bardzo żałuję, ale mimo wszystko nie zamierzam zrezygnować z prowadzenia tej sprawy.

Wzwał mnie do siebie Harvey Royal. Kierując się ogólnie przyjętymi normami i poczuciem przyzwoitości, Stowarzyszenie Prawników przesłało kopie wszystkich swoich pism firmie Royal, Kelly, Wellmet, Jaffe & Miller z Sarasota. Inaczej mówiąc – podkablowało mnie. Widocznie bardzo zależało im na wygranej w tej sprawie.

– Kiepska sprawa, Ted – westchnął Harvey. – To coś poważniejszego niż złamany nos. Mogą ci udzielić nagany; nawet wykluczyć z palestry.

– Ale tego nie zrobią – odparłem, starając się nadać swemu głosowi ton absolutnej pewności siebie.

– A to dlaczego?

– Ponieważ wygram tę sprawę w Jacksonville. Jak to by wyglądało, gdyby mnie wtedy wykluczyli? Obaj wiemy, że bardzo im zależy na opinii publicznej. Bardziej niż na czymkolwiek innym.

– A ta druga historia? – zapytał bębniąc palcami w blat biurka. – Podobno okłamałeś swojego klienta, niejakiego Elroya. To straszne oskarżenie. Nie wątpię, że pozbawione realnych podstaw.

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego zrobiłem wówczas to, co zrobiłem. Chyba po prostu zdruzzyła mi się rola chłopca do bicia.

– Elroy nie żyje, Harvey. To zimny trup z jeżem morskim w ustach. Nie może mówić.

Na obliczu Harveya pojawiły się dwie głębokie zmarszczki biegnące w dół od jego arystokratycznego nosa. Zakasłał kilkakrotnie i spytał:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że macie moje słowo przeciw słowu nieboszczyka.

Zmarszczki jeszcze się pogłębiły.

– Ted, obawiam się, że nie zdajesz sobie sprawy z wagi tego, co tu się dzieje. Prokurator stanowy z Miami najwyraźniej uważa, iż w oszukańczy sposób nakłoniłeś swojego klienta do złożenia zeznań w sprawie Morgana. Gdyby tak było, postąpiłbyś nieetycznie. Nie wątpię... nie wątpię, że wiesz o

tym dobrze...

Podniosłem się z brzegu jego biurka, gdzie dotąd siedziałem, i ruszyłem w stronę drzwi.

– Wszystko byłoby dobrze – mruknąłem – gdyby jakiś zbój nie wsadził temu palantowi szpikulca od lodu między żebra. Nikt nie mógł przewidzieć, że tak to się skończy.

Harvey zbladł, twarz mu się wydłużyła.

– Chyba nie powiesz, że to prawda?

Puściłem do niego oko. Aby, broń Boże, tego nie zobaczyć, pośpiesznie spojrział w okno; chyba jednak za późno. Skorzystałem z okazji i wymknąłem się z gabinetu.

Jesień powoli zmierzała ku zimie. Zaczynałem się niepokoić; wiedziałem, że styczniowa rozprawa jest ostatnią szansą uratowania Darryla Morgana.

Nareszcie mogliśmy zadzwonić do Oakwood, do Alana. Wyjaśnił nam, że telefon znajduje się w holu, i że przysługuje mu prawo do pięciu minut rozmowy.

– Jak spędzasz tam czas?

– Mamy tu mnóstwo spotkań rodzinnych. I dużo czytam.

Rodzinnych? Ano, czemu nie? Próbowałem coś zrobić dla Darryla, a jego bracia robili, co mogli, dla mojego syna.

– Biegasz codziennie? Możesz trenować?

– Tu nie ma gdzie biegać. I nie ma czym trenować.

– Ale trzymasz się?

– Grunt, że czas leci – ponuro odparł Alan.

Zabrzmiało to jak powiedzenie więźnia liczącego dni do końca wyroku.

Toba już tylko na pół etatu pracowała w swojej firmie obrotu nieruchomości, resztę czasu poświęcając działalności w lokalnej organizacji zwolenników dopuszczalności aborcji. Zerwała z piciem, ograniczając się do dużego kieliszka czerwonego wina w czasie posiłków, lecz raczej niechętnie wspominała o swojej terapii u Dorothy Budford. Ale pewnego grudniowego wieczora po obiedzie, dzień przed moim wyjazdem do Jacksonville, ze złością cisnęła serwetkę i powiedziała:

– Co za suka! Dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy. Do wszystkiego jest nastawiona tak negatywnie! Pamiętam, że jak dzwoniłam do niej z college'u, to nie zdążyłam nawet powiedzieć: „dzień dobry”, a już pytała: „Czy stało się coś złego?” Teraz też nie jestem dla niej dość naturalna i dość zadowolona z życia.

Nie musiała mi mówić, kogo dotyczy ta przemowa.

– Albo dość atrakcyjna – ciągnęła Toba z rosnącym rozdrażnieniem. – Niedawno wpakowała mi się do łazienki... akurat stałam pod prysznicem. Zmarszczyła brwi i powiada: „Hmm”. „O co chodzi, mam?” – pytam. „Czy ja powiedziałam, że o coś chodzi?” „Patrzysz na mnie podejrzliwym wzrokiem i wydajesz dziwne dźwięki. Czy jestem zdeformowana albo coś w tym rodzaju?” „Powiedz mi, Toba – ona na to – czy on nadal lubi cię dotykać?”

– Powiedz jej, że lubię – mruknąłem. – A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to może kiedy już wstawimy naczynia do zmywarki...

W drodze do sypialni spytałem, czy jej matka wie, co dzieje się z wnukiem.

– Oczywiście. Ale ciotce Herminii powiedziała, że Alan jest na obozie kondycyjnym w górach Catskills.

Następnego ranka poleciałem do Jacksonville. W piątek przed wyznaczonym terminem rozprawy, kiedy napompowany kawą siedziałem nad basenem w hotelu „Marina” – zadzwonił Gary Oliver.

– Jest u mnie ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić – powiedział. – Chciałem się z tobą skontaktować wczoraj wieczorem, ale już było za późno. Przyrowadzę ci ich teraz.

– Ich? Kim oni są? Nie znoszę niespodzianek.

– Ta może ci się spodobać – zachichotał.

Zrozumiałem, że na nic nie zdadzą się moje protesty.

Przesłuchiwałem właśnie taśmę ze spotkania z Nickersonem i robiłem notatki przygotowując się do rozmowy z Darrylem. Powiedziałem Gary'emu, gdzie mnie szukać.

– W razie czego sprawdź na dnie basenu. W głębszym końcu.

Pół godziny później zjawił się w towarzystwie atrakcyjnej, z wyglądu trzydziestoletniej Murzynki. Miała na sobie nowe dzinsy i różowy sweter

ładnie podkreślający wszystkie okągłości, ale robiła wrażenie niespokojnej, a jej włosom przydałaby się szczotka. Była z nią trójka dzieci: dwie dziewczynki w wieku około dziesięciu lat i chłopiec – wysoki szczupły, niebrzydki, choć trochę gburowaty szesnastolatek. Ubrany był w starą bluzę z podobizną Magica Johnsona i dżinsy z obowiązkowymi dziurami na kolanach. Wyglądał jak młody Darryl. Początkowo myślałem, że Gary chce mi przedstawić jakichś swoich krewnych i nie byłem zachwycony tym pomysłem. Nagle jednak uświadomiłem sobie, że ten chłopiec podobny do Darryla jest bardzo podobny do Darryla.

– Przedstawiam ci Pauline Powers – powiedział Gary, a matka trójki dzieci skinęła kilkakrotnie głową i podała mi rękę. – A to są Polly i Priscilla – dziewczynki zachichotały na powitanie – oraz Tahaun. Do niedawna nosił imię Peter, ale postanowił je sobie zmienić. Twierdzi, że każdy ma prawo sam wybrać sobie imię, a Peter Powers jego zdaniem brzmi głupio, nie po męsku. Wiesz, o co chodzi.

Dowiedziałem się, że Tahaun to afrykańskie imię. Tahaun jest synem Darryla.

Wszyscy razem pojechaliśmy do Raiford cadillakiem Gary'ego. Mężczyźni z przodu, kobiety z tyłu – tak nas Gary posadził.

Nim dotarliśmy do zjazdu z autostrady międzystanowej, wiedziałem już, że Tahaun kibicuje Lakersom, Miami Dolphins i Atlanta Braves, że chce zostać gwiazdą koszykówki, ale martwi się, bo ma tylko metr osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Lubi muzykę rap, ale – tu mnie zaskoczył – także Beatlesów i Elvisa. Wciąż był trochę szorstki, lecz wyczułem, że to tylko poza, za którą kryła się potrzeba akceptacji. Uczył się w drugiej klasie szkoły średniej w Roca Baton. Pauline pracowała tam jako zastępczyni kierownika baru Kentucky Fried Chicken.

Kiedy urodził się Peter Tahaun, miała zaledwie piętnaście lat; wyszła za mąż kilka lat później. Przyszły na świat Polly i Priscilla, a potem zginął jej mąż, mechanik z Roca Baton, zabity przez złodzieja samochodów. Niedawno dowiedziała się z telewizji, że Darryl będzie miał rozprawę w związku z morderstwem popełnionym trzynaście lat temu. Nic o tym nie słyszała i dotąd nie wiedziała, że ojciec jej syna przebywa w celi śmierci.

Straciła z nim kontakt jeszcze w czasach, gdy był pensjonariuszem szkoły dla chłopców imienia Arthura C. Doziera. Miała samochód, a że wypadł jej wolny weekend...

– Dzieci nigdy nie widziały moich rodzinnych stron – powiedziała.

Spojrzałem na jej twarz widoczną w lusterku wstecznym. Na chwilę nasze oczy spotkały się; odwróciła wzrok, potem wzruszyła ramionami.

– Mój mąż był niskiego wzrostu, Tahaun chciał wiedzieć, jak to się stało, że on jest wysoki. Nie po mnie, powiedziałam mu. Od tej pory ciągle wypytywał o swojego naturalnego tatę. Nudził i nudził. Nie bardzo go pamiętam, poza tym, że był strasznie duży.

– Chcesz się z nim spotkać? – zapytałem Tahauna.

– Tak.

– Spróbujemy.

Jakimś dziwnym sposobem zastępca naczelnika Ray Wright i ja zostaliśmy przyjaciółmi. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć, jak tylko tym, że głupio by było warczeć na siebie spotykając się tak często i od tak dawna. Widocznie w każdym z nas siedzi pod skórą normalna ludzka istota i wystarczy tylko podłubać odpowiednio ostrym narzędziem, by się do niej dokopać.

Zaproponowałem, by Gary zabrał dziewczęta do Starke, nakarmił i pokazał miasto, a tymczasem ja zapytam Wrighta, czy Pauline i Tahaun mogą mi towarzyszyć podczas widzenia z Darrylem. Od pewnego czasu nasze spotkania odbywały się w pokoju widzeń, tym samym, gdzie kiedyś próbował mnie udusić. Zakładałem, że memu życiu nie grozi już niebezpieczeństwo. Miałem nadzieję, że słusznie.

Kiedy wyniszczyłem Wrightowi moją prośbę, pomyślał przez chwilę i zapytał:

– Ile lat ma chłopiec?

– Osiemnaście.

Zerknął do korytarza, gdzie Pauline i Tahaun siedzieli sztywno na plastikowych stołkach.

– Nie wygląda na osiemnaście. Jest pan pewien?

– Tak.

Wright westchnął.

- Ma pan straszny tupet, Jeffe. Czy ktoś już panu o tym powiedział?
- Zetknąłem się z taką opinią – przyznałem.
- Mogą się z nim zobaczyć, ale w pańskiej obecności.

I tak Darryl spotkał się z synem i z kobietą, której fotografię jako czternastoletniej dziewczyny trzymał na stole z deski w poprawczaku. Był wobec niej nieśmiały, podobnie jak ona wobec niego. Oczywiście stali się sobie zupełnie obcy.

Kiedy przedstawiłem mu Tahauna, Darryl głęboko wciągnął powietrze.

- Cholera – mruknął. – Wiedziałem.

Podali sobie ręce, potem cofnęli się i przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Można by ich wziąć za braci, nie za ojca i syna. Ostatecznie Darryl miał zaledwie trzydzieści trzy lata i mimo siwizny wyglądał młodo. Według mnie był młody. Tahaun, nawet jeśli nie osiągnie jego wzrostu, będzie kiedyś potężnie zbudowanym mężczyzną.

- Gracie tu w jakąś piłkę? – zapytał chłopiec.
- Nie, cholera.
- To co robicie?

Darryl zastanawiał się przez chwilę. Wiedziałem, jak wiele ma do powiedzenia. Znał historie, od których włosy zjeżyłby się na głowie szesnastolatka. Mógłby zahipnotyzować go opowieściami o przemocy i śmierci, o absurdzie i brutalności więziennego życia. Mógł opowiedzieć o porankach, kiedy więźniowie bloku Q walą łyżkami o kraty, czekając, aż przygaśnie światło i kolejnego brata zabierze Wielka Drewniana Mama.

- Pokażę ci, co ja robię – rzekł.

Pochylił się nieco do przodu i jednym zręcznym ruchem wyciągnął z tylnej kieszeni talię wytartych kart – jedną z dwu, które mu dałem – i kilka gumek, rozciągniętych i postrzępionych.

Przez pół godziny zabawiał Pauline, syna i mnie robieniem sztuczek... Jego kościste brunatne palce zdawały się poruszać szybciej od światła. Pauline piszcziała z emocji. Tahaun tylko wytrzeszczał oczy ze zdumienia.

Darryl nie stosował żadnych prymitywnych chwytów, nie wykonywał mylących ruchów, nie zataczał rękami kół w powietrzu. Dzięki doskonałemu

wyczuciu czasu maskował swoje triki w sposób elegancki i całkowicie niezauważalny. Nie mówił po prostu „Wybierz sobie kartę”. Patrzył na Tahauna i recytował poważnym tonem:

– Jesteś moim synem, a zatem łączy nas duchowe pokrewieństwo. Potrafię czytać w twoich myślach nie gorzej niż mama. Widzę po twoich oczach, że mi nie wierzysz, więc zaraz ci to udowodnię. – Nie dotykając kart, Darryl rozkazał chłopcu wybrać jedną z nich, następnie schować ją między pozostałe, a całą talię rozłożyć na stole. – Teraz patrz uważnie na moje ręce i na tę talię kart, i staraj się skupić. Skoncentruj się! Myśl o tej karcie! Myśl mocno, chłopcze! – Prowadził palec Pauline, aż dotknął nim jednej z kart, która okazała się królem kier.

– To ta! – zawołał Darryl, jakby zdumiony rezultatem eksperymentu. – Pauline wiedziała!

– To naprawdę ta – powiedział Tahaun; jego zdumienie było jak najbardziej autentyczne. – Zrób to jeszcze raz – poprosił ojca.

– Nie mogę. Muszę odpocząć. To zbyt wielki wysiłek dla mojego starego mózgu.

Kilka minut później chłopiec i jego matka odeszli; Gary Oliver zabrał ich do Jacksonville. Darryl i ja wzięliśmy się do pracy. Od jej wyników zależało, co zdarzy się w sądzie.

Kiedy pakowałem swoje papiery, szykując się do wyjścia, Darryl zapytał:

– Co sądzisz o moim chłopaku?

– Dobry dzieciak. Wie, czego chce. A co ty o nim sądzisz?

– Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. – Wydawał się zupełnie zdezorientowany i zaskoczony, tak jak Tahaun jego sztuczkami. – Powiedział, że nie lubi ludzi, którzy śmieją się z innych. Wygląda na miłego chłopca. Ale powiem ci coś, w co pewnie nie uwierzysz. Od początku wiedziałem, że któregoś dnia spotkam się z nim. To znaczy, dawniej wiedziałem. Kiedy mnie zamknęli i postanowili zabić, przestałem w to wierzyć; przecież, myślałem, nie spotkam go tutaj. A jednak spotkałem. Niech mnie diabli, człowieku, spotkałem! – zamyślił się na długą chwilę, ściągając brwi, a potem położył mi rękę na ramieniu. Jego palce zacisnęły się na moich

muskulach. – Przyjdą do mnie jeszcze? – zapytał.

- Chcesz tego?
- Jasne, że chcę.
- Spróbuję to zorganizować.

26

W żółtym blasku zwisających z sufitu lamp łyśa czaszka sędziego Horacego Fleminga świeciła jak księżyc w pełni. Ogromna sala sądowa, wysoka na siedem metrów, przypominała mi trochę wnętrza sądów z filmów dokumentalnych o hitlerowskich Niemczech. Białe ściany nie były zbyt czyste. Miejsce dla świadków stanowił ogrodzony barierką pulpit znacznie oddalony od mównicy dla reprezentantów stron. Wielki stół sędziowski z ciemnego dębu biegł łukiem przez połowę sali. Zaprojektowano ją w taki sposób, aby uświadomić nam, przekraczającym jej próg, przerażającą potęgę prawa, przypomnieć – jakbyśmy potrzebowali tego przypomnienia – że prawo władne jest zmieniać ludzkie życie, że posiada moc decydowania o życiu lub śmierci.

Była to ta sama sala, w której odbył się proces Darryla Morgana i gdzie sędzia Bill Eglin, odrzucając zalecenie ławy przysięgłych, ogłosił swój wyrok.

Teraz królował tu Horace Fleming – w połówkowych okularach wiszących na czubku bulwiastego nosa, spoza których patrzyły jego przekrwione oczy. Opróżniał jedną po drugiej filiżankę mocnej kawy i potrafił w połowie przesłuchania świadka poprosić protokolantkę o paterę z owocami, stojącą na jej biurku. Mieściła olbrzymi stos owoców, wśród których znalazło się zawsze parę jabłek odmiany Delicious Red dla Muriel Suarez. (Nie było natomiast miodowych melonów, ale nie potraktowałem tego jako objaw nieprzychylności sędziego.) Sam sędzia, niewątpliwie ze względu na stan swojego uzębienia, jadł wyłącznie banany i miękkie gruszki.

Zdarzyło się, że w pewnym momencie przesłuchania przerwał świadkowi i zwracając się do zatłoczonej sali, zaprezentował w wyciągniętym ręku kiść bananów.

– Oto, panie i panowie, owoc doskonały. – Następnie pogroził palcem reporterom sądowym i rzucił: – Żeby mi się to znalazło w sprawozdaniu. Niech cały świat się dowie.

Po czym dał znak prokuratorowi, że może kontynuować przesłuchanie świadka.

Sędzia zwykł traktować uczestników rozprawy z dobroduszną wyrozumiałością. Nie zgadzających się z jego stanowiskiem, protestujących – najzwyczajniej ignorował. Stosował własne zasady procesowe – często zabawne – na utarte, zwyczajowe reguły nie zwracając najmniejszej uwagi. Wszystko zależało od jego humoru. Zasady przeprowadzania dowodów? Można było o nich zapomnieć, wkraczając na tę salę. Jak powiedział Kenny Buckram – u sędziego Fleminga nikt się nie nudził. Zawsze było interesująco, ale często także niebezpiecznie. W atmosferze braku powagi łatwo było zapomnieć, że na sali znajduje się człowiek, o którego życie toczy się ta gra.

Ława przysięgłych świeciła pustkami. Nie był to proces, a tylko przesłuchanie mające zdecydować, czy w sytuacji Darryla powinna zajść jakaś zmiana. Po zapoznaniu się z dowodami sędzia mógł oddalić lub przyjąć moją prośbę o ponowienie procesu; mógł zmienić wyrok z kary śmierci na dożywotnie więzienie; w pewnych wyjątkowych okolicznościach mógł nawet puścić Darryla do domu – jeżeli takie miejsce w ogóle istniało.

Rozprawa była otwarta, a dziennikarze już dawno wiedzieli, że zapowiada się ciekawie: były oskarżyciel, wbrew opinii Stowarzyszenia Prawników, broni Murzyna, którego wysłał do celi śmierci; ostatnia sprawa Horacego Fleminga przed odejściem na emeryturę. Nazwisko Zide nadal wiele znaczyło na Florydzie; pamiętano o morderstwie Solly'ego.

Star i *National Enquirer* zdecydowały się na pełną obsługę prasową rozprawy. Recesja, głód w Afryce i rozpad Związku Sowieckiego – te tematy przestały już budzić emocje czytelników. Proces jakiegoś Murzyna też nie był czymś wyjątkowym, ale – paradoksalnie – właśnie dlatego ta

sprawa przyciągnęła uwagę opinii publicznej. Wtedy także *New York Times* i nawet *Wall Street Journal* wysłały do sądu swoich reporterów.

W poniedziałek rano sala rozpraw wypełniona była po brzegi.

Barw stanu bronić mieli Muriel Suarez i John Whatley, ale przy stole oskarżenia dawało się wyczuć obecność Beldona Rutha w charakterze „szarej Eminencji”. On sam zjawił się w dniu otwarcia rozprawy, ubrany w marynarską kurtkę ze złotymi guzikami, i na korytarzu przed wejściem do sali rozpraw udzielił wywiadu prasie i telewizji.

– Czy uważa pan za właściwe – zapytał go reporter *Time'a* – że były pierwszy zastępca prokuratora stanowego broni człowieka, którego posłał na krzesło elektryczne?

– Zamierzamy wypowiedzieć się w tej kwestii – pewnym siebie tonem odparł Beldon; z nie zapaloną fajką w zębach wyglądał na profesora college'u wybierającego się na emeryturę. – Potem wszystko będzie zależało od sędziego.

Zaledwie sędzia Fleming stuknął młotkiem i zapytał, czy strony gotowe są do rozpoczęcia przewodu („Tak, Wysoki Sądzie”), młody Whatley zerwał się na równe nogi i oświadczył:

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, stan Floryda wnosi o odsunięcie Edwarda Jaffe od sprawowania funkcji obrońcy w sprawie *Florida versus Morgan*.

– Dlaczego? – zapytał Fleming.

Whatley kolejno wyłożył wszystkie swoje racje; natychmiast stało się jasne, że trenował pod okiem mistrza. To już nie był ten przejęty swoją rolą, z trudem wysławiający się chłopiec, który w kwietniu zabiegał o odrzucenie oświadczenia Elroya. Z jego postawy biła teraz młodzieńcza pewność siebie człowieka powołanego do służenia wyższym celom. Nawet jego strój pasował do tego obrazu: szary garnitur marszczył się nieco na karku, a gruby węzeł granatowego krawata zawiązany był troszkę krzywo. Przysięgli pokochaliby go od pierwszego wejrzenia. Wielu sędziów pozwoliłoby mu na wszystko.

Fleming zerknął na mnie sponad wypukłych szkieł okularów.

– Co pan na to, panie Jaffe?

– Wysoki Sądzie, mógłbym w tym miejscu powołać się na istniejące precedensy, na orzeczenia wydane w podobnych sprawach albo na wysoce abstrakcyjne pojęcie z zakresu teorii prawa, w rodzaju zasady domniemania dobrej woli, ale uważam, iż w celu rozstrzygnięcia tego sporu wystarczy odpowiedzieć sobie na dwa pytania. Pierwsze z nich brzmi: czy podsądny w sprawie tak poważnej jak ta – a nawiasem mówiąc, także w każdej innej – ma prawo do nieskrępowanego wyboru obrońcy? A oto drugie pytanie: czy nie leży w interesie prawdy, aby adwokatowi wolno było ujawnić całą wiedzę o faktach, jakimi dysponuje, oczywiście, jeżeli nie nabył jej metodami niezgodnymi z prawem? Czego obawia się oskarżenie? Że wiem coś, czego wiedzieć nie powinienem? Czy taka sytuacja jest w ogóle do pomyslenia, że jakieś fakty nie mogą być ujawnione przed obliczem sądu? Czyż warunkiem sprawiedliwości nie jest pełna znajomość faktów?

Mógłbym mówić dalej, ale sędzia zmarszczył czoło i wykonał ostrzegawczy gest dłonią, więc się zamknąłem.

– Marnuje pan czas, panie Jaffe.

Teraz ja zmarszczyłem czoło.

– Nic na to nie poradzę – rzekł sędzia Fleming – że niektórzy uważają mnie za zgrzybiałego durnia, ale nie zamierzam dostarczać im na to dowodów. Jeśli któraś ze stron sądzi, że zasłiśmy tak daleko tylko po to, żeby teraz zwinąć interes i iść na ryby, to znalazła się w niewłaściwym sądzie. Stan Floryda może powołać swojego pierwszego świadka.

Whatley już otwierał usta, ale Muriel Suarez pociągnęła go na krzesło chwyciwszy za rękaw marynarki i sama podniosła się od stołu. W przeciwieństwie do kolegi, który swój garnitur najprawdopodobniej nabył w firmie prowadzącej sprzedaż wysyłkową, miała na sobie wełnianą suknię z któregoś z włoskich domów mody – czarną, marszczoną w pasie; do tego włożyła ozdobne okulary w złotej oprawie. Z wyjątkiem szminki na ustach, nie miała dziś żadnego makijażu, co nadawało jej wygląd uczzonej kurtyzany. Nawet Fleming nie mógł oderwać od niej oczu.

– Wysoki Sądzie – powiedziała Muriel – proszę o pozwolenie na pojeście do stołu sędziowskiego.

– Zbliżcie się – sędzia Fleming kiwnął sękatym paluchem. Nie mógł

odmówić. A poza tym nie miał nic przeciwko przyjrzeniu się Muriel z bliska.

Przy stole mogliśmy tylko szeptać. Treść rozmowy nie trafiała do protokołu rozprawy. To w tym miejscu, przy stole sędziowskim, często wygrywało się albo przegrywało proces. I tu Muriel zagrała teraz swoją atutową kartą. Oczywiście stało się tak za zgodą Beldona Rutha, który z kolei działał w porozumieniu z gubernatorem Florydy, potrzebującym wsparcia Beldona w zawsze niespokojnej murzyńskiej społeczności Jacksonville.

– Wysoki Sądzie – rzekła Muriel – mam nadzieję, że nasze intencje zostaną właściwie zrozumiane i nie zostaniemy posądzeni o brak odwagi. – Mówiła łagodnym i niemal uwodzicielskim tonem. – Oskarżenie skłonne jest przyłączyć się do prośby obrony o zamianę wyroku na Darryla Morgana z kary śmierci na dożywotnie pozbawienie wolności.

– No proszę! – wyszeptał sędzia.

Wydawał się zaskoczony i wcale nie zirytowany. Prawdopodobnie z perspektywy siedemdziesięciodziewięciolatka śmierć nie jest czymś strasznym, ale zdawał sobie sprawę z faktu, że punkt widzenia mężczyzny trzydziestotrzyletniego może być nieco odmienny.

– I co pan powie, panie Jaffe? – zwrócił się do mnie z promiennym uśmiechem.

Ja też byłem zaskoczony. Mało powiedziane – zaskoczony.

Chrząknąłem i oznajmiłem, że muszę się porozumieć ze swoim klientem.

– Ile zabierze to panu czasu? – zapytał sędzia, trochę zbity z tropu chłodem mojej reakcji.

– Nie wiem, Wysoki Sądzie. Może pół godziny, a może dużo więcej.

– Ale chyba nie aż tak dużo?

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi, ale odparłem:

– Nie, panie sędzio.

– Panie Jaffe, pański klient musi podjąć decyzję. Nie nazwałbym jej trudną decyzją, ale zarządzę przerwę do jutra, do dziesiątej rano. Przez ten czas pański klient chyba zdąży dokonać wyboru między życiem a śmiercią. – A ja zdążę zapakować kanapki do termosu i przed wieczorem wyskoczyć na ryby, mówiło jego spojrzenie.

Wróciłem do stołu obrony.

– Z nikim nie rozmawiaj – poleciłem Darrylowi. – Za dziesięć minut będę w więzieniu.

Dwaj rośli zastępcy szeryfa założyli Morganowi kajdanki i poprowadzili ku tylnemu wyjściu z sali rozpraw.

Musiałem łokciami torować sobie drogę przez tłum reporterów. Zwęszyli pismo nosem albo wyciągali coś z protokółantki, która siedziała blisko stołu sędziowskiego.

– Bez komentarzy! – ryknąłem przeciskając się przez gąszcz mikrofonów. Zbiegłem schodami na dół i wymknąłem się na ulicę prowadzącą w stronę więzienia hrabstwa Duval.

Reporterzy wylegli za mną na ulicę. Słyszałem za sobą stukot damskich obcasów, szuranie adidasów o gorący chodnik.

– Powiedział pan Darrylowi? Co on na to?

– Czy uważa to pan za swoje zwycięstwo?

– Co chce ukryć oskarżenie, Ted?

– Bez komentarzy – powtórzyłem. Człowiek zawsze czuje się jak dupa wołowa, kiedy musi posłużyć się tą formułką. Ale często nie ma innego wyjścia. Takie są zasady gry.

Więzienie znajdowało się przy najbliższej przecznicy i dotarłem tam nawet szybciej niż w obiecanie dziesięć minut. Odwróciłem się do gromady reporterów; w rezultacie gonitwy w południowym upale wszyscy ociekaliśmy potem.

– Dajcie mi spokój, ludzie. To Morgan ma podjąć decyzję, nie ja.

Oczywiście Darryl o wszystkim już wiedział. Zastępcy szeryfa nie wytrzymali i wygadali się przed nim. Czekał na mnie w chłodnym, klimatyzowanym wnętrzu rozmównicy; zaciskał i rozwierał dłonie i co rusz tłukł nimi o masywne uda.

– Możesz ocalić życie – powiedziałem. – Do tego to się sprowadza.

Spojrzał na mnie twardym wzrokiem.

– Ile musiałbym odsiedzieć?

– Jeszcze dwanaście lat, zanim nabyłbyś prawo do ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Nie ma gwarancji, że coś by z tego wyszło. Skazanym za morderstwo zwykle nie udzielają zwolnienia warunkowego;

muszę ci o tym powiedzieć. Ale żyłbyś.

– Nie boję się śmierci – rzekł.

– Wiem.

– Ale nie chcę umierać jak Sweeting.

– Rozumiem. Posłuchaj, jeśli przyjmiesz propozycję ugody, jeśli wybierzesz życie, wypuszczą cię z celi śmierci. Powinieneś o tym pamiętać. Przeniosą cię na zwykły oddział, między ludzi. Będziesz mógł pracować, wychodzić na dziedziniec, rozmawiać. Będziesz miał widzenia i swoje karty i będziesz mógł robić sztuczki dla innych ludzi. Zdajesz sobie z tego wszystkiego sprawę?

– Nie umiem tego wszystkiego rozgryźć – mruknął Darryl.

Co miał na myśli? Na wszelki wypadek nic nie powiedziałem.

– Jeśli wybiorę życie, ta rozprawa się skończy, tak?

– Tak. Złożę prośbę o ponowienie procesu, ale prawdopodobnie ją odrzucą.

– Jak nam idzie?

– W sądzie? Niczego jeszcze nie zdziałaliśmy. A czasu mamy już niewiele.

– Co będzie, jeśli pociągniemy to dalej?

– Nie wiem – przyznałem.

– Brak ci sprytu, żeby to przewidzieć?

– Tak.

– Chcesz, żebym poszedł na ugodę, nie?

– Jeśli ci powiem „odrzuć tę propozycję”, a przegramy rozprawę i wyładujesz na krześle elektrycznym, nie będę mógł z tym żyć, Darrylu.

Znów położył mi dłoń na ramieniu.

– Powinieneś myśleć o tym, z czym ja mogę żyć, panie adwokat. Nieważne, z czym ty będziesz żyć, bo to ja siedzę w więzieniu, ty jesteś wolnym człowiekiem. Słyszysz, co mówię?

Nigdy go nie rozumiałem, nie znałem jego sposobu myślenia. Równie dobrze mógłby pochodzić z Marsa albo z Nowej Gwinei, tak obce były mi jego uczucia i myśli. Zawsze widziałem go jako postać jednowymiarową i prawdopodobnie on tak samo widział mnie. Zrozumiałem to teraz i zrobiło

mi się wstyd. Skinąłem więc tylko głową.

Zaczął przechadzać się po maleńkim pomieszczeniu. Nagle przystanął i powiedział:

- Tahaun i Pauline byli u mnie jeszcze raz. Wiesz?
- Słyszałem.

Powiedział mi o tym Gary Oliver. Pojechali do Raiford w przeddzień rozprawy. Gary znowu zabrał córki Pauline na koktajle mleczne do Starke.

– Rozmawiałem z chłopakiem sam na sam – powiedział Darryl. – Poprosiłem Pauline, żeby na chwilę wyszła. To dobra kobieta. Zgodziła się.

– Jak wam się rozmawiało?

– Naprawdę dobrze – w głosie Darryla zabrzmiało coś jakby zdziwienie. – Wiesz, to mój syn. – Powiedział to tak, jakbym o tym nie wiedział i jakby on sam dopiero niedawno to sobie uświadomił.

– Wiem.

– Miły chłopak. Ale nie jest mu lekko.

– Ja też mam syna. W tym wieku wszyscy chłopcy mają problemy.

– Czarni mają inne. Pogadaliśmy trochę o różnych głupotach, a potem mówię: „Jak sobie radzisz, chłopie?” A on odwrócił się, żebym nie widział, że płacze. Powiedziałem mu tak: „Wiem, jak się , czujesz, mały. Powiedzieć ci, skąd się wziąłem na tym świecie? Moja mama i jakiś facet zmajstrowali mnie pewnej nocy, a potem on poszedł swoją drogą, i tyle go widziała. Była wtedy pijana, nawet nie pamięta jego imienia. Zawsze sobie myślałem, że jak spotkam tego faceta, to go zabiję”. I mówię Tahaunowi: „Możliwe, że ty tak samo myślisz o mnie. No to proszę, oto stoi przed tobą ojciec, który nigdy dla ciebie niczego nie zrobił. I co ty na to, chłopcze? Chcesz mnie zabić?” Uśmiechnął się troszkę i mówi: „Nie. Już nie”. No więc rozmawialiśmy dalej i zrozumiałem, że ten dzieciak nie wie, co ze sobą zrobić. Wspominał o grze w koszykówkę, ale powiedział, że nie wie, czy naprawdę jest w tym taki dobry. Nie jest nawet najlepszy w szkolnej drużynie, więc chyba to musi być prawda. Powiedziałem mu: „Trzymaj się tego, ale więcej nie marz, że będziesz gwiazdą. Znajdź sobie inne marzenie”. Potem zastanowiłem się i przypomniałem sobie, jak to jest, kiedy się ma szesnaście lat i jest się dużym, czarnym i głupim. I zrozumiałem, że on jest zły. Zły, bo wie,

że jeśli nie nada się na piłkarza, prawdopodobnie nie potrafi robić nic innego. Kapujesz? I musi pozbyć się tej złości, żeby pojąć, kim jest i kim chce być. Powiedziałem mu to.

– Mam nadzieję, że cię wysłuchał – odrzekłem. – To była dobra rada.

Darryl skinął głową, ale właściwie nie dbał o moją reakcję; taki był zasłuchany w siebie.

– „Musisz walczyć”, powiedziałem mu. „Nie jestem w tym dobry, ale spróbuję ci to wyjaśnić: jeśli jesteś taki jak ja, myślisz sobie: jestem za duży, za czarny, za głośny, za tępy, za brzydki”. Widziałem to w nim, bo kiedyś byłem taki sam. „Nie lubisz siebie i zaczynasz się bać. Niczego nie rozumiesz. Nie czytam zbyt dobrze i niewiele mogłem dowiedzieć się z książek. Praca też mnie niczego nie nauczyła, bo co to była za praca. Wszystkiego nauczyło mnie życie, a wiesz, jakie to było życie. Masz pojęcie, ile przesiedziałem? Cholera, muszę to kiedyś pododawać, ale nie wiem, czy potrafię dość dobrze liczyć”.

Darryl umilkł.

– Jeśli pójdę na tę ugodę – powiedział po chwili – co się ze mną stanie? Co za życie będę prowadził tu, w Raiford? Mam robić sztuczki na dziedzińcu dla więźniów i klawiszy? Słuchaj mnie, facet, bo nie zdaje mi się, żebyś rozumiał, co mówię. – W jego ciemnych oczach błysnęła wściekłość. Zaczynał się rozkręcać. Widziałem go w tym stanie; wiedziałem, do czego jest wtedy zdolny. Ale tym razem był to gniew innego rodzaju.

– Co będzie z tym chłopakiem? – zapytał, jakby spodziewając się usłyszeć ode mnie odpowiedź. – Jest dużo inteligentniejszy niż ja, ale tak samo bawi się narkotykami i podobnymi bzdurami. Pytałem go o to, a on mi odpowiedział.

Darryl pochylił się nade mną, tak że raz jeszcze poczułem jego zapach. Ale zdążyłem się już do niego przyzwyczaić i miałem nadzieję, że on przyzwyczaił się do mojego zapachu.

– Wiesz, że nie zabiłem tego Żyda. Wyciągniesz mnie stąd, wyjdę na wolność i będę mógł zająć się chłopcem. On chce być ze mną, chce mnie widywać. Ja to czuję. Razem damy sobie radę. Tylko musimy być razem. Poradzę sobie – powtórzył zawziętym tonem.

- A co z Pauline? – zapytałem ostrożnie.
- To dobra kobieta. Przecież, cholera, nie mówię, że chcę jej zabrać chłopca. Znajdę pracę, a jeśli Pauline mnie zechce, zostaną z nią. Mówiła, że ma jeszcze dwójkę dzieci. Dziewczynki. Widziałeś je?
- Tak.
- Jakie są?
- Miłe smarkule.
- A więc mam rodzinę. Nawet dobrze się składa...
- Jeśli uda ci się przekonać Pauline.
- Nie zrobię tego siedząc w Raiford – mruknął Darryl.
- Zdecydowałeś więc – powiedziałem powoli – że nie przyjmujesz oferty ugody złożonej przez oskarżenie?
- Jak słyszałeś – odparł.

Poczułem, że serce bije mi coraz mocniej.

- Grasz w kości o swoje życie, Darrylu.
- Nie, to ty grasz. Ja tylko trzymam bank. Wyrzucisz siódmkę, będę żył. Schrzanisz, pójdę tam, dokąd poszedł Sweeting. Nie jestem kompletnym wariatem, więc musisz mi powiedzieć, że mamy szansę wygrać tę sprawę. Jeśli tak, możemy wracać do sądu i powiedzieć temu chudemu prokuratorowi i tej sexy brązowej paniusi, że mogą się iść dymać.

Na tę myśl Darryl uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. W jego oczach czaił się jednak strach.

Nie pozwolił mi odegrać roli wielkiego białego ojca; brał odpowiedzialność za swoje życie, tak jak zrobił to trzynaście lat temu wobec Gary'ego Olivera. Szanowałem tego człowieka.

- Mamy szansę – powiedziałem.
- No, to strzelaj z bata i ruszamy – odrzekł Darryl.

We wtorek sędzia Fleming po raz pierwszy pozwolił sobie na okazanie odrobiny emocji. Stan jego uczuć określiłbym jako pośredni między irytacją a złością. Z zaciśniętymi ustami przyglądał mi się przez chwilę ponurym wzrokiem, wreszcie rzekł:

– Panie mecenasie, mam obowiązek przypomnieć panu, iż pierwszym zadaniem obrońcy jest utrzymanie swojego klienta przy życiu.

Dokładnie to samo powiedziałem Gary'emu Oliverowi podczas spotkania w prokuraturze przed trzynastu laty.

– Mój klient zdaje sobie sprawę ze swojej sytuacji, Wysoki Sądzie. Z wdzięcznością przyjmiemy poparcie stanu dla naszej prośby o zmianę wyroku, ale żądamy ponowienia procesu w przedmiocie winy lub niewinności oskarżonego. Inaczej... nici z ugody.

Sędzia kiwnął palcem, na co pochyliłem się nad stołem. Muriel zrobiła to samo, ale wówczas Fleming gestem rozkazał jej się odsunąć.

Szepcząc mi do ucha, tak że nie mogła go usłyszeć reprezentantka przeciwnej strony, łamał naczelną zasadę etyki sędziowskiej.

– Panie Jaffe, jeśli pański klient jest winny, przedaj mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż doczeka się pan ponowienia procesu w moim sądzie.

Pochyliłem się jeszcze bardziej i szepnąłem prosto w jego blade kosmate ucho.

– Jest niewinny.

Sędzia rozkazał nam cofnąć się o kilka kroków, a następnie rzucił ostrym tonem:

– Panie Morgan, zechce pan podejść tutaj.

Darryl spojrział na mnie pytająco. Nie przepadał za sędziami. Skinąłem głową, a on podniósł się i ruszył w stronę stołu sędziowskiego. Widok był zaiste imponujący.

Fleming pogroził palcem protokolantce, co miało znaczyć: „przestań zapisywać, głupia?”. Sala rozpraw znów pękała w szwach. Sędzia wiedział, że podsądny nie może zbyt zbliżyć się do niego, musiał więc sam pochylić się ku niemu. Jego siwe wąsy niemal dotykały płaskiego, szerokiego nosa Darryla. Ledwie ich słyszałem.

– Pański adwokat – łagodnie powiedział sędzia – twierdzi, że odrzucił pan propozycję oskarżenia dotyczącą zmiany wyroku. Wie pan o tym?

– Tak jest, panie sędzio.

– Zgadza się pan ze swoim adwokatem?

– Z reguły tak – odparł Darryl.

– A tym razem?

– Tak, panie sędzio. Zgadzam się.

– Myśli pan, że jestem stara baba? – szepnął sędzia.

Darryl wyprostował się gwałtownie.

– Co proszę?

– Powiedziałem: czy myśli pan, że jestem stara baba? Że obchodzi mnie, czy będzie pan żył, czy umrze?

– Nie, panie sędzio – odrzekł Darryl. – Myślę, że ma to pan głęboko w dupie.

– Może pan wrócić na miejsce – powiedział sędzia.

Następnie podniósł głowę, sapnął przez nos i obwieścił czekającej w napięciu sali:

– Bierzemy się do roboty. Otwieram rozprawę. Gotowa pani? – zwrócił się do Muriel. – Proszę zaczynać.

Muriel wiedziała, że aby zadowolić sędziego, nie musi przedstawiać zeznań policjantów, którzy pierwsi dotarli do posiadłości Zide'ów i znaleźli ciało zamordowanego, czy lekarza sądowego, który dokonał sekcji zwłok, ani nawet policyjnego eksperta od balistyki. Musiała jednak w jakiś sposób

przedstawić tło sprawy, aby sąd wiedział, o co w ogóle chodzi i kto zginął.

Tak więc oskarżenie na swojego pierwszego świadka powołało Carmen Tanagra, była funkcjonariuszka biura szeryfa Jacksonville w stopniu sierżanta.

Muriel równie dobrze mogła powołać Floyda Nickersona, ale nie chciała, żebym przesłuchiwał go jako świadka strony przeciwnej. Gdybym to ja go wezwał, wówczas ona i Whatley mieliby prawo przesłuchać go jako świadka obrony.

Takie były zasady tej gry. Muriel nie uchodziła za zwolenniczkę kary śmierci, ale przysięga, którą złożyła podejmując służbę w prokuraturze, nakładała na nią obowiązek utrzymania Darryla Morgana na jego drodze do Wielkiej Drewnianej Mamy.

Poza tym zawsze istnieje kwestia ambicji. Nikt nie lubi przegrywać.

W zwiężłych, wypranych z emocji słowach była policjantka Wydziału Zabójstw naszkicowała scenę zbrodni: luksusowa posiadłość na plaży, tropikalna noc, oślepiający blask reflektorów.

Zatrzymali się z sierżantem Nickersonem na podjeździe. Patrolowy z Jacksonville Beach zaprowadził ich prosto na taras, gdzie leżały zwłoki. Neil Zide zidentyfikował je jako ciało swego ojca, Solomona Zide'a. Ofiara otrzymała co najmniej dwie kule. Tanagra zbadła puls w tętnicy szyjnej.

– Nie wyczułam go – zeznała. – Nie żył.

O ile wie, miejsce przestępstwa zostało prawidłowo zabezpieczone. Ona sama, stwierdziwszy, że pani Zide znajduje się pod opieką pokojówki, rozmawiała przez chwilę z Neilem Zide'em, a następnie zostawiła go w towarzystwie sierżanta Nickersona i udała się na obchód posiadłości. Na wydmach w pobliżu kabin kąpielowych znalazła martwego dobermana, a na mokrym piasku nad samą wodą ślady stóp dwóch biegnących mężczyzn w tenisówkach. Ustaliła, że jeden z uciekających morderców nosił obuwie numer czternaście lub piętnaście.

Mógłbym zgłosić w tym momencie sprzeciw, uznając jej stwierdzenie za domysł, ale milczałem.

Wracając do domu zauważyła czerwone migające światło. Przyjechał ambulans, sanitariusze wprowadzili do niego panią Zide. Jej partner, sierżant

Nickerson, przesłuchiwał Neila Zide'a. Pojawiła się też ekipa techniczna; ktoś robił zdjęcia. Uzbrojeni w podany przez Neila Zide'a rysopis dwójki czarnych, młodych ludzi, którzy przyłapani na włamaniu zastrzelili jego ojca, Carmen Tanagra i Nickerson wyruszyli w noc na poszukiwanie sprawców.

Krótko opisała wydarzenie przed sklepem Lil'Champ, śmierć Williama Smitha i aresztowanie Darryla Morgana.

– Świadek do dyspozycji obrony – oznajmił Whatley.

Podniosłem się z krzesła. Zaczynałem możliwie najspokojniejszym tonem, na jaki mogłem sobie pozwolić nie ryzykując uśpienia sądu.

– Pani Tanagra – zapytałem – w jaki sposób pani i sierżant Nickerson wjechaliście na teren posiadłości?

– Przez bramę od strony ulicy – odparła.

– Czy ta brama była otwarta?

– Prawdę mówiąc, nie pamiętam. Może otwarta, może zamknięta. Był tam wartownik; może on ją otworzył. To działo się trzynaście lat temu... trudno powiedzieć.

– Rozumiem. A więc niewykluczone, że to wartownik otworzył bramę i wpuścił was do środka?

– To całkiem możliwe.

– Rozmawiała pani z nim?

– Nie pamiętam.

– Może go pani opisać?

– Po tylu latach – nie.

– Nie pamięta pani, czy był młody czy stary?

– Raczej stary.

– Ponad czterdziestkę?

– Na pewno. To znaczy... chyba tak.

– Czy przypadkiem nie zapamiętała pani jego nazwiska?

– Nie. To było zbyt dawno temu.

– Czy mogło ono brzmieć Terence O'Rourke?

– Jakbym je gdzieś słyszała. Ale naprawdę nie pamiętam.

– Czy nie zdziwiło to pani, że strażnik znajdował się przy bramie, nie w

domu? Przecież słyszał odgłosy strzałów.

Carmen Tanagra zastanawiała się przez chwilę.

– Zdaje się, że ktoś polecił mi zostać w stróżówce, ponieważ policja była już w drodze.

– Czy to on powiedział pani o tym?

– Chyba tak, nie jestem pewna.

– Czy powiedział, kto wydał mu to polecenie?

– Możliwe, ale nie pamiętam, kogo wymienił.

– Jak daleko jest od bramy do domu?

– Trudno powiedzieć.

– Pozwoli pani, że odświeżę jej pamięć. – Na mój znak Gary Oliver udał się do pokoju sędziowskiego, skąd wyniósł sztalugi z rozpiętym na nich dużym arkuszem białego kartonu. Widniał na nim nakreślony grubymi liniami plan posiadłości Zide'ów. Wykonano go w miejscowym biurze projektowania przestrzeni. Przez całą jesień Gary suszył im o to głowę. Plan zaopatrzony był w pisemne poświadczenie jego zgodności ze stanem faktycznym.

Zbadawszy owo zaświadczenie, Muriel skłonna była przyznać, że owszem, plan jest w porządku.

– Niemniej jednak, Wysoki Sądzie – oświadczyła – nie widzę związku. Chciałabym przypomnieć, że jesteśmy tutaj, aby zapoznać się z nowymi dowodami, obiecany przez obronę. To nie jest nowy dowód.

– Celem tego przesłuchania – odparłem – jest usunięcie niejasności i wyświetlenie całej prawdy.

To była ta magiczna formułka. Sędzia poruszył się.

– Jeśli zgłosiła pani sprzeciw – rzekł – to niniejszym zostaje on oddalony. Proszę się streszczać, panie Jaffe.

Muriel uśmiechnęła się miło i usiadła.

Zwróciłem uwagę Carmen Tanagra, że według planu, odległość od bramy do głównego budynku wynosi około czterystu metrów.

– To się chyba zgadza – odrzekła.

– Pani Tanagra, gdyby w domu oddano strzał w chwili, kiedy pani i sierżant Nickerson mijaliście bramę, słyszałyby go pani?

- Oczywiście.
- Ale nic takiego wtedy się nie zdarzyło? Nikt nie strzelał?
- Nie. – Carmen wyglądała na zbitą z tropu.

To dobrze. Tego właśnie chciałem.

– Kiedy dotarliście do domu, jakie pojazdy zauważyła pani na podjeździe?

- Dwa radiowozy z Jacksonville Beach i prywatny samochód.
- Należący do...
- Niejakiego Victora Gambrela.

Gambrel znajdował się wtedy w salonie, wyjaśniła. Kiedy ona i Nickerson weszli do domu, natychmiast przedstawił się jako szef ochrony Zide Industries. Zajmował się właśnie panią Zide, opatrywał ją. Powiedział, że przybył parę minut wcześniej, zawiadomiony przez Neila Zide'a.

– Czy miała pani możliwość zdobycia jakiegokolwiek potwierdzenia słów pana Gambrela? Że przebywał w domu od kilku minut?

- Zdaje się, że potwierdził je strażnik.
- Tak? Ten przy bramie?
- Był tylko jeden, więc tak.
- Kiedy pani z nim rozmawiała?
- Sierżant Nickerson przesłuchał go następnego dnia. W biurze szeryfa.
- Nie była pani obecna przy tym przesłuchaniu?
- Miałam coś innego do roboty. Już nie pamiętam co.
- Czy któreś z państwa przesłuchiwało pana Gambrela?
- Sierżant Nickerson rozmawiał z nim w domu i później. On i Gambrel

znali się. Kiedy weszliśmy, Gambrel spojrzał na sierżanta i powiedział: „Cześć, Nick”, a Nickerson odpowiedział: „Cześć, Victor”.

– Jakby byli starymi przyjaciółmi?

– Niezupełnie. Raczej jakby znali się na gruncie zawodowym. Myślę, że Gambrel przed podjęciem prywatnej pracy służył w policji w Jacksonville.

Gary Oliver notował zawzięcie; jego pióro w takim tempie śmigało po żółtych stronach notatnika, że co chwilę musiał przewracać kartkę.

Spojrzałem na Muriel Suarez. Przez chwilę jej wzrok spoczywał na Garym; zmarszczyła brwi. Podczas tej rozprawy przedstawiciele stron nie

musieli skrywać swoich emocji. Nie było ławy przysięgłych, która śledziłaby ich zachowanie i próbowała wyciągnąć z niego jakieś wnioski.

Zajrzałem do notesu.

– Pani Tanagra, odpowiadając na pytanie prokuratora, zeznała pani, że „o ile pani wie, miejsce przestępstwa zostało prawidłowo zabezpieczone”. Ciekaw jestem, co pani miała na myśli, mówiąc: „O ile wiem”?

– No... nie zauważyłam, żeby ktoś tam się kręcił.

– I na tej podstawie oparła pani swoją opinię?

– Nie pamiętam – w głosie Carmen Tanagra zabrzmiała nuta gniewu. Była zła. Od dawna nie służyła w policji, ale zależało jej na opinii „dobrego policjanta”.

– Przez „miejsce przestępstwa” rozumie pani, jak sądzę, najbliższe otoczenie zwłok zamordowanego? Czyż tak?

– Tak, mniej więcej.

– Czy ktoś pytał panią Zide i pana Neila Zide'a, czy nie dotykali czegoś na tym obszarze? Czy nie ruszali zwłok?

– Tak, ja pytałam. Powiedzieli, że nie.

– I pani im uwierzyła?

– Byli w stanie szoku.

– Nie o to panią pytałam. Zapytałam, czy uwierzyła im pani, kiedy powiedzieli, że niczego nie dotykali i nie ruszali zwłok.

– W pewnym stopniu. To znaczy... chodzi mi o to, że ta kobieta wpadła w histerię. Wszędzie była jej krew. Może i dotykała ciała męża, może tuliła go w ramionach. Mogło się tak zdarzyć. Wiele rzeczy dzieje się przypadkowo, ale sekcja zwłok...

– Czy syn też histeryzował? – przerwałem jej.

– Trochę. Tak.

– A pan Gambrel?

– Tego nie pamiętam. Był tam od niedawna.

– Czy był spokojny?

– Myślę, że tak.

– Rozmawiała pani z nim?

– Nie, Nick... sierżant Nickerson z nim rozmawiał. Ja poszłam szukać

psa.

To, co robiłem, przypominało łowienie ryb. Haczyk jakby zaczepu o coś w mętnej głębinie. Nie miałem pojęcia o co, ale czułem lekki opór.

– Pani Tanagra – mówiłem powoli – poszła pani szukać psa w pobliżu kabin kąpielowych. Zgadza się?

– Tak.

– Pies, doberman, kiedy go pani znalazła, był martwy. Otruty, o ile sobie przypominam, przez Smitha i Morgana.

Darryl, siedzący u mego boku, poruszył się i chrząknął.

– Przez Smitha – poprawiłem się.

– Istotnie.

– Czy idąc w stronę plaży, wiedziała pani, że pies nie żyje?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Czy wiedziała pani, że w ogóle jest tam jakiś pies?

Ściągnęła brwi; próbowała sobie przypomnieć tamtą noc. Ale to było prawie trzysta lat temu. Minęło blisko pięć tysięcy dni i nocy.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Może ponownie uda mi się odświeżyć pani pamięć – powiedziałem. – Proszę mi przerwać, jeśli będę błędził. Opuściła pani salon, gdzie zgromadzili się wszyscy ci ludzie... wyszła pani na taras.

Kiwnęła głową, a więc mówiłem dalej.

– Mogła pani pójść w każdym kierunku, ale skrzyła pani w lewo i przez trawnik skierowała się w stronę plaży. Dlaczego pani to zrobiła?

– Żeby zobaczyć, czy nic się nie stało psu – odparła.

– Dlaczego chciała pani sprawdzić, czy nic nie stało się psu?

– Ktoś powiedział: „Ciekawe, dlaczego pies nie szczekał”. Czy może: „Ciekawe, co stało się z psem. Dlaczego nie szczeka?” Coś w tym rodzaju. Teraz sobie przypominam. Wysłałam więc, żeby sprawdzić. I poszłam na plażę. Myślę, że to mówił syn. Powiedział, że pies jest na plaży i wskazał mi kierunek. Tak, jestem pewna, to był syn.

– Neil Zide?

– Tak.

– Na plażę poszła pani sama, tak?

– Nie, wzięłam ze sobą jednego z policjantów z patrolu. Nick powiedział: „Carmen, nie idź sama. Nie wiadomo, na kogo się tam napatoczysz”. Dlatego ten policjant poszedł ze mną.

– A więc w domu zostali Neil Zide, pani Zide, Victor Gambrel oraz sierżant Nickerson i drugi policjant z Jacksonville Beach.

– Nie, policjantów z Beach było jeszcze dwóch. Przyjechali we trójkę dwoma radiowozami. Jeden poszedł ze mną... pamiętam, że miał dużą, mocną latarkę, którą powiesił sobie na pasku. Dwaj zostali na miejscu.

Pojawiła się szansa, której nie mogłem nie wykorzystać.

– Kiedy pani i trzeci policjant z Beach wróciliście do domu, czy dwaj pozostali nadal znajdowali się w salonie, razem z państwem Zide, Victorem Gambrelem i sierżantem Nickersonem?

– Nie sądzę – odparła Carmen Tanagra. – Zdaje się, że właśnie nadjeżdżał ambulans i wyszli, żeby wskazać mu drogę. Tak, jestem tego pewna.

– Pewna... po trzynastu latach?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparła. Ale zmarszczki na jej czole mówiły mi, że coś ją zaniepokoiło, jakieś ulotne wspomnienie lub obraz. Wyczuwała to, ale nie była w stanie uzmysłwić sobie i wydobyć na światło dzienne.

– Nie mam więcej pytań – powiedziałem. – Na razie.

28

Stan Floryda wzywa Constance Zide – powiedział spokojnie Whatley, kiedy po przerwie na lunch wróciliśmy na salę rozpraw.

Wśród widzów zapanowało poruszenie. Umundurowany woźny przeprowadził Connie przez salę, za barierkę, na miejsce dla świadków. Nawet przez szum zamykających się drzwi słysząc było trzaskanie migawek aparatów fotograficznych i cichy furkot wielkich kamer telewizyjnych. Ja też odwróciłem wzrok i spostrzegłem, że Connie osłania twarz podniesioną czarną torebką.

Kiedy mijała stół obrony, zrozumiałem, dlaczego to robiła. Nie widziałem jej od dnia, gdy sędzia Eglin wydał na Darryla wyrok śmierci. Miała teraz blisko sześćdziesiąt lat. Zawsze zdawało mi się, że przy jej strukturze kostnej i jasnej, czystej skórze pozostanie piękną kobietą bez względu na wiek, że patrząc na nią młodzi będą żałować, iż nie znali jej kilka lat wcześniej.

Byłem w błędzie.

Jej włosy miały ten sam co niegdyś kolor; farba zamaskowała siwiznę. Nie były już jednak tak lśniące jak dawniej. Ale i tak poza nimi nic nie pozostało z dawnej Connie.

Policzki miała nalane, jakby opuchnięte, wałki tłuszczu podrygiwały poniżej szczęki, opadając aż na grubą szyję. Blizna oczywiście zniknęła; chirurgia kosmetyczna potrafi działać cuda. Ubrana była w czarną garsonkę, jakby nadal nosiła żałobę, ale ja pamiętałem, że powiedziała kiedyś: „Kochanie, czarny to nie mój kolor. Jest w nim coś z teatralnej przesady. Chociaż

niektórzy wyglądają w nim szczuplej. Jeśli zobaczysz mnie kiedyś w czarnym, będzie to znaczyło, że straciłam już wszelką nadzieję”.

Niepewnym krokiem przeszła między stołami oskarżenia i obrony i z ulgą opadła na krzesło w boksie dla świadków. Obwieszona diamentami, szmaragdami i złotem niczym gwiazda filmowa, pozbawionym wyrazu wzrokiem obiegła salę. Czułem, że dzisiaj jej biżuteria nie była sztuczna. Nasze oczy się spotkały, ale nie wywołało to żadnej zmiany na jej twarzy. Może coś w rodzaju powitania kryło się za gwałtownym mrugnięciem, może odrobina przytłumionego bólu – ale to było wszystko. Jej błękitnozielone oczy przedłużone różową kredką, patrzące z twarzy pokrytej grubym makijażem, sponad zaciśniętych cynobrowych ust, były oczyma człowieka śmiertelnie chorego.

Och, Connie... moja stara, droga Connie, co się z tobą stało?

Od stołu sędziowskiego dobiegło mnie kasznięcie sędziego Fleminga, a rzut oka na jego twarz uświadomił mi, że po raz pierwszy zastanawia się, czy wyświetlenie prawdy jest aż tak ważne. Jest, panie sędzio – pomyślałem. – Jest. Obiecuję to panu udowodnić.

John Whatley był wobec Connie niezwykle uprzejmy. Poprosił ją, by cofnęła się myślą do wieczora 5 grudnia, do przyjęcia z muzyką Mozarta i przysmakami z restauracji „Zabar's” na Manhattanie.

Swoim nieco ochrypłym, ale ciepłym głosem, który prawie nie zmienił się przez te wszystkie lata, Connie opowiedziała o wypadkach tej nocy.

Wystarczyło jej na to piętnaście minut. Przypomina sobie, że usłyszała strzały, wybiegła na taras i nad zwłokami męża ujrzała dwóch młodych Murzynów; jeden z nich trzymał w dłoni pistolet. Potem ktoś zranił ją w twarz. Nic więcej nie pamięta.

Whatley odstaąpił o krok, niczym dworak cofający się przed królową, i posłał jej pokorny uśmiech.

– Nie mam więcej pytań. Dziękuję, pani Zide. Przykro mi, że musieliśmy panią niepokoić. – Odwrócił się ku mnie i rzucił sucho: – Przekazuję świadka obronie.

– Nie mam pytań – oświadczyłem.

W zwróconych ku mnie oczach Connie błysnęło coś na kształt

wdzięczności. Nie zasłużyłem na nią.

– Chciałbym jednak, aby pani Zide pozostała na sali albo w pobliżu, na wypadek konieczności złożenia zeznań – dodałem.

Podczas procesu świadkowie z reguły nie słyszą zeznań innych świadków. Zasada ta obowiązuje jednak dopiero na żądanie przedstawiciela którejś ze stron.

Ani Muriel, ani ja nie zażądaliśmy tego podczas tej rozprawy. Miałem ku temu swoje powody i przypuszczam, że ona także. Tak więc Connie została na sali sądowej, aby wysłuchać zeznań swego syna. On także słyszał, co zeznawała matka i Carmen Tanagra.

Neil zaprezentował w sądzie włosy jak zwykle długie i nieporządne, ale ogolił się na tę okazję i włożył trzyczęściowy garnitur z czerwonym krawatem w różowe grochy. Garnitur był czarny; Neil nie miał problemów z nadwagą i nie obawiał się przesady.

Jego zeznanie, koncepcja nieudanego włamania i opis okoliczności śmierci ojca stanowiły odbicie zeznań matki. Trzydzieści lat temu i on, i Connie byli moimi świadkami, tak że nie spodziewałem się niczego innego.

Kiedy Whatley powiedział „Przekazuję świadka”, wstałem ze swego miejsca za stołem obrony.

– Panie Zide, pan i ja znamy się na gruncie towarzyskim od około czternastu lat, zgadza się?

– Tak, istotnie.

Z góry przyjął obronną postawę. Przypuszczałem, że spodziewał się, iż pozwolę mu odejść, tak jak to uczyniłem z jego matką.

– A więc nie masz nic przeciwko temu, że będę się do ciebie zwracał po imieniu?

– Nie, oczywiście, że nie... Ted.

– Nie chciałem, aby sąd pomyślał, że pozwalałam sobie na niestosowną poufałość w stosunku do świadka – wyjaśniłem i uśmiechnąłem się w stronę sędziego Fleminga. – Byłeś w sądzie i wysłuchałeś zeznań złożonych dzisiaj przez panią Carmen Tanagra, prawda? – zapytałem, zwracając się do Neila.

– Tak, byłem tutaj – odparł.

– A więc słyszałeś, jak opowiadała o znalezieniu dobermana na wydmach nie opodal plaży? I że pies był martwy. Otruty.

– Tak.

Zajrzałem do notatek Gary'ego Olivera.

– Sierżant Tanagra przypomniała sobie, że wyszła na plażę, ponieważ ktoś powiedział: „Ciekawe, co stało się z psem. Dlaczego nie szczeka?”, i że jej zdaniem ta uwaga pochodziła od ciebie. Czy przypominasz to sobie, Neil?

Zaśmiał się dobrodusznie.

– Ted, rozmawiamy o czymś, co wydarzyło się trzynaście lat temu. Uważam siebie za człowieka obdarzonego dobrą pamięcią, ale wszystko ma swoje granice.

– Inaczej mówiąc, nie pamiętasz?

– Zgadza się.

– Nie powiedziałeś sierżant Tanagra, że pies znajduje się na plaży?

– Posłuchaj, nie chcę zgadywać, mówiąc: może tak, może nie. Zostałem zaprzysiężony, Ted.

– W rzeczy samej.

Był cudownym świadkiem: arogancki, wygadany, niemal wesoły.

Wziąłem ze stołu cienką kopertę z szarego papieru, poprosiłem sędziego o pozwolenie na zbliżenie się do świadka i wręczyłem ją Neilowi.

Miał taką minę, jakby to była bomba pocztowa. Otworzył ją ostrożnie i przebiegł wzrokiem wyjęte z niej kartki. Następnie spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem i wzruszył ramionami. Też mi coś!

– Neil, czy zechciałbyś powiedzieć sądowi, co przed chwilą oglądałeś?

– Wygląda to na zapis mojego zeznania złożonego na policji trzynaście lat temu...

– I nic więcej?

– Nie pozwoliłeś mi dokończyć. Jest tu także kilka stron protokołu z późniejszego procesu.

– Co powiesz o treści tych dokumentów?

– Zawierają mój opis dwójki mężczyzn, którzy usiłowali obrabować dom i zastrzelili mojego ojca. I opis wydarzeń tamtej nocy.

- Wtedy miałeś to wszystko świeżo w pamięci, prawda?
- Tak, oczywiście.
- I mówiłeś prawdę?
- Naturalnie.
- Minęło trzynaście lat. Czy masz jakikolwiek powód, aby zmienić zdanie odnośnie do tego, co widziałeś i co wydarzyło się tamtej tragicznej nocy?

Przyglądał mi się przez chwilę, jakby podejrzewając mnie o ironię. Nieśluszenie.

- Absolutnie nie.
- Podtrzymujesz to, co powiedziałeś sierżantowi Nickersonowi 6 grudnia 1978 roku i co zeznałeś pod przysięgą w czasie procesu przed ławą przysięgłych?

- Oczywiście.

Wyjąłem mu z ręki dokumenty stanowiące zawartość koperty i na użytek sędziego odczytałem na głos:

- „Byli młodzi, czarni, w tenisówkach, dzinsach i, jeśli dobrze pamiętam, w ciemnych trykotowych koszulkach. Było ich dwóch. Nie przyjrzałem się dokładnie temu drugiemu, temu, który zranił moją matkę. Robili wrażenie zdezorientowanych, nie spodziewali się, że ktoś będzie na nogach o tej porze... Ojciec zaskoczył ich, wpadli w panikę... Nie, nie wiem, w jaki sposób dostali się na teren posiadłości”.

Podniosłem wzrok na sędziego.

- To z raportu policyjnego, zawierającego doniesienie o przestępstwie, Wysoki Sądzie. Pan Zide podpisał się na marginesie każdej strony raportu, łącznie ze stroną, z której pochodzi odczytany przeze mnie ustęp. A teraz zapoznam Wysoki Sąd z fragmentem protokołu z procesu, z przesłuchania świadków oskarżenia. To ja zadawałem wówczas pytania, a pan Zide udzielał na nie odpowiedzi.

Wypiłem łyk wody i zacząłem czytać:

Pytanie (pan Jaffe): Czy dobrze ich pan widział?

Odpowiedź (pan Zide): O tak.

P: Czy nie znajdowali się w cieniu?

O: Nie, widziałem ich całkiem wyraźnie. Jeden z nich był bardzo wysokim czarnym mężczyzną. Drugiego tak dobrze nie pamiętam.

P: Zechce pan opisać oświetlenie.

O: Na taras padało światło z salonu. Poza tym, o ile pamiętam, włączył się wreszcie system alarmowy, unieruchomiony prawdopodobnie przez tych dwóch, tak że wszędzie na zewnątrz było mnóstwo światła.

P: Jak daleko znajdował się pan od tych dwóch mężczyzn?

O: Jakieś... pięć do siedmiu metrów. Trudno powiedzieć dokładnie.

P: Jaki ma pan wzrok, panie Zide?

O: Bez zarzutu.

P: A jak długo ci dwaj mężczyźni przebywali na tarasie, zanim rzucili się do ucieczki? To znaczy, zanim odwrócili się do pana plecami?

O: Trudno powiedzieć... kilka sekund. Ale zdążyłem zobaczyć ich twarze.

P: I przyglądał się pan, jak uciekali?

O: Tak, przez... nie wiem... przez chwilę.

P: Czy któryś z nich oglądał się za siebie?

O: Tak, ten, który zastrzelił mojego ojca. Ten wysoki. Odwrócił się może na sekundę.

P: Widział pan wtedy jego twarz?

O: Tak.

P: Czy któryś z tych mężczyzn znajduje się dzisiaj w sądzie?

O: Tak, jeden z nich.

P: Czy zechce go pan wskazać?

O: Człowiek, który zastrzelił mojego ojca, siedzi tam, przy stole, ubrany w niebieską koszulę i brązowe spodnie. (Świadek wskazał pana Morgana.)

Odłożyłem kartki na stół.

– Wszystko się zgadza, prawda, Neil? To, co przeczytałem, pokrywa się z treścią twojego zeznania i z zapisem protokołu, czyż nie?

– Tak, chyba tak.

– Może chciałbyś sprawdzić?

– Nie. Wierzę ci.

– Neil, pan Morgan także jest dziś obecny w sądzie, prawda?

Darryl nieznacznie poruszył się na krześle. Neil zmarszczył brwi; miał wrażenie, że traktują go jak dziecko albo kretyna, a tego nie lubił.

- Owszem, jest tutaj – odparł.
- Siedzi obok mnie, prawda?
- Tak.
- Panie Morgan, zechce pan wstać.

Darryl powoli wyprostował dwa metry swego ciała.

– Neil, co twoim zdaniem stanowi charakterystyczną cechę pana Morgana? Widoczną na pierwszy rzut oka?

– Sprzeciw! Pytanie bez związku ze sprawą – wtrącił Whatley.
– Za chwilę ten związek stanie się jasny – odparłem.
– Sprzeciw oddalony – oznajmił sędzia Fleming. – Może pan odpowiedzieć, panie Zide.

- A więc... jest czarny i wysoki.
- Po prostu wysoki?
- Nie bardzo rozumiem.
- Cóż, są ludzie wysocy i są bardzo wysocy, nieprawdaż?
- Tak, istotnie.
- Jak określiłbyś pana Morgana?
- Chyba jako bardzo wysokiego.
- I tak właśnie opisałeś go podczas procesu, prawda?
- Tak, dokładnie.

– Na ile oceniasz jego wzrost?

– Nie jestem specjalistą – niechętnie odparł Neil. – Ani jarmarcznym jasnowidzem.

– To nic trudnego. Na przykład: jak sądzisz, ile ja mam wzrostu?

– Sprzeciw – poderwał się Whatley.

– Odrzucony. Może pan odpowiedzieć. Ale proszę się pośpieszyć, panie Jaffe – rzucił sędzia.

– Jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów.

– Doskonale – uśmiechnąłem się. – A teraz, bądź tak dobry, spójrz na pana Morgana. Co powiesz na temat jego wzrostu?

– Sto dziewięćdziesiąt dwa – sto dziewięćdziesiąt cztery – mruknął

Neil.

– Czy zdziwi cię, jeśli powiem, że pan Morgan ma sto dziewięćdziesiąt cztery centymetry wzrostu?

– Niespecjalnie. Mówiłem, że nie jestem ekspertem od mierzenia.

– Jednak to dużo, prawda? Nie jest to wzrost Michaela Jordana czy Magica Johnsona, ale mimo wszystko mężczyzny bardzo wysokiego. Chyba się ze mną zgodzisz?

– Chyba tak.

– Trzydzieści lat temu, o ile sobie przypominasz, pan Morgan nie był niższy, prawda?

– Nie sądzę.

– Czy to znaczy „tak” czy „nie”?

– Nie. Nie był niższy.

– Czy pamiętasz, jak opisałeś go sierżantowi Nickersonowi tej nocy, kiedy został zamordowany twój ojciec?

– Podobnie. Czarny. Wysoki. Młody. Oczywiście był wtedy młodszy.

Teraz pozostało mi tylko zadać ostatnią serię pytań. Należało go zahipnotyzować i poprowadzić w wybranym kierunku. Byłoby to nieznośnie nudne, gdyby nie nadzieja, że rezultat okaże się zgodny z oczekiwaniami.

– Neil, odczytałem przed chwilą fragment raportu policyjnego zawierającego doniesienie o przestępstwie, pamiętasz?

– Tak.

– Słyszałeś, jak cytowałem twoje słowa, wypowiedziane w obecności sierżanta Nickersona?

– Tak.

– Rozmawiając z sierżantem Nickersonem nie kłamałeś, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Okoliczności śmierci ojca miałeś świeżo w pamięci, czyż nie?

– Tak.

– Pana Morgana i pana Smitha widziałeś zaledwie godzinę wcześniej, prawda?

– Tak.

– A dzisiaj potwierdziłeś prawdziwość zapisu twego oświadczenia za-

wartego w raporcie, zgadza się?

- Tak.
- Wtedy, w nocy, określiłeś pana Morgana jako czarnego, czy tak?
- Tak.
- Stwierdziłeś też, że on i pan Smith byli młodzi?
- Tak.
- I zauważyłeś, że robili wrażenie zdeorientowanych?
- Tak.
- Czy także opisałeś pana Morgana jako bardzo wysokiego?

Neil milczał.

- Czy opisałeś go jako po prostu wysokiego?

I znów Neil nie odpowiedział.

- Czy w ogóle wspomniałeś o jego wzroście, Neil?

Neil westchnął.

– Czy prawdą jest, że niespełna godzinę po zamordowaniu twojego ojca, opisując Darryla Morgana – rzekomego sprawcę tego morderstwa – nie wspomniałeś o jego wzroście?

- Pamiętałem o tym, ale...

– Nie – przerwałem mu ostro. – Nie pytam cię o to, co pamiętałeś. Pytam, w jaki sposób opisałeś pana Morgana. Tak czy nie, proszę... Czy to prawda, że poproszony o podanie rysopisu człowieka, który zastrzelił twojego ojca, pomiñałeś kwestię jego wzrostu? Tak czy nie?!

Neil podniósł wzrok na sędziego Fleminga, jakby stamtąd spodziewał się pomocy, ale pomoc nie nadchodziła.

– Jeśli raport policyjny jest ścisły – powiedział – wygląda na to, że przeoczyłem ten fakt.

Uznałem, że to mi wystarczy.

– Jednakże trzy miesiące później – zauważyłem – podczas procesu, opisałeś pana Morgana jako bardzo wysokiego... czyż nie?

- Ponieważ do tego czasu wszystko sobie przypomniałem.

Czekałem, ale Neil nic więcej nie powiedział. Tym razem brakło ławy przysięgłych, na której trzeba było zrobić odpowiednie wrażenie – tylko sędzia Fleming patrzył na świadka z wysokości stołu sędziowskiego.

„Kończ, kiedy jesteś górą” – oto zasada znana każdemu dobremu adwokatowi z praktyką sądową; i najtrudniejsza do przestrzegania.

Zacząłem się więc odwracać, ale nagle zatrzymałem się i – niezdecydowany – podrapałem się po głowie. Westchnąłem, jakbym poczuł się tym wszystkim zmęczony.

– Jeszcze jeden drobiazg... – powiedziałem – prawie o nim zapomniałem.

Z pliku papierów, które wciąż trzymałem w ręku, wyłowilem stronę protokołu procesu sprzed trzynastu lat i podałem Neilowi prosząc, aby ją sobie przeczytał.

Zrobił to, a potem spojrzał na mnie jakby zdziwiony.

– To, co zeznałeś pod przysięgą trzynaście lat temu, pokrywa się całkowicie z twoim dzisiejszym zeznaniem, prawda, Neil?

– Tak, oczywiście.

– Usłyszałeś hałas, coś jakby trzask rozbijanej doniczki, zgadza się?

– Tak.

– Wtedy ojciec wstał od stołu do trik-traka i wyszedł na taras.

– Zgadza się.

– Matka poszła za nim.

– Tak.

– Usłyszałeś trzy strzały.

– Tak.

– Nie dwa czy cztery lub pięć?

– Nie, trzy... tak to pamiętam.

– Czy masz jakieś wątpliwości co do liczby tych strzałów?

– Raczej nie.

– Powiedz, Neil, ile czasu upłynęło od chwili, gdy usłyszałeś strzały, do momentu, gdy wybiegłeś na taras i ujrzałeś ojca leżącego na podłodze?

– Około dziesięciu sekund.

– Dotarłeś na taras w porę, by ujrzeć, jak czarny mężczyzna – okazało się później, że był nim William Smith – wykonuje ruch ręką w kierunku twarzy twojej matki.

– Tak.

- Nie padł więcej ani jeden strzał.
- Nie.
- A czy strzelano wcześniej, kiedy ty, ojciec i matka graliście w trik-traka?
- Nie.
- Jesteś pewien?
- Oczywiście, że jestem pewien. Ojciec nie wyszedłby z domu, gdybyśmy usłyszeli strzał.
- Nie mam więcej pytań.

Whatley zgłosił chęć powtórnego przesłuchania świadka. Ostatnią serię moich pytań uznał za macanie na ośle, spieszno mu natomiast było zrehabilitować Neila w kwestii jego pierwszego opisu Darryla Morgana.

– Panie Zide – powiedział – tamtej nocy, trzynaście lat temu, był pan bez mała świadkiem agonii ojca, czy tak?

– Tak. – Neil skinął głową. – To było straszne.

– Czy można powiedzieć, że ten widok wstrząsnął panem i oszołomił go?

Zgłosiłem sprzeciw; prokurator sugerował świadkowi odpowiedź.

Sędzia podtrzymał sprzeciw.

Whatley inaczej sformułował pytanie:

– Jak określiłby pan stan swojego umysłu w chwilę po śmierci ojca?

– Doznałem szoku.

– Kiedy rozmawiał pan z sierżantem Nickersonem opisując tych dwóch młodych ludzi, którzy uciekli przez trawnik, czy był pan zdolny zastanawiać się nad ich tuszą, wzrostem i tak dalej?

– Absolutnie nie. Myślałem tylko o ojcu i matce, i o tym, co ich spotkało kilka minut wcześniej.

– Przekazuję świadka obronie – powiedział Whatley.

– Nie mam więcej pytań.

– Czy pan Zide jest wolny, czy pozostaje do dyspozycji stron? – zapytał sędzia Fleming.

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, chciałbym, aby pozostał do naszej dyspozycji.

Whatley zakończył przedstawianie swoich świadków przypomnieniem, że na jego stronie nie ciąży obowiązek przeprowadzania jakiegokolwiek dowodu, dlatego też nie ma więcej świadków. Muriel musiała uznać, że wypełniła swoje zobowiązania wobec sędziego; przyczyniła się do wyświelenia prawdy i oszczędziła mu trudu studiowania trzech tysięcy stron protokołu procesowego.

Teraz nadeszła moja kolej.

Dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale czekałem na tę chwilę trzynaście lat.

Podobnie Darryl.

Z zadowoleniem przyjąłem jednak ogłoszenie przerwy obiadowej.

Musiałem porozmawiać z Garym Oliverem. Przepychałem się ku wyjściu, lawirując między kamerami telewizyjnymi, kiedy w tłumie mignęła mi jakaś znajoma twarz.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że patrzę na twarz mojej żony. Toba miała na sobie swój – jak to nazywałem – kostium podróżny: luźne spodnie khaki, blezer z wielbłądziej wełny i skórzane buty. Przecisnąłem się ku niej przez ciżbę reporterów i po chwili trzymałem ją w ramionach.

29

Chodziło, oczywiście, o Alana. O siódmej rano zadzwonił do domu z budki telefonicznej w Oakwood.

– Mamo – powiedział – dłużej tu nie wytrzymam. Wyjeżdżam. Pomyślałem tylko, że powinienem wam o tym powiedzieć, tobie i tacie.

Robił wrażenie zdecydowanego, nie próbował kręcić, nie wahał się.

„Alanie... czy jesteś wyleczony?” – chciała zapytać Toba, ale słowo „wyleczony” wydało jej się zbyt drastyczne.

– Pozwolą ci odejść?

– Nie mogą mnie zatrzymać. Ta kobieta, Germaine, nic tylko wrzeszczy na mnie, mówi, że jestem dezterterem i że wrócę do narkotyków. Zabroniła chłopakom rozmawiać ze mną. Tu jest całkiem jak w jakimś więzieniu. Germaine chce, żebym został jeszcze na trzy miesiące. Ale potem oczywiście powie „Jeszcze trzy miesiące”.

– Zdawał maturę eksternistyczną – opowiadała mi Toba – i jest pewien, że zdał. Będzie więc miał świadectwo ukończenia szkoły średniej. Oficjalne wyniki egzaminów ogłoszą jednak dopiero dziś po południu. Powiedział, że czeka tylko na wyniki i jutro rusza w drogę.

– A jakie są twoje plany? – zapytałem. Rozmawialiśmy w kawiarni mieszczącej się w budynku sądu. Toba trzymała nogi na swojej torbie podróżnej, a na sąsiednim krześle leżał jej zimowy skórzany płaszcz.

– Mam bilet na samolot do Newark. Będę tam o szóstej wieczorem. Wynajmę samochód i przed północą spokojnie dojadę do Monticello. Do dziewiątej rano powinnam znaleźć tę melinę w Oakwood. Jeśli nadal będzie

się upierał przy swoim pomysłe, przynajmniej zadbam, żeby nie wyruszył w drogę jak żebrak.

– W drogę dokąd?

– Twierdzi, że do San Francisco. Zamierzał jechać autostopem. Masz pojęcie? W połowie stycznia!

– Dlaczego nie poleciałaś prosto do Newark?

– Najpierw chciałam porozmawiać z tobą. Nie mogłam się dodzwonić do ciebie do sądu, więc pomyślałam, dlaczego by, do cholery, nie... – Toba spojrzała na zegarek. – Za dwie godziny muszę być na lotnisku, żeby złapać mój samolot.

Potrząsnąłem głową, czując, że ogarnia mnie rozpacz.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy. Alan popełnia błąd, przerywając leczenie. Germaine Price powiedziała mi, że chłopak umrze, jeśli nie przejdzie porządnej kuracji.

– A ja zawsze uważałam to za melodramatyczną przesadę.

– Zawsze miałaś nadzieję, że to melodramatyczną przesada.

Toba skuliła się, spuściła głowę. Wydało mi się, że widzę nowe zmarszczki w kącikach jej oczu. Może była tylko zmęczona albo bez zwykłej drobiazgowości zrobiła makijaż? Ale nie, to były nowe kurze łapki. Prezent od syna. Od życia.

Wyprostowała się.

– Nie ma co, Ted. Zrobiłeś, ile mogłeś. Nie wyjedziesz w połowie procesu czy rozprawy, czy co to tam jest. A więc ja muszę uporać się z tą sprawą. Pojadę tam i wszystko załatwię.

Kiedyś, kiedy Alan wspominał nam, że ma samobójcze myśli, Toba powiedziała mi: „A co będzie, jak on umrze, kiedy ciebie nie będzie w domu, bo pojedziesz ratować życie jakiegoś parszywego mordercy?”

Nie. To nie tak. Darryl nie był mordercą. Ale Alan też nim nie był. Jeśli walczę o życie Darryla, czyż nie jestem choć tyle samo winien swojemu synowi?

Sędzia Fleming dał mi czas na zakończenie przesłuchania do jutra, do piątej po południu. Musiał się spakować i przekazać swój sąd; nie mógł zmienić tego harmonogramu. Wyglądało na to, że nie jestem w stanie

pojechać z Tobą do Oakwood i wrócić na czas.

Rzecz w tym, że musiałem i był na to tylko jeden sposób.

Jeśli nie poskutkuje, Darryl może umrzeć. Alan też, jeśli Germaine Price, wbrew temu, co sądziła Toba, wcale nie miała pociągu do melodramatycznej przesady. W głębi piersi czułem zimną łapę strachu, zaciskającą się na moich wnętrznościach.

Rzuciłem na stół pieniądze za kawę, która tymczasem wystygła nie-
tknięta.

– Poszukajmy Gary'ego Olivera.

Poleciliśmy do Newark, wynajęliśmy u Hertza samochód i do wpół do siódmej przedzieraliśmy się przez płataninę autostrad i tłok wieczornego szczytu w kierunku nowojorskiej autostrady stanowej. Noc była ciemna, temperatura spadła poniżej zera. Płachty śniegu leżały na poboczach szosy; sam ich widok sprawiał, że trząsałem się z zimna. Nadal miałem na sobie ubranie, które nosiłem w klimatyzowanym wnętrzu sądu w Jacksonville.

Droga biegła skrajem Palisades, a potem, poprzez podgórze Shawangunks, pięła się stopniowo w głąb gór Catskill. Minęliśmy Tuxedo Park, Middletown i tereny narciarskie Holiday Mountain. To tutaj, w innym życiu, moi dziadkowie spędzali letnie wakacje. Niedaleko stąd, w „Grossinger's”, poznali się i pokochali moi rodzice. Teraz porośniętą trawą zbocza gór zalegał grubą warstwą śnieg, połyskujący zimno w świetle księżyca. W samochodzie zrobiło się nieznośnie gorąco, ale próby nawet uchylenia okna kończyły się tym, że lodowaty wiatr w jednej chwili przenikał moje lekkie ubranie i zaczynałem marznąć.

Wypaliłem kilka papierosów, aż wreszcie Toba nie wytrzymała:

– Na miłość boską, Ted, chcesz się zabijać, proszę bardzo, ale dlaczego ja mam się dusić w tym smrodzie...

Jeszcze z lotniska zadzwoniliśmy do ośrodka. Trzęsąc się na zmarzniętej, gruntowej drodze do Oakwood, ujrzeliśmy w mroku światło latarki. Toba zwolniła; otworzyłem okno.

– Tata? Mamo? – To był Alan. Okutany w zimową kurtkę, czekał na nas w pobliżu zabudowań ośrodka.

W budynku administracyjnym panował wilgotny upał, lepiący się do twarzy niczym mokry ręcznik. Alan robił wrażenie przygnębionego, był chyba trochę zmieszany. Schudł o kilka kilogramów, zeszcupłał, ale wyglądał zdrowo i na pewno dorośle. Uściskał nas na powitanie. Zza jego pleców przyglądała nam się trójka młodych Murzynów w podkoszulkach oraz biała dziewczyna. Alan wskazał ich ruchem ręki.

– To moi przyjaciele, ale nie rozmawiają ze mną, ponieważ odchodzę. To znaczy, nie wolno im ze mną rozmawiać. Bicky, Richard, Anthony i Veronica. A to moi rodzice.

Wesoło pomachali nam dłońmi; odpowiedziałem tym samym. Pamiętałem Bucky'ego z odwiedzin w ośrodku na Manhattanie.

– Gdzie twój kolega Jack?

– Już po dyplomie – uśmiechnął się Bucky. – Ma pan dobrą pamięć, panie Jaffe.

Toba gapiała się na tych chłopców, jakby znajdowali się za kratami zoo. Zjawiała się Germaine Price.

– Mam kilka spraw do załatwienia – oznajmiła – a państwo na pewno chcą porozmawiać z Alanem bez świadków. Spotkamy się za dziesięć minut.

Powiedziałem jej przez telefon, że jestem w połowie procesu i nie mogę przyjechać o innej porze. Dlatego złamała miejscowe zasady i zgodziła się na naszą wizytę w godzinach nocnych.

Alan zaprowadził nas na piętro, do gabinetu, którego całe wyposażenie stanowiła rozpadająca się sofa, regał wypełniony zeszytami, biurko i pojedynczy fotel z pękniętą, jak się przekonałem, sprężyną.

– Zdałem maturę. – Alan wreszcie się uśmiechnął.

– Wspaniale. – Mocno uściśnąłem mu dłoń.

– A więc do rzeczy – powiedział Alan, sadowiac się na brzegu biurka. – Ten ich program to nie jest terapia dla mnie. Wiedziałem jednak, że potrzebuję pomocy, więc skorzystałem z szansy, jaką był pobyt tutaj. Nawiasem mówiąc, przeżyłem tu najtrudniejsze chwile w życiu. Chodzi o to, że pozbyłem się swoich problemów. Skończyła się też moja cierpliwość. Pora więc się wynosić.

– A oni nie chcą ci na to pozwolić.

– Mówią, że umrę. Wydzierają się na mnie. Nie tylko wychowawcy, koledzy też. Wmawiają mi, że jeszcze nie jestem gotowy. Ale ja jestem.

My także nie możemy go zatrzymać, stwierdził. Ma zaoszczędzone pięćdziesiąt dolarów. Chciał pożyczyć od nas jeszcze kilka setek, ale, jeśli nawet się nie zgodzimy, i tak zrobi swoje. Pojedzie na zachód autostopem. Będzie pracował po drodze; nie zginie. Ot i wszystko.

– A co z twoim nałogiem? – zapytałem.

– Zawsze będę tęsknił za dymkiem – odparł. – I nie obiecuję, że nigdy nie zapalę. Ale na pewno nie prędko i nie w taki sposób jak przedtem.

– Co będziesz robił, jak dojedziesz do San Francisco?

– Będę studiował i pracował.

– Co chcesz studiować?

– Malarstwo. Albo dziennikarstwo.

– Czy narysowałeś coś od czasu przyjazdu tutaj?

– Właściwie nie.

– To znaczy tak czy nie? – Coś jednak musi być w twierdzeniu, że metody prowadzenia przesłuchania są bezduszne.

– Nie – mruknął Alan.

– A czy coś napisałeś?

– Nie, ale chciałem napisać.

Nic na to nie odpowiedziałem.

Do pokoju wśliznęła się Germaine Price.

– Co on państwu powiedział?

Toba zrelacjonowała rozmowę z Alanem, kończąc stwierdzeniem:

– Zrobił na mnie wrażenie. Uwierzyłam mu. Myślę, że musimy mu zaufać.

Germaine usiadła na jedynym wolnym krześle; zaśmiała się krótko.

– Dlaczego? Przecież to kłamliwy, zaćpany skurwysyn.

Zerknąłem na Alana; uśmiechnął się nerwowo. Usta Toby zadrżały; jej policzki poblady, jakby od uderzenia.

– To nie było konieczne – powiedziała.

– Może przykre – odparła Germaine – ale prawdziwe. – Wyjęła paczkę marlboro, wyciągnęła ją w naszą stronę, proponując papierosa.

Wszyscy troje pokręciliśmy głowami.

– Co pani ma na myśli? – odezwała się Toba.

– Pani Jaffe – Germaine zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko. – Czy nie rozumie pani, dlaczego on chciał, żeby państwo przyjechali? Bo przecież chciał, inaczej nie dzwoniłby na Florydę. Uważa to miejsce za więzienie; nie jest tu lekko, to muszę mu przyznać, ale chyba państwo nie zauważyli murów czy strażników. Jeśli zajrzą państwo do pomieszczeń mieszkalnych, przekonają się, że w oknach nie ma krat. Obowiązuje tu tylko wzajemna kontrola. Gdyby Alan chciał, mógł odejść wczoraj, przedwczoraj, w każdej chwili. Dlaczego więc tego nie zrobił? Dlaczego czekał na państwa przyjazd?

– Nie wiem – odparła Toba.

– Oczywiście, że pani wie.

Toba przechyliła się na oparcie sofy, założyła ręce na piersi.

– Pani uważa, że chodzi mu o pieniądze.

– Ja wiem, że chodzi o pieniądze. – Germaine zaciągnęła się papierosem. – Czyż nie przywiozła ich pani?

Toba zaczerwieniła się

– Bez pieniędzy – ciągnęła Germaine – on się nigdzie nie ruszy. Nie jest w stanie. Myśli pani, że jak jakiś Mohikanin będzie się żywił korzonkami i spał w szałasie? On wie, że to bzdura. Zamarzyłby na śmierć w jakimś przydrożnym rowie, a wcale nie ma ochoty umierać w ten sposób, może mi pani wierzyć. Wykorzystuje panią. Jest wystarczająco sprytny. Na tyle sprytny, że może nawet potrafi nie zastanawiać się nad tym, co robi.

Alan zeskoczył z biurka.

– Może zechciałaby pani odzepić się ode mnie? – rzucił w stronę Germaine. Następnie podniósł wzrok na matkę. – A więc tak czy nie, jak by powiedział tata. Pożyczycie mi te cholerne pieniądze czy nie?

Poczułem jakby powiew gorąca na twarzy.

– Uważaj, co mówisz – ostrzegłem.

Alan wlepił we mnie płonące oczy; nigdy nie widziałem tyle złości w jego wzroku.

– Chcę z tobą porozmawiać – powiedziałem. – Sam na sam, jeśli nikt

nie ma nic przeciwko temu.

Toba i Germaine opuścili pokój; zaskrzypiała drewniana podłoga w korytarzu, potem schody.

Może zadziałało tu napięcie związane z tym, co działo się w Jacksonville, może zmęczenie koniecznością znoszenia kłamstw i półprawd, jakimi Alan karmił nas od lat. Stos piór – jak mówi chińskie przysłowie – może zatopić łódź. Łódź mojej ojcowskiej cierpliwości właśnie tonęła.

– Czy to prawda, że tylko po to zadzwoniłeś do mamy, żeby wyciągnąć od niej pieniądze?

– Prawdopodobnie – odparł i usta wykrzywił mu gorzki uśmiech. – I co z tego? Na pewno nie prosiłem jej, żeby tu przyjeżdżała. A tym bardziej żebyś ty przyjechał. Prosiłem o pożyczkę. Też mi coś! Czy dla ciebie, dla każdego!... pieniądze nie są czymś ważnym? Co jest takiego strasznego w prośbie o pieniądze? Wołałbyś, żebym je ukradł albo zarobił sprzedając narkotyki, jak to robią twoi podopieczni?

Alan zawsze zachowywał się wobec nas poprawnie. Raczej próbował coś zdziałać łagodnością, skrucą i obietnicami – zwykle z pewnym skutkiem. Zdawałem sobie sprawę z faktu, że większość nastolatków jest bardziej porywcza, bardziej skłonna do otwartego buntu i z reguły dziękowałem losowi za spokojny charakter Alana. Być może była w takim myśleniu pewna krótkowzroczność.

Bo ta jego łagodność należała już chyba do przeszłości.

– Jeszcze coś ci powiem – ciągnął. – Zmieniłem zdanie co do tych pieprzonych pieniędzy. Możesz je sobie zatrzymać, chociaż oczywiście ty ich nie potrzebujesz. Germaine myli się, nie zamarnę w rowie przy drodze. Jutro rano wyjeżdżam. Wystarczy mi forsy na autobus do Binghampton. Tam zacznę się w YMCA, znajdę pracę przy zmywaniu naczyń albo nalewaniu benzyny i ubieram sobie na podróż do Kalifornii. Przed latem będę na miejscu. A Germaine niech się odpierdoli.

Zacisnął pięści, aż pobieleła mu skóra na dłoniach. Jestem pewien, że chciał wrzasnąć: „I ty też się odpierdol!” Nie wiem, co go od tego powstrzymało.

– Alanie, chciałbym ci coś wyjaśnić...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał mi, unosząc otwartą dłoń. – Skończmy z tą rozmową.

Zacisnąłem zęby. Miałem za sobą długi dzień, a przed sobą długą noc i świt kolejnego długiego dnia.

– Kilka minut temu – perorował Alan – mama powiedziała, że mi ufa, pamiętasz? A Germaine stwierdziła, że to głupota, bo jestem kłamliwym, zaćpanym sukinsynem. Patrzyłem na ciebie i widziałem, że się z nią zgadzasz. I że w jakiś pokrętny sposób jesteś z tego zadowolony, bo to dowodzi, że przez cały czas miałeś rację, zwłaszcza wysyłając mnie do tej syberyjskiej nory. Dlatego chcę cię zapytać, dlaczego nawet nie próbujesz uwierzyć we mnie? Bo uważasz, że zawsze będę wszystko pieprzył, dopóki nie zacznę postępować zgodnie z zasadami? Jakimi zasadami? Twoimi? Mówię, że chcę studiować malarstwo, a ty odruchowo stwierdzasz, że to chrzanienie w bambus, bo przecież nie jestem artystą, niczego jeszcze nie zrobiłem. Dobrze, ale nie przyszło ci do głowy, że może potrzebuję pomocy, żeby zacząć?

Nie pomyślałem o tym; być może miał trochę racji.

– Wiem, nieraz nawaliłem; to fakt. I pewnie nieraz jeszcze nawalę. – Gniewnie potrząsnął głową. – Ale dlaczego tak ci zależy na tym, żeby mieć rację? Daj mi szansę. Wygram albo przegram. Nie umrę, nawet jeśli przegram. Nie możesz przeżyć za mnie mojego życia. Pozwól mi to zrobić na swój sposób! Ty wszystko robisz po swojemu, prawda? Wyjeżdżam stąd, tato. Jutro.

Jestem człowiekiem upartym. Kiedy wiem, czego chcę, nic nie może mnie powstrzymać. Wyglądało na to, że mój syn odziedziczył po mnie tę cechę. Po prostu objawiła się z pewnym opóźnieniem.

Wczoraj, kiedy stan zaproponował mu życie miast pewnej śmierci, Darryl dokonał wyboru. Odrzucił tę propozycję, wybierając grę o wszystko, ryzykując wszystko. Miał do tego prawo – niezbywalne prawo istoty ludzkiej.

Podobnie mój syn. Rezygnował ze schronienia w tym znieprawionym azylu, aby podjąć ryzyko życia na własny rachunek. I nie miał adwokata, który by bronił jego racji. Musiał to robić sam. Zaczynałem go szanować.

- Chcesz wrócić do Sarasota? – zapytałem.
- Nie! Jadę na zachód. Sam.
- Powodzenia – rzekłem.
- Jutro!

Usłyszał nie to, co do niego powiedziałem. Wszystkim nam się to czasem zdarza.

Ziewnąłem.

- Chodźmy na dół – powiedziałem. – Jestem wykończony. I głodny. Pojedziesz z nami do miasta na hamburgera i kawę?

Odetchnął głęboko raz i drugi, starając się odzyskać spokój. Uważnie przyglądał się mojej twarzy, widocznie zastanawiając się, co kryje się za tą zmianą frontu. Niczego jednak nie wypatrzył. Byłem po prostu zmęczony.

- Jasne – powiedział.
- Jest tu jakieś miejsce, gdzie można zjeść o tej porze?
- Bar na Siedemnastej, tuż za miastem.
- Pozwolą ci wyjść?
- Słyszałeś, co powiedziała główna klawiszka. To nie więzienie.

Pojechaliśmy na drugi koniec Oakwood i zjedliśmy obiad. Alan zamówił jajecznicę z podwójnym bekonem, twierdząc, że nie miał tego w ustach od trzech miesięcy. Kiedy zjedliśmy, przypomniałem sobie, że nie zapalił, kiedy Germaine częstowała nas papierosami.

- Rzuciłem – odpowiedział, kiedy go o to zapytałem.
 - Dlaczego? – spytała Toba.
 - Chyba chciałem sobie coś udowodnić. Poza tym od dawna zamierzałem rzucić. To paskudny zwyczaj.
 - Ja znów zacząłem – wyznałem ponuro.
 - Cóż, tato, zawsze mówiłeś, że jesteś niepraktykującym nałogowcem.
- Alan uśmiechnął się wyrozumiale.
- Rzucę, jak tylko skończy się ten proces.
 - Jak ci idzie?
 - Jutro będzie po wszystkim.
 - Czy ten facet umrze?
 - Nie sądzę.

– Założę się, że poprawi to twoje samopoczucie.

Alan nigdy nie okazywał zainteresowania ani tą sprawą, ani w ogóle moją pracą.

– Tak – powiedziałem – jeśli okaże się, że on będzie żył, poczuję się doskonale.

Alan wstał od stolika i poszedł do łazienki.

– Co się stało? – zapytała Toba. – Wydaje się taki spokojny. Taki pewny siebie.

– Opowiem ci wszystko w drodze powrotnej. Teraz wyjdę na zewnątrz zapalić papierosa. Kiedy będę zamarzał w przydrożnym rowie, daj mu kilka setek. Nalegaj. Od ciebie weźmie. Ode mnie nie.

– Ale...

– Pozwólmy mu to rozegrać na własny sposób, Tobo. Cokolwiek by to miało znaczyć.

W drodze na lotnisko w Newark próbowałem zdrzemnąć się w samochodzie, ale około pierwszej w nocy zaczęło mżyć, w górach mżawka zmieniała się w śnieg z deszczem. Oparłem czoło o szybę wozu; jakbym przytulał się do góry lodowej.

Samochód zarzucił na zakręcie.

– Jezu! – wrzasnęła Toba. – Chcesz prowadzić? – spytała.

– Chcę spać.

– Przy lotnisku jest na pewno jakiś hotel. Mógłbyś pospać ze dwie godziny.

– Jeśli nie zabijemy się po drodze.

Wcisnęła hamulec.

– Sam sobie prowadź!

O czwartej rano, kiedy oddawaliśmy samochód do Hertz, kapąło mi z nosa, oczy mnie piekły i zamykały się wbrew mojej woli. Ale przynajmniej nie czułem swędzenia stóp.

– Pójdę z tobą do sądu – powiedziała moja żona. – Lepiej żebyś była w pobliżu, na wypadek gdybyś zasnął przy stole obrony.

Moje serce jakby zatrzymało się na chwilę. Poczułem, że znów zaczynają

mnie swędzić podeszwy stóp.

- Dzięki za dobre chęci, kochanie, ale...
- Daj spokój, Ted. Idę z tobą.

Co mogłem zrobić? Toba będzie w sądzie, będzie słuchała zeznań moich świadków.

Ojciec dał mi kiedyś dwie rady, które zapamiętałem na zawsze: nigdy nie oszczędzaj pieniędzy na tym, co znajduje się między tobą a ziemią (to znaczy na butach, oponach i materacach) i funduj sobie dobry stek oraz szklankę jacka danielsa, ilekroć poczujesz się przygnębiony.

O piątej rano w restauracji na lotnisku zamówiłem sobie średnio wypieczony befsztyk z polędwicy i dzbanek kawy. Zamawianie burbona nie wydało mi się jednak dobrym pomysłem.

30

Na lotnisku międzynarodowym w Jacksonville wylądowaliśmy parę minut po dziesiątej. Powietrze było ciepłe i rześkie. Świeciło słońce, a jego blask boleśnie ranił moje oczy. Nos miałem zaczerwieniony od ciągłego wycierania kleenexami; to zaś, co działo się w moim brzuchu, florydzczy wieśniacy z czasów mego dzieciństwa nazywali „rżnięciem w kiskach”.

Wzięliśmy taksówkę do miasta i tuż przed jedenastą zajechaliśmy przed budynek sądu. W windzie zapiąłem koszulę i zawiązałem krawat. Kamerzyści telewizyjni czekający przed salą numer pięć powitali mnie zdziwionymi spojrzeniami. Na lotnisku w Newark używałem marynarki jako poduszki pod głowę; plama na spodniach znaczyła miejsce, gdzie upadł mi kawałek befsztyka ze śniadania. W sumie czułem się jak cyrkowiec, który wystrzelony z armaty nie trafił w siatkę.

Moim pierwszym świadkiem miał być Floyd Nickerson. Zakładałem, że nie opuścił miasta w obawie przed oskarżeniem o obrazę sądu. Tydzień wcześniej Gary Oliver wręczył mu formalne „wezwanie do stawiennictwa w sądzie pod groźbą odpowiedzialności karnej”.

Początkowo Nickerson próbował zamknąć Gary'emu drzwi przed nosem, potem groził mu pobiciem. Gary jednak nie ugiął się. Oświadczył: „Panie Nickerson, występuję tutaj w charakterze urzędnika sądowego. Jeśli choć włos spadnie mi z głowy, jutro wręczę panu to wezwanie przez kraty celi więziennej”.

Wczoraj po przerwie obiadowej Gary miał udać się do sędziego Fleminga i wyjaśnić mu, że musiałem wyjechać w pilnej sprawie rodzinnej, ale wrócę

rano i przed końcem dnia zamknijemy sprawę, jak obiecaliśmy, czy raczej jak nam przykazano.

W nocy dzwoniłem z Oakwood, aby poinstruować Gary'ego, jak ma przesłuchiwać Nickersona:

– Przeciągaj, dopóki nie wrócę. Cokolwiek jednak zrobisz, innych świadków zostaw mnie.

Kiedy jednak w środowe przedpołudnie otworzyły się przede mną drzwi sali rozpraw, okazało się, że na miejscu dla świadków nie ma Floyda Nickersona.

Darryl Morgan w zielonym więziennym kombinezonie siedział obok Gary'ego Olivera przy stole obrony. Gary przesłuchiwał właśnie Jamesa L. Duckwortha, głównego lekarza sądowego hrabstwa Duval; podczas procesu sprzed trzynastu laty Duckworth był moim świadkiem.

Z Tobą u boku minąłem Connie i Neila Zide'ów. Miło uśmiechnięta Toba zajęła miejsce po przeciwnej stronie przejścia między ławkami. Nie widziała Connie od swojej ostatniej wizyty w sądzie, właśnie przed trzynastu laty. Zacisnąłem zęby i minąwszy barierkę podszedłem do stołu obrony.

Zauważywszy mnie, Gary oznajmił bez wahania:

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. Prosimy o kilka minut przerwy.

Sędzia Fleming stuknął młotkiem na zgodę.

Usiadłem, skinąłem głową Darrylowi.

– Gdzie, do cholery, Nickerson? – spytałem półgłosem Gary'ego.

Powiedział mi. O trzeciej nad ranem Nickerson popełnił samobójstwo.

Pociemniało mi przed oczyma.

– Niemożliwe! – szepnąłem.

– A jednak, Ted.

– W jaki sposób?

– Strzelił sobie w usta.

Tak postępują policjanci, kiedy czują się starzy i niepotrzebni. Albo kiedy nie potrafią znieść konsekwencji ujawnienia jakichś brudnych szczegółów ich kariery. W garażu swojego domu, tym samym, przed którym widziałem go żegnającego Suzanne Byers, o najczarniejszej godzinie nocy

Nickerson włożył sobie w usta lufę służbowego rewolweru i nacisnął spust. Jakiś sąsiad cierpiący na bezsenność usłyszał strzał, przybiegł i znalazł trupa. Na stole w kuchni leżało wezwanie do sądu, egzemplarz *Time-Union* zawierający relację z pierwszego dnia rozprawy, zmięta paczka po camelach i przepelniona popielniczka. W garażu obok zwłok znaleziono noszący ślady zębów niedopałek papierosa. Nickerson nie palił od dziesięciu lat. Ta paczka cameli miała być prawdopodobnie jego ostatnią przyjemnością.

Najpierw Jerry Lee Elroy, teraz Nickerson. Człowiek powinien się dwa razy zastanowić, nim zdecyduje się zostać świadkiem Teda Jaffe.

– Co robimy? – zapytał Garry.

– Czy sędzia wie?

– Jeszcze nie. Bałem się, że jeśli mu powiem, może wszystko odwołać.

Po prostu wezwałem Jima Duckwortha.

Chodziło o to, że sędzia Fleming zgodził się na tę rozprawę po wysłuchaniu nagrania mojej rozmowy z Nickersonem i po złożeniu przeze mnie obietnicy powołania byłego sierżanta policji Jacksonville na świadka. Teoretycznie bez Nickersona nie mogliśmy nic zdziałać. Ewentualnych dowodów mogło nam dostarczyć jedynie przesłuchanie świadków oskarżenia.

– Sprowadź Terence'a – powiedziałem. Przecisnąłem się obok Whatelya, złapałem za rękaw Muriel Suarez i pociągnąłem ją do pokoju sędziowskiego.

– Niech mnie diabli – sędzia Fleming wlepił we mnie swoje oczy jaszczurki.

– Nie żartuje pan? Stracił pan następnego?

– Tak, panie sędzio.

– Zimny niczym gład, jak mówimy w hrabstwie Clay?

– Odplynął brzuchem do góry.

– Ma pan innych świadków.

– Tak, panie sędzio.

– Są w sądzie albo dość blisko, żeby usłyszeć wołanie?

– Tak, panie sędzio.

Przypominało to przesłuchanie, kiedy adwokat zasypuje świadka gradem

pytań, pozwalając mu odpowiadać tylko „tak” lub „nie”.

– A tak przy okazji – rzekł sędzia poprawiając okulary i obrzucając mnie badawczym spojrzeniem – co się panu, do diabła, stało? Wygląda pan jak facet, któremu właśnie wyrwano ząb.

– Było jeszcze gorzej, Wysoki Sądzie. Przeżyłem ciężką noc.

– Chociaż opłaciło się?

– Za wcześnie, żeby o tym mówić.

– Jak zwykle – stwierdził sędzia. – No cóż, zostało nam jedynie kilka godzin. Wstyd byłoby zbyt wcześnie wysłać do domu tych gości z telewizji. Aż się trzęsą do jakiejś sensacji. Dużo czasu panu potrzeba?

– Niezbyt dużo – odparłem.

– To się dobrze składa. A więc do dzieła.

Muriel, stojąca u mego boku, zaczęła protestować, ale sędzia uśmiechnął się jadownicie i rzekł:

– Niech pan wezwie swojego następnego świadka, panie mecenasie, zanim La Bella Cubana nie wyskoczy z czymś, co każe mi zmienić zdanie.

Wysoki Sąd zajął miejsce za stołem sędziowskim, woźny poprosił salę o ciszę. Usiadłem obok Darryla i oznajmiłem:

– Obrona wzywa Michaela Stanzi.

Mike Stanzi był ekspertem w zakresie balistyki w biurze szeryfa Jacksonville. Miałem przed sobą jego urzędowy raport w sprawie zabójstwa Zide'a, jak również zapis zeznań na procesie w roku 1979.

Stanzi był czterdziestopięcioletnim mężczyzną, wąsatym, o kręconych włosach i sympatycznym sposobie bycia.

– Panie Stanzi, proszę nam krótko opowiedzieć, co zobaczył pan rano 6 czerwca 1978 roku po przybyciu do posiadłości Zide'ów.

Stanzi nie miał nic do ukrycia. W posiadłości zobaczył zwłoki ludzkie z dwoma otworami po kulach wystrzelonych z rewolweru kaliber .38. Trzeci pocisk z tej samej broni uderzył w ścianę salonu, na wprost wyjścia na taras i utkwiał w boazerii ze szwedzkiego dębu.

– Na jakiej wysokości znajdował się ów ślad po kuli?

Stanzi zajrzał do notatek.

– W swoim raporcie podałem wysokość trzech metrów i dwudziestu

centymetrów.

– Nie znalazł pan więcej pocisków?

– Nie.

– I nigdy nie znalazł pan broni?

– Nigdy.

– A więc nie jest wykluczone, że z tego rewolweru kaliber .38 oddano więcej niż trzy strzały?

– No, teoretycznie jest to możliwe, ale nie natrafiliśmy na żadne dowody potwierdzające to przypuszczenie.

– Czy szukał pan poza domem?

– Nie, ponieważ tam był tylko trawnik i drzewa, a ten, kto strzelał, znajdował się na tarasie, zwrócony w stronę domu.

– Czy to jest pewne?

– Tak, proszę pana, to fakt.

– A skąd pan wie, że to jest fakt?

Stanzi uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Stąd, iż wiemy, że sprawcy stali na tarasie i strzelali w stronę domu.

Potwierdza to znalezienie kuli w boazerii wewnętrznej ściany salonu.

– Panie Stanzi, proszę się zastanowić. Czy pan wie, że sprawcy stali na tarasie i strzelali w kierunku domu, czy tylko przypuszcza?

– Jak powiedziałem, znalazłem kulę w boazerii. Ponadto zostałem poinformowany przez znajomego policjanta, że strzały padły od strony tarasu.

– Który z policjantów panu o tym powiedział?

– Sierżant Nickerson, jak sądzę. Zaraz po naszym przybyciu.

– A więc tak naprawdę nie wie pan, skąd strzelano. Po prostu zawierzył pan słowu sierżanta Nickersona, prawda?

– Tak... ale miałem dowód w postaci kuli w boazerii.

– Ten dowód – powiedziałem – dostarczył panu informacji, że jedna kula została wystrzelona w pewnym określonym kierunku. Nie, że została wystrzelona z tarasu. Zgodzi się pan ze mną?

Stanzi wzruszył ramionami.

– No... tak. Faktycznie.

– Znalezienie kuli w boazerii nie dostarczyło panu żadnych informacji o

strzałach, które zabiły pana Zide'a, ani o innych kulach, które mogły zostać wystrzelone z wnętrza domu w kierunku trawnika, czyż nie?

– Nie było tam więcej żadnych kul – z zadowoloną miną stwierdził Stanzi.

– Skąd pan wie?

– Od sierżanta Nickersona.

– Czy Floyd Nickerson powiedział panu, że znajdował się w pobliżu miejsca zbrodni i słyszał trzy strzały? Tylko trzy?

Muriel zgłosiła sprzeciw. Pytanie dotyczyło pogłoski, stwierdzenia, które padło poza sądem i w żaden sposób nie może zostać potwierdzone.

– Wysoki Sądzie – odparłem – nie chodzi nam o ustalenie prawdy materialnej, ale przyczyn takiego, a nie innego nastawienia świadka podczas wykonywania przezeń czynności śledczych.

– W takim przypadku pozwolę na zadanie tego pytania. – Sędzia Fleming wydawał się zadowolony.

– Panie Stanzi?

– Nie, Floyd Nickerson nie powiedział mi, że był tam i słyszał strzały. Nie pamiętam, skąd wiedział, że padły tylko trzy. Ale wiedział. Jestem pewien.

– Czy powiedział, że rozmawiał ze świadkiem obecnym przy oddaniu strzałów?

– Możliwe. Naprawdę nie pamiętam.

Wierzyłem mu. Byłem pewien, że Nickerson celowo unikał konkretów w rozmowach z ekipą techniczną. Nickerson! To on był kluczową postacią w tej sprawie. Ale Nickerson nie żył.

– Czy pan lub ktoś inny przeprowadził test parafinowy rąk i twarzy Darryla Morgana?

– Tak, ja to zrobiłem.

– A zwłok Williama Smitha?

– Również.

– Z jakim wynikiem?

– Negatywnym. Ale to nie znaczy, że żaden z nich nie strzelał z pistoletu. Dowodem może być tylko pozytywny wynik testu parafinowego.

Negatywny właściwie o niczym nie świadczy. Strzelający może być w rękawiczkach, może trzymać broń w wyciągniętej ręce. Poza tym nie znaleźliśmy broni, nie mogliśmy więc stwierdzić, czy ten jej egzemplarz w typowy sposób wyrzuca podczas strzału pozostałości procesu spalania.

Stanzi rozgadał się. Nie mogłem mu przerwać; jako powołany przez obronę, był teoretycznie przyjaznym świadkiem.

– Czy przeprowadził pan test parafinowy na innych osobach przebywających w domu?

– W jakim domu?

– W domu, gdzie został zamordowany Solomon Zide.

Stanzi zrobił zdziwioną minę.

– Nie, panie mecenasie. A po co? Ludzie w tym domu byli ofiarami.

– Świadek do dyspozycji oskarżenia.

Muriel nie wiedziała, ku czemu zmierzam, ale zdawała sobie sprawę z faktu, że jak dotąd niewiele zaszkodziłem sprawie oskarżenia. Dowiodłem jedynie, że tak świadkowie, jak i prawnicy są tylko ludźmi i zdarza im się przeoczyć coś, czym nie są zainteresowani i czego w związku z tym nie szukają.

– Nie mam pytań – powiedziała.

Wychodząc na lunch zerknąłem ku tylnym rzędom ławek dla publiczności. Nadal siedziała tam Connie i Neil. Ona była dziś w szarej sukni, jak wtedy przed sklepem Dillarda, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Jej syn miał na sobie bawełniane wiatrówkę i luźne białe spodnie. A na szyi melanezyjski naszyjnik z koralami.

Spostrzegłem także Tahauna Powersa, syna Darryla. Wysoki i poważny, w białej koszulce Nike i džinsach, siedział w grupie emerytów, bywalców sal sądowych, którzy przychodzili na każdy głośniejszy proces.

Podszedłem do niego.

– Tahaun... pamiętasz mnie?

– Jasne – odparł. – Pan jest adwokat. Jak leci?

– Dobrze. Gdzie twoja matka?

– Jestem sam.

– Skąd się tu wzięłeś?

- Przyjechałem autobusem.
- Chodź, zjesz z nami lunch.

Przedstawiłem go Tobie. Przynajmniej tyle mogłem zrobić – okazać nieco życzliwości synowi człowieka, o którego życie walczyłem. Może i mój syn spotka na swojej drodze kogoś, kto okaże mu odrobinę serca.

Zjadłem zapiekankę z serem i wypilem kolejne pół litra kawy. Kiedy wróciliśmy na salę, Toba zwróciła się do Tahauna:

- Usiądź, proszę, koło mnie.
- Jasne – odparł i wreszcie uśmiechnął się nieśmiało.

Woźny poprosił o ciszę. Widzowie zajęli miejsca w ławkach, ustał szmer rozmów.

- Obrona wzywa Terence'a Rourke'a – oznajmiłem.

Terence był siedemdziesięciodwuletnim mężczyzną z twarzy nieco podobnym do małpy, o rzadkich siwych włosach i wylupiastych oczach przesłoniętych okularami w rogowej oprawie. Wydatny brzuszek nie przeszkadzał mu w zachowaniu godnej postawy. Ubrany był w sportową marynarkę, do której na tak szczególną okazję włożył pasiasty krawat w barwach pułkowych. Służył niegdyś w policji w Orlando i, jak większość policjantów, zasiadał już na miejscu dla świadków; wiedział, co robić. W jego wymowie pobrzmiwało echo śpiewnego irlandzkiego akcentu.

Poprosiłem, by się przedstawił i udzielił podstawowych informacji na temat swojej osoby. Następnie zapytałem:

- Proszę pana, czy w roku 1979 był pan świadkiem w procesie *Florida versus Morgan!*
- Nie, nie byłem.
- Nie został pan powołany na świadka ani poproszony o złożenie zeznań przez żadną ze stron?
- Nie.
- Czy był pan przesłuchiwany przez policję lub któregoś z pracowników biura prokuratora stanowego?

Okazało się, że dwu- lub trzykrotnie rozmawiał z sierżantem Floydem Nickersonem, który nagrał jedną z tych rozmów, a następnie podziękował mu, wyjaśniając, że ponieważ zeznanie Terence'a potwierdza to, co mówią

inni, nie ma potrzeby wzywać go na świadka. Jeśli zaś chodzi o biuro prokuratora stanowego, to nie, nikt stamtąd z nim nie rozmawiał.

Pamiętam nawet dlaczego. Kilka tygodni przed procesem Nickerson, w odpowiedzi na moje nalegania, rzekł: „O'Rourke? Szkoda czasu. Spał wtedy. Ledwie pamięta tę pieprzoną noc. To pijak. Jest zupełnie niewiarygodny. Po co panu ktoś taki?”

Nie protestowałem. Byłem człowiekiem zajęтым, a przy tym uwikłanym w tę sprawę na wiele sposobów. Wcale nie zależało mi na świadku, który mógł sobie przypomnieć, że odwiedzałem panią Zide, kiedy pan Zide bawił w Hongkongu, i zakończyłem swoją wizytę skokiem w ubraniu do basenu.

– Panie O'Rourke – powiedziałem – czy śledził pan przebieg procesu Morgana w prasie i telewizji?

– Nie, byłem wtedy na urlopie.

– Gdzie spędził pan ten urlop?

– Mam zamężną córkę, Claire, która mieszka w Kolorado, i żonatego syna, Denisa, mieszkającego w Manhattan Beach, niedaleko Los Angeles. Pojechałem na zachód i odwiedziłem ich oboje.

– Czy przypomina pan sobie coś niezwykłego w związku z tym urlopem?

– W pewnym sensie było w nim coś niezwykłego, ale nie żebym był z czegoś niezadowolony. Bardzo lubiłem pracować dla państwa Zide.

Widocznie Terence'owi dla spokoju sumienia potrzebna była deklaracja lojalności wobec pracodawcy.

– Jednak – powiedziałem – proszę nam powiedzieć, co w tej kwestii mogłoby zostać uznane za niezwykłe.

– Należał mi się tydzień wolnego latem, ale któregoś wieczora w lutym przyszła do mnie pani Zide – biedactwo, nadal miała jeszcze bandaż na twarzy po tej strasznej nocy – i powiedziała, że wolałaby dać mi urlop wcześniej, na wiosnę. Nie pamiętam, jakie podała przyczyny, ale – powiedziała – ponieważ może mi to być nie na rękę, dostanę więcej, niż mi się należy. Zauważyła też, że jest zadowolona z mojej pracy i to między innymi było przyczyną jej hojności. Podziękowałem i powiedziałem, że oczywiście nie mogę odrzucić takiej propozycji.

– Jak długo nie było pana na Florydzie?
– Pani Zide dała mi trzy tygodnie urlopu. Płatnego! Połowę tego czasu spędziłem w Kolorado, połowę w Kalifornii. Mam w sumie siedmioro wnuków.

– A więc nie był pan na procesie Morgana?
– Nie, byłem na Zachodzie, jak powiedziałem.
– Gazety w Kolorado i w Kalifornii nie relacjonowały procesu?
– Coś czytałem na ten temat, ale nie pamiętam gdzie. Chyba tylko tyle, że Morgan został skazany na śmierć. Nic więcej.
– Panie O'Rourke, muszę zadać panu krępujące pytanie. Z góry proszę o wybaczenie.

Zaczerwienił się odrobinę; wiedział mniej więcej, czego się spodziewać. Przeprowadziłem z nim dość długą rozmowę na ganku domu wypoczynkowego na Flagler Beach, gdzie ostatnio mieszkał. Nie ustawiałem go jednak. Nie wierzę w takie metody, a poza tym to zwykle krępuje świadka, czyni mało przekonującym. Tak więc Terence nie był pewien, o co będę go pytał, i to sprawiło, że poczuł się niespokojny.

– Nic nie szkodzi, panie mecenasie – powiedział.
– Czy ma pan problemy z pićciem?
– Nie sądzę, ale miałem. Chcę powiedzieć, że przewyciężenie moich problemów zawdzięczam kołu Anonimowych Alkoholików we Flagler Beach i boskiej interwencji Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Pozwoliłem mu nacieszyć się pełną szacunku ciszą, jaka po tych słowach zaległa salę sądową, i dopiero po minucie zadałem następne pytanie:

– Czy w nocy 5 grudnia 1978 roku, tej nocy, kiedy został zamordowany pański pracodawca, był pan pijany?

– To nie jest prawda, panie mecenasie. Raczej gruba przesada. Odpowiedniejsze byłoby stwierdzenie, że wypłem kropelkę.

Gdyby na sali obecni byli sędziowie przysięgli, naciskałbym dalej i wydobył z niego wszystkie szczegóły. Tym razem musiałem martwić się tylko Horacym Flemingiem, a spojrzenie w jego oczy przekonało mnie, że doskonale zrozumiał sens eufemizmu, którym posłużył się Terence.

– Panie O'Rourke, proszę się cofnąć pamięcią do nocy 5 grudnia 1978

roku i opowiedzieć nam, co się wtedy wydarzyło.

Miał służbę – opowiadał – przy głównej bramie. W domu odbywało się przyjęcie. Mnóstwo samochodów wjeżdżało i wyjeżdżało, a na trawniku orkiestra grała klasyczną muzykę.

– Czy był pan sam?

Nie, miał pomocnika, młodzieńca z dziennej zmiany. Tamten jednak odszedł o północy, po tym, jak sprawdzili rejestr pojazdów przekraczających bramę i upewnili się, że wszyscy goście oraz obsługa przyjęcia opuścili teren posiadłości.

– I wtedy przy bramie został pan sam?

– Tak, byłem sam.

– I przez cały czas czuwał pan na posterunku?

– No nie. W pewnym momencie musiałem się zdrzemnąć.

– Co pana obudziło?

– Strzał.

– Usłyszał pan odgłos wystrzału?

– Właśnie. W każdym razie później dowiedziałem się, że to był strzał.

Teraz wiem. Wtedy nie byłem pewien. Brzmiało jak dźwięk wystrzału, ale w środku nocy, kiedy człowiek niczego się nie spodziewa, trudno mieć pewność. Drzemałem i obudził mnie odgłos strzału. Dokładnie jak powiedziałem. Nie jestem z tego dumny, ale człowiek jest tylko człowiekiem. Tak właśnie było.

– Rozumiem. A więc obudził pana dźwięk, który wziął pan za odgłos wystrzału, chociaż nie był pan tego absolutnie pewien. – Na moment zawiesiłem głos. – A tak przy okazji... mówiąc „wystrzał” miał pan na myśli dosłownie pojedynczy strzał czy wiele strzałów?

– Miałem na myśli pojedynczy strzał.

– Kiedy się pan obudził, był pan zupełnie przytomny czy też trochę otumaniony?

– Wypiłem kropelkę. Już panu mówiłem.

– Proszę jednak spróbować odpowiedzieć na to pytanie, panie O'Rourke. My też jesteśmy ludźmi, zrozumiemy. Czy był pan całkiem przytomny, czy otumaniony?

– Ani całkiem przytomny, ani otumaniony. Powiedziałbym: przytomny, ale trochę senny.

Musiałem się tym zadowolić; Terence był już różowy ze wstydu.

– I co pan zrobił usłyszawszy ten odgłos, jak pan przypuszczał, wystrzału?

Terence O'Rourke westchnął; był w tym westchnieniu smutek i odrobina desperacji.

– Nic. Czekałem.

– Jak długo?

– Powiedziałbym... minutę czy dwie.

– Czy po tych dwóch minutach usłyszał pan coś nowego?

– Kolejne strzały.

– Ile?

– Trzy lub cztery. Gdybym musiał się zdecydować, powiedziałbym: trzy.

– Czy te trzy strzały oddane były jeden po drugim, czy też w pewnych odstępach czasu?

– Jeden po drugim. Coś jak *bach-bach-bach*.

– I usłyszał je pan minutę lub dwie po tym pojedynczym strzale?

– Zgadza się.

– Jest pan tego pewien?

– Tak, proszę pana.

– Kiedy usłyszał pan te trzy strzały, co pan zrobił?

– Wyjąłem pistolet z kabury i ruszyłem w stronę domu.

– Poszedł pan w stronę domu.

– Z latarką w ręku. Tak jest.

– Bał się pan?

– Tak – cicho odparł Terence.

– Czy zmierzając w stronę domu, biegł pan?

– Miałem wtedy prawie sześćdziesiąt lat, panie mecenasie, byłem trochę zaspany i, jak przyznałem, przestraszony. Nie, nie biegłem.

– Szedł pan szybko?

– Prawdę mówiąc, nie. Nie bardzo.

– Powoli?
– Nie. Szedłem normalnym krokiem, ostrożnie, z latarką w rękę.
– Ile czasu zajęło panu dotarcie do domu?
– Może trzy minuty?
– Wszedł pan do środka?
– Najpierw poświeciłem wkoło latarką, żeby zobaczyć, czy ktoś nie czai się w krzakach. Musiał to zobaczyć pan Zide, bo wyszedł do mnie na podjazd.

– Pan Zide?
– Młody pan Zide, pan Neil, ten, co jest dziś w sądzie ze swoją matką. Nie pan Solomon. On odszedł. – Terence zaczął się płatać.

– Czy wiedział pan wtedy, że pan Solomon nie żyje, że odszedł?
– Taras jest od strony plaży. Ja stałem na podjeździe od frontu. Chodzi mi o to, że nie, nie wiedziałem, że pan Solomon nie żyje, i nikt mi o tym nie powiedział, dopiero dużo później. Pan Neil powiedział tylko: „Terence, stało się coś strasznego. Wezwaliśmy policję. Wracaj do bramy i zaczekaj na nich”.

– I pan posłuchał, czy tak?
– Najpierw spytałem, czy nic mu nie jest i czy nie mógłbym w czymś pomóc. Był błąd i trząś się. Powiedział: „Nie, wracaj do bramy. Rób, co mówię”. Więc zrobiłem.

– Zgodnie z tym, co powiedział, niebawem przyjechała policja, zgadza się?

– Istotnie, przyjechała.

– Po jakim czasie?

– Trzydzieści pięć minut później.

– Trzydzieści pięć? Nie dziesięć, nie dwadzieścia czy czterdzieści?

– Nie, proszę pana. Zajęło im to trzydzieści pięć minut.

Udawałem, że jestem zaskoczony i że zastanawiam się nad tym, co usłyszałem.

– Panie O'Rourke, jak może być pan pewien, że minęło akurat trzydzieści pięć minut?

– Prowadziliśmy ewidencję pojazdów przekraczających bramę. Zapi-

sałem godzinę.

- Rozumiem. Czy ktoś przyjechał przed policją?
- Jedna osoba. Pan Neil zadzwonił na bramę kilka minut po moim powrocie. Powiedział, że zaraz przyjedzie pewien człowiek, i że mam go wpuścić i nie rozmawiać z nim.
- Czy pamięta pan nazwisko tego człowieka?
- Znam je, panie mecenasie.
- Proszę wyjaśnić sądowi, kogo pan ma na myśli.
- Kiedy pytał mnie pan w zeszłym tygodniu, nie pamiętałem tego nazwiska. Ale wtedy podsunął mi pan kilka nazwisk do wyboru i jedno z nich wydało mi się właściwe, i przypomniałem sobie.
- Jak brzmi nazwisko tego człowieka?
- Gambrel.
- Kiedy mniej więcej człowiek nazwiskiem Gambrel pojawił się w posiadłości?
- Około piętnastu minut po tym, jak wróciłem na bramę.
- Dwadzieścia minut przed policją?
- Tak, dokładnie.
- Jest pan tego pewien, ponieważ wszystko zapisał pan w tej, jak pan to nazwał, ewidencji pojazdów przekraczających bramę? W swoim dzienniku służbowym, tak?
- Istotnie.
- Co stało się z tym dziennikiem?
- Dałem go sierżantowi Nickersonowi.
- Czy sierżant Nickerson zwrócił go panu?
- Nie.
- Czy ktoś był obecny przy pańskiej rozmowie z sierżantem Nickersonem, podczas której przekazał mu pan ten dziennik?
- Byliśmy sami.
- Czy kiedykolwiek wspominał pan sierżantowi o tym, że słyszał pan pojedynczy strzał, a następnie po około dwóch minutach dalsze trzy?
- Tak jest. Mówiłem mu o tym.
- Czy on to zapisał?

- Chyba tak. W każdym razie włączył tę maszynę.
 - Magnetofon?
 - Właśnie.
 - Czy kiedykolwiek powiedział pan sierżantowi Nickersonowi, że w nocy 5 grudnia słyszał pan tylko trzy strzały, oddane jeden po drugim?
 - Nie mówiłem mu tego. To byłaby nieprawda.
 - Czy wiedział pan, że podczas procesu w kwietniu 1979 roku pani Zide i pan Neil Zide zeznali, że oskarżony Darryl Morgan oddał tylko trzy strzały? I że wszystkie padły jeden po drugim, w jednej serii?
 - Nie, proszę pana. Jak powiedziałem, byłem wtedy w Kolorado, a potem w Kalifornii ze swoimi dziećmi i wnukami.
 - Ile czasu minęło od śmierci pana Zide'a, kiedy przestał pan pracować w ochronie posiadłości?
 - To stało się jakieś pięć lat później.
 - Zechce nam pan opowiedzieć, w jakich okolicznościach?
 - Przyszła do mnie pani Zide i powiedziała, że chce mi się odwdziżyć za wierną służbę. Wiedziała, że mam jeszcze jedną córkę, która mieszka w Daytona Beach, a więc niedaleko Flagler Beach, gdzie chciałem osiąść po przejściu na emeryturę. Powiedziała, że pora na odpoczynek, i że ona się mną zaopiekuje.
 - Czy wypłaciła panu jakąś odprawę?
 - Owszem.
 - Proszę powiedzieć sądowi w jakiej wysokości.
- Terence zawahał się, ale odpowiedział:
- W wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.
- Milczałem przez chwilę, czekając, aż ta informacja dotrze do świadomości sędziego. Następnie spytałem Terence'a, czy nie uważa, że to mnóstwo pieniędzy.
- Jak mogłem się spodziewać, zgodził się ze mną.
- Czy otrzymuje pan także emeryturę z policji miasta Orlando?
 - Owszem.
 - Czy pani Zide wiedziała o tym?
 - Oczywiście. Ode mnie.

– Panie O'Rourke, czy poza jednorazową wypłatą kwoty ćwierć miliona dolarów, przez minione osiem lat otrzymywał pan jakieś pieniądze od pani Zide?

– Nie, ale co miesiąc dostaję od jednej ze spółek pana Neila czek na cztery tysiące dolarów.

– Ubezpieczenie chorobowe?

– To też mi zapewniają.

– Czy spodziewał się pan tak wysokiej emerytury?

– Nie, ale już panu mówiłem, to porządni ludzie.

– Świadek do dyspozycji oskarżenia – powiedziałem.

Tym razem to Muriel zerwała się z miejsca. Ona i Beldon wysoko cenili młodego Whatleya, ale Terence'a O'Rourke'a Muriel chciała przesłuchać osobiście. Znęcała się nad nim, obrażała go, kwestionowała jego wstrzeźliwość nawróconego alkoholika, jego zdrowie umysłowe, a nawet lojalność wobec byłych pracodawców. Próbowwała przekreślać jego słowa, sugerować brak pamięci i na wszelkie możliwe sposoby podawać w wątpliwość jego relację – jednym słowem robiła to, co każdy inny prawnik robiły na jej miejscu, także ja, gdybym był prokuratorem.

Podobnie jak niewierność, prawo to brutalny sport.

Starałem się trzymać Muriel w ryzach, zgłaszając sprzeciw wobec niemal każdego jej pytania; niepotrzebnie. Terence był jak skała. Mówił prawdę i w miarę jak Muriel mnożyła sprzeczności i wątpliwości, stawał się coraz bardziej pewny swego. Na koniec powiedziała: „nie mam więcej pytań” i podziękowała Terence'owi. Sędzia pozwolił mu odejść.

Horace Fleming spojrział na mnie z wyniosłości swego stołu. To on był tutaj panem i władcą.

– Czy to wszystko? – zapytał. – Wygląda pan jak śmierć na chorągwi. Czy dojrzał pan już do pójścia do domu, do łóżka?

– Nie, panie sędzio, czuję się świetnie i mam jeszcze jednego świadka. Być może nawet dwóch.

– Czy zdążymy ich wysłuchać w ciągu tego popołudnia? Wie pan, kiedy zamykamy kramnik.

– Tak, panie sędzio – odparłem cokolwiek lekkomyślnie. – Oboje

znajdują się na sali sądowej.

- A więc wysłuchajmy pierwszego z nich.
- Obrona wzywa Constance Zide.

31

Wysoki Sądzie, chciałbym, aby pani Zide została uznana za świadka wrogo nastawionego do powołującej go strony.

– Sprzeciw! – zawołała Muriel Suarez.

– Proszę o uzasadnienie – powiedział sędzia Fleming spoglądając na mnie sponad kubka z kawą.

– Podczas procesu oraz w czasie niniejszego przesłuchania pani Zide występowała jako świadek oskarżenia. Zgodnie z artykułem 90. 62 ustęp 2 kodeksu karnego stanu Floryda wystarcza to do uznania jej za wrogo nastawioną do sprawy obrony. Gdybym teraz przesłuchiwał panią Zide jako swojego świadka, a więc zakładał jej przyjazne nastawienie, nie mógłbym zadawać naprowadzających pytań. Tymczasem jest to konieczne, gdyż nie sądzę, abym innymi metodami mógł zmusić ją do mówienia prawdy.

– Jednym słowem, chce pan przesłuchać panią Zide jako świadka strony przeciwnej, zgadza się, panie Jaffe?

– Tak, Wysoki Sądzie, ale przy zachowaniu pewnej swobody.

– Mógł pan to zrobić przedwczoraj, kiedy pani Zide zeznawała jako świadek oskarżenia. Stwierdził pan jednak, że nie ma pytań.

– Owszem, ale poprosiłem, aby świadek pozostał do dyspozycji sądu.

– I pozostał – sędzia wyciągnął kościsty palec w kierunku ławek dla publiczności. – Jest tu, na sali, nieprawdaż?

– Tak, Wysoki Sądzie, jest tutaj.

– A więc pozwolę ją panu przesłuchać, ale pańskie pytania dotyczyć mogą wyłącznie spraw omówionych w trakcie bezpośredniego przesłucha-

nia. Takie są zasady postępowania dowodowego, drogi panie, a ja w pełni je akceptuję. Czy pańskim zdaniem nie są to uczciwe zasady?

Miał rację, ale w tej sytuacji te zasady tylko mnie krępowały, utrudniając rozszerzenie tematyki przesłuchania.

– Wysoki Sądzie, wobec takiego stanowiska sądu zmuszony jestem ponowić prośbę o uznanie świadka za wrogiego interesom obrony.

Sędzia wypił łyk kawy i uśmiechnął się do mnie jak do krnąbrnego dziecka.

– Co pani na to, pani prokurator? – zapytał uprzejmym tonem, pochylając się ku Muriel.

– Absolutnie nic nie wskazuje na wrogie nastawienie pani Zide – odrzekła zdecydowanie. – Poproszona o pozostanie w sądzie do dyspozycji stron, podporządkowała się bez sprzeciwu. obrońca najwyraźniej planuje wycieczkę na ryby. Zapoznajmy się ze szczegółami tego przedsięwzięcia. Wtedy będziemy wiedzieli, jaką rybę zamierza złowić i czego chce użyć jako przynęty.

Sędzia skinął głową, a w jego uśmiechu, gdy spojrział na mnie, pojawiło się coś w rodzaju przekory. Jako zapalony wędkarz docenił styl metafory Muriel. Wyglądało na to, że i ona umiała sobie z nim radzić.

Procedura, której użycie zaproponowała Muriel, polega na przedstawieniu sądowi, w obecności rzecznika strony przeciwnej, celu planowanego przesłuchania. W tym przypadku, pod nieobecność ławy przysięgłych, była to propozycja do przyjęcia. Co więcej, byłby to najprostszy sposób wykazania, że Connie powinna zostać uznana za „wrogiego świadka”. Ale jednocześnie Muriel poznałaby moje zamiary; Connie, oczywiście, też.

Muriel posłała mi chytry uśmiezek. Nadal jesteśmy przyjaciółmi, złotko?

– Cofam swój wniosek, Wysoki Sądzie – oświadczyłem nieszczerze beztróskim tonem. – Jednakże zastrzegam sobie prawo do jego ponowienia. Poddam świadka bezpośredniemu przesłuchaniu i zobaczymy, czy można go uznać za przyjaznego obronie.

Muriel nie mogła powstrzymać się od przypieczętowania swojej przewagi.

– Chcę przypomnieć rzecznikowi obrony, że jeśli pani Zide jest jego świadkiem, to on staje się gwarantem prawdziwości jej zeznań.

Rozłożyłem ręce, jakbym chciał powiedzieć: „Fortuna kołem się toczy”, i zwróciłem się ku Connie, która tymczasem zajęła miejsce za barierką. Ta ostatnia wymiana zdań między mną a oskarżycielem nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Patrzyła przed siebie spokojnym, przygaszonym wzrokiem, niemal jak ktoś znajdujący się pod wpływem narkotyku. Zadałem pierwsze pytanie:

– Czy pamięta pani, pani Zide, jak przesłuchując pani syna spytałem, czy mogę zwracać się do niego po imieniu, ponieważ znamy się od czternastu lat?

– Pamiętam – odparła spokojnie – i oczywiście moja odpowiedź na to pytanie również brzmi „tak”. Proszę mi mówić Connie.

– Prawdę mówiąc, pani Zide, nie zamierzałem prosić o ten przywilej. Chciałem, żeby opowiedziała pani sądowi, w jaki sposób poznałem Neila.

Przez chwilę wyglądała na zmieszaną, nieco urażoną. Zaciśnęła złożone na kolanach dłonie.

– Myślę, że przeze mnie.

– A w jakich okolicznościach poznałem panią?

Connie uśmiechnęła się łagodnie i w kilku słowach opowiedziała historię napadu na parkingu Regency Plaza, zakończoną interwencją „jej bohatera”. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Zadałem pani wówczas pewne pytanie. Pozwoli pani, że je dziś powtórzę. Czy zrywając złoty łańcuszek z szyi młodzieńca, który napadł panią przed sklepem Dillarda, nie obawiała się pani jego reakcji?

Muriel i sędzia Fleming wyglądali na zdezorientowanych. Muriel wciąż milczała, choć wiedziałem, że od pewnego czasu bliska jest zgłoszenia protestu.

– Nie – odpowiedziała Connie – raczej nie. Działałam odruchowo, bez zastanowienia.

– Czy była pani uzbrojona?

W twarzy Connie zadrgał jakiś nerw, wykrzywiając na moment policzki.

– Uzbrojona?

Muriel pośpiesznie wstała z miejsca i zgłosiła sprzeciw.

– O co tu chodzi, Wysoki Sądzie? Cel tego przesłuchania wydaje mi się cokolwiek niejasny. Nie widzę związku ze sprawą. Czy moglibyśmy poznać intencje obrońcy?

Sędzia spojrział na mnie, wzruszył ramionami i skinął głową.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. Pani Zide powiedziała mi wtedy, iż owszem, była uzbrojona. Miała w torebce pistolet i była gotowa go użyć.

W Muriel jakby diabeł wstąpił.

– Wysoki Sądzie! – zawołała. – To nie dotyczy sprawy! Pan Jaffe nie występuje tu w charakterze świadka!

– Chciała pani poznać jego intencje, pani Suarez. I poznała je pani. O co jeszcze chodzi?

Zrozumiała, że dała się złapać w pułapkę. Westchnęła i usiadła. Brak ławy przysięgłych nie przeszkodził jej teatralnie wznieść oczu ku niebu.

– Może pani odpowiedzieć – sędzia Fleming zwrócił się do Connie.

– Czy mam powtórzyć pytanie? – zapytałem widząc, że nadal się waha.

– Tak, proszę.

– Czy w dniu napadu przed sklepem Dillarda, czternaście lat temu, miała pani przy sobie broń?

– Tak.

Wziąłem pierwszy płótek. Mogła powiedzieć „nie”. Niczego nie zdołałbym jej udowodnić.

– Co to była za broń, pani Zide?

– Pistolet.

– Gdzie go pani nosiła?

– W torebce.

– Jakiego rodzaju pistolet?

Znów się zawahała. Przez chwilę milczała, obracając pierścionek na palcu.

– Nie pamiętam.

Oto dlaczego nie obawiała się przyznać, że miała broń.

Nie mogłem kwestionować jej prawdomówności, nie ściągając na siebie gniewu sądu. Coś jednak musiałem zrobić.

– Czy aby na pewno nie pani nie pamięta, pani Zide? – zapytałem.
– Świadek odpowiedział na pytanie! – zawołała Muriel. – Powiedziała, że nie pamięta.

– Cofam to pytanie. Pani Zide, czy miała pani pozwolenie na ten pistolet? Czy też nosiła go pani w torebce nielegalnie?

– Sprzeciw! – Muriel nie próżnowała.

– Na jakiej podstawie? – spytał sędzia.

– Brak związku ze sprawą.

– Mnie to pytanie wydaje się raczej nieszkodliwe. Może pani odpowiedzieć, pani Zide.

Connie nie miała wyboru.

– Nie pamiętam – odparła drżącym głosem. Wiedziała, co robi. Wyczuła, że zasłaniając się brakiem pamięci najmniej ryzykuje. Ja natomiast tego najbardziej się obawiałem.

– Wysoki Sądzie – zwróciłem się do Fleminga – świadek uchyla się od udzielenia odpowiedzi. Proszę o uznanie tego za objaw wrogości i zezwolenie na przesłuchanie pani Zide jako świadka strony przeciwnej.

Muriel ze złości nie mogła usiedzieć na krześle.

– Wcale się nie uchyla! Minęło czternaście lat! Zapomniała! Obrona musi się z tym pogodzić!

Sędzia Fleming wyglądał na niemal zasmuconego koniecznością podjęcia takiej, a nie innej decyzji.

– Obawiam się, że to prawda, panie Jaffe. Po tylu latach świadek ma prawo czegoś nie pamiętać. Nic na to nie poradzimy.

– Może mógłbym odświeżyć jej pamięć – podsunąłem.

– Proszę bardzo, mecenasie, ale nie poprzez kwestionowanie jej odpowiedzi.

Sięgnąłem po leżącą na stole obrony kopertę i wyjąłem z niej dokument sporządzony na kremowym papierze. Na moją prośbę Gary dokładnie przekopał archiwum władz hrabstwa; bez powodzenia. Upłynęło zbyt wiele czasu; żaden zapis dotyczący rejestracji pistoletu Connie nie istniał – nawet w postaci mikrofilmu.

– Chciałbym umieścić ten dokument na liście dowodów, Wysoki Sądzie

– rzekłem. – Następnie świadek będzie mógł zapoznać się z jego treścią.

Connie zbladła. Spojrzała na Muriel, ale ta, nie mając podstaw do zgłoszenia sprzeciwu – milczała; podobnie sędzia.

Connie odetchnęła głęboko i powiedziała nadspodziewanie spokojnym głosem:

– Proszę zaczekać. Właśnie sobie przypominałam. Pistolet był zarejestrowany. Tak, miałam pozwolenie na noszenie broni. To jasne, że nie nosiłabym jej nielegalnie.

– Może również przypomniała sobie pani, jaki to był pistolet, pani Zide? – rzuciłem i machnąłem w jej stronę trzymanym w ręku dokumentem.

– Tak, chyba tak.

– Sprzeciw! – warknęła Muriel.

– Świadek odpowiedział na pytanie! – odwarknąłem.

– A sprzeciw został oddalony – dopowiedział sędzia.

Podniosłem nieco głos, starając się jednak nadać mu spokojne brzmienie:

– Czy zechce pani, pani Zide, powiedzieć nam, co to był za pistolet?

– Smith and wesson chief special.

– Pamięta pani jego kaliber?

Zawahała się; mięśnie jej twarzy rozluźniły się, obwisły. Poruszyłem lekko kremową kartką tkwiącą w mojej dłoni.

– Sądzę, że trzydzieści osiem – powiedziała.

– I mieścił się pani w torebce?

– To był tylko mały pistolet.

– O dwucalowej lufie?

– Możliwe. Był mały.

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu – powiedziałem – chciałbym, aby ten dokument został włączony do materiału dowodowego przedstawionego przez obronę i oznaczony literą A.

Podszedłem do stołu sędziowskiego i wręczyłem kremowy arkusz Horacemu Flemingowi. Obejrzał go zdumiony, zamrugał kilkakrotnie, wreszcie uniósł nastroszoną, siwą brew.

– Panie Jaffe, ten dokument to pańskie oświadczenie pod przysięgą stwierdzające, iż pani Zide powiedziała panu, że nosi w torebce pistolet. To

nie jest pozwolenie na broń.

– Nigdy tego nie twierdziłem, Wysoki Sądzie.

– Niech cię cholera! – wrzasnęła Connie w moją stronę, zanim Muriel zdążyła interweniować.

Tego mi było trzeba.

– Wysoki Sądzie, nieprzychylność tego świadka nie ulega chyba wątpliwości. Podobnie jak skłonność do uchylania się od odpowiedzi. Nie mogę zmusić świadka do współpracy inaczej jak tylko groźbą lub poprzez zadawanie pytań naprowadzających. Nie chcę uciekać się do gróźb – uważam takie metody za niedopuszczalne. Tak więc ponawiam swoją prośbę o pozwolenie na przesłuchanie pani Zide jako świadka strony przeciwnej.

– Ta sztuczka z oświadczeniem, to było zwykle oszustwo! – ze złością palnęła Muriel. – Nie ma podstaw do ponowienia wniosku obrony.

– A to dlaczego? – zdziwił się sędzia. – obrońca nie twierdził, że jest to coś innego niż oświadczenie. Nawet pokazał nam ten dokument. Kogo tym oszukał? Na sali nie ma przysięgłych, a pani jest zbyt bystra, żeby dać się nabrać na taką prostą sztuczkę. W każdym razie świadek odzyskał pamięć.

– To było obrzydliwe, Wysoki Sądzie.

– Może mało eleganckie, ale nie sądzę, żeby aż obrzydliwe. Coś jak timex zamiast rolexa. – Sędzia odwrócił się w moją stronę i pogroził mi zakrzywionym palcem. – Tylko żadnych więcej sztuczek, mecenasie. Uśmialiśmy się, ale ten jeden raz wystarczy. Proszę ograniczyć się do zadawania pytań.

– Tak jest – odrzekłem, jakby był generałem, a ja porucznikiem.

– Wysoki Sądzie, czy możemy prosić o dziesięć minut przerwy? – w głosie Muriel dało się wyczuć wyraźne zdenerwowanie.

Connie wróciła na miejsce dla świadków. W jej twarzy nie było już śladu złości; patrzyła przed siebie jasnym, pewnym wzrokiem, jak ktoś, kto właśnie odniósł spektakularne zwycięstwo. Szum w sali ucichł i zacząłem raz jeszcze:

– Panie Zide... była pani obecna podczas dotychczasowych przesłuchań, prawda?

- Tak, widział mnie pan przecież.
- W poniedziałek słuchała pani zeznań swego syna?
- Tak.
- A dziś rano zeznań pana Stanzi, rzeczoznawcy policyjnego w dziedzinie balistyki?
- Tak.
- Wysłuchała pani też zeznania Terence'a O'Rourke'a, swego byłego pracownika?
- Tak.
- Niewątpliwie dostrzegła pani pewne sprzeczności między tym, co powiedzieli ci trzej świadkowie, a swoim i syna zeznaniem pod przysięgą, złożonym tu, w tej sali sądowej, nieprawdaż?
- Sprzeczności?
- Niezgodność co do faktów, jeśli pani woli.
- Nie bardzo wiem, czy dobrze pana zrozumiałam. Zauważyłam pewne różnice opinii, ale to chyba normalne, prawda? Rozmawialiśmy o wydarzeniach sprzed wielu lat.
- Czego dotyczyły te, jak je pani nazwała, różnice opinii?
- Mówiłam ogólnie. Nie przypominam sobie szczegółów.
- Czy pamięta pani, jak pan O'Rourke opowiadał, że w noc śmierci pani męża słyszał pojedynczy strzał, a potem, po minucie lub dwóch, trzy dalsze?
- Tak, zdaje się, że coś takiego powiedział.
- Ale trzynaście lat temu zeznała pani pod przysięgą... – wziąłem ze stołu kartkę i odczytałem: – „Nie wiem, ile ich było; trzy, cztery, pięć...” Zgadza się?

– Tak, chyba tak.

Nie odkładając trzymanej w ręku kartki zapytałem:

- A czy dwa dni temu, zeznając na tej sali, nie powiedziała pani: „Strzały padły jeden po drugim. Wybiegłam na taras”. Czyż nie tak brzmiało pani złożone pod przysięgą zeznanie, pani Zide?

Raz udało mi się wprowadzić ją w błąd, dopiec jej – nie mogła dopuścić do tego po raz drugi. Właśnie ta świadomość była dla niej źródłem siły i spokoju.

– Nie przypominam sobie, żebym w poniedziałek powiedziała coś takiego, panie Jaffe. Mówiłam, że w sumie padły trzy lub cztery strzały, i, oczywiście, że wybiegłam na taras.

– Czy to znaczy, że teraz stwierdza pani, iż te strzały nie padły jeden po drugim?

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Sformułuję to inaczej. Czy pan O'Rourke mówił prawdę twierdząc, że najpierw padł pojedynczy strzał, a następnie, po minucie lub dwu, jeszcze trzy?

– Nie wiem – westchnęła Connie. – To było tak dawno.

Podałem jej trzymany dotąd w dłoni kawałek papieru.

– Czy pani to rozpoznaje, pani Zide?

Nim odpowiedziała, uważnie przyjrzała się kartce.

– Wygląda to na stronę protokołu z procesu.

– Jaka data widnieje na tym dokumencie?

– 14 kwietnia 1979.

– Kim była osoba prowadząca przesłuchanie?

– Zdaje się, że to był pan – spokojnie odparła Connie.

– Kogo przesłuchiwałem?

– Mnie.

– Zeznawała pani w tej samej sali, w której znajdujemy się dzisiaj, prawda?

– Tak.

– Kiedy zeznawała pani tutaj w kwietniu 1979 roku, działo się to w ramach procesu pewnego człowieka zagrożonego karą śmierci, czyż nie tak?

– Tak.

– Proces toczył się przed ławą przysięgłych.

– Tak.

– A dotyczył człowieka, który dziś siedzi koło mnie – położyłem dłoń na ramieniu Darryla.

– Tak.

– Zidentyfikowała go pani jako zabójcę swego męża, prawda?

– Tak.

– Podczas tamtego procesu w miejscu, które dziś zajmuje sędzia Fleming, zasiadał inny sędzia, czy tak?

– Tak.

– Ubrany w czarną togę?

– Tak.

– Który to ubiór podkreślać miał powagę chwili i majestat prawa, czyż nie?

– Tak, chyba tak.

Zmarszczyłem brwi.

– Nie jest pani pewna, czy proces człowieka oskarżonego o morderstwo jest sprawą poważną?

– Przepraszam... tak, jestem pewna.

– Czy przed rozpoczęciem przesłuchania nie poproszono pani o podniesienie ręki i złożenie przysięgi, że będzie pani mówić prawdę?

– Istotnie.

– I to, co mówiła pani tamtemu sędziemu i ławie przysięgłych, było prawdą?

– Tak.

– Zechce pani przeczytać z protokołu zaznaczone na żółto pytanie i swoją na nie odpowiedź, pani Zide.

– Pytanie: „Czy słyszała pani strzały?” Odpowiedź: „Tak; trzy, może nawet cztery. Padły jeden po drugim. Wybiegłam na zewnątrz”.

– Czy nadal obstaje pani przy twierdzeniu, że strzały te padły jeden po drugim?

Po czole Connie spłynęła kropla potu.

– Tak – mruknęła.

– Pani Zide, zidentyfikowała pani wówczas człowieka siedzącego obok mnie jako mordercę swego męża.

– Tak.

– Na jakiej podstawie?

– Nie pamiętam.

– Nie pamięta pani?

– To znaczy... rozpoznałam go, bo został zatrzymany przez policję...

zdaje się, że pokazali mi jakieś zdjęcia... a ja znalazłam tego człowieka. To on zastrzelił mojego męża. Pracował u nas jako pomocnik ogrodnika. Sprzątał po psach. Powiedziano mi, że był już karany za przestępstwa kryminalne, że jest zdolny do przemocy...

- Kto pani powiedział?
- Nie pamiętam.
- Czy może był to sierżant Nickerson?
- Możliwe. Nie pamiętam.
- Czy powiedział pani o tym jej syn?
- Nie pamiętam! – Connie podniosła głos. – Nie rozumie pan, co mówię? Nie wierzy mi pan?

Muriel zerwała się z krzesła.

– Wysoki Sądzie, prosimy o przerwę, aby świadek mógł odzyskać panowanie nad sobą.

– Zmuszony jestem zaprotestować – oświadczyłem zdecydowanie. – Znajdujemy się w połowie serii pytań. Jeśli rzecznik oskarżenia ma zastrzeżenia co do kierunku przesłuchania, niech zgłosi sprzeciw. Jeśli nie, proszę, aby sąd zezwolił mi kontynuować zadawanie pytań. Z woli sądu czasu trwania niniejszej rozprawy jest ściśle ograniczony.

Sędzia Fleming zastanawiał się przez chwilę. Dochodziła trzecia po południu.

– Czy to pański ostatni świadek? – zapytał zwracając się do mnie.

Niewykluczone, że z Neilem poszłoby mi łatwiej, ale postanowiłem za ryzykować i pozostać przy Connie.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Niepotrzebna nam przerwa – orzekł sędzia. – Proszę kontynuować.

Connie jęknęła cicho.

– Pani Zide – rzekłem – wróćmy do Terence'a O'Rourke. Powiedział on, że słyszał pojedynczy strzał, a po chwili jeszcze trzy. To jego słowa, prawda?

– Chyba tak.

– A tak przy okazji, czy kwestionuje pani relację pana O'Rourke w części dotyczącej odprawy, którą otrzymał od pani przechodząc na emery-

ture?

– Bynajmniej. Był wiernym sługą.

– A sprawa urlopu w Kolorado i Kalifornii? Czy jego opowiadanie o tym uważa pani za zgodne z prawdą?

– Może trochę przesadzone. Nie był już młodym człowiekiem i wyglądał na zmęczonego. Uznałam, że należą mu się te trzy tygodnie urlopu, powinien odpocząć.

Uświadomiłem sobie, że odzyskała pewność siebie, zdążyła pozbiierać myśli.

– A więc nie chodziło pani o to, aby opuścił Jacksonville na czas procesu?

– Oczywiście, że nie.

– Tę nadzwyczaj wysoką odprawę ofiarowała mu pani także nie po to, by zapewnić sobie jego trwałą lojalność?

– On był lojalny. Nie musiałam sobie tego zapewniać.

– Czy wiedziała pani, że Neil przez ostatnie osiem lat posyłał mu co miesiąc cztery tysiące dolarów?

– Zdaje się, że kiedyś rozmawialiśmy na ten temat.

– Czy te pieniądze nie miały opłacić milczenia pana O'Rourke?

– Absolutnie nie.

– Czy kiedykolwiek rozważała pani możliwość zabicia pana O'Rourke?

– Słucham?

– Czy życzy pani sobie, żeby protokółantka odczytała pani ostatnie pytanie?

– Nie, słyszałam pytanie. Po prostu trochę mną wstrząsnęło. Czy myślałam o zabiciu Terence'a? Nie, panie Jaffe. Nie. Zdecydowanie nie.

– Nigdy nie omawiała pani tej możliwości z synem?

– Nie.

– Czy rozważała pani z Neilem pomysł zabicia Victora Gambrela?

– Nie.

– Czy Neil postanowił zrobić to na własną rękę?

– Sprzeciw! – Muriel, zaróżowiona ze złości, porwała się z krzesła. – To najzupełniej bezpodstawne insynuacje. Jak możemy tego słuchać?!

– Podtrzymuję sprzeciw – rzekł sędzia Fleming. Normalnie ostrzegłby sędziów przysięgłych, by nie brali pod uwagę ostatniego pytania i jakiegokolwiek na nie odpowiedzi. Ponieważ jednak rozprawa odbywała się bez udziału ławy przysięgłych, on sam musiał wyrzucić z pamięci tę moją – jak to nazwała Muriel – insynuację; jeśli potrafi. Zrobił groźną minę i ostrzegawczo pogroził mi palcem.

– Pani Zide – wstałem i niczym drapieźnik w klatce jałem przechadzać się wzdłuż stołu obrony – ile osób zatrudnia pani w swoim domu?

– Siedem, osiem. Różnie.

– Ile osób liczyła obsługa w domu w grudniu 1978 roku?

– Prawdopodobnie nieco więcej niż obecnie.

– A te siedem, osiem osób, które pracują obecnie, jest u pani od roku 1978?

– Nie, ludzie przychodzą i odchodzą.

– Ci, którzy odeszli, zostali wyrzuceni z pracy?

– Oczywiście nie wszyscy.

– Niektórzy zwolnili się na własną prośbę, tak?

– Tak.

– Ilu z tych, którzy zwolnili się na własną prośbę lub za obopólną zgodą, otrzymało premię w wysokości ćwierć miliona dolarów plus emeryturę czterech tysięcy dolarów miesięcznie?

Nie miała wyjścia; musiała odpowiedzieć.

– Nikt – odparła cichym, spokojnym głosem. – Ale Terence był wyjątkiem.

– W to nie wątpię. Wróćmy do nocy 5 grudnia 1978 roku – powiedziałem. – Do nocy morderstwa.

Skinęła głową; wydawała się niemal zadowolona z takiego obrotu sprawy.

– Chcesz, żebym wszystko opowiedziała jeszcze raz, Ted? – zapytała.

Biedna Connie.

Zachowywała się tak, jakbyśmy szykowali się do pogawędki w jej salonie albo w moim biurze, jak to bywało trzynaście lat temu i jakbyśmy nadal byli kochankami albo serdecznymi przyjaciółmi.

– Nie – odparłem, uśmiechając się smutno. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Zide, chciałbym, żeby odpowiedziała pani na moje pytania.

Connie splotła palce, jak robią to dzieci i posłusznie skinęła głową.

— **P**ani Zide, w noc morderstwa na terenie państwa posiadłości odbyło się przyjęcie, prawda?

— Wieczór muzyczny – skwapliwie odpowiedziała Connie. – Był pan na nim.

— Istotnie byłem. Z żoną.

— Przyjęcie skończyło się chyba około jedenastej...

— Nie, pani Zide, nie pytałem o to. Proszę mi powiedzieć, co zdradziło obecność włamywaczy czy powiedzmy: intruzów, w domu? Co najpierw państwa zaalarmowało?

Na białych policzkach Connie pojawiły się plamy rumieńców.

— W patio rozbiła się doniczka – powiedziała. – Usłyszeliśmy hałas, Solomon wstał od stołu do trik-taka...

— Stop, pani Zide! – Na tym etapie przesłuchania musiałem w jakiejś mierze zdać się na przypadek, ale zarazem nie mogłem stracić nad nią kontroli. – Proszę odpowiadać na moje pytania, nic więcej. Żadnych dodatkowych informacji. Czy pani mnie zrozumiała?

— Tak. Myślałam... – głos jej się załamał. Chciała ująć mnie życzliwością; nie udało się.

— A więc pierwszą oznaką obecności włamywaczy w domu był hałas wywołany rozbiciem doniczki, czy tak?

— Tak.

— Czy nie mieli państwo, jak to pani kiedyś określiła: „najwyższej klasy alarmu przeciwwłamaniowego”?

Uśmiechnęła się smętnie.

– Tak nam się zdawało.

– Czy częścią systemu alarmowego nie były liczne reflektory, które zapalały się, jeśli ktoś pojawił się w polu fotooptycznego czujnika?

– Nie jestem pewna, jak to się nazywało, ale tak, tak chyba miało działać.

– I nie zadziało? Ani jeden reflektor nie zapalił się, aby państwa ostrzec?

– O ile wiem, nie.

– Twierdzi pani, że Darryl Morgan i William Smith, poruszając się w najgłębszych ciemnościach, nie uruchomili ani jednego czujnika?

– Sprzeciw! – zawołała Muriel. – Odwołanie się do domysłów. Świadek nie wiedziała, czy któryś czujnik został uruchomiony. Pamięta tylko, że nie zapaliły się światła, i tyle właśnie powiedziała.

– Podtrzymuję sprzeciw – oznajmił sędzia.

Spostrzegłem, że Connie znów odzyskała pewność siebie. Nie było tak źle; wszyscy byli uprzejmi, grzeczni, Muriel czuwała nad jej bezpieczeństwem.

– Czy pamięta pani, jak odczytałem synowi fragment jego zeznania z procesu sprzed trzynastu lat?

– Owszem, przypominam to sobie.

– A czy przypomina pani sobie, co on wtedy odpowiedział na pytanie: „Czy wyraźnie widział pan intruzów”?

– Nie bardzo.

– Przypomnę pani. Odpowiedział: „...reflektory na trawniku w końcu się zapaliły, prawdopodobnie zadziałał system alarmowy, uruchomiony przez tych dwóch”. Zgadza się, pani Zide?

– Nie jestem pewna, chyba tak.

– Czy nie było tak, pani Zide, że zobaczyła pani światła na zewnątrz – kiedy pani mąż żył jeszcze – i wyszła w szlafroku na taras?

– Sprzeciw! Świadek udzielił odpowiedzi na to pytanie.

– Podtrzymuję.

Wycelowałem w Connie palec na podobieństwo pistoletu.

– I czy mniej więcej w tym samym czasie nie usłyszała pani warczenia szczeniąt?

– Sprzeciw! – Muriel nie zdążyła jeszcze usiąść. – Nie było dotąd wzmianki o żadnych warczących szczeniakach.

Po sali przeleciał szmer śmiechu.

– Podtrzymuję sprzeciw.

– Czy zatem nie wstała pani od stołu do trik-taka, pani Zide – powiedziałem, starając się nadać swemu głosowi gniewne, pewne siebie brzmienie (oczywiście, bez przesady, bo wszystko, co mówiłem, to były tylko moje domysły) – i nie wyszła na zewnątrz, zanim padły jakiegokolwiek strzały?

– Sprzeciw!

– Na jakiej podstawie, pani Suarez?

– Obrona wyciąga wnioski nie mające pokrycia w dowodach.

– Nie sędzę. Sprzeciw oddalony. Świadek może odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Żadnych przywilejów w moim sądzie, zdawał się mówić wzrok sędziego Fleminga. I żadnych uprzedzeń. Dobrodusznie uśmiechnął się do Connie.

– Nie – odparła. – To, co pan opowiada, wcale się nie zdarzyło.

– Czy nie jest prawdą, pani Zide, że kiedy wyszła pani przed dom, na tarasie lub na trawniku ujrzała pani Darryla Morgana?

Connie zwlekła z odpowiedzią, czekając na sprzeciw Muriel. Nie doczekała się jednak. Muriel grała zgodnie z zasadami. Nie zamierzałem iść w jej ślady. Zbyt wiele miałem do stracenia.

– Nie, to nieprawda.

– Nie widziała pani Darryla Morgana?

– Widziałam dwóch mężczyzn. Wtedy nie wiedziałam, że jednym z nich jest Darryl Morgan.

– Czy nie jest prawdą, iż widziała pani, jak William Smith uciekając przez trawnik w kierunku plaży kopnął jedno ze szczeniąt?

– Nie – odparła Connie – niczego takiego nie widziałam.

– Czy rankiem tego samego dnia niejaka Martina Vargas nie odniosła jednego z pani szczeniąt do weterynarza?

Dowiedziałem się o tym od Terence'a, ale Martina już dawno wyjechała

do swego rodzinnego Leon i Gary nie zdołał jej odnaleźć. Przesłuchując Terence'a zapomniałem go o to spytać; byłem zmęczony po podróży do Oakwood i godzinnej drzemce w samolocie. Teraz niewiele mogłem zyskać dzięki tej informacji.

Z drugiej strony, Connie nie mogła za daleko posuwać się w swoich kłamstwach; nie wiedziała, jaki nowy dokument wyciągnę z kapelusza.

– Nie jestem pewna – powiedziała ostrożnie. – Nie mogę sobie przypomnieć.

– Proszę spróbować, pani Zide.

– Nie pamiętam.

– Czy to szczenię przeżyło?

– O tak.

– A więc to pani zapamiętała. Czy miało złamane żebro?

– Nie pamiętam.

– Może którąś z nóg?

– Nie wiem.

– Obojczyk?

– Sprzeciw! – zaryzykowała Muriel. – To jest dręczenie świadka.

– Sprzeciw oddalony – rzekł sędzia. – obrońca po prostu zadaje pytania.

– Pani Zide – podjąłem – jak nazywał się weterynarz, który opiekował się pani psami?

Nie wiedziała, czy znam to nazwisko. Jeśli tak, mogłem dowiedzieć się wszystkiego o losie szczenięcia.

– Doktor Merrill – odparła. – Przypomniałam sobie. Harry Merrill. Nadal jest moim weterynarzem. Mam teraz czarnego labradora i dwa złote retrievery. Jedno ze szceniąt zostało ranne tamtej nocy. Miało, zdaje się, złamaną nogę. Tak, prawdopodobnie kopnął je podczas ucieczki któryś z tych mężczyzn. Śmieszne, że od razu sobie tego nie przypomniałam.

Pozorny drobiazg nabrał nagle pierwszorzędnej wagi. Connie raz już skłamała – na temat pistoletu. Teraz ponownie dała się przyłapać na kłamstwie. Mogła od razu przyznać się do wysłania szczenięcia do weterynarza, a potem spokojnie zaprzeczyć, że cokolwiek widziała. Wcale by jej to nie

zaszkodziło. Nie wiedziała jednak, co wiem, a czego nie wiem. Nie wiedziała, dokąd zaprowadzi ją kolejne kłamstwo, co będzie później. Ona i Neil utkali misterną sieć kłamstw; i oto ta sieć zaczynała się pruć. Na razie nic jej jeszcze nie groziło, ale pozwoliła sobie na poważne potknięcie i wyszedł na jaw jej fałsz. Spojrzała błagalnie na Muriel, ale Muriel nie mogła nic zrobić. A zresztą... wtedy już chyba nie chciała.

Connie zerknęła ukradkiem w stronę sędziego Fleminga. Przyglądał się jej z wielką ciekawością.

Wyszedłem z za stołu obrony i zbliżyłem się do miejsca dla świadków. Stałem na tyle blisko, że mogła spojrzeć mi w oczy. Jeśli szukała w moim wzroku miłosierdzia, to nie znalazła go. Litość – tak; ale nie miłosierdzie.

Na sali panowała absolutna cisza. Nikt nawet nie kaszlnął.

– Pani Zide – zapytałem – co stało się z pistoletem smith and wesson kalibru trzydzieści osiem, który nosiła pani w torebce przed czternastoma laty?

– Z czym? – wydawała się zmieszana. – Wciąż zmieniasz temat, Ted. Miała rację.

– Chodzi o pani pistolet, pani Zide. Zapytałem: co się z nim stało?

– Nie wiem.

– Nadal go pani nosi?

– Nie.

– Czy nadal go pani posiada?

– Nie.

– Czy nosi pani inny pistolet?

Zawahała się.

– Tak. To niebezpieczne miasto. Mam pozwolenie.

– Co to za pistolet?

– Nazywa się Llama. Półautomat.

– Jakiego kalibru?

– Nie wiem dokładnie.

– Może trzydzieści dwa? Jak pani sądzi? – Znałem pistolety llama blackhawk; to kobieca broń. Muriel też taki nosiła.

– Tak. Być może trzydzieści dwa.

- Nosi go pani do obrony?
 - Oczywiście.
 - Tego smith and wessona trzydzieści osiem wyrzuciła pani?
 - Nie, nie wyrzuciłam.
 - Neil go wyrzucił?
 - Co Neil zrobił?
 - To ja zadaję pytania, pani Zide. Czy Neil wyrzucił ten pistolet?
 - Nie wiem.
 - Jeżeli Neil go nie wyrzucił, co się z nim stało?
 - Nie wiem.
 - Po prostu zniknął? Wyparował?
 - Chyba tak.
 - Wkrótce po śmierci pani męża, tak?
 - Chyba tak. To znaczy... nie. Nie pamiętam.
 - Czy ten pistolet nie zniknął tej nocy, kiedy umarł pani mąż? Czy Neil nie wrzucił go do oceanu albo do kanału?
 - O ile jej wiadomo. – Dobiegł mnie z tyłu spokojny głos Muriel. Nadal wypełniała swoje obowiązki.
 - Tak, przepraszam, pani Zide. O ile pani wiadomo.
 - Nie wiem.
 - Neil pani nie powiedział?
 - Nie.
 - Czy zastrzeliła pani swojego męża, pani Zide?
 - Nie, nie zrobiłam tego, przysięgam.
 - Ale tej nocy 5 grudnia ktoś strzelał z pani pistoletu, z należącego do pani smith and wessona trzydzieści osiem, prawda?
- Nie odpowiedziała. Jej usta wykrzywił trupi grymas. Oblizywała je co chwilę, i teraz pozbawione szminki wargi wydawały się bezbarwne. Szaroniebieskie oczy zapadły się w głąb oczodołów.
- Pani mąż wpadł tej nocy w szal, prawda, pani Zide?
- Powoli skinęła głową.
- Był zły na mnie, tak.
 - Po przyjęciu?

– Tak, po przyjęciu. Był pan tam.
– Byłem na przyjęciu, ale nie potem. Pani mąż zabrał pistolet z pani torebki i strzelił, czy tak?

– Tak.

– A kula utkwiała w boazerii wewnętrznej ściany salonu, czy tak było?

– Nie, nie tak.

Na jej bezkrwistych wargach pojawił się nieznaczny uśmiezek, a w jej oczach wyraz jakby przebiegłości, początkowo trudny do zdefiniowania. Powoli stawało się jednak oczywiste, że ten chytry uśmiezek jest oznaką poczucia wyższości. Wtedy zrozumiałem.

Wiedziała coś, czego ja nie wiedziałem, i właśnie zdała sobie z tego sprawę.

– Pani Zide, wtedy w salonie, po przyjęciu, Solly wpadł w gniew.

– Tak.

– Krzyczał na panią?

– Tak.

– Przestraszył panią swoim zachowaniem?

– Tak.

– I wtedy wrócił do domu Neil.

Jej oczy pociemniały; wzrok stwardniał.

– Nie pamiętam.

– Podczas procesu zeznała pani pod przysięgą, że Neil wrócił z przyjęcia, kiedy pani i Solly graliście w trik-traka. Teraz pani to sobie przypomina?

– Tak.

– Czy Neil był pijany?

– Nie sędzę.

– Czy był pod wpływem narkotyków?

– Nie wiem.

– Solly krzyczał na panią, kiedy Neil wrócił do domu.

– Tak.

– Czy nie jest prawdą, pani Zide, że zanim z pani pistoletu padł pierwszy strzał, usłyszała pani warczenie szczeniąt, wyszła na taras i spłoszyła dwóch czarnych mężczyzn, którzy uciekli trawnikiem w stronę plaży?

– Sprzeciw. Świadek odpowiedział na to pytanie. – Teraz jednak w głosie Muriel mniej było tego ognia niż kilkanaście minut temu.

– Cofam to pytanie – rzuciłem. – Kiedy wróciła pani do salonu, kłótnia z Sollym przybrała na sile.

– Nie pamiętam.

Już wiedziałem.

– I to pani wyjęła pistolet z torebki i strzeliła w boazerię nad jego głową, na postrach. Czy tak?

– Nie. – odparła, ale chytry uśmieszek zniknął z jej twarzy.

Byłaby kiepską pokerzystką.

– Wtedy Solly rozbił butelkę i zranił panią w twarz, prawda?

– Nie. – Znów ten chytry uśmiech.

– A pani go zastrzeliła.

– Nie.

– Solly znajdował się na tarasie, a pani u wejścia do salonu, czy tak?

– Nie.

– Strzeliła pani trzy razy. Jedna kula chybiła i poleciała w stronę ogrodu, dwie pozostałe zabiły pani męża. Czy tak to się odbyło, pani Zide?

– Nie – stwierdziła, a na jej ustach wciąż igrał ten przebiegły uśmiech. Śmiała się, bo – nagle to sobie uświadomiłem – nie tak to się odbyło. Gorączkowo rozważyłem jedną możliwość po drugiej. Jeśli nie zranił jej Solly, to kto? Nie Neil. Wierzyłem, że zdolny jest do najgorszego, ale co to, to nie.

– Resztą zajął się Neil, prawda?

– Resztą? – zapytała Connie przestraszonym głosem; zbladła. – Nie, nie zajął się. Czym miał się zająć?

– Była pani ranna, roztrzęsiona, tak więc Neil wszystkim się zajął, wszystko zorganizował.

– Świadek odpowiedział na pytanie – wtrąciła Muriel.

– Proszę wykreślić to pytanie – powiedziałem. – Neil zadzwonił do Victora Gambrela, szefa ochrony Zide Industries, zgadza się?

– Nie, wtedy nie.

– Kto w takim razie wezwał Gambrela?

- Neil, oczywiście – odparła zmieszana. – Przepraszam.
- Gambrel mieszkał w pobliżu, w Ponte Vedra, prawda?
- Możliwe. Nie pamiętam.
- Przyjechał więc przed policję.
- Tak. Chyba tak. Co to ma za znaczenie?
- Victor Gambrel pomógł Neilowi ułożyć ciało pani męża w taki sposób, by wyglądało na to, że strzelał do niego ktoś stojący na zewnątrz domu. Czy tak było?
- O ile jej wiadomo – znów postyszałem za sobą głos Muriel.
- Tak. O ile pani wiadomo.
- Oczywiście. Odpowiedź brzmi „nie”. Nic takiego się nie zdarzyło.
- Victor Gambrel pomógł pani i Neilowi wymyślić historyjkę, którą opowiedzieliście policji, czyż nie tak?
- Nie. Nie musieliśmy układać żadnej historyjki.
- Postanowiła pani oskarżyć o zamordowanie męża tych dwóch czarnych chłopców, którzy usiłowali włamać się do waszego domu, czy tak?
- Nie.
- Kiedy w nocy zobaczyła pani przed domem Darryla Morgana, nie poznała w nim pani jednego ze swoich pracowników, prawda?
- Tak. To prawda.
- Neil celowo podał policji niedokładny opis włamywaczy.
- Nie wiem.
- Nie wiedziała pani, kim byli; nie widziała ich pani dokładnie, a Neil nie widział ich wcale. Zgadza się?
- Nie wiem – odparła machinalnie.
- I właśnie dlatego nikt nie opisał Darryla Morgana jako rosłego czy wysokiego; to wypłynęło dopiero po jego aresztowaniu. Czy nie tak, pani Zide?
- Nie wiem.
- Wtedy w nocy, kiedy już ułożyliście swoją historyjkę, Neil zadzwonił do komisariatu Jacksonville Beach. Działo się to dobre dwadzieścia minut po przyjeździe Victora Gambrela. Gambrel zaś wezwał swojego przyjaciela Floyda Nickersona z Wydziału Zabójstw. Czy tak to się odbyło? O ile pani

wiadomo.

– Nie wiem.

– Nickerson posłał Carmen Tanagra na plażę, aby szukała psa, bo potrzebował czasu na wysłuchanie propozycji, którą w imieniu Neila złożył mu Victor Gambrel. Czy nie tak było? O ile pani wie?

– Nie wiem.

– Kiedy Nickerson i Carmen Tanagra złapali Morgana przed sklepem Lil'Champ, ze zdziwieniem stwierdziła pani, że zatrzymany jest pomocnikiem ogrodnika w pani posiadłości, czy tak?

– Nie wiem.

– Nie spodziewała się pani, że on i Smith dadzą się złapać, prawda?

– Nie.

– Nie chciała pani, żeby Darryl Morgan został obwiniony o zamordowanie pani męża.

– Nie.

– Ponieważ on tego nie zrobił; czy dlatego?

– Nie, nie dlatego.

– Kiedy przebywała pani w Baptist Hospital, policjanci pokazywali pani zdjęcie Morgana.

– Tak, chyba tak.

– A ponieważ Neil powiedział pani, że Nickerson zatrzymał człowieka, który przyznał się do usiłowania kradzieży w pani domu, nie miała pani wyboru, musiała go pani zidentyfikować. Czy tak było?

– Nie.

– Neil powiedział pani, że Morgan jest kryminalistą, człowiekiem zdolnym do przemocy, zgadza się?

– Nie, nie przypominam sobie tego.

– A potem było już za późno, aby się wycofać, prawda?

– Nie rozumiem.

– Ostatecznie co to miało za znaczenie, że jakiś tam Morgan zostanie skazany za morderstwo, którego nie popełnił? I tak siedziałby w więzieniu, nie za to przestępstwo, to za inne. Czy nie w ten sposób przekonywali panią Neil i Victor Gambrel?

– Nie.

– Musiała pani dokonać wyboru. Między Darrylem Morganem, niewykształconym, brutalnym czarnym kryminalistą, który nadawał się tylko do zbierania psich odchodów... a sobą, i groźbą oskarżenia o zabójstwo, a kto wie, czy nie o morderstwo, jeśli wyszłaby na jaw pani nienawiść do męża. To nie był trudny wybór, prawda?

– Nie. To wszystko nieprawda.

– Ale przecież nie chciała pani, żeby Morgan umarł na krześle elektrycznym.

– Nie chciałam, naprawdę nie chciałam, Ted.

– Prosiła mnie pani, żebym go oszczędził, prawda?

– Tak. – Twarz Connie rozpromienił radosny uśmiech; oto pojawiła się szansa ocalenia. – Prosiłam. Wiesz o tym. Pamiętasz.

– W czasie gdy trwało kompletowanie ławy przysięgłych, poszliśmy na spacer, nad rzekę i wtedy powiedziała mi pani, że nie chce śmierci Morgana, czy tak?

– Tak, najdroższy.

Poczułem, że ogarnia mnie przeraźliwy chłód; serce boleśnie zakołatało w piersi. Toba jest na sali, Toba słucha, przemknęło mi przez głowę. Ale nie mogłem już się wycofać.

– Wiedziała pani, że Morgan jest niewinny, prawda, pani Zide?

– Nie, Ted.

– Czy nie dlatego wstawiła się pani za nim?

– Nie, Ted.

Ponownie zmieniłem kierunek; musiałem myśleć nie tylko o schwytaniu jej w pułapkę, ale i o ratowaniu własnej skóry.

– Ta kłótnia z Sollym, tuż przed jego śmiercią – ta ostatnia kłótnia – była o Neila, czy tak?

– Nie, Ted.

– Kłóciliście się jeszcze, kiedy o drugiej nad ranem wrócił Neil, czy tak, pani Zide?

– Proszę, kochanie, nie nazywaj mnie tak. Znasz moje imię.

Moja żona słuchała tego wszystkiego. Chciałem odwrócić się, spojrzeć

na nią, powiedzieć: „Tobo, to było wtedy, nie teraz. Tylko ciebie kocham i pragnę”. Nie śmiałem jednak. Przypomniałem sobie ostrzeżenie Beldona „...czuję, że nie powinienes się angażować w tę sprawę”. Beldon wiedział. Próbował powstrzymać mnie przed zapuszczeniem się w mroki przeszłości.

Ale chcąc ocalić Darryla musiałem to zrobić. A teraz musiałem wytrwać.

– Solly przestraszył cię, Connie, prawda?

– Tak.

– W pewnym momencie tej kłótni zaczęłaś się bać, że zrobi ci krzywdę, czy tak?

– On mnie uderzył, Ted.

– W twarz?

– Tak. W twarz. Skaleczył mnie w policzek.

Wiedziałem, że mówi prawdę. Przekroczyła już tę granicę, za którą czeka niepowstrzymany upadek, pęd przed siebie, ku zatraceniu.

Nie należy zadawać pytań, na które samemu nie umie się odpowiedzieć; taka jest zasada. Ale byliśmy już poza wszelkimi zasadami.

– O co kłóciliście się, Connie?

– O ciebie.

Dobry Boże. Nie mogłem przekreślić tego pytania.

– On wiedział – ciągnęła Connie. – I nienawidził ciebie.

Raz jeszcze, dla dobra Darryla, musiałem zmienić kurs.

– Zranił cię nożem, Connie, czy tak?

Nie pozwoliła mi. Teraz ona kontrolowała sytuację.

– Dłużej nie mogłam go znieść. Nie pozwoliłabym mu się dotknąć. Powiedziałam mu, że cię kocham. Nigdy w to nie wierzyłeś, prawda?

Najchętniej zamknąłbym oczy i uciekł z tej sali. Czuję na sobie nieruchomy wzrok Darryla. Widziałem zdziwione spojrzenie sędziego Fleminga. I wyczuwałem obecność Toby; jak rozgrzane do czerwoności żelazo przytknięte do ciała.

Nie miałem jednak wyboru.

– Co on ci zrobił, Connie?

– Wszystko mu opowiedziałam. Drwiłam z niego. Powiedziałam mu o Cumberland Island.

Zaciskałem pięści, czując jak paznokcie wpijają mi się w dłonie. Niemal spodziewałem się ujrzeć krew spływającą po palcach.

- Rozbił butelkę i zranił cię jej ostrą krawędzią?
- Nie.
- Czym cię zranił?
- Mówiłam ci, Ted. Uderzył mnie ręką.
- Wyjęłaś pistolet z torebki i strzeliłaś mu nad głową, czy tak, Connie?
- Tak.
- Kula trafiła w boazerię po drugiej stronie salonu, tak?
- Tak.
- A potem?
- Znów mnie uderzył. Przewróciłam się.
- I wtedy strzeliłaś i zabiłaś go, w samoobronie, prawda?
- Nie, kochanie. Nie.

Uświadomiłem sobie, że za moimi plecami, w głębi sali sądowej zapanaowało jakieś poruszenie. Spostrzegłem, że Connie spogląda w tamtą stronę, a sędzia gwałtownym ruchem sięga po młotek. W każdym razie pomyślałem, że po młotek; później doszedłem do wniosku, że może sięgnął po ukryty pod togą pistolet. Toba! – ta jedna myśl przemknęła mi przez głowę.

W przejściu między ławkami Neil Zide wyrwał się woźnemu – mężczyźnie dobre dwadzieścia kilogramów cięższemu od siebie – i rzucił się stroną barierki. Z przygryzionej wargi ciekła mu po brodzie strużka krwi. Rozwiane w biegu włosy okalały mu głowę niczym lwia grzywa.

- Ty świni! – wrzasnął w moją stronę.

Connie krzyczała „Neil!”, próbując go powstrzymać. „Woźny!” – ryczał sędzia. Connie zerwała się z krzesła i wtedy Neil całym ciężarem rozpezdzonego ciała uderzył we mnie i obaj przewróciliśmy się na stół obrony.

Zgiełk na sali przycichł. Woźni trzymali Neila, a sędzia raz za razem tłukł młotkiem o stół, aby uciszyć publiczność. Twarz Neila wykrzywił dziki grymas; ślina ciekła mu z kącików ust.

Connie patrzyła przed siebie martwym, nie widzącym wzrokiem.

- Myślę, że to odpowiednia chwila – Muriel zwróciła się do sędziego

Fleminga – na krótką przerwę.

– Nie! – krzyknąłem. – Świadek chce nam coś powiedzieć! – Błagalnie podniosłem wzrok. – Panie sędzio!

Dzięki Bogu, zrozumiał. Po prostu skinął głową, a ja odwróciłem się ku Connie. Jej palce poruszały się w powietrzu jak szpony rannego ptaka.

Wskazałem na Neila.

– Neil wziął od ciebie pistolet, prawda?

– Tak, – wymamrotała.

– I to on zastrzelił twego męża?

– On tego nie chciał...

– Neil wpadł w szal, ponieważ Solly uderzył cię, prawda, Connie?

– Tak. Jest moim synem. Kocha mnie. Gardził Sollym.

– Connie – nie pytając sędziego o pozwolenie zbliżyłem się do miejsca dla świadków; czułem jednak, że mam do tego prawo – kto zranił cię w twarz?

– Ja sama – odparła. – Solly lekko mnie skaleczył w policzek. Wyjaśniłam to już. Powiedzieli mi, żebym to sama zrobiła. Wiedziałam, że się zagoi.

– Kto powiedział, Connie? Neil i Gambrel? Czy to oni kazali ci się zranić?

Tylko skinęła głową, ale mnie to wystarczyło.

– Czym się zraniłaś?

– Kawalkiem szkła... to był tylko policzek... wiedziałam, że się zagoi.

Ile w tym było odwagi, desperacji, obłędu. Aby uchronić syna przed oskarżeniem o morderstwo, gotowa była oszpecić się i posłać na śmierć innego człowieka.

Uświadomiłem sobie jednak, że nie spodziewała się, iż policja znajdzie Darryla. Nie planowała tego od początku. Na nieszczęście Nickerson był sprawnym policjantem.

Nickerson...

– Czy Neil opłacił Floyda Nickersona, Connie? – zapytałem. I dodałem uprzejmie: – O ile ci wiadomo.

– Zamknij się, Con! – wrzasnął Neil.

Umilkła w pół słowa. Nic więcej nie była w stanie powiedzieć. Zresztą nie miało to już znaczenia.

Po rozprawie jeszcze przez tydzień zostaliśmy w Jacksonville. Toba znajdowała się w stanie pewnego rodzaju szoku. To wszystko, czego dowiedziała się na sali sądowej, a co dla prasy i telewizji stanowiło źródło rozkoszy jeszcze przez kilka dni, było jak trucizna, z którą jej organizm musiał się uporać. Zrozumiałem wtedy, co czuł Bill Clinton w początkowym okresie swojej kampanii wyborczej; postanowiłem, że nigdy nie będę się ubiegał o urząd prezydenta.

Chciałem powiedzieć Tobie: „Kochanie, to działo się czternaście lat temu, całe życie temu”. Na szczęście miałem dość rozumu, żeby tego nie zrobić. Po pierwsze, słowo „kochanie” nie cieszyło się chwilowo sympatią Tobie. Po drugie, niewierność tego rodzaju nie podlega przedawnieniu.

Toba przebaczyła mi w końcu, ale chyba między innymi dlatego, by nie komplikować nam życia. Po namyśle uznała, że akceptuje nasze małżeństwo takim, jakie jest: w całości. Było dla niej źródłem poczucia bezpieczeństwa, wolności i świadomości, że jest kochaną. Poza tym miało swoją historię; czyż może być lepsza kombinacja?

Przez ten tydzień spędzony w Jacksonville była milcząca i skłonna do płaczu, a po powrocie do Sarasota boczyła się na mnie przez dobry miesiąc. Potem którejś niedzieli udało mi się namówić ją na przejażdżkę łodzią. Kiedy wypłynęliśmy na zatokę, powiedziałem:

- Kto jest twoim najlepszym przyjacielem? Powiedz prawdę.
- Ty.
- Więc rzućmy kotwicę i zróbmy to, co robią przyjaciele.

Roześmiała się; najgorsze było za nami.

Za nami, ale nie za mną. Dzień w dzień, ilekroć znalazłem się sam, w mojej pamięci odżywała ta chwila, kiedy zapytałem Connie, co było powodem tamtej kłótni.

Ty.

Ta kłótnia stała się przyczyną śmierci Solly'ego i trzynastoletniej udręki Darryla. Za każdym razem, kiedy to sobie uświadamiałem, serce zaczynało mi bić jak młotem, a żołądek kurczył się boleśnie.

Ile było w tym mojej winy? Tego wieczora, kiedy Connie wpadła do basenu, starałem się zakończyć nasz romans tak przyzwoicie, jak potrafiłem. Kiedy przyjąłem zaproszenie na ów wieczór muzyczny, nie kierowały mną żadne ukryte względy; zważywszy na nagłe zainteresowanie Solly'ego moją karierą, uznałem, iż powinienem tam pójść. Tymczasem rekomendując mnie firmie z Sarasota, Solly chciał pozbyć się mojej osoby z Jacksonville. Dopiero teraz widziałem to wyraźnie.

Powiedziałam, że cię kocham... Wszystko mu opowiedziałam. Drwiłam z niego. Opowiedziałam mu o Cumberland Island.

Jak mogłem ją od tego powstrzymać?

Za wszystko trzeba płacić. W tym przypadku zapłacił niewłaściwy człowiek.

A teraz Connie i Neil zapłacą swoją część. Nie aresztowano ich na sali sądowej, ale gdy tylko stenotypistka dostarczyła protokół rozprawy do prokuratora stanowego, Muriel Suarez wniosła oskarżenie i koła sprawiedliwości jęły się powoli obracać.

Zide'ów można było oskarżyć jedynie o morderstwo drugiego stopnia i krzywoprzysięstwo. Neil wynajął adwokatów z Tallahassee oraz z Waszyngtonu i w kręgach zbliżonych do sądu hrabstwa Duval mówiło się, że ma szanse wykręcić się piętnastoma latami więzienia, z czego odsiedzi dwa czy trzy; Connie mogła wyjść z sądu z wyrokiem w zawieszeniu. W końcu Neil był hojnym sponsorem obu partii, jego firma odgrywała poważną rolę w gospodarce Florydy, a przy tym on i Connie byli biali.

Słyszałem, że Neil najbardziej się obawiał, że nie przeżyje więzienia. W Raiford nie brakowało ludzi utożsamiających się z więźniem, który nie-

winnie przesiedział w celi śmierci dwanaście lat, i mieli dostatecznie mało do stracenia, by szukać zemsty na białym, który tak skrzywdził ich brata.

Jeśli chodzi o Connie, mówiono, że zamierza opuścić Florydę, a nawet wyjechać ze Stanów. Chętnie w to uwierzyłem. Zasłużyła sobie na to, co ją spotkało; jej cierpienie i wstyd nie były udawane, nie mogłaby patrzeć w oczy ludziom, którzy wiedzieli, co zrobiła. Wyobrażałem sobie, jak starzeje się ukryta przed światem w jakimś śródziemnomorskim miasteczku. Przesiaduje na tarasie ze szklanką w dłoni i wyrazem zagubienia w oczach, jakby życie, niegdyś tak pełne obietnic, zawiodło ją, oszukało. Ludzie ją polubią, ale ona nigdy nie będzie wiedziała, co o niej wiedzą i co naprawdę myślą.

Został więc tylko Darryl.

Tego pamiętnego dnia jeszcze w sądzie złożyłem wnioski o jego natychmiastowe uwolnienie. Ale nawet Horace Fleming, z całą swą nonszalancją dla przepisów proceduralnych, nie mógł w sposób tak jawny łamać prawa. Pochylił się ku mnie i przekrzykując zgłęb panujący na sali, rzekł:

– Panie Jaffe, niech pan weźmie od protokolantki zapis tego ostatniego fragmentu i przygotuje wniosek na piśmie. Nie wygląda pan najlepiej, ale do rana powinien się pan z tym uporać. Morgan i tak musi gdzieś przenocować, więc niech go zabiorą do więzienia i zamkną jeszcze na tę noc. To go nie zabije, a obaj wiemy, że na ulicy wcale nie byłby bezpieczny, prawda?

Tu zwrócił się do Muriel Suarez:

– Jeśli stan chce sprzeciwić się temu wnioskowi, proszę bardzo. Ale ostrzegam, niewiele wam z tego przyjdzie.

– Stan nie wniesie sprzeciwu, Wysoki Sądzie – grzecznie odparła Muriel.

Na chwilę usiadłem z Darrylem w pokoju sędziowskim, aby wytłumaczyć mu, na czym polega procedura zwolnienia i co go dalej czeka. Nadal miał na rękach kajdanki.

– Mógłbyś pozwać stan o odszkodowanie i prawdopodobnie wygrać – powiedziałem – ale nim to się stanie, urosnie ci broda do kolan. Natomiast jeśli zaskarżysz Connie i Neila Zide'ów, nawet mój stary ślepy pies – szkoda, że nie mam takiego – wygra tę sprawę.

Darryl zaśmiał się z głębi brzucha.

– Nigdy nie przestajesz być prawnikiem, co? Załatwisz mi to odszkodowanie?

– Nie, przyjacielu, nie ja. Ale Gary Oliver chętnie to zrobi. Uczyni cię bogatym.

Darryl zaśmiał się.

– Będę mógł posłać syna do szkoły. Jego siostry też, jeśli zechcą. O ile wystarczy na to pieniędzy.

Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Darrylu, jeśli Gary załatwi wszystko, jak trzeba, możesz zgarnąć dowolną liczbę dzieciaków z boiska szkoły średniej w osiedlu Blodgett i posłać je wszystkie na uniwersytet stanowy, do Tuskegee Institute, a nawet na Princeton, żeby Tahaunowi i dziewczętom zapewnić towarzystwo kolegów.

Następnego ranka Gary złożył w sądzie Horacego Fleminga wniosek o zwolnienie Darryla, a biuro prokuratora stanowego umorzyło sprawę, odstępując od dochodzenia wszelkich roszczeń.

W południu Darryl został formalnie zwolniony z więzienia. Gary, Tahaun i ja czekaliśmy na niego przed bramą, w miłosiernym cieple zimowego słońca. Syn powitał Darryla wyciągniętą ręką. Po trzynastu latach w celi śmierci dobra doczesne Darryla doskonale mieściły się w tekturowym pudełku pięćdziesiąt centymetrów na pięćdziesiąt; pod jego pachą wyglądało jak damska torebka. Wewnątrz znajdowało się ubranie, dwie talie kart i szczoteczka do zębów. Głęboko wciągnął powietrze, smakując je niczym miód.

Czułem, że oczy przesłania mi dziwna mgiełka, ale zapytałem dziarsko:

– Może wpadniem gdzieś na piwo?

– Hej – huknął w pewnym momencie Darryl, gdy już siedzieliśmy w „The Jury Room” popijając heinekę – pamiętasz ten dzień, kiedy przyszedłeś zobaczyć się ze mną w Raiford? Kiedy założyłem ci na szyję te rączki? – Odstawił butelkę i podniósł nad stół olbrzymie dłonie. – Pamiętasz, co chciałem zrobić?

– Pamiętam.

– Miałem szczęście, że okazałeś się takim twardym skurczybykiem.

Nigdy nie powiedział niczego, co bardziej niż te słowa przypominałoby podziękowanie. Rozumiałem go: wiedział, że uratowałem mu życie, ale wiedział też, że nie byłoby po prostu takiej potrzeby, gdyby świat, który dla niego był moim światem, nie zakuł go w kajdany, nie wyzuł z godności i nie skazał na zagładę.

Wróciliśmy z Tobą do Sarasota.

Tego wieczora nad zatoką szalał sztorm. W nocy woda deszczowa wypełniła studzienki kanalizacyjne i popłynęła ulicami Longboat Key. Bananowce gięły się w podmuchach wiatru. O świcie deszcz ustał; ziemia nadal obracała się wokół własnej osi, toteż weszło słońce. Wyrząłem przez okno na nasz ogród, który przez tę noc jakby urósł o kilka centymetrów. Zabłąkany kot zeskoczył z palmy i zaczął żałośnie dopraszać się o coś do jedzenia. Ponad plażą uwijały się ptaki, jeszcze nieco oglupiałe po burzy. W zatoce zaroilo się nagle od latających ryb.

Nie bez lubieżnych intencji pogłaskałem plecy mojej uśpionej żony. Później podrapałem się po zarośniętej szczęce. Czy powinienem zapuścić brodę? Mogłaby się okazać bardziej siwa niż włosy, ale co z tego? Tak, zapuszczę brodę. Kto mi zabroni?

Zadzwoiłem do Kenny'ego Buckrama i zapytałem go, czy w biurze pomocy prawnej w Sarasota nie znajdzie się dla mnie miejsce, a jeśli tak, czy zechce poprzeć mnie dobrym słowem.

- Poważnie?
- Oczywiście.
- Chodzi mi o to, czy poważnie uważasz, że potrzebne ci moje poparcie?
- Cóż, Stowarzyszenie Prawników nadal chce dobrać mi się do tyłka – w nocy słyszę tętent kopyt ich zagonów – a Diaz z Miami najchętniej widziałby mnie wiszącego na drzewie.
- Nie przejmuj się tym, Ted.

To samo mówiła mi moja matka. Co więcej, powiedział to również sędzia Ruth. Otrzymałem kopie jego listów: do Stowarzyszenia i do prokuratora stanowego w Tallahassee. W tym pierwszym napisał: „Sąd oświadcza, iż

dalsze niepokojenie pana Jaffe w związku z jakimikolwiek – sąd powtarza: jakimikolwiek – działaniami podjętymi przez niego na terenie naszej jurysdykcji, spotka się z dezaprobatą sądu”. W liście do prokuratora stanowego napisane było w sumie tyle: „Będę osobiście interweniował u prokuratora, jeśli nie zabierzecie tego małego kutasa Diaza od mojego kumpla”.

Po miesiącu zaproponowano mi pracę w samodzielnym oddziale obrony w sprawach karnych biura pomocy prawnej. Stacjonowałbym w hrabstwie Sarasota, podróżując jednak po całym stanie. Proponowana płaca nie przekraczała jednej trzeciej tego, co gwarantowali mi Royal i Kelly.

– Co o tym sądzisz? – zapytałem Toby.

– Myślę, że to zwariowany pomysł – odparła. – Cathy wspomina o studiach podyplomowych. Alan uczy się w szkole plastycznej i pewnie zechce iść do college'u. A co, jeśli przegramy proces z kobietą pajakiem? Po prostu nie możemy sobie pozwolić na ten krok.

– Nie przegramy procesu – odrzekłem twardo. – A ja nie mogę sobie pozwolić na nieprzyjęcie tej pracy. Chcę jej. Dzięki niej będę się czuł pożytecznym człowiekiem, nie jakimś pasożytem.

Toba nie po raz pierwszy widziała ten wyraz uporu na mojej twarzy. Nie odwróciła się jednak ode mnie, nie nadąsała. Zarzuciła mi ramiona na szyję i powiedziała:

– Zrób to, Ted. Jakoś sobie poradzimy.

Przyjąłem tę posadę. W piątek wieczorem poszliśmy na nabożeństwo do naszej miejscowej świątyni. Pewien wers z modlitewnika zwrócił wtedy moją uwagę, na długo pozostając w pamięci:

I znów służyć będziemy w pokorze, jako za dawnych lat.